

AGNIESZKA LIS



MUZYKA
TWOJEJ
duszy



AGNIESZKA LIS

MUZYKA
TWOJEJ
duszy



Copyright © Agnieszka Lis, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktorzy prowadzący: Monika Długa, Szymon Langowski

Redakcja: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Korekta: Maria Moczko / panbook.pl

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Joanna Wasilewska

Zdjęcie na okładce: Katy Noelle Charlton / Arcangel

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rozdział 1

ON

Był niewysokim, niepozornym chłopcem. Czarne oczy często opuszczał, oglądając podłogę. Patrząc z boku, trudno było sobie wyobrazić, że bacznie obserwował otoczenie, widząc znacznie więcej niż inni. Igor dostrzegał niemal wszystko. Widział uśmieški, zawiść, drwinę. Widział sympatie i fascynacje. Był jak cyfrowe oko – rejestrował, chociaż nie zawsze rozumiał. W przeciwieństwie jednak do oka kamery – czuł. I szybko uświadomił sobie, że odczuwanie wcale mu się nie podoba. Niesie ze sobą kłopoty. Skupił się więc na przedmiotach, ludzi coraz skuteczniej wyrzucając poza krąg swojego postrzegania.

Na pierwszy rzut oka z tłumy wyróżniały go czarne, sztywne włosy. Nie dawało się ich ułożyć, chociaż próbowały matka i sąsiadka, a nawet pan Ryszard z najbardziej znanego w miasteczku zakładu fryzjerskiego. Próbowali na cukier i na żel z kiosku Ruchu, potem na superpiankę „extra soft”. Dopiero dużo później Igor skojarzył, że jemu potrzebny był raczej efekt „strong” niż „soft”. Bez względu na zabiegi włosy sterczały, jakby

żyły własnym życiem. I jakby próbowały komunikować światu, że ten cichy i spokojny, kompletnie niewyróżniający się z otoczenia chłopiec ma silnej woli więcej niż cała reszta klasy razem wzięta.

Trafił do technikum z internatem. Ksiądz proboszcz powiedział matce, że to grzech nie kształcić dziecka, jak owo dziecko zdolne i ma piątki nie tylko z religii. Religia odbywała się w wiecznie niedogrzonej salce katechetycznej, a ksiądz każdego ucznia znał po imieniu i kolorze roweru. Prześwietlał dzieciaki swoim świdrującym wzrokiem, wiedział, co jadły na obiad, i która to już, kolejna, lata na kolanie w tym półroczu. A skoro ksiądz powiedział, że grzech, to „trza zadziałać” – pomyślała matka i wbrew ojcu, braciom, a nawet i samemu Igorowi zawiozła go do szkoły.

– To chociaż w domu go zostaw – powiedział ojciec. – Daleko nie ma, da radę dojechać.

– Daleko nie ma – zgodziła się matka. – Ale autobus zimny, niedogrzany. Spóźnia się często. I dojść do niego trzeba, zimą ciężko. A tam ciepło będzie miał, obiady na miejscu, warunki, wszystko.

– Takiej biedy u nas nie ma, żeby na obiad dla syna nie było. – Ojciec się obruszył.

– Biedy nie ma. – Matka znów przytaknęła. – Ale tam będzie miał spokojniej.

Obawiała się, że w domu, nawet jeśli najpilniejsze prace w polu już zostały zrobione, to jednak w gospodarstwie ciągle coś będzie do roboty. I chłopak, zamiast się uczyć, będzie pomagał. Robotny był, zastrzeżeń nie miała, ale przemyślała dokładnie sugestię proboszcza. Spodobała jej się wizja syna wykształconego, który może nawet pójdzie w świat, będzie mądry? Może zostanie politykiem?

Myślała o tym wieczorami, wyobrażając sobie Igora w granatowym garniturze. W tych momentach jej twarz się

wygładzała, zmarszczki wokół oczu i bruzdy wzdłuż nosa stawały się jakby płytsze. Syn jawił jej się wysoki, przystojny, elegancki – wierzyła, że jeszcze wyrośnie, że jak bracia i ojciec, będzie słusznego wzrostu. Że będzie górował nad otoczeniem, także myślą, że ludzie będą go słuchać. A do tego potrzebne było wykształcenie. Zawodówka byłaby najlepsza, ale skoro ksiądz uznał, że to za mało, to musi być matura. A potem coś konkretnego.

Chłopak powstrzymywał łzy, matka zaś wzdychała mimowolnie, gdy trzydziestego sierpnia ojciec wpakował syna oraz dwie pękate torby do osiemnastoletniej syrenki i ruszyli w sześciokilometrową podróż. Te łzy w oczach chłopaka potem towarzyszyły mu w życiu w wielu momentach, właściwie należy doprecyzować, że to były dokładnie dwie łzy. Żadna nigdy nie spadała, zostawały w kącikach oczu jak przyklejone.

Igor zabierał ze sobą do internatu zawinięty w gruby sweter prezent od wuja. Przypuszczał, że brat matki dał mu go w chwili pijackiego wzruszenia, bo prezent był drogi i rzadko go wyciągano z barku w meblościance. Podarek był już trochę przechodzony, lat miał kilkanaście, ale nigdy żadna dzieciarnia nie miała prawa nawet dotykać przedmiotu. Gdy zatem wuj, lekko bełkotliwie, wyciągnął z pogniecionej reklamówki twardy karton, z nieco startymi już napisami i uszkodzonym jednym rogiem, Igor oniemiał.

– Masz, synuś, masz – powiedział wuj. – Nikt u nas nie ma szkół, to i użytek z tego marny. A głowę trzeba mieć do wszystkiego.

Igor nie zastanawiał się nad pijacką retoryką ostatniego zdania, rzucił się na prezent, ledwo z wrażenia podziękował, po czym schował się w swoim pokoju i natychmiast ukrył dar, zawinięty w ów gruby sweter, głęboko w szafie. Nie potrafił powiązać kwestii wykształcenia z umiejętnością robienia zdjęć, ale aparat był przedmiotem cennym, wyciąganym przez wuja tylko przy największych uroczystościach, komuniach

i chrzcinach, i Igor nie zamierzał się nim z nikim dzielić.

Nikt nigdy nie widział zresztą zdjęć zrobionych przez wuja. Klisza tkwiła w aparacie już kilka lat, wuj Miecio zawsze twierdził, że droga, trzeba oszczędzać, a wywołać się da do Józka, co ma ciemną piwnicę.

Trzydziesty sierpnia to była smutna data w życiu Igora. Data wyjazdu z domu, do którego już nigdy mentalnie nie potrafił wrócić. Ilekroć przyjeżdżał, widział kolejne zmiany. Za każdym razem dom był inny, koledzy z dzieciństwa coraz głupszy, matka coraz bardziej zgarbiona. I chociaż po latach ważność tej daty zatarła się wśród innych wydarzeń, trzydziesty sierpnia już zawsze był dla niego smutny.

W szkole Igora nie było widać. Siadał z tyłu, po lewej stronie nauczyciela, daleko od okna. Cieszył się sympatią pedagogów, bo odzywał się rzadko, tylko gdy był pytany. I znał odpowiedzi, zazwyczaj poprawne. Popołudniami siedział w internacie, nie tyle nawet się uczył, co wkuwał. Nie miał znajomych, nie miał kolegów. Nikomu się nie narzucał, nikomu nie wadził i nikt nie wadził jemu. Nie miał przyjaciół, nie miał wrogów. Był przeźroczysty i wcale nie próbował tego zmieniać. Mieszkał w pokoju z dwoma innymi chłopcami, ale oni ani myśleli spędzać czas w internacie. Wymykali się wieczorami, szli na randki albo po prostu postać z innymi chłopakami za rogiem sąsiedniego budynku. Gadali o niczym. O dziewczynach, pierwszych razach i podłości nauczycieli. A Igor zostawał w dość ponurym pokoju z jednym niewielkim oknem, uczył się, schodził punktualnie na kolację, gasił światło przed dziesiątą. Codziennie.

Właściwie gdyby nie te sterczące włosy, to nawet trudno byłoby go dostrzec w klasie, tak bardzo się nie wyróżniał. Tak sądzono. Gdyby jednak ktoś zechciał się przyjrzeć, mógłby coś dostrzec.

Wśród rozbawionych młodych twarzy, loków powiewających na wietrze, zadzieranych spódniczek, poobgryzanych paznokci

i wyciskanych brudnymi palcami pryszczycy, które babrały się potem całymi tygodniami – Igor nie tylko był. On patrzył. Czasem wchodził do pokoju i bezwiednie przekładał kurtkę współlokatora. Nawet nie odwieszał, po prostu przekładał. Albo podchodził w klasie do gazetki ściennej i przewieszał zdjęcia. Po jakimś czasie stał się za tę gazetkę odpowiedzialny i od tego momentu jego klasa zawsze dostawała nagrodę za najlepszy ścienny tygodnik.

Jedyne, czego Igor nie chciał rejestrować, to ludzkie twarze. Ludzie wymagali skupienia i angażowali emocje, przedmioty – układały się Igorowi zawsze w gotowe plastyczne kompozycje i były przyjemnie przewidywalne.

Igor wycinał zdjęcia z gazet, najbardziej lubił tygodnik „Kraj Rad”, nie czytał go co prawda, ale zdjęcia zbierał z dużym zacięciem. Bywało, że robił kolaż, wtedy wykorzystywał „Świat Młodych”, który wprawdzie był brzydki i nie miał żywych, przyciągających oko kolorów, drukowany był jednak na miękkim gazetowym papierze, który łatwo rwał się na odpowiedniej wielkości kawałeczki. „Świat Młodych” miał też wiele innych zastosowań, u Igora w domu często zastępował niedostępny okresowo papier toaletowy. Brudził tyłki paskudną drukarską farbą, wycierając jednocześnie z innych rzeczy.

Czasem Igor pisał jakiś krótki artykuł, nie lubił tego. Pisanie przychodziło mu z trudem, nie było jednak chętnych do pomocy. Próbował więc sam. Pierwsze próby spotkały się z zaciśnięciem warg polonistki, która wezwała Igora na rozmowę i poleciła, aby przed powieszeniem tekstu zawsze dawał go jej wcześniej do przeczytania. Z czasem miała coraz mniej uwag. Artykuły Igor wieszał rzadko, jednak ścienna tablica w ich klasie była bezustannie kolorowa, atrakcyjnie skomponowana i zawsze opowiadała o aktualnościach.

Z plastyki oczywiście Igor miał piątkę, a nauczyciel mówił: – Igor, ty powinieneś trafić do plastyka, nie do technikum.

Igor jednak kręcił głową, doskonale wiedział – matka wbiła

mu to do głowy – że „w rękę trzeba mieć zawód”, albo chociaż maturę. A zawód to był ślusarz, budowlaniec, może polityk jakiś ewentualnie, a nie jakieś fiu-bździu, co rysuje po kartonie. Nie miał śmiałości powiedzieć tego plastykowi, więc chował swoje czarne oczy za równie czarnymi rzesami i nic nie mówił.

Igor nie tylko widział – także zapamiętywał. Rozglądał się zawsze czujnie, szczególnie od czasu, gdy dwóch kumpli zrobiło mu kocówę – posadzili go o donos do portiera. Chłopaki poszli na imprezę, wrócili do internatu po drugiej, rozrabiali, ale wydawało im się, że nikogo nie pobudzili. Tymczasem woźny obudził się, zanim jeszcze otworzyli zapasowym kluczem szklane drzwi ewakuacyjne, i stał w korytarzu, czekając na nich z rękami założonymi na biodrach. Uznali, że to Igor obudził ciecia. Od czasu „zemsty” Igor unikał grup większych niż dwuosobowe. Po prostu szedł w drugą stronę, czasem dookoła, czasami wbrew sobie.

Koledzy śmiali się z niego, Igorowi zdarzało się pomylić ich imiona.

– E, głupek, pamiętasz mnie? – Zaczepiali go czasem na korytarzu albo boisku.

Kulił ramiona, opuszczał głowę i patrzył spod czarnych brwi, czy przypadkiem za nim nie idą.

Pamiętał wszystkich kolegów. Na ogół. Nigdy nikomu nie przyznał się wprost, że miał problem z zapamiętywaniem twarzy. Musiał na kogoś patrzeć wiele razy, żeby zapamiętać twarz. Wymagało to od niego czasami karkołomnych zabiegów, szczególnie na początku szkoły. W pierwszych dniach wchodził z grupą za nauczycielem do klasy i nie potrafił się domyślić, jaka będzie lekcja. Kłaniał się na korytarzu wszystkim dorosłym, bo nie potrafił rozpoznać nauczycieli. Uchodził więc za szczególnie dobrze wychowanego. Zapamiętywał każdy szczegół ubrania, kształt sprzączki od paska, kolor oczka w pierścionku, potrafił rozpoznać raz widziane czyjeś ucho. Cóż z tego – wiedział, że je widział, i właściwie nic więcej. Dopiero po

kilku tygodniach obraz pokazywał mu się w kontekście zdarzeń, i dopiero wtedy kojarzył osobę z imieniem i rolą w jego życiu.

Igor był tak skryty, że niedostrzegalny. Nigdy więcej nie dostał lania od kumpli, nie istniał dla nich. Dostawał piątki, rzadziej czwórki – bo zawsze odpowiadał poprawnie, jednak nigdy nie wysyłano go na żadne olimpiady. „Brak predyspozycji społecznych” – wydała diagnozę dyrektorka i nikomu nie chciało się z nią polemizować.

Igora zauważono dopiero wtedy, gdy pewnego dnia, w – wydawałoby się – pustym korytarzu prowadzącym donikąd, za salą gimnastyczną, po ósmej godzinie lekcyjnej, pojawił się wuefista. Igor całował właśnie, namiętnie i z niedwuznacznymi odgłosami, koleżankę z klasy, Kamilę. Afera wybuchła nieziemską. Ojciec z matką przyjechali pełnoletnią syrenką, w torbie przywieźli dla dyrektorki pachnące dymem szynki i kiełbasy, a także duży gliniany garnek masła. Garnek był co prawda już trochę obtłuczony, matka Igora używała go prawie osiem lat, ale bardzo go lubiła, a zresztą w sklepach nie było takich dobrych naczyń. Czegóż się jednak nie robi dla jedyne go syna, który ma szansę zostać „inteligentem”, jak często mawiali przy kieliszku na rodzinnych spotkaniach.

Dyrektorka torbę przyjęła, afera została zażegnana.

– Synuś, synuś – wzdychała potem matka. – Całe szczęście, żeś ty pod mięsną gwiazdą urodzony.

Matka nigdy mu nie wspomniała, że знаła jednego z oskarżonych w aferze mięsnej z 1964 roku. Nikomu o tym nie opowiadała. Igor urodził się dokładnie w dniu rozpoczęcia procesu i Natalia uznała to za znak Boży. Gdyby miał urodzić się później, nie donosiłabym z nerwów – myślała. Cała Polska żyła wtedy procesem, wyrokiem, egzekucją. A ja mogłam zająć się moim synem, nie musiałam myśleć o tym, co na Rakowieckiej.

Ponieważ matka o związku z aferą mięsną nigdy nie

wspomniała, Igor nic nie zrozumiał z „mięsnej gwiazdy”. Spuścił jednak głowę, na trójkątnej brodzie miał już czarny mech, jeszcze do golenia daleko, ale był już prawie mężczyzną. Stawał się wysoki, niepostrzeżenie przerósł rówieśników i miał tak rosnąć jeszcze przez dwa lata. Włosy pozostały czarne, sztywne i sterczące, a głowę chował pomiędzy ramionami, gdy nie chciał o czymś rozmawiać.

– Nie garb się, synu – skomentował zdarzenie ojciec, który odczuwał trochę dumy z potomka. Całować się z koleżanką? Raczej chluba niż wstyd.

Kamila była brzydka. Była gruba, najgrubsza w szkole i proporcjonalnie do wagi – dawało się ją nie tylko zauważyć, ale też usłyszeć. Miała tubalny głos i długie włosy w żadnym kolorze. Oczy miała bladoniebieskie, mało konkretne, na ogół opuszczone, ukryte za jasnymi rzęsami. Z Igorem łączyły ją oceny – czasem nawet Kamili się wydawało, że konkurują ze sobą. Sprawdzała ukradkiem oceny Igora i komentowała różnice. Igor nie reagował, jakby jej nie widział i nie słyszał. Aż w końcu usłyszał i zobaczył, a wtedy wkroczył wuefista.

Nigdy więcej ich nie przyłapali. Ani w internacie, ani nigdzie indziej. Kamila mieszkała niedaleko szkoły, na tej samej ulicy, chociaż na drugim jej końcu. Jej rodzice pracowali, mama w biurze księgowym, chociaż kiedyś marzyła o projektowaniu, inaczej się jednak w życiu potoczyło. Często wracała późno. Tata był na wielomiesięcznym kontrakcie za granicą. Inżynier. Kamila wracała do domu zaraz po szkole, Igor szedł do opustoszałego jeszcze internatu. Przebierał się, brał prysznic w towarzystwie mrugających świetlówek, jadł obiad i wrzucał książki do dużej, czarnej torby, w której pasek naprawiany był już trzy razy.

U Kamili uczyli się, a gdy uznali, że już się nauczyli, całowali się, od początku śmiało i bez oporów. Żadnego cmokania, dotykania wargami, od razu język trafiał do drugich ust i tam pozostawał, penetrując zęby, ten inny język, podniebienie. Nie

przyszło im do głowy, że można inaczej, tak było dobrze. Nie nasunęła im się także myśl, że może to być początek „czegoś”. Po prostu całowali się i już.

Pod koniec drugiej klasy Igor zdecydował się pokazać Kamili prezent od wuja. Dziewczyna chwyciła go w ręce i przystawiła do twarzy.

– Pobrudzisz! – wykrzyknął Igor, a ona spojrzała na niego niebieskimi oczami, z niedowierzaniem pokręciła głową i powiedziała:

– Robiłeś już tym coś?

– Co? – zapytał chłopak.

Wtedy Kamila wytłumaczyła mu, dopiero ona, co można zrobić z aparatem. Poza przyciśnięciem migawki.

Jej ojciec, gdy wracał z kontraktu, przywoził cuda niedostępne w polskich sklepach. Czekolady i szynki, ale przede wszystkim sprzęt. Wieżę stereo, z której nigdy nie słuchali muzyki, bo nie lubili. Telewizor, który był włączany sporadycznie, właściwie tylko podczas wizyt ojca w domu. Robot kuchenny, który robił wszystko, prawie sam. Ktoś musiał go tylko włączyć, ale ktosia nie było, robot stał w pudełku na pawlaczu, wyciągany wyłącznie przed większymi domowymi imprezami. Ojciec przywiózł też nowoczesny aparat fotograficzny, potem statyw, specjalną lampę i jeszcze kilka obiektywów. W odróżnieniu jednak od sprzętów domowych aparat nie leżał w zakurzonej pudełku. Kamili spodobała się zabawa nim, robiła sporo zdjęć, a ojciec, chcąc sprawić córce przyjemność, przywoził akcesoria i klisze. Wywoływali zdjęcia w zaprzyjaźnionym zakładzie fotograficznym u pana Kozłowskiego.

Kamila kupowała „Fotografię”, kwartalnik, który razem z Igorem czytali i oglądali, wręcz studiowali.

– To Fenix! – powiedziała, gdy po raz pierwszy zdecydował się przynieść aparat od wuja do niej do domu. – Pięknie utrzymany.

– Prawie nieużywany – odpowiedział chłopak sarkastycznie. – Film w nim ma już pewnie z tysiąc lat.

Kamila się zaśmiała. Miała, zdaniem Igora, najpiękniejszy śmiech na świecie. – Może wywołamy?

Igor spojrzał jej prosto w oczy, wyraźnie przestraszony.

– Ale jak to?

– Po prostu. Zwijasz, oddajesz do zakładu, odbierasz zdjęcia.

– Ale... – Chłopak się wahał.

– Tu jest jeszcze kilka klitek. Dorobimy i wtedy wywołamy – zdecydowała dziewczyna. – Co zdejmujemy?

– Słucham?

– Zdjąć, zrobić zdjęcie. Co sfotografujemy?

– Ciebie – odpowiedział bez namysłu.

Urządzili krótką fotograficzną sesję.

Wywołane zdjęcia były bez ładu i składu. Pierwsze zdjęcia pochodziły sprzed pięciu lat, fotograf zdziwił się, że film dało się jeszcze wywołać. Była na nich rodzinna impreza, zastawiony stół, meblościanka z ruskimi kryształami i święty obraz na ścianie. Postaci praktycznie nie dawało się rozpoznać, oprócz matki Igora, która niańczyła na rękach małe dziecko.

– To musi być mój kuzyn, Maniek – powiedział Igor.

– Co to za imię? – Kamila się zaśmiała.

– Mariusz, ale nikt tak na niego nie mówi.

Na następnych zdjęciach postaci były również prawie nierozpoznawalne. Kolejne stoły, kryształy i święte obrazki. Osiem ostatnich zdjęć to były fotografie Kamili.

Fotograf zapytał, kto je zrobił.

– Ja – odpowiedział Igor nieśmiało. – Ja nie umiem, wiem. Są kiepskie...

– Niezupełnie. – Rzemieślnik się zamyślił. Miał rudą brodę i łysinę. Prześmieszny gość – pomyślał wtedy Igor. – Zdjęcia są słabe, bo klisza była stara. Ale są... Mają w sobie coś. Kadr, ujęcie. Twoja modelka patrzy na nas tak, jakby stała obok. Chłopaku, staraj się jeszcze.

Igor podziękował i wyszedł. Cały czas się staram. Mam prawie same piątki – pomyślał. – Tylko co do tego mają jakieś zdjęcia?

Kamila śmiała się, oglądając pierwsze odbitki, zamilkła, gdy dotarła do ostatnich.

– Igor, one są... Masz rękę. – Uśmiechnęła się.

Coraz więcej czasu spędzali razem. Coraz więcej fotografowali. Kamila poprosiła ojca, żeby przywiózł Igorowi klisze. Od tego czasu wywoływali coraz więcej zdjęć.

Rodzice Kamili zaniepokoiли się, gdy zdali sobie sprawę, jak wiele czasu młodzi spędzają razem. Matka referowała ojcu przez telefon swoje obawy, chociaż zagraniczne rozmowy były kosztowne, przez to rzadkie. Uznała, że to sprawa ważna, że trzeba o tym opowiedzieć. O popołudniach, trzymaniu za rękę i nieustającym „Igor to”, „Igor tamto”. Ojciec też stwierdził, chociaż zdalnie, że tej bliskości może być za dużo.

Mama zaczęła wpadać do domu w trakcie dnia, niby niechcący, w rzekomej przerwie, bo zapomniała drugiego śniadania. Dzwoniła częściej. Nie było jednak do czego się przyczepić. Obydwoje uczyli się wciąż dobrze, a może i coraz lepiej, nie było na nich żadnych skarg, dyrektorka stawiała ich za wzór.

W końcu ojciec Kamili podczas jednej z wizyt w Polsce poprosił, by przedstawiono mu chłopaka. Igor wszedł do mieszkania skrzepowany, włosy sprawiały wrażenie naelektryzowanych. Oczy spuścił, ręce zacisnął w pięści, poddając się ojcowskiej lustracji. Chłopak założył jedyne wyjściowe ubranie – garnitur, który rok wcześniej matka ofiarowała mu na ślub starszego brata. Ubranie miało już swoje

lata, ale było przerobione, odświeżone, podłużone, dopasowane – tyle, że rok wcześniej. Teraz na Igora było za krótkie już i za ciasne. Spodnie ledwo zakrywały kuse skarpetki, a górny guzik koszuli się nie dopinał i wystawał spod cienkiego krawata. Buty Igor miał tylko sportowe, szare – więc takie założył.

Co za przebieraniec – pomyślała matka Kamili. Znała przecież Igora, ale teraz, w obecności męża, przyglądała mu się jakby od nowa. Jakby zwykle nieobecny mąż nadawał tej chwili specjalnej ważności. Jaki sympatyczny, niezblazowany młody człowiek – pomyślał ojciec Kamili. Jaki przystojny – pomyślała po raz któryś Kamila.

Igor usiadł na wskazanym miejscu, na skraju krzesła. Spodobało się to matce Kamili. Skromny – myślała. Nieśmiały – ojciec też to zauważył. Zamierzał dokładnie przepytąć chłopaka na okoliczność rodziców, rodzeństwa, majątku, zawodowych planów i wszystkiego innego. Zrezygnował. Bojaźliwy uśmiech, spłoszone gesty, niewyrobione zachowanie – wszystko to pozytywnie go nastroiło. Aż zamierzał poczęstować chłopaka dopiero co przywiezionym z zagranicy koniakiem.

– Oszalałeś? – Matka starała się stworzyć wzorcowy obraz porządnej rodziny, a tu nie dość, że rozpijanie młodocianego, to jeszcze wyrwało jej się, taki zwrot, do męża, przy ludziach!

Napili się więc sami, Igor tylko się uśmiechał, z lekko zaciśniętymi ze stresu szczękami.

Pytania zadawała matka.

– Mam trzech braci i siostrę – odpowiadał spokojnie. – Tak, ze wsi. Mamy gospodarstwo, duże. Traktor i krowy, tak. Świń mama nie lubi, bo brudzą, ale też kilka jest.

– To głodu u was nie ma – bardziej stwierdziła niż zapytała matka.

Igor potwierdził skinieniem.

– A co zamierzasz? W przyszłości. – W końcu włączył się ojciec

Kamili.

– Chciałbym pójść na studia. U nas nikt jeszcze...

– Znakomicie! Czyli nie zamierzasz wracać na wieś? – Matka się upewniała.

– Dwóch starszych braci przejęło gospodarstwo. Siostra pewnie pójdzie za mężem, a najmłodszy to jeszcze nie wiadomo.

Bogu dzięki! – Matka Kamili wzniosła do nieba oczy. Niech studiuje co chce, byle Kamy na wieś nie zaciągnął.

– A ja bym chciała na wsi mieszkać – powiedziała nastolatka.

– Nie grzesz, dziecko – skomentowała matka, a Igor popatrzył na nią w milczeniu swoimi czarnymi oczami. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy, nikt zresztą nie próbował.

– A co chcesz studiować? – wtrącił się znów ojciec. Skupił się już na koniaku, którego nie pił przez wiele tygodni, w ogóle zresztą nie pił przez wszystkie miesiące kontraktu. Tam oszczędzał, tutaj zamierzał grać panisko.

– Jeszcze nie wiem... – Igor się zawahał. – Ja... chciałbym pójść na Akademię Sztuk Pięknych.

Kamila się uśmiechnęła. Wydusił z siebie! Tyle razy o tym rozmawiali, nawet jej Igor powiedział o tym dopiero niedawno. Nikt z jego rodziny tego nie wiedział, nawet ukochana siostra Janina, która imię odziedziczyła po szwedzkiej babce, Johannie. Prawda była taka, że Igor sam nie wierzył, że może tego chcieć. Takich studiów. Do niedawna w ogóle tego nie wiedział, a teraz nie przypuszczał, że studiowanie na ASP mogłoby się urzeczywistnić.

– Mało praktyczny zawód – rzuciła matka. No studia tak, oczywiście, ale muszą być takie... dziwne? – pomyślała.

– Jeszcze nie zdecydowałem ostatecznie – odparł chłopak, czym zyskał sobie ponownie sympatię matki dziewczyny.

Kolacja nie smakowała Igorowi. Przyzwyczajony do frykasów

podsyłanych przez matkę, szynkę, osełek masła, pieczonych kurczaków – nie odczuwał na co dzień stołówkowej mizeroty. Jadł, ile mu się zmieściło, a potem dojadał co nieco z matczynych zapasów. Jeść potrzebował dużo, znacznie więcej, niż wypadało na proszonym posiłku u rodziców dziewczyny. Wyszedł więc głodny i z poczuciem porażki. Nie błyszczał przy stole, raczej się garbił i chował ramiona, ojciec Kamili pozwalał sobie na sarkastyczne odzywki, których chłopak albo nie rozumiał, albo nie śmiał na nie odpowiedzieć. Matka z kolei oglądała go jak eksponat w przykurzonej gablocie. Nawet Kamila mówiła niewiele, chociaż spoglądała czule.

„Było fantastycznie”. – Wepchnęła mu w rękę kartkę z liścikiem przed pierwszą lekcją. – „Są zachwyceni. Tylko matka marudzi, że studia powinieneś mieć bardziej konkretne”.

Igor się uśmiechnął i skupił na lekcji. Po zajęciach plastycznych został w klasie i podszedł do nauczyciela.

– Ja... chciałbym...

Mężczyzna się uśmiechnął. Cenił plastyczny zmysł tego nieśmiałego chłopaka z niesforną fryzurą, a z biegiem czasu i jego samego polubił.

– Chciałbym zapytać, czy ja... czy ja mógłbym pokazać panu kilka prac?

– Chłopie! – Nauczyciel zwykł zwracać się do młodzieży w dość swobodny sposób, nie bardzo zresztą akceptowany przez dyrekcję. – Od dawna ci mówię, że powinieneś się rozwijać w tym kierunku. ASP jest dla ciebie. Pokaż, co tam masz.

Igor wyciągnął z plecaka teczkę i podał ją nauczycielowi.

Ten rozwiązał troki i jego uśmiech zaczął gasnąć, z każdym zdjęciem coraz bardziej.

– Kto ci je zrobił? – zapytał po chwili, z całkowitą powagą.

– Pan Kozłowski, w zakładzie fotograficznym, ja nie miałbym gdzie. – Igor uświadomił sobie, że wywoływanie zdjęć,

posiadanie ciemni i inne takie nie tylko były kosztowne i kłopotliwe, ale także – o czym słyszał od wuja – niebezpieczne. Któż wie, co można by wywołać w takiej ciemni? Może jakieś wywrotowe coś? Mgliście rozumiał temat, ale się przestraszył.

– Nie pytam, gdzie je wywołałeś. Pytam, kto je zrobił.

– Ja – odpowiedział chłopak, wzruszając ramionami. – Jeśli są kiepskie... przepraszam, pójdę już. – Igor sięgnął po teczkę i zbierał zdjęcia z katedry.

– Zostaw – polecił nauczyciel. – Dajesz słowo, że ty sam je zrobiłeś?

– No... czasami... pomagała mi Kamila. Jest na niektórych zdjęciach...

– To widziałem. Nie o to pytam. Kto wcisnął migawkę?

– Ja. – Igor ponownie wzruszył ramionami.

– Ty... Możesz mi te zdjęcia zostawić?

– Ale dostanę je z powrotem?

Lubił te fotografie, a wywołanie kolejnych odbitek nadszarpnęłoby jego kieszeń.

– Oczywiście. Oddam za kilka dni.

Chłopak skinął głową i sięgnął poplecak.

– Poczekaj. – Nauczyciel zatrzymał go jeszcze chwilę. – Jedziesz na ten weekend do domu?

– Tak. – Igor się uśmiechnął.

– Porozmawiaj z rodzicami na temat swoich studiów.

– Rozmawiałem. Mama ucieszyła się, że chcę studiować, a ojciec to nawet powiedział, że świnię zarżnie, żeby to uczcić. Bo ja będę pierwszy w rodzinie.

– Ale powiedziałeś o kierunku?

Igor nie patrzył profesorowi w oczy.

– To powiedz. Koniecznie, dobrze?

Chłopak wciąż patrzył w podłogę.

– Albo poproś ich, żeby do mnie przyjechali. Musisz się kształcić.

– Tak – odpowiedział chłopak i skierował się do wyjścia.

– Czy... te zdjęcia są złe? – zapytał już, właściwie wychodząc, przy otwartych drzwiach.

– Złe? Chłopaku, nie widziałem tak dobrych kadrów, odkąd sam nie fotografuję. – Zaśmiał się cicho. – Żartuję. Są znakomite.

Nauczyciel od razu po tym spotkaniu ruszył do gabinetu dyrektorki. Przyjęła go ze spokojem, oglądając fotografie z zainteresowaniem, ale bez entuzjazmu.

– Rozumiem, świetne prace – zaczęła. – I to chyba pierwszy pana podopieczny, przynajmniej w naszej szkole, który wykazuje taki talent... Ale naprawdę wierzy pan, że chłopak ze wsi, w której maturę ma dwudziestu mieszkańców, pójdzie na artystyczne studia? Kto mu na to pozwoli? Matka, ojciec? Nie widzę tego.

– Nie pójdzie, jeśli go nie wesprzemy.

– Może pan ufundować prywatne stypendium – zakpiła. Po czym westchnęła. Nie była ani zła, ani złośliwa. Lubiała swoich wychowanków i swoją pracę, jednak ją nie zawsze życie lubiło. – Możemy zrobić mu wystawę zdjęć na szkolnym korytarzu. Z wyjątkiem tego. – Wyjęła portretowe zdjęcia Kamili. – Myślałam, że już skończyli ze sobą.

– To chyba coś więcej niż przelotne zauroczenie. Cały czas się spotykają.

– Byle nie w szkole.

– Ani w internacie – zgodził się nauczyciel. – Ale witryna musiałaby być zamykana. Inaczej ktoś może je uszkodzić.

– No to będzie musiał pan zaczekać. W tej oszklonej gablocie jest dopiero co powieszona wystawa o naszych wschodnich przyjaciółach i komsomolskiej przyjaźni naszej młodzieży z ich młodzieżą. – Powiedziała to z przekąsem, a rzadko pozwalała sobie na wyrażenie swoich przekonań. Bała się, zbyt wiele mogło kosztować ją nieprawidłowo sformułowane zdanie. Pozwoliła sobie na szczerość, bo była zmęczona i lubiła plastyka, ale zaraz pożałowała otwartości. Nigdy nie wiadomo, kto konfident – pomyślała.

– Poczekamy – odpowiedział plastyk. Nie zareagował na ukryty sens wypowiedzi, w ogóle do niego nie dotarł.

– Możemy wezwać rodziców i zasugerować kierunek. Podzielić się obserwacjami o zdolnościach chłopaka. – Dyrektorka skinęła głową. To tyle.

– Zróbmy to. Możliwie szybko, dobrze?

– Zadzwoń do nich jutro – odpowiedziała kobieta, chociaż nie miała najmniejszej ochoty tego robić. Wolałaby, żeby to nauczyciel plastyki zadzwonił do rodziców chłopaka. Wolała, chociaż doskonale wiedziała, że powinna to zrobić tylko ona.

Matka i ojciec Igora, zaniepokojeni, przyjechali dwa dni później. Syrenkę wypełniał aromat wielu szynek, wędzonych żeberek, polędwicy i czosnkowej kiełbasy. Tylko część była dla Igora. Wysłuchali dyrektorki w obecności plastyka, który dorzucił kilka uwag.

– Jesteśmy zachwyceni rozwojem państwa syna! – egzaltował się.

– Igor robi postępy – studziła dyrektorka.

– Ten chłopak ma talent!

– Trzeba go kształcić.

Dwoje prostych ludzi patrzyło na nich z dystansem. Matka Igora z początku słuchała, lekko otwierając usta, ojciec miał je zaciśnięte już od drugiej wypowiedzi plastyka.

– Chcecie posłać Igora na jakieś nieznane? Ma być degeneratem? – zapytał ojciec.

– Na zmarnowanie? Mojego chłopaka? – dopytywała matka.

– Proszę państwa. Igor jest niezwykle uzdolniony plastycznie. Właściwie należałoby powiedzieć – artystycznie. Państwa syn zrobił zdjęcia, które nas zachwyciły – tłumaczyła dyrektorka.

– Te kadry są świeże, twórcze, niezwykle. Chłopak ma talent! – Im dłużej mówił plastik, tym większe krople pojawiały się w oczach matki Igora, aż spłynęły wielkimi łzami, prawie niezauważalnymi w bruzdach wokół nosa i ust.

Podziękowali. Wręczyli mięsne łapówki, nie przyjmując ostrożnego wzbraniania się dyrektorki, która już od ich wejścia wyczuła zapach wędzonki i czosnku. Zrobiła się głodna i właściwie od razu chciała skończyć spotkanie.

Rodzice przeszli do internatu. Igor kończył właśnie odrabiać lekcje, szykował się do wyjścia, do Kamili oczywiście. Rodzice weszli z nieśmiałością, internat wydał im się nie tylko duży, ale wręcz elegancki. Portier tego dnia miał na sobie marynarkę, przez czysty przypadek. Wieczorem, prosto po pracy, wybierali się z żoną do kumpla na imieniny. Marynarkę po przyjsciu do pracy odwiesił na wieszak, ale zrobiło mu się zimno i odruchowo narzucił ją na ramiona.

Elegancki wydał im się długi, wyłożony jasnymi płytkami PCV korytarz, pokój Igora był niemal na końcu, naprzeciw łazienki, z której pachniało chlorem. Matka Igora uznała ten zapach za przyjemny, czysty, pożądany. Gdy cicho zapukali do drzwi pokoju, Igor nie zareagował. Pisał w zeszycie z powagą na twarzy, przy zapalonej lampce, bo małe okno nie dostarczało wystarczająco dużo światła. Nie usłyszał. Nikt tutaj nie pukał, to powodowało, że nigdy nie czuł się u siebie. Zawsze ktoś niepożądany mógł wejść do pokoju, przyłapać na czymś niestosownym. Wychowawcy często to robili w pierwszej klasie. Igorowi został odruch bycia poprawnym, zawsze, rozluźniał się

tylko przy Kamili.

Rodzice zapukali po raz drugi, Igor nie odpowiedział ze zdziwienia. Weszli do pokoju, matka była u Igora po raz drugi w życiu. Za pierwszym zdziwiła ją czystość i schludność pokoju, możliwa do uzyskania wyłącznie dlatego, że współlokatorzy Igora jeszcze nie przyjechali. Teraz na ich łóżkach leżała sterta ubrań, nieskładnie zepchniętych w okolice poduszki. Panował zaduch, pomimo otwartego okna – jeden z kolegów nie lubił prania. Brudne skarpetki chował pod materac.

Igor siedział nad zeszytem, przy niewielkim biurku, zwyczajowo pustym. Jego koledzy nie lubili się uczyć, Igor z kolei zawsze chował do szafki wszystkie swoje rzeczy, ułożone w rzędzie. Podniósł głowę dopiero, gdy usłyszał chrząknięcie. Spodziewał się wychowawcy. Widok rodziców nie tylko go zaskoczył, wręcz wywołał niechęć. Nie pójdę do Kamili! – spanikował w pierwszym odruchu na widok rodziców. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że po raz pierwszy w ciągu trzech lat rodzice przyjechali do niego oboje bez uprzedzenia i wkroczyli do pokoju z uroczystym wyrazem twarzy, prawie jak na błogosławieństwie przed ślubem brata.

– Synu! – Zaczął uroczyście ojciec. – Nie zrobisz nam zawodu!

– Nie śmiałybym – powiedział Igor, wstając od biurka.

– Synku, ty tam nie idź! – wykrzyknęła matka.

Igora zatkało.

– My tu za wszystko płacimy. O wszystko się staramy. Ale ty nas nie zawieź. – Ojciec wystawił palec w stronę syna.

– Nie możesz tam!

– Ale...

– Dyrektorka nam wszystko opowiedziała. Matura dobra sprawa, będziesz jedyny taki wykształcony. Jak chcesz na studia iść, i to zniesiemy, i nawet zapłacimy. Komu trzeba będzie świniaka przywieziemy. Ale nie tam! – powiedział ojciec

kategorycznie.

Igor usiadł i zaraz ponownie wstał.

– Siadajcie. Ja wam tu zaraz herbaty... I co byście chcieli...

– My ci wszystko przywieźliśmy – powiedziała matka. – Tylko tam nie idź.

– Ale gdzie? – zapytał z rozpaczą w głosie chłopak. Rodzice już siedli na jego łóżku, jedynym porządnie zaścielonym w pokoju.

– Na tę akademię – powiedziała matka ze zgrozą.

– Na jaką...? – Igor zrozumiał i wcale nie chciało mu się śmiać.

– Kto wam napłócił takich...?

– Dyrektorka, więc się, synku, nie wykręcaj.

– Pan od plastyki mnie namawia, ale ja nie wiem.

– Co nie wiesz! Co nie wiesz! To normalne ma być! Jeśli chcesz na studia iść, to idź. Ale normalne muszą być!

– Normalne... – Głos chłopaka zawisł, jakby ktoś w powietrzu bawił się nożem. Nóż bez ręki. Po prostu słowo.

– Oczywiście – dodał chłopak po chwili, a matka na tę odpowiedź podeszła do niego i wyściskała syna.

– My tu ci przywieźli całą torbę. Masz, synku, masz, boś zmarniał ostatnio – mówiła szybko.

Ojciec wstał.

– Wypakuj, synu – powiedział.

– Torba mi będzie potrzebna, pomogę wypakować – wtrąciła matka.

– Późno już. Z Bogiem. – Ojciec odczekał, aż wielka torba, uszyta ze starej płóciennej zasłony, została starannie złożona. Matka trzymała ją pod pachą. Raz jeszcze uścisnęła syna, zadowolona, że tak dobrze go wychowała. Zgodny on, greczny – myślała. – Jak syn być powinien.

– Z Bogiem – odpowiedział Igor do pleców ojca, ściskając matkę, która sięgała mu już poniżej ramienia.

Po wyjściu rodziców tylko chwilę siedział beczynn timer. Dokończył pracę domową i wyszedł do Kamili.

– Może im przejdzie – mówiła dziewczyna czterdzieści minut później.

Chłopak pokręcił głową.

– Oj, przytul mnie – odpowiedziała zaczepnie.

Ostatnio ich zażyłość stawała się coraz bliższa. Chłopak odruchowo objął dziewczynę.

*

– Moi rodzice nie chcą się zgodzić – odpowiedział Igor plastikowi.

– Przeciwno wystawie nie protestowali.

– Tak. – Igor miał spuszczoną głowę.

– Chłopaku! Nie dramatyzuj! To dopiero czwarta klasa! Przez rok może się wiele zmienić. Wyślemy twoje prace na jakies konkursy, pokażemy cię... Będzie dobrze!

– Proszę pana, matka i ojciec zakazali. Nie pójde na ASP.

Plastykowi zabrakło argumentów.

Czwartą klasę obydwome skończyli z wyróżnieniem. Egzaminy dyplomowe, które cała klasa nerwowo przeżywała, dla nich były formalnością. Zrobili wspólny projekt, czujnik Biernawskiego, mierzący rozkład sił w nożu tokarskim podczas skrawania. Igor zadbał o estetyczne wykończenie, przygotował nawet specjalne opakowanie na ich pracę. Przedstawiali projekt razem, Kamila

mówiła, Igor prezentował.

Po obronie poszli do oddalonej blisko kilometr kawiarni Magnolia, Igor wykorzystał ostatnie grosze, jakie mu pozostały ze stypendium.

– Coś dzisiaj jesteś hojny! – Kamila się zaśmiała.

– Nie będę cię widział teraz może i przez dwa miesiące. Żniwa idą, ojciec sam w polu nie daje rady, a bracia... wiesz. Mają małe dzieci.

– I są nieroby – zauważyła kąśliwie Kamila.

– Nie mów tak. – Bez przekonania bronił braci.

– Bo co? – W jej głosie brzmiała zaczepka.

– Bo to moi bracia.

– Nic niewarci. Ani do roboty, ani do pomocy. Sami nic nie umieją, i tobie nie chcą pozwolić. Ojca napuszczają, żebyś na wsi został.

– Przecież chciałaś? – Zdziwił się.

– Dalej chcę. Ale nie z rodzicami, braćmi, ich żonami i dziećmi.

– Dziećmi – poprawił odruchowo, co spotkało się z wyraźną niechęcią Kamili. Wywróciła oczami. – Dobra, rozumiem – dodał szybko.

– Więc zamówmy jeszcze po jednym ciastku – odpowiedziała.

– Nie mam więcej pieniędzy – powiedział Igor.

Kamila wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się do Igora i zamówiła ciastka, kolejne dwie herbaty i jeszcze wielką porcję lodów, po czym zapłaciła cały rachunek.

Gdy wyszli z kawiarni, na ulicy czekał na nich pies. Spoglądał wprost na Kamilę, jakby z wyczekiwaniem.

– Jakbyś była jego panią – powiedział Igor.

Podeszli do zwierzaka, miał czerwoną obrozę i ciągle patrzył na Kamilę.

– No co tam? Głodny jesteś? – zapytała dziewczyna, kucając przy psiaku. Wyciągnęła ręce, pogłaskała go. Podstawił łeb, ustawiając się tak, żeby drapała go za uszami.

– Ale pieszczoch. – Kamila się uśmiechnęła.

Kucali tak chwilę, aż pies nadstawił ucha, spojrzął przelotnie na Kamilę i pobiegł.

– Ot, ilustracja. Że niby wierny jak pies. – Igor się uśmiechnął.
– Odprowadzę cię – powiedział jeszcze, jakby to nie było oczywiste.

Szli spokojnie, ciesząc się z pięknej pogody, z wakacji, młodości i miłości.

– Coś mi wpadło do oka – powiedziała w pewnym momencie Kamila.

– Nie trzyj, już masz zaczerwienione.

Zanim doszli do domu dziewczyny, oko było spuchnięte.

– Przepłucz je wodą, koniecznie – powiedział Igor. – Zresztą, wchodzę z tobą.

– Strasznie jestem zmęczona – powiedziała Kamila, gdy wyszła z łazienki. Kichnęła kilka razy, kichnięcia przeplatając ziewaniem.

– Jak oko? – zapytał Igor.

– Lepiej już – znów ziewnęła. I kichnęła.

Ucałował ją, położył do łóżka, a potem wyszedł, zatraskując drzwi.

Przez całe wakacje nie rozmyślał o szkole i studiach. Tęsknił za Kamila, jej pocałunkami i ciepłym ciałem, które wyobrażał sobie coraz dokładniej. Nie miał jednak czasu na rozmyślenia, tym bardziej na wizytę w niedalekim przecież Żurominie. Gospodarstwo zastał trochę zapuszczone. Ojciec był zmęczony, podział rodzinnego majątku pomiędzy dwóch starszych braci zaowocował kłótniami. Żaden nie czuł się panem u siebie, każdy patrzył tylko na swój interes, a oliwy do ognia dolewały jeszcze dwie charakterne małżonki.

Igor się nie zastanawiał, nie wnikał w spory – pracował. Matka i ojciec nie mogli się nachwalić syna – gdy Igor po wakacjach wrócił do szkoły, obejście było zadbane, zbiory poupychane w stodole i spiżarniach. Wszystko, co należało, Igor zrobił niemal sam. Bardzo zmężniał, jego ramiona stały się szerokie i mocne, wyrósł prawie do metra dziewięćdziesięciu. Tylko włosy pozostały sterczące, w tym wciąż przypominał matce tego małego chłopczyka, któremu układała włosy na żel „extra soft”.

Bracia byli zaniepokojeni. Uznali Igora za wspólnego wroga, który przez całe lato pokazywał, że to on zasłużył na gospodarkę. Zaraz na początku września poszli do ojca, przedstawili sprawę. Ojciec myślał dwa tygodnie, dyskutował z matką, aż w końcu poszli do rejenta i tam podpisali tak, prawie tak, jak bracia sobie życzyli. Bracia chcieli na dwie, ojciec podzielił na trzy części. Każdy z nich był na swoim, gospodarka kwitła, bo dalej patrzyli sobie na ręce, ale teraz konkurując, który ma lepsze zbiory i większe tuczniaki. Nawet żony weszły w tę konkurencję, ścigając się na bardziej zadbane ogród, więcej pelargonii w oknach i bardziej wyrosnięte niedzielne drożdżówki.

Zanim jednak udali się do notariusza, ojciec wziął Igora na rozmowę. Matka usiadła z boku i słuchała, czy ojciec powie dokładnie to, co ustalili.

– Synu – zaczął uroczyście – ty nam zawodu nie zrób. Szkołę musisz skończyć.

– Tak, tato – odpowiedział spokojnie Igor.

– I potem musisz dalej w szkoły pójść.

– Tak.

– Ksiądz tak kazał – dodała matka, a ojciec zgromił ją wzrokiem. Nie tak się umówili. Mówić miał on, głowa rodziny.

– Ale nie możesz takiego fiu-bździu robić, zawód musisz mieć konkretny, rzetelny. My będziemy płacić, wykształcisz się, w świecie zostaniesz. Tutaj miejsce dla twoich braci i Janinki.

– Tak, ojcze – zgodził się Igor. Nie czuł się spięty na tej rozmowie, spodziewał się jej i miał już temat przemyślany. – Rozmawiałem długo z panią dyrektorką w szkole. Poza zdjęciami robię też wiele rysunków, jestem dobry z matematyki, lubię rachować. Pójdę na architekturę.

Ojciec aż pokraśniał, matka mlasnęła niechętnie. Ojciec spojrzał na nią, pokręcił głową. Tyle razy jej mówił, że mlaskanie jest wieśniackie i nie wypada! Ale tu o syna chodziło, mlaskanie było mniej ważne.

– To dobry wybór jest – powiedział filozoficznie, po czym uściskał syna i rozmowę uznał za zakończoną.

Z okazji zakończonych żniw i przed powrotem Igora do szkoły wydali przyjęcie. Matka zarządziła mycie okien, których było bez liku, chociaż każde malutkie. Bratowe popiekły ciasta, matka zabiła dwa kuraki, a z zamrażarek wyciągnęła spory kawał cielaka bitego przed wakacjami. I boczek był prawdziwy, tłusty, i kaszanka. I pieczone, i smażone, i gotowane. Samych ziemniaków były dwa garnki, bo ludzi zrobiło się dużo. Ojciec z matką, bracia, bratowe, siostra z chłopakiem, ciotka z wujem, ich dwaj synowie, synowe, dwie córki i jeden zięć. I do tego dzieciarni bez liku. A co najważniejsze – zechciał zaszczycić przyjęcie swoją obecnością ksiądz, wprawdzie tylko na

początku, nie chciał patrzeć na opróżniane butelki, gdy jemu pić nie wypadało. Jednak wyszedł z domu Masków z trudnym do udźwignięcia gościńcem.

Igor wyciągnął aparat.

– Jest okazja – powiedział – wszystkich uwiecznić.

– Uważaj! – krzyknęła matka. – Wuj dał za ten aparat prawie tysiąc!

– Używany kupiłem, nie przesadzaj – powiedział wuj Miecio. – Nowy kosztował półtora, i tylko po znajomości. Zdjęcia nam chłopak przywiózł, nie lamentuj – dodał zadowolony, że wreszcie siostrzeniec oficjalnie zwolnił go z uciążliwego obowiązku dbania o cenny sprzęt i co ważniejsze jeszcze – obsługiwanie go. Był już za stary na takie wygłupy. Chciał spokojnie usiąść przy zastawionym stole, najeść się, napić, a potem zasnąć – na stole, pod nim lub we własnym łóżku, w zależności od momentu, w którym ciotka zreflektowała się, że to już. Moment następował coraz szybciej i ciotce zdarzało się spóźnić z interwencją.

Igor faktycznie pokazał rodzinie odbitki na samym początku wakacji. Teraz wyciągnął je znów, ksiądz był ciekaw zdjęć. Oglądał je w milczeniu, po kilka razy wracając do czarno-białych fotografii.

– Czy ja mógłbym zatrzymać je na jakiś czas? – zapytał, a przy stole zapadła cisza.

– Oczywiście – odparł zaskoczony Igor, bo inna odpowiedź nie wchodziła w grę. Księdzu się nie odmawiało.

– Może się uda w kruchcie wystawę zrobić – powiedział ksiądz po długiej ciszy, chowając zdjęcia do dużej koperty o powycieranych już brzegach.

– Zdjęcia Igora? W kościele? – upewniała się wzruszona matka.

– W wejściu do kościoła – poprawił ksiądz. – Masz dar,

chłopcze – dodał jeszcze po zastanowieniu.

– Tak, proszę księdza – odparł Igor z poczuciem, że posuwa się tylko do częściowego kłamstwa. Nie zamierzał robić zdjęć, tylko projektować budynki, ale przecież zawsze mógł je potem fotografować.

Matka zawinęła Igorowi jeszcze więcej ciasta niż zwykle.

– Masz, chłopaku, jedz – mówiła do siebie cicho. – Wygłodzony do domu wróciłeś, odkarmiłam cię trochę w lato, żebyś mi na zmarnowanie tam nie poszedł.

Po powrocie z wakacji Igor okazał się najwyższy i najprzystojniejszy w klasie. Koledzy wciąż byli chłopcami, Igor stał się prawie mężczyzną – wysoki, barczysty, umięśniony. Poważnie patrzący czarnymi oczami. Dziewczyny oglądały się za nim i w klasie, i na ulicy, on jednak wpatrzony był w Kamilę, której nie widział przez całe wakacje. Spotkali się dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego, Kamila weszła do internatu, w środku dnia, a Igor cicho przekręcił klucz w drzwiach. Jego lokatorzy jeszcze nie przyjechali, zresztą jeden z nich miał się zmienić. Nie zdał do następnej klasy i rodzice zabrali go ze szkoły.

Kamila i Igor wpili się sobie w usta, jakby miało to zapewnić im dopływ powietrza. Patrzyli na siebie rozognieni, chociaż – zdumieni siłą własnych uczuć – nie posunęli się dalej. Wyszli potem na spacer, trzymając się za ręce. Kamila w parze z Igorem wyglądała niezdarnie. Wciąż była pulchna, może nawet jeszcze przytyła, i trzydzieści centymetrów niższa od Igora. On spoglądał na nią w dół, ona zadzierała głowę, i nie widzieli poza sobą świata.

Igor potraktował architekturę poważnie. Matematyk po raz pierwszy wystawił go do wojewódzkiej olimpiady, w której chłopak zdobył trzecie miejsce. Fizyk nie mógł się nachwalić jedyne go ucznia, którego naprawdę interesował przedmiot. Plastyk trochę cierpiał, bo Igor zamiast tworzyć barwne

kompozycje i zgłębiać techniki malarskie, poświęcił się wyłącznie perspektywie i rysunkowi technicznemu. Pozostali nauczyciele nie zauważali Igora – nic się pod tym względem nie zmieniło.

Kamila nadażała za Igorem nie bez trudu – dawała radę jako jedyna w klasie. Nie tylko razem odrabiali lekcje, przygotowywali się także do matury, i to już od września. Uznali, że egzamin nie może przynieść żadnych niespodzianek.

I nie przyniósł. Zdali maturę obydwójce, ale na egzaminy wstępne pojechał wyłącznie Igor. Bo jednak niespodzianki były.

– Powinieneś mnie przedstawić rodzicom – powiedziała pewnego dnia Kamila.

Chłopak kiwnął głową. Nie widział przeciwwskazań. Było tuż po Wszystkich Świętych.

– Na Boże Narodzenie może przyjedziesz?

– Tata przyjeżdża, trochę niefajnie rodziców zostawiać. Może w styczniu?

Ostatecznie wybrali się do gospodarstwa Masków na początku lutego, w ferie zimowe.

Matka Igora patrzyła na dziewczynę przychylnie, ale niepokoiła się o syna.

– On ręk przy niej nie umie utrzymać, coś oni za bardzo ku sobie – mówiła do ojca, a ten tylko wzruszał ramionami, bo nie widział nic niestosownego w zachowaniu syna. Zwracał się do dziewczyny grzecznie, ramię podawał, krzesło odsuwał. Dżentelmen – mówił ojciec do siebie i nie skupiał się na temacie. Była zima, krótkie dni, warto było dobrze zjeść, wypić od czasu do czasu kieliszeczek i wyspać się, żeby latem na spanie nie marnować czasu.

Natalia Masek, z domu Ingvar, była twardego chowu. Jej rodzina pochodziła ze Szwecji, gdzie w twardych warunkach od wieków gospodarzyła na nieprzychylnym wybrzeżu. Aż w końcu

ktoś wyjechał, potem wyjechał drugi ktoś, i tak rodzina znalazła się w Polsce. Natalia nie знаła tej historii w szczególach. Babkę pamiętała dokładnie. Johanna opowiadała o zimnych wiatrach i reumatyzmie, który jej dzieciństwo zakłócał czasami falami niepowstrzymanego bólu. Opowiadała o bezkresnych plażach i niewielkim polu, z którego trudno było wyżywić rodzinę. Mówiła o morzu i tęsknocie za przestrzenią, ale też nigdy nie próbowała nawet na chwilę do Szwecji wrócić. Była twarda, wysoka, zawsze uczesana w nienaganny blond kok. Uśmiechała się rzadko, ale miała serce złote jak jej włosy.

– Tam jest za zimno – ucinała.

Imię Natalia dostała wbrew babce i całej szwedzkiej rodzinie ojca. Matka była marzycielką, a to imię miało zapewnić jej córce spokojne, romantyczne życie. Niezupełnie się udało. Natalia zakochała się w Dominiku, który był jedynym synem bogatego wiejskiego gospodarza. Opowieści babki zaszczerpiły w niej tęsknotę za przestrzenią, utożsamianą z wolnością, i tak znalazła się na wsi, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co ją czeka. A czekało twarde życie, znojne i pracowite, chociaż szczęśliwe – bo naprawdę z Dominikiem się kochali, chociaż nie lubiła jego łaskawości dla kieliszka, która przejawiała się nie za często, za to efektownie.

Zanim Natalia się obejrzała, już drugi syn był na świecie. Kolejne dziecko zmarło następnego dnia po porodzie, a następną ciążę zносиła bardzo źle. Zateęskniła wtedy za twardością babki, która kilka miesięcy wcześniej zmarła spokojnie we śnie. Dlatego trzecie dziecko Masków, dziewczynka, dostała jako imię polską wersję Johanny. Janina z urody była wierną kopią babki – wysoka, piękna, z arystokratycznym niemal kształtem głowy, która perfekcyjnie wyglądała w każdej fryzurze, z charakteru jednak była babki przeciwieństwem. Była mistrzynią bajdurzenia, tworzenia złudzeń i iluzji. Nie zamierzała się przepracowywać i zawsze udawało jej się zrzucić robotę na kogoś innego. Jednym

słowem, w wiejskim domu, gdzie gumiaci były używane częściej niż czółenka, Janinka była królową. I tak jej zostało.

Janina miała ogromny dylemat – wybierała sobie kandydatów na męża już od jedenastego roku życia, nie zajmując się właściwie niczym więcej. Główne kryteria jej oceny zawierały się w kategoriach: kolor oczu, ładna grzywka, potem doszły umiejętność nogi i kilka podobnych wymogów.

Dlatego Janina nie mogła zrozumieć jak Igor, jej przystojny młodszy brat – bo Igor stał się tak atrakcyjny, że nawet ona, siostra, zdołała to dostrzec – mógł zwrócić uwagę na taką pokrakę, za jaką uznała Kamilę. Niską, tustą i zaniedbaną, przy czym kryterium niedbalstwo w oczach Janinki to był brak pomalowanych paznokci i za długie spódnice.

Jednym słowem – dziewczyny się nie polubiły. Kamila, dobrze wychowana, nie dała po sobie nic poznać, ale odczuła jawną niechęć Janinki. Siostra Igora nieustająco jej dokuczała, drobne, kłujące złościwości na początku śmieszyły Kamilę, potem zaś ją znudziły, co doprowadzało Janinę do furii. Czuli się zlekceważona – ona, uważająca się za królową świata. Co gorsza, Igor nie liczył się ze zdaniem siostry, która niejednokrotnie podczas ich wizyty w domu Masków pokazywała mu zdjęcia odpowiednich, jej zdaniem, dziewczyn.

Igor był wpatrzony w Kamilę i już.

– Coś oni za bardzo ku sobie – powtarzała Natalia po wyjeździe młodych, a Dominik tylko wzruszał ramionami.

Dominik, wiejski chłopak, też dostał imię wbrew ojcu i dziadkom. Jego matka wymarzyła sobie, że będzie księdzem, a to imię – jej zdaniem – było odpowiednie dla duchownego. Matka Dominika wychowała się w twardej powojennej rzeczywistości i tylko Bóg uchronił ją przed samobójstwem. W sensie dosłownym. Gdy zmaltretowana postanowiła pójść nad rzekę, utopić się we wzburzonych jesiennych falach, gwałtownie spadł deszcz. Odruchowo schroniła się w pobliskim

kościół, gdzie zamierzała jedynie przeczekać ulewę. Z klęczek właśnie podnosił się czarnowłosy chłopak, pomagał starszej kobiecie wstać, wspierał ją w przejściu kilkunastu kroków do wyjścia. Chłopak zerkał na dziewczynę zakrytą kolorową chustą, z grubym warkoczem przerzuconym przez ramię. Okropnie jest smutna – pomyślał. Ściana deszczu zatrzymała wszystkich w kruchcie.

– Szczęść Boże – odezwała się starsza kobieta. Właściwie była zupełnie stara, a może tylko wojna tak ją zniszczyła. Przyszłej matce Dominika wydawało się, że jest starsza niż ktokolwiek jej znany.

– Szczęść Boże – odpowiedziała dziewczyna i były to pierwsze słowa skierowane przez nią do przyszłego męża i teściowej. Nie było to szczęśliwe małżeństwo. Naczelne miejsce zajmowały w nim alkohol i głód, chociaż oboje było bogate, a dom z zewnątrz wyglądał na zasobny. Jednak płynne pożywienie pana domu zabierało pieniądze na chleb i okrasę, na nowe buty, a nawet i szkolne zeszyty. Dlatego Dominik dostał imię, które oznacza „należący do Boga”, które zresztą przysparzało mu wiele kłopotów w szkole i wśród wiejskiej dzieciarni.

Zimą Igor nie był potrzebny w gospodarstwie, więc chociaż wciąż trwały zimowe ferie, wrócił z Kamilą do Żuromina. Uczyli się do matury.

Dwa miesiące później Natalia chodziła wokół stołu w ich dużej kuchni i lamentowała.

– A mówiłam! Ostrzegałam! To ty nic. Nic nie zrobiłeś! Ani nie poparłeś, nic nie powiedziałeś. Jak trusia, no nic, nic!

– A co ja mogłem – odpowiadał Dominik, który zmartwił się także, ale jednak mniej.

– I jak teraz? Matura i co? Na studia miał iść!

– I pójdzie, a coś ty myślała! – uniósł się Dominik.

– No jak pójdzie?

– Już ja tam pojedę i się rozmówię! – powiedział Dominik, po czym wsiadł w ponaddwudziestoletnią syrenkę i pojechał do rodziców Kamili.

– Bez uprzedzenia tak pojedziesz? – powiedziała do siebie Natalia, gdy Dominik wyjechał już za bramę. Była z niego dumna, że tak po prostu powziął decyzję i wprowadzał ją w życie. Jej mąż!

Dominik dojechał do internatu, Igora nie było. Podano mu adres Kamili, ich prowadzenie się już nie było tajemnicą. Podjechał samochodem te kilka domów dalej, bo padał deszcz ze śniegiem, a nie chciał pojawić się w drzwiach zachlapanym błotem jak obdartus. Drzwi otworzyła Kamila, jej matki nie było.

– Tata. – Igor ze zdumienia wypuścił trzymaną w rękach książkę.

– Z rodzicami narzeczonej chcę się rozmówić – powiedział Dominik po powitaniu.

– Mama będzie za dwie godziny, a tata za dwa miesiące – odparła dziewczyna.

– Poczekam.

Przyjęli go jak umieli, herbatą i ciastem, nawet obiad Kamila zaproponowała, coś odgrzała. Gdy wróciła mama Kamili, ustalenia były krótkie.

Poród planowany w listopadzie, w lipcu ślub. Do matury podchodzą oboje, na studia zdaje tylko Igor. Pozostała kwestia mieszkania dla młodych, matka Kamili nie chciała się zgodzić, aby dziewczyna w zaawansowanej ciąży, a potem z małym dzieckiem, tułała się po stancjach.

– Będą musieli wytrzymać rozłąkę – powiedziała. – Dziecko podrośnie, usamodzielnia się, będą mieszkali razem.

Szczegóły ślubu dograne zostały poza udziałem młodych. Wesele na wsi, u rodziców Igora, bo tam lepsze warunki. Sala

biesiadna na trzysta osób, pokoje na nocleg, ksiądz przychylny i znane, sprawdzone kucharki.

– Przyjęcie będzie na sto dwa – skwitował Dominik.

Tylko suknia musi być obstalowana przez rodziców Kamili, w to już się rodzice Igora angażować nie chcieli.

– Nie wypada zresztą – mówiła Natalia.

– To może my ich obydwójce ubierzemy – zaproponowała mama Kamili, widząc nieugięty upór Natalii w kwestii organizacji wesela.

Przyszli teściowie dogadali się bez problemu, młodym było to obojętne. Byli zajęci – nauka do matury była tylko pretekstem, dawno już byli do tego egzaminu przygotowani. Interesowali się wyłącznie sobą, zachłannie, z młodzieńczą żarliwością. Jedyne, co odrywało Igora od Kamili, to były lekcje rysunku – kurs przygotowawczy na studia, za który zapłacił ze swojego szkolnego stypendium, a resztę – w tajemnicy przed chłopakiem – pokrył nauczyciel plastyki.

Podczas matury ciąża Kamili nie rzucała się w oczy – dziewczyna zawsze była okrągła i nie wzbudzała emocji lekko wystającym brzuchem, chociaż dyrektorka wiedziała o ciąży. Nie zamierzała jednak dawać dziewczynie żadnej taryfy ulgowej, nie było zresztą powodu. Kamila zdała wszystkie egzaminy maturalne na piątki, Igor tak samo.

Egzaminy na studia były wprawdzie emocjonujące, ale i z nimi Igor poradził sobie śpiewająco. Wrócił z indeksem, który wylądował szybko na kredensie, bo młodzi byli zajęci czym innym i nie przeszkadzał im nawet brzuch Kamili, który w czerwcu zaczął już wyraźnie wystawać.

Ze ślubną suknią nie było łatwo – musiała być na gumce, ze względu na szybko zmieniające się wymiary panny młodej. Suknia miała karczek z tiulu i rozkloszowany dół, do tego bufiaste rękawy – Kamila wyglądała w niej jak beza. Było to

jednak ciastko ze wszech miar szczęśliwe. Pan młody w granatowym garniturze z czerwonym wąskim krawatem nie widział nic poza postacią w zwoju białej tkaniny.

Ślub przebiegał tradycyjnie – był świetnie przygotowany. Młodzi po błogosławieństwo pojechali najpierw do rodziców panny młodej, potem do domu Masków. Ksiądz wychwalał młodych, przelewając na Kamilę swój zachwyt Igorem, wspominał nawet o wystawie zdjęć, które w końcu wywiesił przy głównych drzwiach do kościoła. Mówił o młodości i odpowiedzialności, o której miały zaświadczać maturalne piątki i zdany egzamin na żaka. A potem było *Ave Maria* na skrzypcach, ryż i monety, kwiaty, kwiaty, kwiaty, koperty i wiadra kwiatów. Igor przeniósł Kamilę przez próg, choć jęknął ledwo słyszalnie, były chleb i sól, przemówienia, toasty i gorzka wódka. Wszystko. Prawie.

Tuż przed dwudziestą drugą Kamila przytuliła się do Igora i pociągnęła za rękaw rozpiętej już koszuli. Z tyłu, koło kuchni, mieli dla siebie niewielki pokoik, w którym mogli się przebrać i chwilę odpocząć. Tam złożyli wszystkie prezenty i przenieśli wiadra z kwiatami. Noc była parna, bardzo gorąca, tutaj z tyłu było chociaż trochę chłodniej.

– Jestem zmęczona, położę się na moment – powiedziała do świeżo poślubionego męża. – Pomóż tylko odpiąć kieckę.

Igor pomógł jej zdjąć suknię, przykrył żonę kocem, chociaż protestowała.

– Tak gorąco, zostaw – mówiła zaspanym głosem.

– To potem z siebie zrzucisz – odpowiedział już śpiącej dziewczynie.

Wyszedł do gości.

– A gdzie twoja dziewczyna? – zapytał któryś z gości.

– Żona, nie dziewczyna! – powiedział z dumą.

– To napij się z nami! – Ktoś pociągnął Igora w stronę stołu,

ktoś inny polał, wypili, śmiali się. Czas mijał.

– Gdzie jest Kamila? Czas oczepin – podeszła do Igora matka.

Uniósł brwi.

– Prawie północ.

– Już po nią idę.

Jeszcze kilku gości zatrzymywało Igora, jeszcze były śmiechy, jeszcze pół kieliszka i drugie pół. Igor wszedł do pokoju za kuchnią kilka minut po dwunastej.

Kamila spała.

Jaka ona piękna – pomyślał, bo przecież uroda jest względna, a miłość nie dyskutuje z gustami. Usiadł na skraju rozłożonej wersalki, tuż obok żony.

– Kamila – szepnął. Dziewczyna się nie poruszyła.

Ależ tu zaduch – pomyślał Igor i odruchowo zerknął w stronę otwartych na oścież okien. Środek nocy, a nie ma czym oddychać. Może przez te kwiaty.

– Kamila – powtórzył głośniej.

Po czwartym razie szarpnął ją za ramię, chwilę później zdał sobie sprawę, że Kamila nie oddycha.

Zamarł, a potem było wszystko szybko, bardzo szybko. Przyszła niezadowolona matka – późno już, na co czekacie – narzekała od progu. Igor siedział i wpatrywał się w martwą żonę.

– Podnieś Kamilę i idziemy – powiedziała Natalia.

Igor tylko pokręcił głową.

Natalia krzyknęła już po kilku sekundach, zbiegli się goście, kapela jeszcze grała przez kwadrans, aż Dominik kazał im przestać. Przyjechała karetka, nie zabrali Kamili.

– My tylko żywych – powiedział sanitariusz. – Gdyby było wcześniej, to jeszcze moglibyśmy dziecko ratować. A teraz to już

nie ma co.

– Tyle dobra się zmarnuje – powiedziały do siebie kucharki i zaczęły pakować wielkie torby jedzenia.

Goście się nie rozchodzili, z dezaprobatą krzywiąc usta – takie głupie żarty, kto to widział, tak na weselu żartować. Tu się trzeba weselić, a nie takie głupoty... – komentowali.

Przez wiele tygodni z niedowierzaniem kręcili głowami, że takie coś, to oni nie słyszeli. Tej nocy wrócili do swoich domów lub pokoi, niektórzy w stanie pozwalającym zrozumieć wydarzenia dopiero za trzy dni.

– A poprawiny gdzie? – zapytał mąż ciotki Kamili następnego dnia około dziesiątej. Suszyło go i mrówki tupały w głowie, musiał się napić.

Żona mu nic nie wytłumaczyła, tylko trzasnęła drzwiami. Siostra matki Kamili nie była szczęśliwa w swoim małżeństwie. Wyszła za mąż, bo musiała, jak Kamila. Brzuch to ślub, nie dyskutowała z tym. Tylko jej brzuch miał już dwadzieścia dwa lata, a ona czuła, że życie przelewa jej się przez ręce. Miała czterdzieści dwa lata i postanowiła, że resztę swojego czasu przeżyje na własnych zasadach. Śmierć Kamili i zachowanie małżonka zamknęły etap rozmyślań; przeszła do czynów. Nikt z rodziny nie chciał jej zrozumieć.

– Po tylu latach! – komentowali krewni.

– Odbiło babie – mówiły koleżanki z pracy.

– No chyba se chłopca znalazła! – pomstowała teściowa. A ona nic – po prostu powiedziała dość, złożyła pozew i wyprowadziła się z domu. Do siostry, matki Kamili, która uśmiechała się jak automat do wszystkich i cały czas. Nie była w stanie rozmawiać o niczym poza najbardziej przyziemnymi rzeczami. Pracowała normalnie, a może i lepiej niż zwykle. Na pytanie: jak się czujesz? odpowiadała z uśmiechem: znakomicie! Ten stan trwał pół roku. Po tym czasie jej siostra dostała rozwód, a matka

Kamili, po wyprowadzce siostry, podjęła samobójczą próbę. Połknęła garść proszków, popijając je koniakiem, który mąż przywiózł z ostatniego kontraktu. Proszki zbierała od śmierci Kamili, z przepisu lekarza. Połknęła tylko jeden, po którym zasnęła wprawdzie, ale obudziła się niewyspana, z piekącymi oczami i przez cały dzień miała wrażenie, że głowa samowolnie opada jej na piersi. Więc proszków nie brała, chociaż lekarz cały czas je przepisywał. Po prostu pewnego dnia połknęła wszystkie, było ich trzy garście. Nie była szczęśliwa, gdy gwałtowne torsje wypchnęły z jej żołądka wszystkie nieprzetrawione tabletki.

Kamila była uczulona na zapach lilii. Nigdy ich nie lubiła, odruchowo omijała kwaciarnie, w których lilii było dużo. Zmęczona zasnęła, wiszący gęsty upał potęgował zapach, ciąża osłabiła jej organizm. Umarła we śnie, szczęśliwa. Tak sobie tłumaczył Igor, który przez całe wakacje nie ruszył się z gospodarstwa. Pomagał we wszystkim, jak maszyna wszędzie i zawsze obecny. Imał się najtrudniejszych prac i pracował jeszcze długo po tym, jak inni poszli do domu. Matka kilkakrotnie wołała go na kolację, a obiad przynosiła w pole albo do obory, tam, gdzie akurat tego dnia Igor był. Nie odmawiał nikomu i na nic nie narzekał. Tylko na głowie pewnego ranka pojawiła się biała plama. Wśród kruczej czerni sztywnych, sterczących jak zawsze włosów niemal świeciła kontrastująca śnieżna biel. Igor nie posiwał, po prostu miał na głowie plamę.

– Jak znamię – mówili ludzie we wsi.

– Dobrze, że po prawej. Lewa strona gorsza – odpowiadali inni, nie wiedzieć dlaczego.

Na czole zaś pojawiła mu się bruzda, która nadała twarzy marsowy wyraz i pewnie to ona spowodowała, że Igor wydawał się nad wiek poważny.

Kilkakrotnie chodził do kościoła. Ksiądz zapraszał go przyjaznym gestem, zachęcał do rozmowy z Panem Bogiem lub

choćby z nim samym, księdzem. Igor posłusznie klękał i zawsze wyglądał na pogrążonego w modlitwie, potem też zagadał zawsze uprzejmie z księdzem, nigdy się nie skrzywił. Ale do spowiedzi nie poszedł, do komunii też przez lato nie poszedł ani razu.

Raz tylko, pod koniec września, przed samym wyjazdem na uczelnię – zapytał księdza, czy zna jakieś wytłumaczenie? Za co to?

– Synu, niezbadane są wyroki boskie. Bóg ma zawsze cel i prowadzi nas ku zbawieniu.

– Tak – odrzekł chłopak i schylił głowę. – Dziękuję księdzu – odparł i odszedł.

Matka płakała, gdy Igor wyjeżdżał. Ojciec uściskał syna i szybko wszedł do domu. Tym razem Igor nie jechał z ojcem zdezelowaną syrenką, brat miał zawieźć go na krzyżówkę, z której autobus odjeżdżał prosto do miasta. Stamtąd pociąg i nowe życie. Dokładnie tak Igor myślał – nowe życie.

Pożegnanie było krótkie, obie bratowe wyniosły zapakowaną walówkę, a wuj Mietek podszedł do chłopka i upewnił się:

– Aparat wzięłeś?

Igor kiwnął.

– To dobrze. Jedź i zrób zdjęcia, to drogi aparat był, niech się zwróci – powiedział wuj.

Matka przeżegnała czoło syna i długo patrzyła za odjeżdżającym samochodem, a potem jeszcze dłużej siedziała zamknięta w sypialni, skąd dochodziły odgłosy ciągłego chlupania, aż Dominik poszedł do synowej na obiad, bo w ich rodzicielskiej kuchni panowały cisza i bezruch.

Matki wiedzą takie rzeczy. Igor nigdy więcej nie miał już być jej małym, ukochanym synem.

Rozdział 2

ONA

Kobieta przeszła z niewielkiego gabinetu zastawionego regałami. Stały na nich książki w różnych językach, najczęściej po hiszpańsku, trochę po angielsku, ale zdarzały się także egzotyczne języki. Dużą przestrzeń zajmowały nuty. Grzbiety wydawnictw stanowiły niemal jedyny kolorowy akcent, chociaż wiele z nich obłożonych było białym papierem. Poza tym pokój tonał w bieli, wszystkie regały dawało się zasłonić białymi przesuwными panelami. Jeden z paneli był ogromnymi przesuwными drzwiami, otwartymi w tej chwili na przestrzał. Jeden tylko przedmiot był czarny. Kobieta była bosa.

– Manu, gdzie jesteś? – odezwała się w głąb domu.

– Zaraz! – odkrzyknął męski głos. Objawił się wkrótce, w samych slipach, umięśniony jak model z katalogu mody.

Mógłby na plaży laski rwać, gdzie ja tam do niego. Toż to istny bożek seksu – pomyślała, jak niemal za każdym razem, gdy go widziała. A widziała codziennie. Jednak on był przy niej, przy

żadnej innej. Oboje czarnowłosi, niewysocy i piękni. Przytulił ją, a ona wciąż miała wrażenie, niezmiennie od lat, że to tylko tani romans, brazylijska telenowela. Niech się nie kończy – myślała.

– Isa, idziesz dziś na trening? – zapytał mężczyzna, ona tylko kiwnęła.

– Wszystko przygotowane – odpowiedziała. – Pokój dla Oleny jest, jedzenie przyszykowane. Nawet taras wysprzątałam.

– Czyli jedziemy razem?

W odpowiedzi tylko wskazała gotową już torbę. Co tydzień jeździli na oddaloną o kilka kilometrów siłownię. Każde miało osobistego trenera, ich sylwetki nie przypadkiem były wysmukłe i muskularne. Odżywianie zgodne z zaleceniami dietetyków, po treningu napój izotoniczny... To się zmieniało, gdy Isabel wyjeżdżała w trasę. Manu zostawiał wtedy wszystko. Starał się jej towarzyszyć. Nie był jej impresariem, był kimś znacznie więcej. Impresario odpowiadał wyłącznie za kontakt z wielkimi salami koncertowymi, z największymi wytwórniami.

To Manu wszystko dogrywał. Terminy, miejsca. Bilety lotnicze, hotele. Honoraria, zachcianki, których Isa nie miała, a Manu je tworzył na potrzeby wizerunku.

– Tylko ta Australia tak cholernie daleko – mruzczał czasami.

– Do Stanów dolecimy zewsząd – odpowiadała wtedy. – Tam są najlepsze koncerty.

– A Europa?

– Europa to dla mnie Hiszpania. Reszta może nie istnieć.

– Robisz błąd – odpowiadał za każdym razem. – Stara Europa jest wykształcona i wyrafinowana. I potrzebuje takiej muzyki, jaką ty w sobie masz.

– Z Australii wszędzie za daleko – przekomarzał się i teraz, ale ona nie podjęła tematu. Nie lubiła o tym dyskutować.

– Tu stworzyłam dom, tu będę mieszkać. Nigdzie się stąd nie

wyniosę – odpowiedziała i tym razem, chwytając torbę i kluczyki. Wsunęła jeszcze stopy w przewiewne buty. – Czekam w samochodzie.

Manu zwlekał chwilę, zamykając taras i opuszczając rolety. Uwielbiali słońce, jednak niewietrzone wnętrze po kilku godzinach nasłonecznienia było nie do zniesienia, a klimatyzacji nie lubili, chociaż mieli. Jak wszyscy tutaj. Isa siedziała w samochodzie przy uchylonych drzwiach. Patrzyła na dom i rozciągający się wokół teren. Piaszczysty, gdzieniegdzie porośnięty kępami trawy. Wyglądał nieurodzajnie, niemal martwo, jednak pokochała to miejsce od pierwszego spojrzenia. Jak żadne inne na świecie.

Dom z płaskim dachem wyglądał na niewielki, w rzeczywistości spełniłby potrzeby sporej rodziny. W zewnętrzną ścianę, tę od strony oceanu, miał wmurowane ceramiczne płytki. Przypominały Isabel hiszpańskie azulejos, nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego tu się znalazły. Najważniejszy w domu był taras. Tam przebywali przez większość czasu, z wyjątkiem oczywiście tych godzin, które Isabel spędzała przy fortepianie. Była pianistką, koncertującą po całym świecie, Isabel Montaña, to nazwisko elektryzowało w świecie muzyki. Wydawała trzy płyty rocznie, rzadko sama, raczej z jakimś innym solistą, najczęściej wiolonczelistką. Dawała kilkadziesiąt koncertów rocznie i dostawała za nie gaże umożliwiające dostatnie życie. Zawsze była uśmiechnięta i zadowolona. Lubiana. Ona nie lubiła tylko Europy. Rodzinna Hiszpania, tak, kochała ten kraj. Tak utrzymywała. Inne kraje Europy omijała szerokim łukiem. Po prostu tam nie jeździła i już. I nie lubiła zdjęć. Na okładkach jej płyt widniał cały życiorys, wszystko. Nawet data urodzenia. Ale nigdy nie było zdjęcia. Nie lubiła też filmowanych koncertów ani telewizyjnych wywiadów.

– Słuchaj, ile można jeździć po Stanach i po Azji. Chińczycy są bogaci, Japończycy cię uwielbiają, ale tam dopiero miałabyś

wzięcie! – powtarzał jej nieustannie Manu, tak samo jak jej menadżer.

Prychała tylko wtedy, niezadowolona jak kotka nad miską pełną kwaśnego mleka. A Manu za każdym razem miał wrażenie, że ta krótkowłosa czarnulka wystawi pazury i go podrapie. Też jak kotka.

Z treningu wracali mocno zmęczeni. Jak zawsze. Isabel jednak konsekwentnie pilnowała terminów treningów.

– Całymi godzinami siedzę, i to już od wczesnego dzieciństwa. Mój kręgosłup tego nie wytrzyma, jeśli go nie wzmocnię. Zbieraj się! – Przeganiała lenia u Manu.

Do domu mieli zaledwie kwadrans drogi, zwykle przez ten czas milczeli. Gdy wyjeżdżali z miasteczka, niewielkiego Two Rocks w Zachodniej Australii, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Perth, zaraz za rogiem miasta wjeżdżali w niemal pusty teren, porośnięty tylko rzadkimi krzewami. Isabel nie lubiła tego krajobrazu, wolałaby gęsty las, najlepiej wilgotny i bujny. Manolo nie miał takich oczekiwań. W rodzinnej Hiszpanii nie tylko przywykł do suchego, gorącego klimatu, niemal takiego, jaki panował w Zachodniej Australii, ale nawet go zaakceptował. Isabel nigdy go nie polubiła. Sama jednak wybrała to miejsce. Dom, do którego zmierzali, był dokładnie spełnieniem jej pragnień. Miał blisko sto lat i swoją trzeszczącą historię. Posadowiony na samym brzegu oceanu. To była dla Isabel podstawowa sprawa – widok na wodę. W tej okolicy kiedyś solidnie się budowało – dom był z dwóch warstw cegieł, żaden wiatr nie był w stanie dokuczyć mieszkańcom. Nie było ogrzewania, jednak Isabel zażyczyła sobie kominek i Manolo zamontował jej ekstrawagancką, oczywiście białą, kozę pod jedną ze ścian. Pomimo kłopotu, jaki pojawił się z poprowadzeniem niezbędnej instalacji oddymiającej, obydwój szybko uznali, że był to znakomity pomysł. Niespodziewanie okazało się, że właśnie w pobliżu tej kozy toczyło się życie mieszkańców. Obok stał stół, z drugiej strony dobudowali

kawałek kuchennego blatu. Całość była biała, ale ciepła i przytulna. Część ścian pozostała ceglana, spod zdjętych popękanych tynków wyłoniła się blad różowa cegła. Pomieszczenie było równocześnie salonem, w którym wszystkie meble były białe. Duże okna wychodziły na ocean, otwierały się na taras, gdzie Manolo i Isabel często jadali, szczególnie śniadania. Przy wygodnym stole, na białych rattanowych meblach przykrytych miękkimi kocami, zawsze przytwierdzonymi do mebli. Inaczej, jak latawce, poszybowałyby z wiatrem. Była też rozkładana biała markiza i widok, do którego Isabel tęskniła za każdym razem, gdy wyjeżdżała z tego domu.

Właśnie na tarasowej ścianie, jakby patrzyły na morze, ktoś wkleił azulejos. Białe płytki miały na sobie niebieski motyw, który wciąż zdumiewał Isabel. Utrwalone na nich malowidło przedstawiało ogród, pośrodku była ścieżka, w długiej perspektywie widać się pomiędzy gęstymi roślinami, a w oddali spacerowała para ludzi. Postać po prawej stronie musiała być kobietą, trzymała w ręku parasolkę, szczegóły sukni się jednak zatarały. Druga osoba, mężczyzna, jak domyślała się Isabel, przytrzymała kobietę za rękę. Płytki musiały być bardzo stare, nikt nie potrafił powiedzieć, jak się tu znalazły. Pośrednik nieruchomości twierdził, że dom zbudowali przybysze z Europy. Tylko oni budowali tak solidnie.

– Pewnie Hiszpanie – zawyrokował, wskazując na ręcznie malowane płytki. Nic więcej o tej rodzinie powiedzieć jednak nie umiał. Dom przechodził z rąk do rąk, nie dziedziczony, a sprzedawany.

– Nikt tutaj nie miał dzieci – stwierdził, uciekając wzrokiem.

– To dobrze – odpowiedziała Isabel. – Bo ja dzieci mieć nie chcę.

Odetchnął z wyraźną ulgą.

– Podobno pierwszym mieszkańcom utopiło się dziecko. Matka

zwariowała, a ojciec rzucił klątwę na przyszłych mieszkańców, tak powiadają.

– Klątwę? – zainteresował się Manolo.

– Dotyczącą wyłącznie posiadania dzieci – zastrzegł od razu pośrednik. – To brzmiało jakoś tak: „Szczęśliwi tu będziecie, póki nie zjawią się dzieci. Wraz z małym stworzeniem, stracie wewnętrzne istnienie”.

Kupili ten dom, bo Isabel nie chciała mieć dzieci. „Moim dzieckiem jest muzyka” – mawiała. Czasami Manolo dopytywał się, czy przypadkiem nie zmieniła zdania.

– Gdyby istniał we mnie instynkt macierzyński, pewnie bym już go dostrzegła, prawda? – odpowiadała niezmiennie. Kupili więc dom, ku ogromnemu zadowoleniu pośrednika, bo nikt z miejscowych nie chciał nawet o tym miejscu słyszeć. Uważali je za nawiedzone. Na szczęście ani Isabel, ani Manolo o tym nie wiedzieli, więc nigdy im to nie przeszkadzało.

– Ciekawe, że tak dokładnie pamiętał tę klątwę – zauważyła tylko Isabel zaraz po przeprowadzce.

Manuelowi też nie dawało to spokoju.

– Sprawdźmy to? – zapytał wtedy, a Isa pokręciła głową.

– Do niczego nam ta wiedza niepotrzebna.

I nigdy już nie wrócili do tego tematu. Czasami tylko Isabel rozmyślała o ludziach, którzy sprowadzili tutaj te piękne kafle. Musiały przyplynieć z daleka, prawdopodobnie z Hiszpanii, nikt tutaj nie umiał wypalać takich kafelków, tak popularnych w Iberii. Płytki wyglądały na bardzo stare.

W salonie jedna ze ścian była przesuwana – za nią stał fortepian, niezbyt wielki, salonowy. Jedyne czarne przedmioty w jasnej przestrzeni, ograniczonej białymi panelami, kryjącymi dużą bibliotekę, głównie nutową. Dom nie miał piętra. Trzy sypialnie i dwie łazienki ulokowano po drugiej stronie otwartej powierzchni dziennej. Był jeszcze garaż przylegający do

północnej ściany domu.

Isabel lubiła cały ten dom, nawet ten sypiący się, staroświecki drewniany ganek, którego nie pozwoliła wymienić. Budynek przeszedł generalny remont – wymienili okna, odnowili ściany, ale ganek pozostał nieruszony, jedynie odmalowany. Miał ażurowe ścianki, wykończony półokrągło, Isabel wierzyła, że pierwszy właściciel domu zrobił je własnoręcznie. Nie była to prawda, ale ta wcale jej nie interesowała. Dla Isy ważne było wyobrażenie.

Na pierwszy rzut oka w domu nie było widać żadnych braków. Poza dziećmi, co było świadomą decyzją gospodarzy, wcale nie tak rzadką wśród młodego pokolenia Australijczyków. Najczęściej jednak podejmowali je mieszkańcy dużych miast, i to raczej tych na wschodzie kontynentu. Tutaj brak dzieci był rzadkością, ale Isabel i Manolo byli przybyszami z daleka, nikt więc nie zadawał im krępujących pytań.

W domu jednak brakowało także czegoś innego. Właściwie więcej niż jednego. Wewnątrz nie było ani jednej rośliny, choć w tym klimacie na tarasie mogło rosnąć i kwitnąć wszystko. Od oleandrów po bugenwille – jeśli tylko regularnie by je podlewać, można było uprawiać nawet cytryny. Tymczasem na niewielkim klombie koło ganku rosło kilka ziół, których Manolo używał w kuchni. Bazylia w trzech odmianach, tymianek, pietruszka. Wszystko okolone niewysokim, regularnie przez Manolo ciętym żywopłotem z rozmarynu. Poza tym nic – ani wewnątrz domu, ani na tarasie od strony oceanu.

I nie było zdjęć. W ogóle. Na żadnej ścianie, półce. W salonie, sypialni, w korytarzu. Owszem, Isabel bywała fotografowana. Nie lubiła tego, nie zgadzała się na żadne sesje. Owszem, nie mogła uniknąć zdjęć wykonywanych podczas koncertów, zawsze jednak wtedy kryła się za mocnym makijażem, a poza tym, jeśli tylko miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, przy autoryzacji wywiadu na przykład, obligatoryjnie życzyła sobie, aby jej wizerunek nie był publikowany.

– To nie ja jestem gwiazdą – mówiła, wskazując jednoznacznie na solistę, z którym grała.

Solistów było bez liku, każdy uwielbiał z nią grać, a ten gest, ta trwale powtarzana sentencja, utwierdzała tylko jej towarzyszy, że Isabel jest akompaniatorem idealnym.

Gdyby jednak zajrzeć do schowanych za przesuwaną ścianą półek, znaleziono by albumy ze zdjęciami. Isabel z Manolo w Hiszpanii. Potem oboje na tle World Trade Center – te zdjęcia lubiła bardzo, wywoływały w niej nostalgię i przypominały, że nic nie jest na zawsze; na tarasie ich domu; z przyjaciółmi; przy instrumencie. Żadne ze zdjęć jednak nie było zrobione przed rokiem dwutysięcznym. Nikogo to nie dziwiło, bo nikt tam nie zaglądał.

Dom stał na zupełnym uboczu. Z głównej drogi trzeba było zboczyć blisko kilometr, więc nie mieli tu właściwie żadnych sąsiadów. Czasami, gdy wiatr zrywał linię energetyczną, siedzieli przy świecach blisko tydzień – jedno gospodarstwo dla nikogo nie było priorytetem. Ale zupełnie im to nie przeszkadzało. Isabel była tu szczęśliwa, więc Manolo również. Opuszczali dom wyłącznie po to, by pojechać po zakupy lub na siłownię, czasami załatwiali jakieś sprawy w Two Rocks, a na dłużej udawali się wyłącznie w kierunku Perth, na lotnisko.

I właśnie tam musieli pojechać po południu. Olena przylatywała o osiemnastej, Isabel cieszyła się na jej wizytę, podobnie jak Manolo. Lubili starszą od nich, prawie pięćdziesięcioletnią, chorobliwie wręcz chudą wiolonczelistkę, która twierdziła, że lata jej świetności już minęły. Świat jednak tak nie uważał i wciąż dostawała mnóstwo koncertowych propozycji. Nagrywała także sporo, właściwie co roku, i zawsze z Isabel – jeśli tylko potrzebowała akompaniatora.

– Zapomniałam kupić sok jabłkowy! – Isabel westchnęła. – Olena bez niego nie zaczyna dnia.

– Kupimy po drodze.

– Manolo. – Zatrzymała go dotknięciem w ramię. – Nie żałujesz?

– Żałuję? – Zdziwił się.

– Jesteśmy tu na odludziu. Nie ma fiesty, prawie nikt nie mówi po hiszpańsku... Nie tęsknisz?

Uśmiechnął się.

– Tęsknię bardzo. Dlaczego pytasz?

– Tak mnie naszło. Zastanawiam się, czy jesteś szczęśliwy. Pewnie wizyta Oleny... Wiesz, wspomnienia.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Na szczęście mam tutaj prawie taki sam klimat. Mamy nasze prywatne azulejos. I jesteś ty. Nigdzie nie byłbym szczęśliwy bez ciebie. A zresztą... Potrafię sobie poradzić. Trudniej byłoby, gdyby klimat był inny. Wyobrażasz sobie mieszkać w jakimś zimnym miejscu? W Polsce na przykład?

Isabel się wzdrygnęła.

– Jedźmy już – powiedziała, całując go w policzek.

Rozdział 3

ON

Po raz pierwszy Igor był sam w tak dużym mieście. Nawet na egzaminy wstępne pojechał z ojcem. Warszawa! Miasto pachniało zupełnie inaczej niż dom, a nawet internat. Wyszedł z dworca, ruszył w którąkolwiek stronę, i tak żadna nazwa mu nic nie mówiła.

Usiadł na ławce, przypomniał sobie, jak wracał z wstępnych egzaminów, jak poganiał ojca za kierownicą zdezelowanej syrenki. Jechał jak na skrzydłach, do Kamili i ich córki. Miała mieć na imię Elżbieta. Ela.

Raziło go słońce. Odwrócił się i wyciągnął z plecaka zużyty plan miasta. Ruszył powoli w stronę przystanku, w kiosku kupił bilet. Czuł się jak oblany miodem. Szczęśliwy, bo wyjechał. Nieszczęśliwy, bo nie miał dokąd wracać. Nie było Kamili, nie było ich domu, marzeń, wspólnego życia.

Po zastanowieniu ruszył na uczelnię piechotą. Trwało chwilę, zanim się zorientował, że wszedł w Emilii Plater w przeciwnym

kierunku. Po dwudziestu minutach był na miejscu. Dzwonił wcześniej kilkakrotnie na uczelnię, miał załatwiony akademik. Nawet nazywał się: Dom Studencki Akademik; Igor nie wiedział, że miał także przydomek Alcatraz. Nawet gdyby wiedział, nie zrobiłoby to na nim wrażenia.

Z uczelni ponownie ruszył piechotą. Ciężył mu plecak wyładowany ciuchami i dwie duże torby, z których tylko jedną udało mu się zarzucić na ramię. Czuł się jak wielbłąd i było mu to obojętne.

Nie był taki zobojętniały, kiedy dwa dni później stanął w auli i na stojąco mruczał razem z chórem: Gaudeamus. Przez chwilę, rozglądając się po przejętych twarzach pierwszozoczniaków, poczuł się dumny. Potem spojrzał na swoje zbyt krótkie spodnie. Spod jednej nogawki widać było skrawek łydki. Był zażenowany. Poczuł, że nie ma prawa tu być. To tylko przypadek, niczym nie zasłużył.

Od razu po uroczystości ruszył do dziekanatu, spisał wszystkie zajęcia wraz z numerami sal i wyszedł z uczelni. Stanął nieopodal, przyglądał się budynkowi, który na pierwszy rzut oka wydawał się niezgrabny. Igorowi od razu spodobały się wielkie łukowate okna i secesyjne ornamenty na elewacji. Chwycił aparat. Obserwował studentów, zaprzyjaźnione starsze grupy, nieśmiało spoglądających początkujących, często w obstawie rodziców, profesorów. Wszyscy wysypywali się z wyjścia w nieregularnych odstępach, a Igor stał oparty o ścianę budynku naprzeciwko, z jedną nogą zgiętą i wspartą na murze. Patrzył.

A potem, przytykając od czasu do czasu aparat do twarzy, długo chodził po mieście. Ojciec Kamili przywiózł mu tyle filmów, że mógł bez stresu robić kolejne zdjęcia. Mimo to pstrykał ostrożnie, z rozwagą. Zastanawiał się nad każdym ujęciem, jakby ważył słowa przemówienia. Gdy skończyła mu się klisza, chodził po mieście bez celu, aż do wieczora. Był głodny, wrócił więc do akademika i zjadł ostatnią kanapkę od

matki. Zostało mu jeszcze dużo jedzenia, które schował do lodówki, ale ze zdumieniem stwierdził, że część zniknęła. Nie zdawał sobie sprawy, że rzeczy ogólnodostępne studencka brać traktuje dosłownie i jeśli chciał zachować jedzenie dla siebie, musiał przechowywać je w swoim pokoju.

Dwa tygodnie później Igor zapukał w niewielkie okno. Natalia drgnęła, nie spodziewała się nikogo. Było już ciemno, Dominik poszedł pomóc sąsiadowi w naprawie traktora. Wnuki już nie biegały po obejściu, bo gdy zaczęła się szkoła, synowe wszystkie dzieci wcześniej goniły do domów. Z tym trzeba było lekcje odrobić, temu spodnie zacerować, tamtemu kredki naostrzyć. Skaranie boskie z nimi – narzekały na zmianę. – Kiedy ich na podwórze wypuszczę, nie doliczę się potem. Niech siedzą w domu, telewizję pooglądają, spać wcześniej pójda.

Natalia była więc w cichym domu sama, co zdarzało się teraz coraz częściej. Polubiła nawet ten czas. Zdawało jej się, że dom do niej mówi, coś zatrzeszczy, coś zaskrzypi... Nie włączała nawet radia. W półmroku lubiła pracować w kuchni. Najczęściej wyrabiała ciasto na drożdżach, które potem w ciągu kilku godzin znikало w brzuchach jej wnuków. Z przyjemnością gderала, niby to na ich żarłocтво, ale podtykała każdemu pod nos. Zachęcała – zjedz, weź, popróbuj. Dzieci nie odmawiały i co dwa dni Natalia stała w kuchni i z miłością wyrabiała kolejną miche. Ustawiała ją sobie na kuchennym blacie, pod oknem, z dala od wejścia, w miejscu dość niewygodnym, daleko od zlewu, niemal w kącie. Lubiała to miejsce ze względu na widok. Patrzyła w pola, o tej porze roku obsiane już oziminą, widok miała daleki, aż po las na horyzoncie. Podśpiewywała cicho, rozmyślając. A to o cenach masła, które poszło okrutnie w górę, a ona całe niemal mleko oddawała ostatnio dla dzieci. Trochę więcej muszę go zostawić – pomyślała – masła, twarogu i śmietany dla nas zrobić. A to o sąsiedzkim sporze, od lat zajmującym wieś, w który zaangażowany był jeden z członków dalszej rodziny. Nikt już nie pamiętał, czego kiedyś dotyczył, ale spór żył własnym życiem i czasami bardzo trudno było nie zająć

stanowiska. A to o najmłodszym wnuku, że chudzina taka. I że Dominik ostatnio lewą nogą powłóczy.

Przestraszyła się pukania, zamyślona nie zauważyła nikogo. Złękła się jeszcze bardziej, gdy naprzeciw siebie, za szybą, dostrzegła majaczącą męską sylwetkę. Złodziej! Morderca! – przelatywało jej przez myśl. Z wrażenia uniosła rękę w cieście i podrapała się po policzku. Rozsypało się trochę niewyrobionej mąki, grudka ciasta przykleiła się do opadającego pukla włosów. Uspokoila się. Postać nie wykonywała żadnych groźnych ruchów, wręcz przyjaźnie pomachała ręką. Natalia ruszyła do drzwi. Co mi obce jakieś będą się szwendać po obejściu – powiedziała sobie cicho, na dodanie odwagi. Gdy otworzyła drzwi, przełknęła tylko ślinę. Przed nią stał Igor, z wielką torbą w dłoni, niezgrabnie przestępując z nogi na nogę.

– Bój się Boga, dziecko – wyszeptała. – A tyś tu czego? – Stali tak chwilę, aż matka się zreflektowała. – Wchodź do domu, co tak stoisz! – Chwyliła syna za głowę, ucałowała głośno w czoło.

– Nie mogłem, mammo – powiedział cicho.

– Synu, toż musisz. Tak nie można. Jeden jedyny w rodzinie ty jesteś, co na studia poszedłeś.

– Mammo, nie mogę – powtórzył.

Usiadł ciężko przy stole, torbę postawił obok.

– Tyś głodny pewnie. Pierogów ci dam. Albo bitkę, bitki z dzisiaj mam, chcesz?

– Chcę, mammo. Bardzo chcę.

– Wodę na herbatę wstawię – powiedziała, gdy skończył jeść. Przez ten czas nie odezwali się do siebie ani słowem. On pochylał się nad talerzem, wbijając wzrok w kwiatowy deseń, ona patrzyła na swoje dziecko, które już właściwie odżałowała. Wyleciał z domu, już go tu nie będzie, pogodziła się – a teraz nie wiedziała, co myśleć. Cieszyła się, że go widzi. Martwiła, że nie jest tam, gdzie być powinien. Coś się stało. Już moje matczyne

serce to wie – myślała.

– Zostań, ja pójdę. – Igor powstrzymał ją gestem. – Wróciłem do domu, mogę wstawić wodę. Jestem stąd.

Wstała zaraz za nim.

– Ciasta ci ukroję – powiedziała, nie dając się tym razem zatrzymać. – Mam pleśniaka z wczoraj. Reszkę, ale mam. A herbatę zrób i mnie.

Dopiero gdy stół był sprzątnięty, naczynia umyte, wytarte i ułożone, herbata ciut przestygła – zaczęli rozmawiać.

– Nie mogę, mam. Za szybko. Kamila... nie mogę myśleć, uczyć się. Nic nie mogę. Nie chcę.

– Dziecko, Kamili to życia nie wróci.

– Ani dziecku – powiedział.

– Synku. – Westchnęła, wstała i przytuliła go do piersi.

– Mam, muszę mieć czas. Więcej czasu. Ja już nawet myślałem, żeby na księdza pójść.

– Na księdza? Dziecko!

– Ucieszyłabyś się, prawda?

– Ucieszyłabym. Tylko ty od śmierci Kamilki do kościoła nie chodzisz. Coś ci z panem Bogiem nie po drodze, to jak ty masz na księdza iść.

– Ale we wsi by ci zazdrościli.

– Zazdrościliby. Każdemu by zazdrościli, jakby z jego domu powołanie wyszło. Ale nie na siłę. Młody jesteś, synku...

– Mam! – Przerwał jej obcesowo. – Młody? Jestem wdowcem, któremu razem z żoną umarło dziecko! Mam dwadzieścia lat i jestem wdowcem... – Oparł twarz na dłoniach.

– Mówię właśnie, że młody jesteś – odpowiedziała szeptem, cały czas stojąc nad nim. – I co teraz? Co teraz zrobimy?

– Nic, mammo. Znajdziesz dla mnie jakiś ką. –

– Tu jest twój dom, nie żaden ką. – Obruszyła się. – Ale co, gospodarkę będziesz prowadził? Bracia ci nie dadzą. Ojcu pomóc możesz, niedomaga już, ale przyszłości nie będziesz tu miał. Chyba że ojciec zapisy zmieni. – Zamyśliła się.

– Niech nic ojciec nie zmienia! – Chłopak się zachnął. – Tak jest dobrze. Mammo, ja trochę tylko pomieszkam, potem pójdę. Przed siebie. Gdzieś. Coś wymyślę.

– Dziewczyne może spotkasz.

– Dziewczyny to nie. Mammo, na co mi te studia. Pozwól mi zostać.

– Pozwól? Synku, to jest twój dom...

Dominik zupełnie się nie zdziwił, widząc syna.

– Wróciłeś? – powiedział ze stoickim spokojem, siadając do kolacji. – To dobrze. Przed zimą jeszcze kilka rzeczy trzeba zrobić w gospodarstwie.

Igor kiwnął głową.

– Pójdę do siebie – powiedział.

– Tam niepościelone! – wykrzyknęła Natalia.

– Mammo, poradzę sobie. Zmęczony jestem, umyję się i położę. A jutro, tato, pójdziemy zrobić, co należy.

Rozdział 4

ONA

– Olena! Przyjechałaś na miesiąc?

– Na pięć dni – odpowiedziała Manuelowi ze stoickim spokojem wiolonczelistka. Doskonale wiedział, że ten spokój był złudny. To była nadzwyczaj krewka kobieta i nigdy nie krępowała się okazywać emocji.

– A mówisz to tak spokojnie, bo zależy ci, żebym wszystko grzecznie zaniósł do samochodu.

– Nie ty, tylko wózek.

Uściskała serdecznie Isabel. Manuel został sam z bagażami, tylko wiolonczelę Olena wzięła ze sobą.

– Dlaczego tylko na pięć dni? – Isa się zdziwiła.

– Oszukałam go. Nie mam biletu powrotnego. Zamierzam zostać dłużej. Koncerty mam dopiero w przyszłym miesiącu, bylebym mogła ćwiczyć, to będę wam siedzieć na głowie.

Isabel aż klasnęła. Uśmiechnęła się, samymi kącikami ust,

delikatnie, jak tylko ona potrafiła się uśmiechać. Manolo uwielbiał ten wyraz zadowolenia, radości, bardziej powiew uśmiechu, Olena też.

– Wreszcie się nagadamy i naćwiczymy.

– A jeszcze mam trochę różnych rupieci. – Olena wskazała na cztery wielkie walizki. – Chciałaś tkaną kape na kanapę i trochę różnych kolorowych rzeczy...

– Kolorowych. – Isabel skrzywiła się z niedowierzaniem.

Olena tylko się uśmiechnęła.

Długo przebijali się przez Perth. Autostrada była zatłoczona znacznie bardziej niż zwykle. Paniom w ogóle to nie przeszkadzało, Manuel prowadził spokojnie, przysłuchując się ich dyskusji.

Rozmawiały o wszystkim. Pogoda, zdrowie rodziny. Dzieci kuzyna, ostatnie zakupy. Manuel wiedział, że kiedy zejda na muzykę, właściwie żaden inny temat nie będzie istniał.

– Musimy jeszcze kupić sok jabłkowy! – Przypomniał sobie już po zjeździe z autostrady.

– Nie macie soku jabłkowego? Jesteście nieprzygotowani! – Olena się oburzyła.

– Masz ochotę pochodzić po centrum handlowym? – zapytała Isabel.

– No chyba coś ci się pomyliło! – fuknęła wiolonczelistka. – Nie po podróży! Jutro, pojutrze może.

– To zatrzymaj się w Merriwa – powiedziała Isabel do Manuela. Miała na myśli sklep spożywczy Supa Iga, w którym czasami zatrzymywali się, wracając z Perth. Często im się zdarzało, że robili duże, bardzo duże zakupy, dom miał wtedy zaopatrzenie na kilka tygodni, ale zapominali o pieczywie. Albo soli. I wtedy ratował ich ten market, w którym zawsze zdejmowali z licznych półek coś jeszcze, bo jedna niewielka siatka wyglądała tak

marnie w dużym koszyku.

– Powinniście się nauczyć robić listy zakupów – powiedziała Olena.

– Powinnaś z nami zamieszkać. – Isabel się uśmiechnęła.

W sklepie kupili cztery rodzaje soku jabłkowego i mnóstwo innych, niekoniecznie potrzebnych rzeczy. Isa dorzuciła jeszcze farbę do włosów.

– Znów zapomniałaś? – Manolo się uśmiechnął.

Kiwnęła.

– Tak szybko odrastają. – Westchnęła.

Dbanie o kolor włosów było dla niej bardzo ważne. Nie dopuszczała do siebie myśli o odrostach, co czasami powodowało, że Manolo jechał do sklepu tylko po farbę.

Olena i Isabel długo się nie widziały. Właściwie w ostatnich latach głównie spotykały się przed koncertami. Kilka dni, trzy, czasem cztery, intensywne próby, zgrywania repertuaru, którego wcześniej razem nie grały. Jednak razem grywały już tyle lat, że potrafiłyby wypełnić muzyką dwa lub trzy pełne recitale, ani przez chwilę nie tracąc przy tym jakości. Staraly się jednak poszerzać wachlarz utworów, wciąż grać coś nowego.

Miały już w repertuarze wszystkie epoki. Olena uwielbiała Bacha, najbardziej przedostatnią suitę wiolonczelową, c-moll. Sarabanda przyprawiała ją o dreszcze, chociaż nie bardzo chciała się do tego przyznać. Isabel jednak o tym wiedziała – kiedyś razem stworzyły do tego utworu akompaniament, pozornie prosty, nie po to bynajmniej, by poprawiać Bacha, bardziej po to, by móc razem cieszyć się tym mistycznym, a wcale niepopularnym brzmieniem. Nigdy nie grały tego publicznie – za to niemal każdą próbę zaczynały tym utworem; stanowił dla nich bramę, jakby wrota, odcinające od codzienności, zamykające w skupieniu nad muzyką, w lekceważeniu dla prostoty i prostactwa zewnętrznego świata.

Obie były sfiksowane na punkcie muzyki. Uwielbiały ze sobą grać, bo po prostu obydwie kochały grać. Jeden z zaprzyjaźnionych kompozytorów dopisał im akompaniamenty do innych fragmentów bachowskich – grały je czasami na koncertach jako bisy, Arię na strunie G na przykład. Brzmienia były znane, publiczność je lubiła, a one traktowały je jako niezbyt wyrafinowane uzupełnienie repertuaru. Sieczka – mawiała czasami Isabel.

Miały także w repertuarze inne sonaty barokowe, utwory i bardzo popularne, i mało znane. Grywały razem Mozarta, Beethovena. Bardzo dużo romantyków – Schumanna, Schuberta, Mendelssohna, muzykę narodową, aż po współczesną. W szczególności Olena lubiła u swoich zaprzyjaźnionych kompozytorów zamawiać utwory pisane specjalnie dla ich duetu. Wszyscy byli wtedy zadowoleni. Słynna wiolonczelistka ze swoją równie słynną pianistką wykonywały utwory im poświęcone, najczęściej na jakiejś uroczystości ku czci, których Isabel okropnie zresztą nie lubiła. Woląла kameralne koncerty, bez zaproszeń ze złotym brzegiem i obowiązkowych wieczorowych sukni, ale podporządkowywała się Olenie. Koncerty przemijały, a utwory zostawały. Kompozytorzy zaś chwalili się wysublimowanymi prawykonaniami. Olena namawiała czasem studentów, by napisali dla nich jakiś utwór. Bywało, że pół recitalu Olena i Isabel poświęcały na prawykonania kompozycji im dedykowanych. Takie koncerty najbardziej lubili Azjaci, Europa też była chętna, jednak Isabel do tej pory skutecznie broniła się przez wyjazdem na Stary Kontynent.

– Nie tęsknisz za Hiszpanią? Za ojczyzną? Europą? – pytała czasem Olena.

Isabel kręciła wtedy głową i nic nie odpowiadała.

W przeciwieństwie do Oleny Isa nie przepadała za muzyką współczesną. Mogła godzinami szlifować kilka linijek Bacha. Zastanawiać się nad ewentualnym wyciągnięciem jakiegoś

głosu, zmuszać palce do wydobywania dźwięku tak cichego, że niemal na granicy słyszalności. Ale słyszalnego, i to w równym przebiegu, w ciągu dźwięków prowadzących – jak sądził Bach – prosto do Boga. Nie bardzo Isabel w Boga wierzyła, ale wierzyła w bogobojnego Bacha, więc wznosiła oczy i modły do nieba w poszukiwaniu odpowiedniego brzmienia i wyrazu. W muzyce współczesnej rzadziej musiała to robić. Dźwięki zazwyczaj były bardziej oczywiste, choć bywały też niezwykle niewygodne – szerokie akordy wykrzywiające rękę albo ciągi dźwięków niewynikające jeden z drugiego, napisane „w poprzek ręki”, jak mawiała, niepianistycznie. Poza tym często były to utwory mocno schromatyzowane, co nie miało wiele wspólnego z genialną chromatyką Bacha, a raczej z bezładnie rozrzuconymi czarnymi dźwiękami. Jeszcze częstokroć do jednego worka, szczególnie młodzi kompozytorzy, wrzucali krzyżyki i bemole, doprawiając je gęsto kasownikami, a nierzadko całkiem niepotrzebnie dorzucając tam podwójne znaki chromatyczne. Isabel nie lubiła tego. Ale nuty czytała nadzwyczaj sprawnie, ćwiczyła codziennie, była w stanie nauczyć się każdej partii, i to błyskawicznie. A że Olena lubiła tego rodzaju muzykę, a Isabel lubiła Olenę – grały więc.

– Nie mogę czasem zrozumieć, co ty widzisz w tych bazgrołach – powiedziała Isabel jeszcze tego samego popołudnia na widok sterty rękopisów przywiezionych przez Olenę. – Znowu jakieś studenckie wypociny.

Olena się rozpakowała, odświeżyła, wypila dwie szklanki jabłkowego soku i od razu ruszyły do pracowni. Manuel miał przygotować posiłek.

Rozegrały się już, Sarabandę zagrały nawet dwa razy.

– Dawno nie grałyśmy razem, jeszcze raz – powiedziała Olena, gdy skończyły ją po raz pierwszy. Uśmiechnęły się tylko i z zamkniętymi oczyma, słuchając siebie nawzajem, szukały tego brzmienia, które miało utworzyć jedność. Po jakimś czasie właściwie im się to udało, Olena wyciągnęła więc nowy utwór,

który skrzywieniem ust przyjęła Isabel.

– Przeszkadza ci, za dużo nut? – Olena uśmiechnęła się z przekąsem.

– Nuty mi generalnie w życiu nie przeszkadzają, tylko wolę je wydrukowane, nie bohomyzy. I lubię, jak z zapisu wynika, co mam grać. A nie takie – kreski, kropki, szopki.

– Nie żadne szopki, tylko rękopis. Dla nas specjalnie napisany!

– Jasne, znowu się będę męczyć z tym... Czymś.

Olena się uśmiechnęła.

– Pomęczysz się kwadransik i zagramy.

Dokładnie tak było. Po półgodzinie cały utwór miały już trzykrotnie przećwiczone, co zdaniem Manuela oznaczało, że mogły go już grać publicznie. Isabel była innego zdania. Widziała przed sobą mnóstwo godzin ćwiczenia. Nie podobała jej się praca czwartego palca lewej ręki. Jeden z dźwięków nie odzywał się tak, jak – jej zdaniem – powinien, i nie była to wina fortepianu. W Bachu brzmiał dobrze. Po kolacji więc postanowiła jeszcze poćwiczyć.

– Ale przyjdiesz zaraz? – dopytywała się Olena.

– Zaraz to jest skoro świt – wtrącił Manuel. – Przecież wiesz, że gdy Isa zacznie ćwiczyć, nie może przestać.

– Pół godziny maks – odpowiedziała Isabel.

– Kwadrans! – upierała się Olena.

– Jej kwadrans to będzie czterdzieści minut. Dla mnie w sam raz na krótki spacer – zwróciła się Olena do Manuela, gdy Isa poszła do instrumentu.

Wyszła na plażę przez taras, nie oglądając się na niebieskie azulejos. Było ciepło, ale wietrznie. Zarzuciła na ramiona kolorowy szal, który na tle domu przyjaciół wyglądał bardziej niż egzotycznie. Elektryzujące kolory, amarant ze szmaragdem,

trochę żółci, pomarańczu i czerwieni w ręcznie tkanym jedwabiu iskrzyło oszałamiająco na tle białych ścian, mebli i naczyń. Olena uwielbiała ich dom. Wypoczywała tutaj. Dokuczała Isabel, że przywiezie jej wreszcie trochę życia do tej oazy białości, że wrzuci na ścianę kolorową tapetę i zmieni obicia białych zakardowych foteli. Jednak tak naprawdę było to jedyne miejsce, gdzie potrafiła znaleźć absolutny spokój. Bardzo tego teraz potrzebowała. Przez ostatnie dwa lata nie miała jak zawitać do przyjaciół. Była w Australii, i to ze cztery razy, owszem, widziała się z Isabel i Manuelem. Grały razem koncerty, wszystkie na wschodnim wybrzeżu. Adelajda, Melbourne, Sydney, Newcastle, Brisbane... Niemal wszędzie. Jednak z Sydney, gdzie Olena lądowała najczęściej, do Perth były prawie cztery tysiące kilometrów. Na towarzyskie odwiedziny na ogół nie pozwalały ściśle zaplanowane koncertowe grafiki.

Olena z Isabel lubiła grać najbardziej, ale koncertowała też solo i z innymi zespołami, także z orkiestrami, zresztą i Isa miała inne zobowiązania. Były słynne, były wręcz ikonami w swoim fachu, ale nie były swobodne. Wolne stawały się wyłącznie, gdy grały.

Spacer po plaży był dla Oleny namiastką wolności. Słońce schodziło za horyzont, rozlewając się czerwoną łuną. W tym miejscu Olena zachody słońca ceniła najbardziej. Dom stał na samym wybrzeżu, od zachodniej strony. Lubiała te chwile samotnie spędzać na plaży. Nadawała im symboliczne znaczenie – wraz ze słońcem topiła w morzu trudności i smutki. Zawsze wyjeżdżała od Isabel i Manola oczyszczona. I chociaż teoretycznie wiedziała, że słońce zachodzi codziennie tak samo, to jednak uważała ten spektakl za swój prywatny cud.

Gdy wracała plażą w stronę domu i wstępowała po schodach na taras, zawsze spoglądała na azulejos. Zatrzymywała się. Wiele razy zastanawiała się, skąd się tu wzięły, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by chociaż trochę jej kraju zawitało

w australijskim domu. Pierwszy raz, gdy je zobaczyła, od strony oceanu właśnie, miała wrażenie, że wchodzi do ogrodu. Malunek na płytkach był wykonany z wyraźnym artystycznym zacięciem. Wtedy aż przystanąła z wrażenia. A teraz za każdym razem, gdy wracała z plaży, zwalniała. Wchodziła po schodach powoli, nieśpiesznie podnosząc zapiaszczone stopy – czekając na moment „wejścia” do ogrodu. I w sumie traktowała dom przyjaciół jak ogród, przynajmniej mentalny. Bo braku roślin nie mogła zrozumieć.

Raz podczas zakupów w markecie włożyła do koszyka trzy białe doniczki i trzy kwitnące białe storczyki. Zapłaciła sama, nie pokazując Isabel zakupów. Zaplanowała niespodziankę. Gdy zobaczył to Manolo, pokręcił głową z krzywym uśmiechem.

Isabel spojrzała, przygryzając wargę.

– Bardzo dziękuję – powiedziała bez uśmiechu.

Postawiła kwiaty na stole, aranżując nakrycie do kolacji. Wieczorem niechcący stłukła jedną doniczkę, łamiąc przy okazji storczyka. Pozostałe dwa stały na stole do końca wizyty Oleny, zgodnie jednak z przewidywaniami Manola natychmiast po odwiezieniu solistki na lotnisko kwiaty zostały wyrzucone.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje – powiedział. – Niemniej Isabel nie cierpi w domu kwiatów. Nigdy żaden nie wytrzymał dłużej, niż te ofiarowane przez ciebie, zwykle kwiaty są wyrzucane tego samego dnia.

Olena próbowała dopytywać, ale Manolo tylko wzruszał ramionami.

– To coś z jej poprzedniego życia. Nie mam pojęcia.

Olena tym bardziej więc lubiła ten ceramiczny ogród. Białe płytki idealnie oddawały klimat białego domu. Niebieski ogród w odczuciu Oleny stał się miejscem na poły magicznym.

– Dobrze, że jesteś – przywitała ją Isabel. – Zagrajmy jeszcze, trochę poćwiczyłam i...

– Isa, ledwie patrzę na oczy. Daj już dzisiaj żyć.

– To może chociaż kąpiel? – wtrącił Manolo. Codziennie wieczorem zanurzał się w oceanie. Czasami w lipcu lub sierpniu, gdy temperatura spadała do dziesięciu stopni, odpuszczał. Zdarzało się to jednak rzadko, i nawet gdy było chłodnawo – starał się pływać codziennie. Potem wskakiwał pod ciepły prysznic i każdorazowo twierdził, że czuje się jak nowo narodzony.

– Właśnie wróciłam z plaży. – Olena popatrzyła na Manola z politowaniem. – Zawsze miałeś dziwaczne pomysły.

– Zawsze – potwierdził. – Za to mnie też zawsze lubiłaś.

– Prawda. A teraz lubię swoje białe łóżko z białą pościelą.

– Haftowaną na biało, żeby ci nie było nudno – dodała Isabel.

Następnego dnia przy śniadaniu zaplanowali dzień. Manolo jak zawsze miał nadzieję na jakąś wycieczkę, zwiedzanie, ale dziewczyny nie widziały się długo i były stęsknione. Siebie, rozmowy, ale przede wszystkim grania. Plan na dzień wyglądał więc tak, że do lunchu – wspólne granie, po jedzeniu chwila odpoczynku, potem plażowanie.

– Podróży to ja mam chwilowo dość – powiedziała Olena.

Grały więc aż do lunchu, który znów przygotował Manolo. Lubił gotować, sprawiało mu to radość, najczęściej jednak przygotowywał proste potrawy, niewymagające szczególnych nakładów. Ani on, ani Isabel nie przepadali za mięsem – tradycyjna australijska kuchnia, której istnienie zresztą podważał, oparta na sztuce mięsa i z angielska rozgotowanych warzywach nie spotykała się z jego uznaniem. Najczęściej więc przygotowywał włoską pastę lub coś z kuchni greckiej, grillowany ser, do tego dużo sałaty. Tym razem wybrał ich narodową kuchnię. Paella zwyczajowo w jego wykonaniu była rozkoszą dla podniebienia, tym razem postanowił uczynić ją bramą do raj. Dziewczyny więc grały, a on gotował, całym

sercem i wszystkimi zmysłami.

Z pracowni muzycznej dochodziły czasem podniesione głosy – kobiety temperamentnie klóciły się o interpretację fragmentów nowego opus. Wszystkie pozostałe utwory płynęły sprawnie, wartko, czasem tylko słycać było jakąś rozmowę.

– Słyszałam ostatnio, jak ktoś grał tego Mendelssohna zupełnie inaczej.

– Po skrajności Maiskiego trudno mi uwierzyć, że coś cię jeszcze zaskoczy – odpowiedziała Isabel.

– A jednak. Wiesz, to nawet nie było wolno... tylko było w tym tak wiele rubato... W pierwszej chwili mnie odrzuciło.

– Skoro za dużo, to o co chodzi?

– Nie mogłam o tym wykonaniu zapomnieć. Puszczę ci. – Olena uruchomiła komórkę. Z You Tube popłynęły dźwięki *Pieśni bez słów*, którą miały w repertuarze niemal od pierwszego koncertu.

– Ale to... – odzywała się co chwilę Isabel. – Przecież...

– Właśnie – skwitowała Olena, gdy wysłuchały całości.

– A gdyby tak... – zastanawiała się Isabel. – Zobacz, tutaj zostawimy jak było, a tu takie rubato, podobne do tamtego. A te szesnastki zagramy znacznie szybciej, trochę furioso.

– Tu nie ma furioso.

– Ale jest piú mosso... Tak byśmy to zagrały. – Położyła ręce na klawiaturze.

– A ja zdążę? – Olena się zdziwiła. – Szybko to jest.

Isabel wywróciła oczami.

– Nie czepiaj się! – powiedziała zirytowana solistka. – Masz tutaj sześć na cztery, triole szesnastkowe z ósemkami w lewej. Ja muszę się wpasować zwykłymi szesnastkami!

– To ci je tu podkreślę, o te. – Isa pokazała palcem w nutach. –

Będzie znacznie bardziej animato.

Spróbowały. Olena kiwała głową na boki.

– Może to będzie miało jakiś sens – powiedziała.

– Ale musimy poćwiczyć – uzupełniła Isabel.

Być może ćwiczyłyby do wieczora, gdyby nie Manolo.

– Koniec tego dobrego! – powiedział, otwierając gwałtownie drzwi. – Jedzenie na stole!

Paella była wyśmienita.

– Dlaczego tak nie gotujesz, kiedy jesteśmy sami? – zapytała z pretensją Isabel po drugiej dokładce. Nakładała sobie miniaturowe ilości, więc nawet i te dokładki w sumie nie stanowiły wielkiej porcji. W ogóle jednak jadła mało, i jak na nią była to kulinarna rozpusta.

Olena zjadła znacznie więcej, nie komentowała, za to oczy jej błyszczały.

– A jutro, drogie panie, ćwiczenie sobie odłożycie.

– Nie możemy – skwitowała Isabel.

– Nie ma dyskusji. – Przerwał. – Jedziemy do Beelu.

– Gdzie? – Olena się skrzywiła.

– Nawet nie próbuj z nim polemizować – wtrąciła Isabel. – On uwielbia to miejsce.

– A co tam jest?

– Nawet nie mów, że nie wiesz! – wykrzyknął Manolo.

Wiolonczelistka zrobiła zdziwioną minę.

– To park narodowy – wtrąciła Isabel, na wszelki wypadek. Wcale nie była pewna, czy Olena aby na pewno się przekomarza.

– No i... – ostrożnie powiedziała Olena.

- I jedziemy – zakończył Manolo.
 - A co tam jest? – zapytała szeptem Olena, gdy Manolo wyszedł na chwilę do łazienki.
 - Mnóstwo ptaków. Cisza. Jezioro, efektowny jaz, piękne widoki. Las.
 - Ciszę mam tutaj. – Olena się zamyśliła. – Rozumiem, że mam być zachwycona i nie marudzić?
 - To twój brat, znasz go najlepiej – parsknęła Isabel.
 - Kuzyn. – Olena wykonała obronny gest. – I nie zawsze znam go tak najlepiej.
 - O czym tak szepczecie?
 - Że będzie jutro bardzo, bardzo przyjemnie.
 - A jeszcze jakieś podróże nam planujesz? – zagadnęła Olena.
 - Ile tylko chcesz! Parków narodowych jest tu bez liku, nic, tylko podróżować...
 - Ja bym chciała jedną podróż zaplanować. – Olena mu przerwała.
 - Cudownie! – wykrzyknął Manuel, ale Olena nie zareagowała. Nie patrzyła też na niego. Wpatrywała się w Isę. – Do Europy.
 - Isabel patrzyła na nią w milczeniu.
 - Wiesz, że nie zamierzam lecieć do Europy. Nie po to przyjechałam tutaj, żeby wracać tam kiedykolwiek.
 - Uciekłaś, nie przyjechałaś – powiedziała Olena.
- Manolo siedział z boku, przygryzając wargi. Od dawna był przekonany, że prędzej czy później ta rozmowa nastąpi, obawiał się jej i był ciekaw wyniku jednocześnie. Chociaż właściwie wynik znał, frapował go styl, w jakim rozegra się ten mecz. Bo miał nieodparte wrażenie uczestniczenia w jakimś pokazie, skojarzenie z tenisową rozgrywką nasuwało się samo. Piłka – odpowiedź – piłka – odpowiedź – piłka...

– Może później... – próbował wtrącić.

– Nie. – Olena tym razem jemu przerwała. – Teraz. Teraz powiem. Muszę jechać do Europy. W przyszłym roku. Mam tournée, z najważniejszym dla mnie koncertem w Wiedniu. Tam recitalu nie dostaje każdy.

– Jesteś najślynniejszą wiolonczelistką świata – wtrąciła Isabel.

– I jeszcze tam nie grałam – odcięła się. – Poza tym oczywiście Paryż i Berlin. Amsterdam. I Warszawa.

– A miało to być takie przyjemne popołudnie – powiedziała z lodowatym uśmiechem Isabel, wstając.

Rozdział 5

ON

I tak zrobili – co należy. W pełnej zgodzie. Igor nie potrzebował nawet instrukcji, wszystko wiedział. Wychował się na wsi, tutaj był u siebie. Pracy w polu było mało, ale o zwierzęta trzeba dbać przez cały rok. Igor wyreczał matkę, ojca, bratowe, a i czasem braci.

– Co będę w domu sam siedział – mówił do matki.

– Synuś, ty do ludzi wyjdź – odpowiadała na to, a Igor wzruszał ramionami.

Natalia martwiła się z każdym miesiącem coraz bardziej. Igor pracował jak maszyna, na nic się nie skarżył. Często wychodził w pole, pomyśleć, jak mówił. Natalia widziała, że błąkał się bez celu po polnych brzdach, czasem gestykulował, pewnie coś mówił. Opatulony w kożuch i dwa szaliki, jeden cienki od Kamili, drugi od matki, robiony na grubych drutach, wyglądał jak złamany pień. Ręce jak sęki, wystawały po bokach, nie wiadomo po co.

– Z Kamilą rozmawia – tłumaczyła sobie wtedy Natalia. – Szkoda, że babki Johanny już nie ma – pomyślała kiedyś. – Twarda była, coś by zaradziła.

Martwiła się także o Janinę. Zawsze, gdy przyszła jej na myśl babka, od razu myślała o Janince. Córka miała kłopoty. Znalazła sobie mężczyznę, przystojnego, postawnego – dziewczyny jak muchy na lep doń leciały. Przyzwyczajony był. Na Janinkę i on poleciał, Natalia jednak bała się, że szybko mu się zechce odlecieć. Bała się o córkę, bo słyszała o nim, że on już jakieś ziarno zasiał, ślubu brać nie chciał, i czasami śniła, że jej córka do domu z brzuchem, ale bez męża wraca. A brzuch może być dopiero, jak złoty krążek na palcu jest. A lepiej, żeby mąż do kompletu razem z brzuchem przyjechał. Kłopot to był, tym bardziej że Janinka rzadko w domu bywała, do szkoły pojechała, nie było wiadomo, co ona robi, czy się prowadzi dobrze. Na studia nikt jej słać nie zamierzał, Janinka znalazła sobie stancję i jakąś pracę, Natalia martwiła się jednak o swoją córkę.

To było zmartwienie, ale cóż to. Po śmierci Kamili nic już nie mogło być tak ważne, żeby nie pozwolić Natalii spać. Może poza Igorem, który wychodził w pole czasem także nocą. Schodził po schodach cicho, na palcach, w skarpetkach. Co z tego. Natalia słyszała go nawet, gdy przechodził tylko dwa kroki, do toalety na górze. Budziła się wtedy przestraszona, że to Kamila do Igora przyszła, dziecko mu pokazać. Nikomu o tych obawach nie opowiadała, ale kiedy Igor po raz pierwszy w nocy w pole poszedł, zmówiła różaniec, po ciemku zrobiła sobie gorącą herbatę i do rana już nie spała.

– Igor, pojedź ty mi na targ do Żuromina – powiedziała pewnego dnia.

– Ale, mamo, po co. Niczego nam nie brakuje.

– Tu listę sprawunków masz, bierz samochód i jedź.

Lista obejmowała produkty niezbędne, ale takie, których nie

dało się wytworzyć własnym sumptem. Papier toaletowy. Gumki recepturki. Kilo soli. Oraz trochę warzyw, których akurat w gospodarstwie zabrakło. Sprawunki ważne, ale nie najpilniejsze. Matka mnie po prostu wysłała z domu – pomyślał Igor. – I ma rację. Snuję się po obejściu z ponurą miną, klimat tylko zanieczyszczam – myślał.

Na targu najpierw przez dobre pół godziny chodził z rękami włożonymi w kieszenie, nakryty kapturem. Odizolowany, obserwował otoczenie bez konieczności rozmowy z kimkolwiek. Ciągłe bał się współczującego tonu, ciekawskich spojrzeń, pocieszającego poklepywania po plecach. Spuszczał wzrok, gdy widział kogoś znajomego, prawie cały czas spoglądał w ziemię.

Od czasu wesela prawie nie pojawiał się w Żurominie. Plotka żyła własnym życiem, śmierć Kamili obrosła mitem. Niektórzy twierdzili, że na własne oczy widzieli, jak dziewczyna umierała mu na rękach. Inni, że w tańcu się przewróciła, uderzyła w głowę i już nie wstała. Pojawiały się dramatyczne opisy krwi zalewającej białą suknię. Igor słyszał o tym, bratowe plotkowały czasem z sąsiadkami.

U nich na wsi było trochę lepiej – ludzie żyli sensacją intensywnie, ale krótko. Na weselu była prawie cała wieś, wszyscy widzieli, wiedzieli, nie było pola do tworzenia baśni.

Żuromin to jednak co innego, a Igor nie zamierzał nikomu opowiadać, odpowiadać ani tłumaczyć.

Drgnął, gdy ktoś zawołał go po imieniu. Chciał uciec, ale tłum nie pozwolił. Odwrócił się wolno.

Zosia.

Dziedziczka, tak na nią tu mówili. Mieszkała pod Żurominem, w Brudnicach. Mało kto już pamiętał, że rodzina była kiedyś chłopska, pracowita i zaradna. Na lewym brzegu Wkry, który Igor bardzo lubił, bawił się czasem z Zosią, w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś stał młyn. Potem drogi im się rozeszły, ale zawsze życzliwie zagadywali do siebie, nawet przy przypadkowych

spotkaniach. Zosia była zaproszona na wesele, ale pojawiła się tylko w kościele. Oficjalnie miała do załatwienia „sprawy”. Nieoficjalnie wesele odbywało się po drugiej stronie Wkry, także w Brudnicach, ale w nielubianej przez nią sali weselnej. Co tam nielubianej. Jej właściciele byli w ostrym konflikcie z babcią Zosi, a ona nie miała najmniejszej ochoty robić przykrości charyzmatycznej starszej pani.

– Igor – powtórzyła Zosia, ni to wołając, ni pytając.

– Cześć – powiedział, podnosząc wreszcie głowę.

– Dawno cię nie widziałam.

Kiwnął tylko.

– Nie chce ci się gadać – stwierdziła. – W ogóle mnie to nie dziwi. Chodź, potowarzysz mi – zarządziła w swoim kategoriycznym stylu.

Ani chciał, ani nie chciał. Po prostu ruszył za nią. A ona wybierała najpiękniejsze warzywa, zagadując sprzedawców.

– Nam to pomidory w tym roku nie wyszły, na przetwory nie starczyło – mówiła do jednego. Do innej zaś: – Fasolka taka piękna u pani, jak w sezonie, a po ile ona? – I targowała się. Igor słuchał jej, w końcu zaczął się uśmiechać i też wyciągnął listę zakupów.

– Ja muszę bardziej tam. – Wskazał na niedaleki sklep GS, gdy przy jednym ze straganów kupił już warzywa z listy.

– Ja też – odpowiedziała dziewczyna.

Ruszyli wolnym krokiem, nie rozmawiając. Okazało się, że listy zakupów mieli podobne. Gospodarstwo w Brudnicach też było niemal samowystarczalne pod względem warzyw i nabiału, ale papier toaletowy musieli kupować. Igor wyszedł z hali uśmiechnięty, po raz pierwszy od dawna.

– Dziękuję – powiedział.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślę, że powinnam. Że nie wypada nie powiedzieć i tak dalej, więc powiem. Bardzo mi przykro i współczuję ci. Jednak lubię cię tak samo przed ślubem i po nim, jako kawalera, żonatego czy wdowca.

Zacisnął szczęki, ale patrzył jej w oczy.

– Nic nie mów – dopowiedziała. – Odprowadź mnie do samochodu, nie zabiorę się z tym sama.

Igora samochód był bliżej, włożyli wszystkie zakupy na tylne siedzenie i podwiózł dziewczynę do jej auta. Przeniósł jej zakupy i pożegnali się uściskiem dłoni. Zosia odeszła, po chwili wróciła.

– Masz mój numer? Zadzwoń kiedyś.

– Zosiu, ty jesteś zaręczona – wypalił.

– Tak, a bo co? – zapytała. Uśmiechnęła się. – Jestem i ani myślę zmieniać tego faktu. Kocham Karola i zamierzam wyjść za niego za mąż, może w przyszłym roku. Nie licz nawet na to, że się to zmieni. Ale ty byłeś moim przyjacielem od szczeniaka, nic nie szkodzi, że potem przestaliśmy się spotykać. Przyjaciele po prostu są. Podaj mi swój numer – zażądała, po czym zapisała swój na wyjętym z kieszeni skrawku papieru. – Teraz masz też mój – powiedziała i pomachała, od razu odchodząc.

Igor nie oglądał się za nią. Po prostu ruszył do domu.

Matka na widok samochodu wjeżdżającego przez bramę postawiła na gaz gar z ziemniakami. Zawsze w soboty zapraszała całą rodzinę na obiad. Synów, synowe, wnuki. W sobotę, nie w niedzielę, w niedzielę pan nakazał dzień święty święcić, więc w kuchni nie zamierzała pracować ponad to, co niezbędne.

Krytycznym okiem zlustrowała pakunki przyniesione przez Igora. Idealnie zgodne z listą, bez żadnych ekstrawagancji. Dobrze to i źle – pomyślała. – Dobrze, bo nie wydał niepotrzebnie grosza. Źle, bo go w ogóle nie obeszło, co kupuje. Trzeba chłopaka jakoś ożywić.

Obiad upłynął bardzo spokojnie. Nie licząc wrzasków dzieci, kłótni między nimi i przekonywania o konieczności jedzenia surówek. Dorośli nie rozmawiali o niczym istotnym. Na deser zjedli ciasto przyniesione przez bratową, miękkie, z lekko kwaskowatym owocowym dżemem. Znikło całe.

Igor, jak zwykle w sobotę, po obiedzie ruszył w stronę samochodu.

– Synku, a ty dokąd? – zapytała Natalia pro forma.

– Jak zawsze mamo. Do Lubowidza, do Kamili jadę.

– Pojadę z tobą.

– Jak chcesz – odpowiedział niechętnie. Wolał jeździć na cmentarz sam. Spędzał tam zawsze kilkadziesiąt minut, rozmawiając z żoną. Pytał czasami o ich córeczkę. Wierzył, że gdzieś są i że tęsknią tak samo jak on. Przy matce nie będzie mógł rozmawiać swobodnie.

– Pójdę do rodziców i do ciotki przy okazji – powiedziała Natalia, myśląc o teściach. Jej rodzice leżeli gdzie indziej.

Nie rozmawiali w samochodzie. Natalia źle podwinęła rękaw przy zmywaniu, zamoczył się. Teraz, chociaż przykryty płaszczem, dawał wrażenie przejmującego zimna.

– Zrób trochę cieplej – powiedziała do syna.

Posłusznie podkreślił ogrzewanie. Zanim we wnętrzu samochodu się ociepliło, byli na miejscu.

W milczeniu podeszli do straganu ze zniczami. Natalia wzięła kilka, Igor dołożył jeszcze kompozycję ze sztucznych kwiatów. Idąc alejką, spotkali po drodze matkę Kamili. Natalia nie widziała jej od kilku tygodni. Kobieta szła pochylona, niosąc na ramionach ciężar nie do udźwignięcia. Jakby jej kto pięćdziesiąt lat dołożył – pomyślała Natalia.

– Dzień dobry – powiedział Igor.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – A ty nie na studiach? –

zapytała dosyć obojętnie.

– Ja... – zająknął się. – Wróciłem. Nie potrafię się skupić na nauce.

– Jasne – odpowiedziała. – To powodzenia życzę – dodała i ruszyła dalej.

Po śmierci Kamili dwie matki posprzeczały się – o miejsce pochówku dziewczyny. Pochodziła z Żuromina, rodzice chcieli więc, żeby w Żurominie była pochowana.

– To jest żona mojego syna, tu brali ślub, więc pochowana powinna być w Lubowidzu.

Ostatecznie przesądziło sprawę zdanie samej Kamili, wyrażone kiedyś mimochodem przy rodzinnym obiedzie. Nie lubiła księdza z Żuromina, lubiła tego z Lubowidza. To przeważało, ale napięcie tamtych dni nigdy już nie pozwoliło obu kobietom odnosić się do siebie z życzliwością.

– Ależ ona się posunęła – powiedziała szeptem Natalia do syna.

– Mamo, straciła jedyne dziecko.

– Mogła urodzić więcej.

– Mamo! – jęknął. – Kocham cię, ale jak możesz tak mówić?

Natalia wzruszyła ramionami.

Wszystko mi zabrali, wszystko – myślała matka Kamili. Córkę i wnuczkę. Nawet ich odwiedzić nie mogę. Muszę jechać tak daleko – zakręciły jej się łzy. Od śmierci Kamili zauważyła, że bardzo często łzawiły jej oczy i coraz gorzej widziała. Pogorszył mi się wzrok, muszę w końcu pójść do okulisty – myślała, nie pozwalając sobie płakać. W różny sposób próbowała sobie z żalobą poradzić. Paradoksalnie, próba samobójcza jej pomogła. Szczęśliwie – jej zdaniem – przez nikogo nieodnotowana, nie naraziła jej na żadne badania, wizyty u psychologa ani na spojrzenia współczujące jeszcze bardziej.

Matka Kamili uznała, że musi żyć, skoro nie zdołała się zabić. Była w niej jednak ciągle apatia, wściekłość, alkohol i wiele innych. Starła się z siebie wyrzucić złe emocje, pozbyć się toksycznych myśli, była dla ludzi zwykle opryskliwa i niemila, ale i tak cała żalność, ból, smutek i przerażenie samotnością zostały w środku. Kumulowały się w sercu, które za siedem lat temu nie podoła i zatrzyma się w biegu życia.

– Za wcześnie, za wcześnie – będą mówiły wtedy wszystkie znajome. – Kobiety nie umierają na zawał! – będą podawać ludzie z ust do ust. – Co tu począć, taki smutek w rodzinie. Ona od lat była jakby za czarną mgłą – będą mówili inni.

Ojciec Kamili po śmierci córki coraz rzadziej przyjeżdżał do Polski. Od lat miał za granicą drugą rodzinę, o której nikt nie wiedział, a matka Kamili, ogłuszona bólem, nawet się nie domyślała. Jej śmierć była dla niego nigdy niewypowiedzianą ulgą.

Na razie jednak szła do busiku, który miał ją odwieźć do Żuromina. Zamierzała wrócić do pracy, chociaż nie miała teraz do niej głowy. Zmieniła szpilki, w których do tej pory chodziła na co dzień, na wygodne baleriny, potem trampki. Spódnicę zdarzało się jej założyć nieuprasowaną, a bluzkę poplamioną. Nie miało to dla niej większego znaczenia, cóż to znaczy wobec wieczności – odpowiedziała przyjaciółce, która próbowała wziąć ją w przysłowiowe karby.

– Jak to dla kogo? Dla siebie! Masz dbać o siebie dla siebie! Tylko ty jesteś ze sobą zawsze, w brudzie, chłódzie i o głodzie. Więc dbaj o siebie.

– Masz rację. – Matka Kamili kiwała głową i nic nie zmieniała.

Gdy ona doszła do przystanku, Natalia i Igor stanęli nad grobem Kamili. Igor sprzątnął trochę liści, których nie zgarnęła wcześniej Jagłańska. Ustawił nowe znicze, poprawił kwiaty.

– Pomódlmy się – zaproponowała Natalia i półgłosem razem wyrecytowali kilka modlitw. – Pójdę teraz do rodziców – rzuciła

po dłuższej chwili, a Igor przysiadł na ławce przed grobem, nic nie mówiąc. Ławkę postawili dwa tygodnie po pogrzebie bracia Igora, na wyraźną prośbę matki. „Ja tam będę chodzić i inni, trzeba przysiąc, pomodlić się w skupieniu, a mój krzyż już nie ten” – powiedziała.

Grób ciągle był kopcem ziemi. Nagrobek zamówili już dawno, ale kamieniarz wciąż zwlekał, chociaż wziął słoń zaliczkę. Nikt nie wiedział, że spłacał karciane długi syna, który wyjechał do Krakowa, ku chwale rodziny. Był tematem każdej rozmowy, ze znajomymi, z nieznajomymi i we własnym gronie. Aż do momentu, gdy okazało się, że błyskotliwa kariera odbija światło automatów do gier, że z kupionego dla chłopaka mieszkania zostało wyprzedane wszystko, łącznie z samym mieszkaniem, a potem jeszcze doszło do tego sto pięćdziesiąt tysięcy długu. Kamieniarz zagryzł zęby, syna się wyrzekł, obiecał tylko spłacić długi z obawy, że jego pierwородnego zamordują gdzieś w bramie. Pobicie już było zaliczone. Spłacał więc długi, kupując materiał na raty, zaciągając długi u dostawców. Nie miał pod dostatkiem materiału, zdarzało mu się sztukować nagrobki z różnych partii kamienia, czego nigdy wcześniej nie robił. A przede wszystkim spóźniał się z robotą, co też mu się wcześniej nie zdarzało.

Nagrobek Kamili wykonał wiosną. Maskowie nie znali się na kamieniu, więc nigdy się nie zorientowali, że zapłacili za materiał znacznie droższy, niż dostali. Ważne dla nich było to, że był starannie wyrzeźbiony, zgodnie z nietypowym projektem.

Kamieniarz nigdy nie odzyskał renomy godnego zaufania, zawsze już za nim szedł cień. Nie opuścił go tak, jak on nie opuścił syna w potrzebie. Spłacał jego długi wielokrotnie, za każdym razem zarzekając się, że to już ostatni raz. I tak jak wcześniej oszczędzał na emeryturę, godne życie, ewentualnie lepsze wakacje, tak od tej jesieni zbierał każdy grosz, mając w pamięci, że hazardowe długi to są dziesiątki lub setki tysięcy.

Igor siedział przed grobem, rozmawiając z Kamilą. Patrzył

w jedno miejsce, na skrzyżowanie ramion krzyża, tam gdzie na tabliczce było wyryte imię jego żony. Nic tam nie było o jego dziecku. Na początku robił Kamili ciągle wyrzuty. Że zostawiła go samego, że nie może bez niej żyć. Wyrażał pretensje, że zabrała ze sobą ich dziecko. Jak mogłaś? – powtarzał wiele razy. Potem z każdą wizytą tych pretensji było coraz mniej, aż w końcu wyczerpał ich katalog. Pojawił się żal, ściskający jak rozpalone obcegi. I znów mówił o tym, jak nie daje bez niej rady. Jak tęskni i widzi ją w każdej przechodzącej obok dziewczynie. Jak widzi jej odbicie w szybie i jak czasem łapie się na tym, że czuje jej zapach.

– Rozpylam czasem twoje perfumy – szeptał. – I wtedy wydaje mi się, że to wszystko senny koszmar, zaraz się obudzę, ty będziesz leżeć obok mnie, a mała w brzuchu kopnie moją rękę. I gdy zdam sobie sprawę, że cię nie ma, chcę wyć. I wyję czasem, jak już wyjdę w pole, daleko, aż pod las. Kopię ziemię rękami, żeby zakopać swój skowyt. Nie mogę bez ciebie, nie mogę...

W tej chwili Igor opowiadał Kamili o codzienności.

– Mam czasem wrażenie, że dzięki temu wszystko wiesz, że jesteś ze mną. Że wrócisz, a wtedy po prostu wejdiesz i będziesz u siebie, bo nie będzie niczego, o czym byś nie wiedziała.

Miał Kamili opowiadać tak jeszcze przez długi czas.

Natalia spoglądała na syna z niepokojem. Odwiedziła grób teściów i siostry męża, szybkim krokiem wróciła w pobliże grobu Kamili. Zatrzymała się pod drzewem, przysiadła na innej ławce, obserwując nieruchomo siedzącego Igora. Był gdzie indziej, tak pomyślała. Tylko ciało tu siedziało. Poruszał lekko ustami, czasem zaciskał wargi. Poza tym był nieruchomy, wpatrzony w jeden punkt.

– On zwariuje – pomyślała. – Trzeba coś zrobić.

W drodze powrotnej nie rozmawiali o niczym, tylko ręka bolała

Natalię, rękaw nie wysechł.

Rozdział 6

ONA

– Musiałam! – Olena krzyczała, zupełnie się nie krępując. Imię miała wschodnie, jej matka po urodzeniu córki przypomniała sobie o dalekich ukraińskich przodkach. Temperament jednak miała krewki, całkowicie hiszpański. Manolo, u którego w rodzinie teoretycznie nie było żadnych słowiańskich protoplastów, potrafił znacznie lepiej zapanować nad emocjami.

Tak naprawdę to było drugie imię Oleny. W dzieciństwie mówiono do niej Alejandra, nigdy zresztą tego imienia nie zdrabniając. Jej matka nie wytłumaczyła się z pomysłu nadania dziewczynce dwóch niemal takich samych imion w różnych językach. Olenie to jednak w niczym nie przeszkadzało. Już jako dorosła osoba zaczęła posługiwać się drugim imieniem, uważając, zresztą bardzo słusznie, że słowiańsko brzmiące imię w połączeniu z hiszpańskim nazwiskiem i takimż wyglądem będzie stanowiło dobry grunt do zaistnienia w szerszym świecie. A że do tego była naprawdę dobrą wiolonczelistką i trafiła na dobrego menadżera – to po latach wypracowała pozycję „naj”.

Najlepszej, najslynniejszej.

Czasami, w chwilach spadku nastroju, sama uważała siebie za oszustkę. Manewr z imieniem postrzegała wtedy jako nadużycie i zamierzała pisać listy otwarte do gazet, w których planowała kajać się przed publicznością. Kilka razy nawet zaczęła taki list pisać. Aż któregoś razu, podczas trasy po Europie, w której oczywiście nie było z nią Isabel ani Manolo, wyzaliła się swojemu menadżerowi. Zaczął się histerycznie śmiać.

– Naprawdę uważasz, że na dłuższą metę obchodzi kogoś twoje imię? Masz, jakie masz. To było istotne, jak zaczynałaś, teraz nie ma znaczenia. Teraz ważne tylko jest, żebyś nie wyszła z formy. Jesteś na szczycie już kilkanaście lat, każde twoje niepowodzenie może zostać wykorzystane. Wyobrażasz sobie? Tytuły w prasie muzycznej nie brzmiałyby „Spadek formy” tylko „Koniec pewnej epoki” albo „Gwiazda Olena wypalona?”. Tego chcesz?

Olena milczała.

– Bo jeśli nie do tego dążysz, to przestań się roztkliwiać nad sobą i idź spać. Wyspana masz szansę jutro znów zagrać dobrze, bardzo dobrze. Zmęczona i z bólem głowy po zbyt dużej ilości alkoholu – w tym momencie krytycznie spojrzal na trzeci już kieliszek wina stojący przed Oleną – nie podołasz.

Olena oczywiście się obraziła, jak na gwiazdę przystało. Twardo jednak stąpała po ziemi, była gwiazdą nie przez przypadek, kaprysy wynikały z potrzeby teatru i tworzenia wizerunku rozkapryszonej diwy, takiej z poprzedniej epoki. W głębi duszy Olena doskonale wiedziała, że menadżer ma rację. Zostawiła alkohol na stole i wyszła z restauracji, nie odzywając się do niego słowem.

Wtedy pomyślała jednak, że dobrze byłoby czasami komuś wypłakać się w mankiet. Ot tak, bez powodu. Żeby nie być tylko gwiazdą. Owszem, to cudowne uczucie móc zakładać długą

rozkloszowaną suknię z czarnego grubego jedwabiu. Zmieniała ją czasami na inną, ale zawsze wracała do kreacji zaprojektowanej dla niej przez Armaniego. Wiolonczelę swobodnie można było chwycić kolanami, długość też zdawała się idealna. Gdy Olena siadała, a instrument już znajdował swoje miejsce pomiędzy jej nogami, suknia unosiła się dokładnie na tyle, żeby ukazać buty Oleny – za każdym razem inne. Najczęściej intensywnie kolorowe. Poza tym suknia, mimo pozorów dopasowania do figury, była wygodna jak piżama. Tak przynajmniej mówiła Olena. Elastyczny materiał powodował, że nawet najdalsze wyciągnięcie smyczka nie krępowało ruchów. Niemniej jednak, była to suknia gwiazdy. A Olena czasami potrzebowała побыć zwyczajną kobietą. I nie miała tego mankietu do wyplakania, bo zaprzyjaźniła się właściwie tylko z Isabel. Grała z wieloma pianistami, z całego świata. Grali świetnie, akceptowali każdy jej pomysł, podporządkowywali się wizji. Byli po prostu znakomitymi akompaniatorami. Jednak tylko Isabel rozumiała ją tak dobrze. Tylko ona miała odwagę przeciwstawić się wielkiej wiolonczelistce i powiedzieć, że jakaś myśl muzyczna jest bez sensu, zaproponować własną interpretację. Tylko Isabel.

Nie zniosę następnej trasy po Europie bez Isabel – pomyślała sobie tamtego wieczoru Olena. Poza myślą, aby zaprojektować w końcu biały bawełniany „mankiet podróżny”, z miękką imitacją guzika, jako „gadżet dla gwiazd”, myśl o europejskim tournée z Isabel była najczęściej powracającą myślą Oleny.

– Nie zniosę już ani jednego wyjazdu do Europy – powiedziała menadżerowi.

Wzruszył ramionami.

– Kończysz karierę?

Spojrzała na niego zniesmaczona.

– To fochy w kieszeń i kupuj nowe buty. Słyszałaś ostatnie nagranie Deutsche Gramofon?

Kiwnęła głową niezadowolona. Oczywiście, że słyszała. Młoda dziewczyna, siksa, jeszcze nie skończyła studiów, a już ją ochrzczono nową Jacqueline du Pré. Olena prychała na myśl o tym. Niech ją sobie nazywają. Być „nowym kimś” to tylko kopia, ona jest oryginalna. Ale przecież wiedziała, że krytycy wyrażali w ten sposób coś innego. Używali pudełka z nazwiskiem legendarnej wiolonczelistki tylko po to, żeby podkreślić talent i możliwości dziewczyny. Jej geniusz, jak niektórzy mówili, ale Olena tego słowa do siebie nie dopuszczała.

Musiała jechać do Europy. Nie było szansy, żeby przetrwała taki wyjazd bez Isabel.

– Musiałam! – krzyczała do Manolo, który patrzył na nią z pretensją po wyjściu Isabel.

– Musiałś zepsuć pierwsze wspólne popołudnie – powiedział pozornie bez emocji.

– Nie mogę nie pojechać do Europy.

Spojrzał na nią drwiąco.

– Od tych koncertów zależy kilka kolejnych nagrań. Pozornie są zaklepane, ale jak nie zagram w Europie, przepadną.

Manolo dalej nic nie mówił.

– Tak, dokładnie tak, jak myślisz! – kontynuowała Olena. – Może się okazać, że nie jestem już takim świeżym hot-wiolonczelowym towarem, jak się wydaje. I jestem absolutną, skończoną egoistką, masz rację.

– I dlatego zepsułaś nam jutrzejszą wycieczkę?

– Niczego nie chciałam psuć. – Westchnęła głośno.

– Czy to znaczy, że któryś z tych wytwórniowych manago nie słyszał cię jeszcze na żywo? – wtrąciła Isabel. Nie zauważyli, że przysłuchiwała się rozmowie.

Olena odwróciła się gwałtownie.

– Nie. Chodzi o plotkę, że się kończę. Jestem podobno tak stara, że nie podołam wysiłkowi nagrania całej płyty, a właściwie kompletu płyt. Chcą nagrywać Bacha.

Zapadła cisza, zakłócona ledwie słyszalnym szmerem lodówki i znacznie głośniejszym szumem oceanu.

Isabel podeszła do drzwi tarasu.

– Nie rozmawiajmy o tym dziś ani jutro, proszę – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Niech do jutrzejszego wieczora będzie miło. – Spojrzała na Olenę. – Manolo chciał nam zrobić przyjemność.

Olena poczuła się skarcona jak przedszkolak. Manolo odwzajemnił uśmiech.

– A teraz pójdę na spacer – powiedziała Olena.

– Proponuję kąpiel – wtrącił Manolo.

– Właściwie czemu nie? – Olena wzruszyła ramionami. – Kąpiel w oceanie dobra na wszystkie smutki.

– Miało być miło. – Isabel ostrzegawczo uniosła palec.

Olena odwróciła się w głąb domu.

– Ręczniki wziąłem – powiedział Manolo.

– Tylko się przebiorę – odpowiedziała Olena.

Isabel i Manolo wyszli na taras. Czekali na Olenę przytuleni, zwrócenii tyłem do azulejos, oparci o pomalowaną na biało drewnianą barierkę. Wyglądali jak wycięci z obrazka – obydwójcie ciemnowłosi, on krępy, szeroki w ramionach, z kręconymi włosami do ramion, obejmujący szczupłą, właściwie drobną, niewysoką kobietę. Z tyłu Isa wyglądała jak dziewczynka. Isabel czasami żartowała, że może i wygląda jak dziewczynka, za to łapy ma jak budowlaniec. Faktycznie, ręce miała duże. Długie palce, bardzo szczupłe, na dłoniach pod skórą widać było ścięgna. Ręce, która mogły grać najszersze nawet akordy, którym żadna muzyka, nawet i współczesne klastery, nie była

straszna. Dla własnej li tylko przyjemności Isabel grywała sobie czasem początek partii fortepianu z II koncertu Rachmaninowa, mając satysfakcję z sięgania niewygodnej decymy w lewej i jeszcze bardziej niewygodnych pięciodźwięków w prawej.

Patrząc na Ise i Manu, wychodząca z domu Olena złapała się na myśli, że z tej perspektywy wyglądają jak dziecko i pedofil. Słabe żarty się mniej trzymają – pomyślała. Nie od razu wyszła na taras. Manolo i Isabel rozmawiali, wciąż przytuleni. On przesuwał ręką po jej talii, często odwracali do siebie twarze. Bił z nich spokój. Czy aby nie próbuję zniszczyć ich równowagi? – zastanowiła się Olena. – Próbuję – dopowiedziała sobie, podchodząc do przyjaciół.

Razem zeszli po schodkach na piasek, Olena wciąż patrzyła na dwójkę najbliższych jej chyba ludzi, którzy – chociaż już nie byli przytuleni – trzymali się jednak za ręce. Kapali się dość długo, trochę pływając, trochę chlapiąc jak dzieci.

– Po takim jedzeniu ciężko pływać. Zazwyczaj po posiłku udaję się na drzemkę – stwierdziła Olena.

– Dzisiaj zmiana planów. Tak jak chyba wiele innych planów się zmieni – powiedziała Isabel smutno.

– Miało być przyjemnie – skarcił ją delikatnie Manolo.

– Jeszcze dzisiaj ćwiczymy! – odpowiedziała Olena. – Teraz Schuberta.

– A co my mamy w nim ćwiczyć? – Isabel wzruszyła ramionami. – Milion razy go grałyśmy.

– Mendelssohna też, a jednak było nad czym pracować.

– Ale ja na Schuberta nie mam żadnego nowego pomysłu.

– To dzisiaj wszystko na „s”. Schubert, Schumann, Saint-Saëns.

– Allegro appassionato czy Łabędź?

– Allegro. Łabędź sam pójdzie.

– Chyba popłynię. To może jeszcze odświeżymy preludia Skriabina i Sonatę Szostakowicza.

– Wieki tego nie grałyśmy. Fajnie będzie sobie przypomnieć.

– I może zagrajmy w końcu tego Satie, jak już jesteśmy przy s.

– Mówisz o Gymnopédie? Toż to szmonces!

– Na bis się nadaje.

Ćwiczyły do wieczora, nie wracając nawet jednym słowem do wcześniejszego tematu. Isabel wyciągnęła z półek wszystkie nuty, trochę siedziały na podłodze, przewracając kartki, trochę grały. Całkowicie pochłonęła je dyskusja.

Manolo zaglądał do nich kilkakrotnie. Dwa razy przynosił dzbanek wody, potem miskę owoców. Pozostały nietknięte. Isabel nie lubiła jadać między posiłkami, a Olena nie chciała brudzić rąk. Wyszły z pracowni dopiero na kolację, na którą Manolo zaserwował ośmiorniczki z papryką, po galicyjsku. Olena na sam widok chwyciła się teatralnie za serce.

– Ty wiesz, czego potrzeba kobiecie! – wykrzyknęła.

Do kolacji wypili wino przywiezione przez Olenę, chociaż było go zdecydowanie za mało. Okazało się, że Manolo w zaprzyjaźnionym sklepie kupuje znacznie lepsze hiszpańskie trunki, niż można by przypuszczać.

– Więcej do was wina nie tacham – powiedziała Olena.

– Po co wozić drzewo do lasu. – Isabel się uśmiechnęła.

– Aż tak różowo to nie jest – skwitował Manuel. – Hiszpańskie wina są tutaj drogie i albo jeżdżę po nie daleko, albo zamawiam, ale wtedy muszę od razu wziąć dużo. Ale zdradzę ci, siostrzyczko, że australijskie wina też są niezłe.

Olena prychnęła.

– Nie zacinaj się, świat nieznany nie znaczy gorszy, pamiętasz?

I znów zapadła cisza, taka jak po obiedzie.

Rozdział 7

ON

– Będziesz musiał pojechać do biblioteki – powiedziała we wtorek.

– Po co – odpowiedział beznamiętnie.

– Będę czytać – oznajmiła Natalia.

– Słucham?

– Czytać. Takie znaczki na papierze, odwraca się kartkę, a tam znowu znaczki. I potem wychodzi z tego historia.

– Jasne, mamó. – Westchnął. – Tylko... nigdy nie czytałaś.

– A teraz chcę. Pójdiesz do pani Joanny i poprosisz o coś dla mnie. Będzie wiedziała. Zaraz pojedź.

– Chciałem pójść ojcu pomóc.

– Wszystko jest zrobione, a ja potrzebuję książki.

Igor wzruszył ramionami i pojechał do Żuromina.

Bibliotekę znał od dziecka. Kiedyś przychodził tu z matką,

jeszcze w przedszkolu. Raz na dwa tygodnie wypożyczali jakąś książkę, którą potem przeglądał wiele razy. Dla braci też coś brali, ale ci nie bardzo byli zainteresowani. Zwykle zerkali pobieżnie, i tyle.

Lubił to miejsce. Miało dobrą energię. Żywił sympatię do pań z biblioteki, były uśmiechnięte i zawsze miały czyste paznokcie, co w domu nie było oczywiste. I zawsze pomagały wybrać coś, co go interesowało.

Wszedł więc do biblioteki jakby wstępował we własne wspomnienia. Pani Joanna go nie poznała.

– Ja od Natalii Masek.

– Igor? – Zrobiła przesadnie wielkie oczy. – W życiu bym cię nie poznała na ulicy. Dawno cię u nas nie było. – Uśmiechnęła się.

– Uczyłem się w technikum, tam miałem bibliotekę, a teraz...

– A teraz jesteś tutaj. – Przerwała mu. – Mama dzwoniła. Mam dla niej wybrane książki.

– Aż trzy? – Zdziwił się.

– Na spróbowanie. Dawno do nas nie zaglądała, chociaż kiedyś dużo czytała.

– Mama czytała?

– Trudno w to uwierzyć? Kiedy byliście mali, czytała regularnie. Podziwiałam ją, że znajduje na to czas przy czwórce dzieci. A dla ciebie? Też coś wybrać?

– Może... Rozejrzę się.

Rozłożyła ręce:

– Wszystkie półki twoje.

Ruszył wzdłuż regałów. Poszukał kryminału, sięgnął po pierwszy z brzegu. Agatha Christie, znam – westchnął. Wdychał zapach książek, nie kojarzył mu się niemal z niczym, poza

szkolną biblioteką, gdzie królowała Straszna Bibliotekarka, tak ją nazywali. Nie pozwalała się odezwać, biblioteka była dla niej sanktuarium ciszy i należało tam mówić szeptem. Poza tym wszystkich ludzi traktowała na równi – jak pacanów, czemu zresztą często dawała wyraz. „Te pacany na korytarzu hałasują. Bądź łaskaw zamknąć wreszcie te drzwi!” – mówiła, gdy ktoś zostawił je uchylone. „Nie chcę, by któryś pacan mi tu krzyczał” – mówiła innym razem. Strofowała tak, pomimo ciszy panującej w bibliotece. Wypożyczalnia była na poddaszu, wchodziło się tam po skrzypiących, drewnianych schodach. Igor wiele razy się zastanawiał, czy wytarte niemal do białości drewno poręczy spełniłoby swoją funkcję, gdyby ktoś upadł na barierkę. Nikt szczęśliwie nie próbował. Uczniowie do biblioteki wchodziли szybko, pożyczali zadane lektury, wychodzili jeszcze szybciej.

Teoretycznie Kamila i Igor, jako wzorowi uczniowie, powinni czytać więcej, znacznie więcej niż lektury. Bibliotekarka jednak skutecznie zniechęcała do czytelnictwa. Za progiem jej sanktuarium uczniowie przestawali być dla niej pacanami, stawali się czytelnikami, ale tylko na chwilę. Kobieta była zgryźliwa i wredna, nie tylko wobec uczniów, także dla nauczycieli. Nikt nie wiedział, dlaczego, nie było nawet żadnych szkolnych legend. Żeby chociaż pojawiła się w jej otoczeniu jakaś nieszczęśliwa miłość, tragedia rodzinna, cokolwiek. A tu nic. Nikt nic nie wymyślił.

Tutaj było inaczej. Igor czuł się mile widziany. Wybrał na chybił trafił trzy kryminały i wrócił do pani Joasi. Odhaczyła pozycje w jego karcie i życzyła miłej lektury.

– Wpadaj częściej – powiedziała na odchodnym.

Matka przyjęła książki bez emocji.

– Ha – mruknęła, patrząc na tytuły. Nic Igorowi nie mówiły arabskie księżniczki na okładce ani śliczna dziewczyna prawym profilem zwrócona do widza.

To mama mnie ukulturalniła, wysłała do ludzi, a teraz na

kilka dni położy książki na szafce obok łóżka, po czym każe mi je oddać. Nie pamiętam jej z książką w ręku odkąd... pamiętam – pomyślał.

Jego jednak książki zaciekały. Jeszcze tego samego dnia zaczął czytać gruby kryminał polskiego autora, polecanego przez panią Joannę. Facet miał zimne nazwisko, ale pisał gorąco.

Mróz – pomyślał – niedługo przyjdzie. U mnie jest od lipca.

Książkę skończył czytać o trzeciej nad ranem. Nigdy wcześniej nie czytał tak długo, intensywnie. Zdziwiło go, że w zmyśloną historię można na parę godzin wejść całym sobą.

Zasnął natychmiast po zgaszeniu światła, bez przewracania się po łóżku. Spał bez koszmarów – tak, jak nie zdarzyło mu się od lipca.

Rano spostrzegł, że w jedną z książek matki włożona jest zakładka, w jednej trzeciej mniej więcej.

– Mama naprawdę czyta? – Zdziwił się głośno.

– A co, macać mam? Myślałeś, że co zimą robię w domu? Odkąd ty wyjechałeś, dzieci przejęły gospodarkę, to i latem nie ma tyle roboty co zwykle. A zimą to w ogóle. Tylko prądu dużo zużywam, oczy psuję.

Igor bez słowa wszedł do kuchni i zajął się pomaganiem przy śniadaniu.

Po posiłku ruszył z ojcem do warsztatu obok stodoły, mieli do naprawienia siczarnię. Natalia zajęła się czytaniem, bardzo z siebie zadowolona. Widziała, o której godzinie Igor wyłączył światło.

Rozdział 8

ONA

Wycieczka była bardzo udana, Australia pokazała swoje najlepsze oblicze. Ptaki, wodospad. Widoki, jezioro, jaz. Jak w folderze.

– Tak jakbyś nie kłamała – dodała Olena, gdy wracali już do samochodu. – Pięknie tu.

– Tak jakbym – odparła Isabel.

– Ale męcząco. Czas wracać – dodała Olena, myśląc o tym, że chciałyby trochę poćwiczyć. Sama. Nie była zadowolona z jednej z figuracji w Schubercie, brzmiała jej zdaniem płasko i wymagała dopracowania.

– Tak po prostu, chcecie wracać? – zapytał Manolo.

– Samochodem, nie tak bardzo po prostu – ostrożnie powiedziała Olena. – Piechotą daleko...

– Nie jesteście głodne? – Manolo się zaśmiał.

– Ja jak wilk! – przytaknęła Olena.

– W bagażniku są dwa kosze z wyżerką – wtrąciła Isa. – Ja tylko pakowałam! – Uniosła ręce w obronnym geście. – Nie patrz tak na mnie, niczego nie zatrulałam!

Posiłek miał standard Manuela, był znakomity. Znów poszalał z tradycyjną kuchnią hiszpańską. Resztką paelli, trochę świeżego pieczywa i przede wszystkim ziemniaczana tortilla, którą w pierwszej kolejności zjedli do samego końca.

– Teraz potrzebuję sjesty – powiedziała Olena, wyciągając się wygodnie na kocu.

– A proszę bardzo – odpowiedział Manuel. – Schowam tylko to, co zostało z lunchu, bo inaczej mrówki zjedzą nas żywcem.

To była jedyna rzecz, której Isabel nie lubiła w Australii. Insekty. Właściwie w każdym miejscu „coś” żyło. Nie darmo Australia była domem atraksa, najgroźniejszego pająka świata. Poza tym żyło tutaj wszystko, zupełnie nie krępując się obecnością człowieka. Isabel już do tego przywykła, nie czuła się jednak komfortowo, zasypiając przy otwartych oknach. W sypialni mieli moskitiery, czasami jednak zdarzało im się zostawić uchyloną siatkę przy wyjściu na taras. Następnego dnia Isa budziła się pokąsana, nawet nie wiedziała przez co.

We trójkę ułożyli się na kocu, obserwując schyłek dnia.

– Nie chcę tam wracać – powiedziała w pewnym momencie Isabel.

– Mieliśmy o tym nie rozmawiać do końca dnia – wtrącił Manolo.

– Już jest prawie koniec dnia. – Isabel nie dała sobie wejść w słowo. – Bardzo nie chcę – mówiła, patrząc na Olenę.

– Będziesz ciągle uciekać? – zapytała cicho Olena.

– To nie kwestia ucieczki. Po prostu nie chcę.

– Isa. – Olena odwróciła się w jej stronę i chwyciła za obie ręce. – Jesteś już do siebie niepodobna. Te „delikatne zabiegi

upiększające”, jak uparłaś się je nazywać, zmieniły twoją twarz. Jesteś niemal nie do poznania. Ile można zamykać sobie samemu drzwi przez nosem? Europa jest ci potrzebna. Mamy ostatnie dziesięć, maksimum piętnaście lat kariery na scenie. Może mniej. Przynajmniej ja, ty jesteś młodsza. Wszystkie kraje są świetne, ale nic nie zastąpi starego kontynentu.

– Nie chcę – ponownie powiedziała Isabel. – Ale pojedę.

– Jesteś pewna? – Manuel niespokojnie popatrzył na kobiety.

– Nie rób nic na siłę – mówił do Isabel, ale patrzył twardo w oczy Olenie.

– Przestań Manolo. Jestem dorosła.

– Wtedy też byłaś.

– Chcę pomóc Olenie.

– I zaszkodzić sobie?

– Nikomu nie będę szkodzić. Po prostu moje bluzki mają długie rękawy. I są białe.

– Co mają do tego ciuchy? – Manuel się zdziwił.

– Mają mankiety – odpowiedziała Olena.

Rozdział 9

ON

Dni miały Igorowi spokojnym rytmem. Jedzenie – sprzątanie – warsztat – trochę spotkań z sąsiadami – długie wieczory z książką. W międzyczasie spacer w pola, daleko, gdzie mógł krzyczeć niemal bezkarnie, płosząc zwierzęta, gdzie mógł żalić się Kamili. Wychodził jednak coraz rzadziej, zima przyszła szybko, mocno śnieżna i mroźna.

Uśmiechając się pod nosem, Igor zamówił w bibliotece wszystkie tomy Mroza. Odpowiednia pora roku – pomyślał.

Regularnie przywoził książki matce i sobie, tylko ojciec wolał spędzać czas przed telewizorem.

– W życiu tyle nie przeczytałem! – mówił, patrząc na wciąż zmieniające się tytuły w rękach Natalii.

Wiosną Igor pomyślał, że gdyby żyła Kamila, opiekowałiby się ich kilkumiesięcznym dzieckiem i na pewno nie miałyby czasu czytać. Zastępuję cię słowem – pomyślał z żalem nad grobem Kamili. Zdziwił się, bo pierwszy raz zwrócił się do zmarłej żony

ze smutkiem, ale bez rozpacz. – Czy ja się przyzwyczajam? Do tego, że ciebie nie ma? – przestraszył się. Jak co tydzień siedział na cmentarnej ławce długo, rozmawiając z Kamilą i każąc jej pilnować córeczki.

Zauważył też, że jesienią i zimą miał ochotę przyjeżdżać na cmentarz codziennie, czasem nawet kilka razy dziennie o tym myślał. Teraz był tu raz w tygodniu. Umarli mają swoje miejsce w zaświatach – powiedział mu kiedyś ksiądz podczas spowiedzi.

Bo jesienią Igor był u spowiedzi co tydzień. Nie potrafił wypowiadać się z żalu, że pozwolił Kamili zasnąć wśród kwiatów. Nie mógł wybaczyć sobie, szukał wybawienia w kościele.

– Proszę księdza, ksiądz mu coś poradzi – mówiła Natalia, a ksiądz kręcił głową.

– Pani Maskowa, Bogu mogę chłopaka polecać, modlić się za niego i za was. Ale jego duszy nie wyleczę, tylko Pan Bóg może.

– On na księdza chce iść.

Kapłan pochylił głowę, by Natalia nie widziała jego uśmiechu.

– Pani syn cierpi, pani Maskowa. To dobrze, że jego myśl zwróciła się do Boga i kościoła. Chociaż wyglądało na to, że się na Boga obraził. Ale z niego księdza nie będzie.

– Ja to bym chciała... – Natalia westchnęła.

– Każda matka by chciała, by jej rodzinę Pan Bóg naznaczył powołaniem. Ale nie można nic na siłę robić, pani Maskowa, nic. Pan Bóg tego nie lubi i nie chce takich poświęceń. Kłopoty by tylko z tego były.

Ksiądz Andrzej, proboszcz w niewielkiej wiejskiej parafii, sam siebie uważał za niewiele znaczącego. Był skromny i mądry. Sporo w życiu widział, także takie powołania, które były krzykiem rozpacz, żalu, buntem po stracie, a które potem przynosiły łzy i inną rozpacz. Albo ksiądz cierpiał w milczeniu, albo łamał śluby, albo występował z kapłańskiego stanu. Raz

już ksiądz Andrzej widział matkę, która ze zgryzoty umarła – gdy okazało się, że jej syn, ksiądz, duma całej rodziny, miał syna z parafianką. Lepiej dobrze ocenić powołanie i nie czynić nic pochopnie – wyszeptał do siebie ksiądz.

Tak jak ksiądz Andrzej przewidział, wiosną Igor pojawiał się u spowiedzi rzadziej. Zostawał w kościele po mszy, modlił się żarliwie, czasem przychodził na mszę w środku tygodnia. Nie miał już w sobie jednak tej pasji, z jaką wcześniej stawiał każdy krok, z jaką spoglądał na ołtarz. Przestał się z Bogiem kłócić, chociaż ciągle z nim rozmawiał.

Natalia patrzyła na to z zadowoleniem. Zdawało jej się, że syn wraca do życia, że staje się takim, jakim go знаła. Spędzali razem sporo czasu, chociaż rozmawiali niewiele. Głównie razem czytali, przez całą zimę. Wiosną Igor wychodził w pole, pomagać braciom i ojcu, ale nie pracował już całymi dniami. Zostawał trochę z Natalią, jeździł do Żuromina, pożyczał książki.

Dominik się nie wtrącał. Nie odzywał się, gdy syn przypominał chmurę złości, nie odzywał się i teraz. Oddał stery, chciał już odpocząć. Nie jeździł samochodem, syrenkę powierzył Igorowi. Do kościoła woził go starszy syn, po zakupy jeździł Igor, do sąsiadów Dominik chodził piechotą. Zdziadział coś ten mój mąż – myślała Natalia, ale nic nie mówiła, obawiając się mężowskiej złości. Dominik nigdy nie podniósł na nią ręki, jednak mąż to mąż. W domu to i czasem coś przygadała, ale to w złości, rzadko i trochę tylko, przy ludziach nigdy. Szanowała go.

Igor wczesną wiosną wyciągnął aparat, schowany po powrocie z Warszawy. Wychodził w pole wcześniej rano, przed świtem. W pasach mgły udało mu się strzelić kilka fot zającom, bażantom i lisom. Widział też ślady dzików, zryte pole, szeroką ścieżkę ich przejścia. Wypstrykał już kilka filmów, uznał, że czas zawieźć je do fotografa.

– Dzień dobry panu, panie Kozłowski – powiedział w wejściu, zaraz po wybrzmieniu dzwonka zawieszzonego nad drzwiami.

– Przyjdę zaraz – odpowiedział z głębi zakładu rzemieślnik. – Czym mogę służyć? – zapytał, wychodząc z zaplecza. – A, to ty. – Uśmiechnął się, poznając Igora. Słyszał o tragedii chłopaka, ale starszy pan żył we własnym świecie. Uznał, że takie wiadomości to tylko ploty głupich starych bab, na co jego małżonka obraziła się, na trzy dni pozostawiając ślubnego bez ciepłego posiłku. Pan Kozłowski nie rozpamiętywał. Miał swój zakład, swoją ciemnię, swoich klientów.

– Przeszedłem oddać kilka filmów. – Igor wyciągnął torebkę z plecaka.

– Oj, mnogo tego. – Fotograf się zaśmiał. – A Kamila kiedy przyjdzie?

Zdał sobie sprawę, że stare baby, na czele z jego żoną, mówiły prawdę. Chłopak pobladł, dłoń opartą o szklaną gablotę zacisnął. – Pan... – wyszeptał, a starszy pan postanowił iść w zaparte. Nie wie, nie orientuje się. Nie byłby w stanie wytłumaczyć młodzieńcowi, dlaczego chlapanął taką głupotę. Dlatego nic nie powiedział, czekał tylko cierpliwie, aż chłopak wreszcie coś z siebie wydusi. – Kamila nie żyje – odparł Igor w końcu.

– Nie żyje? – Pomimo żoninych informacji nie mógł w to jednak łatwo uwierzyć.

– Umarła na weselu. Na własnym weselu, wie pan? Zasnęła wśród kwiatów, dosłownie, i zabrała naszą córeczkę ze sobą.

– Chcesz, chłopaku, pogadać? – Pan Kozłowski nie wiedział, co powiedzieć, powiedział więc pierwsze, co przyszło mu do głowy.

Igor chciał. Zdał sobie sprawę, że nie cała Ziemia żyje jego nieszczęściem. Że wciąż jest inny świat, choć zdawało mu się, że on sam leży w trumnie razem z Kamilą. Nie miał potrzeby opowiadać, wszyscy wiedzieli. A teraz okazało się, że nie wszyscy. Więc opowiadał, aż wypił trzecią herbatę.

– To ja ci te zdjęcia na pojutrze wywołam – powiedział pan Kozłowski. Zmierzchało już.

– Dziękuję – powiedział Igor. Przecież nie dziękował za zdjęcia.

Po wyjściu chłopaka fotograf usiadł za ladą, nie spodziewał się już żadnych klientów, chciał trochę ciszy, nim wróci do domu. Gdera, to gdera – pomyślał. – Ale przynajmniej żyje i żyła ze mną prawie czterdzieści lat. – Powiem jej, że miała rację. Że ta mała naprawdę umarła, chociaż wbrew logice i wbrew światu. I Bogu, ale już dawno mówiłem, że Boga nie ma.

Zanim Igor ruszył w stronę domu, zaszedł jeszcze do biblioteki.

– Nie przeczytałem jeszcze wszystkiego, jedną tylko mam z powrotem, ale jeszcze bym coś wziął – powiedział.

Wszystkie bibliotekarki już go znały i nie robiły problemów. Na początku wręcz wzbudzał sensację. „Patrz, to ten, co mu żona na weselu umarła” – szeptali ludzie, w tym i bibliotekarki, czasami nawet pokazując Igora palcem. Od kilku miesięcy pojawiał się jednak w mieście regularnie, przestał być sensacją, chociaż wciąż spotykał ciekawe spojrzenia, nieme pytania. Uśmiechał się wtedy tylko samymi ustami, a już i tak głęboka zmarszczka pomiędzy brwiami powiększała się.

Wrócił do Żuromina po trzech dniach, wiosenne prace w polu jednak zatrzymały go w domu. Najpierw zaszedł do Pana Kozłowskiego.

– Mam, synku, dla ciebie, coś chciał. – Fotograf był zadowolony ze swojej pracy. – To są dobre zdjęcia.

Igor otworzył dużą kopertę, oglądał odbitki, uśmiechał się oczami.

– Rzeczywiście, proszę pana, piękne! – powiedział.

– Oj tak, chłopaku. To twoja robota! Ja tylko nie zniszczyłem twojego kadru. Ty to masz oko, chłopie. Takich zdjęć ja tu jeszcze nie robiłem – stwierdził fachowiec. – A robię w tym fachu

już ponad trzydzieści pięć lat.

– Wie pan, Kamila mnie uczyła – wyjaśnił. – Tata jej przywoził książki, czasem kupowaliśmy „Fotografikę”, takie czasopismo. I Kamila mnie wyciągała rano na zdjęcia, wtedy światło miało być najlepsze i chyba było – akurat oglądał zdjęcia z zającem. – Te były robione o świcie, niech pan spojrzysz.

– Widziałem, chłopaku, widziałem. Tyś się powinien kształcić, a nie na traktorze marnować – wyraził wynik swoich wielomiesięcznych przemyśleń. – Myślałem, że już do mnie nie przyjdiesz. Ludzie gadali, żeś wyjechał, na studia, do Warszawy, i żeś teraz wielki pan. A ty, proszę, tutaj i ze zdjęciami.

– Bo ja byłem, proszę pana, na studiach. Tylko pan ze mnie żaden, bo wróciłem po dwóch tygodniach, i jestem.

– To ty tam chłopie wracaj czym prędzej. Tutaj nic nie działasz, a uczyć się na fotografa powinieneś.

– Takich studiów nie ma. – Igor się uśmiechnął.

– To nie idź na studia tylko na inne coś, ja się tam nie znam, ale idź. Cobyś nie skończył jak ja, a ty talent, chłopaku, masz.

– Ja myślałem... Myślałem, że ten zakład to pana miłość.

– Bo jest. – Starszy pan się zamyślił. – Moja miłość... ten zakład mam po ojcu. Nie chciałem go przejmować, chciałem w świat jechać. Zakochałem się w mojej Ewuni, a jej się świat nie uśmiechał. Chciała blisko mamy być, zakład dawał utrzymanie i spokój o jutro. Więc zmusiła mnie, żebyśmy zostali i żebym po ojcu warsztat wziął. I tak żyję czterdzieści blisko lat, i czasem tylko zatęsknię. Jedź ty, chłopaku, jedź.

– Dziękuję – powiedział Igor, składając starannie zdjęcia.

Do biblioteki niósł tym razem całą siatkę książek – od mamy i przeczytane przez siebie. Ostatnio nawet dla bratowej wziął książkę, ale nie bardzo jej się spodobała. – Bardziej o miłości mi weź – zażyczyła sobie.

– Coś bardziej o miłości poproszę, nie dla mnie – dodał od razu, widząc uśmiech bibliotekarki. – I dla mamy coś w takim stylu – pokazał ostatnio czytana przez Natalię książkę – a ja to sobie sam wybiorę.

Odłożył plecak i kopertę ze zdjęciami na kontuar. Wracając, trzymał w rękach cztery nowe kryminały, tracił kopertę, zdjęcia rozsypały się po podłodze. Akurat weszła pani Joanna.

– Oj, chłopaku, zasypujesz nas – powiedziała i schyliła się, by mu pomóc.

– Ja poradzę, już sprzątam – tłumaczył się Igor. – Proszę się nie kłopotać.

– Zostaw – odparła dyrektorka. – Skąd masz te zdjęcia?

– Od pana Zenona właśnie odebrałem.

– Ale kto je robił?

– Ja – powiedział zdziwiony.

Pani Joanna milczała, przerzucając kolejne odbitki.

– Kto cię tego uczył?

– Ja sam, z Kamilą trochę... nikt. – Wzruszył ramionami.

– Mogę je zatrzymać, na kilka dni tylko? Nie dłużej. Oddam wszystkie.

– Tak, jasne – odpowiedział Igor i pożałował swoich słów, gdy tylko je wypowiedział. Nie chciał rozstawać się z odbitkami. Odpowiedział odruchowo, z grzeczności.

Wracał do domu niezadowolony. Chciał w spokoju obejrzyć zdjęcia, posegregować według siebie tylko znanego klucza, ocenić, powspominać okoliczności ich zrobienia. Lubił ten moment – przypominania sobie, co go zainspirowało do naciśnięcia spustu, co myślał, gdy strzelała migawka. Jakie było światło, pora dnia, otoczenie. Próbował wyciągać wnioski, poranne światło – dobrze oświetlone przedmioty o wyrazistych konturach, światło wieczorne – raczej wydobywa smutek niż

kształt i kolor. Po raz pierwszy robił to z Kamilą i wyobrażał sobie, że gdy usiądzie nad stertą tych zdjęć, to Kamila przez chwilę będzie znów z nim.

Musiał na to poczekać.

Podczas kolejnej wizyty w bibliotece pani Joanna oddała mu szarą kopertę z suchym „dziękuję” i zapytała o samopoczucie Natalii.

– Mamie już lepiej – odpowiedział. – Doktor stwierdził tylko grypę, ale kazał leżeć.

– Grypa to wbrew pozorom ciężka choroba. Życz mamie zdrowia – oznajmiła i poszła do swojego gabinetu.

Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Oddał książki mamie i bratowej, chwycił w dłoń dzbanek kompotu i ruszył do swojego pokoju, na górę. Tam na łóżku i na podłodze rozłożył zdjęcia i oglądał je krytycznym okiem.

– Chciałbym, żebyś je skomentowała – powiedział do żony.

Rozdział 10

ONA

Przez następne dni ćwiczyły, ciągle ćwiczyły. Manuel przygotowywał posiłki, starał się przy tym nadzwyczaj. Gotował za dużo. Żał było mu wyrzucić pozostałości, a najczęściej zostawało dwa, czasem trzy razy więcej, niż zjadali. W ciągu kilku dni zamrażarka się zapełniła, ale postawił sobie za punkt honoru nie podawać odgrzewanych dań.

Jeździł po zakupy, nie zapominając nigdy o soku jabłkowym dla Oleny. To była, swoją drogą, dla niego zagadka – dlaczego Olena tak pokochała ten sok? To nie był napój typowy w Hiszpanii. Olena jednak ten smak uznawała za niezbędny do życia. Jeździła po całym świecie, równie dobrze mogła zapalać miłością do japońskiej coli o smaku czosnku. Przynajmniej byłoby oryginalnie – pomyślał kiedyś.

Jabłka oczywiście w Hiszpanii istniały, ale nie były popularne. Manolo pamiętał, gdzie Olena po raz pierwszy wypila sok jabłkowy. To było w Polsce, wiele lat temu. Postanowiła wtedy ruszyć śladami swojego imienia, odszukać daleką ukraińską

rodzinę. Myślała o tym niemal od dzieciństwa, ale powiedziała dopiero, dorastając. Traktowano to jako bajdurzenie nastolatki. Gdy zorientowano się, że dla Oleny to nie tylko mrzonka, a wycieczka powoli staje się celem, cała rodzina ją powstrzymywała, w tym matka, która na Ukrainie nie była nigdy. Owszem, sentyment tak. Można było tęsknić, od czasu do czasu zanucić jakąś kozacką pieśń, nawet matka Oleny przed rodzinnymi spotkaniami przypominała sobie teksty i melodie, żeby ot tak, od niechcienia zupełnie, zaśpiewać „coś”. Czasem zakładała białą bluzkę z bufiastymi rękawami, bogato ozdobioną intensywnie czerwonym haftem. Z Ukrainą nie miało to wiele wspólnego. Ale jechać w te dalekie strony? Na wschód tak daleki, że niemal nie mieścił się na mapie? Po cóż by. Tęsknota była wygodna, usprawiedliwiała okresową melancholię, a także temperamentne wybuchy wściekłości. „Kozacka krew” – komentowano wtedy w rodzinie i dawano matce Oleny spokój.

Od dnia, w którym Ukraina stała się wolna, od tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, Olena myślała o odszukaniu swoich korzeni już cały czas. Gdy ponownie głośno wyraziła chęć podróży w rodzinne strony, wybuchła panika.

Gdzie? Jak? Po co? Nikogo nie znamy. Nazwisko tylko. Nic nie wiadomo.

Przez te kilka lat wybijano Olenie pomysł z głowy, było to przedmiotem każdego niemal rodzinnego spotkania. Manuel słyszał rozmowę na ten temat podczas każdego urodzin, każdej rocznicy dowolnego święta, podczas Wielkanocy i Bożego Narodzenia. Ucichły kozackie pieśni, nie było haftowanych bluzek.

Olena też przestała o tym mówić. Po czym, przy najbliższej nadarzającej się okazji, spełniła swój zamiar, nikomu się z tego nie tłumacząc. Manolo był wtedy w Polsce, a ona przyjechała na koncerty, była już wtedy słynną wiolonczelistką. Zaplanowała

po prostu kilka dni „wolnych”, prosząc organizatorów o zarezerwowanie powrotnego biletu lotniczego tydzień później. Jednocześnie zwolniła rezerwację hotelową. O nic nie pytano, przypuszczając, że zwyczajnie się zakochała i potrzebuje kilku dni gdzieś na uboczu.

A Olena pojechała do Kijowa. Była przerażona już w pociągu. Postanowiła podróżować nie jak diwa, tylko jak zwykły szary człowiek, i szybko tego pożałowała. Miała kupiony bilet, ale ledwo wbiła się do wagonu. Stała na korytarzu, bezradnie obserwując ludzi szukających dla siebie wygodnej pozycji. Wypchnięto ją tuż obok WC, z którego okropnie śmierdziało. Nieustannie ktoś przechodził jej po nogach. Starła się „trzymać pion”, w końcu jednak nie wytrzymała, usiadła na brudnej podłodze. Przysypiała co chwilę na moment, a potem budziła się z głębokim przestraszonym wdechem. Miała nieodparte wrażenie, że ktoś chce jej ukraść torebkę, a to po prostu szturchano ją w drodze do WC.

Właściwie miała rację. Była niestosownie ubrana. Miała na sobie płaszcz z dobrej wełny i elegancką bluzkę. Na szczęście nie miała biżuterii, ale sama torebka, chociaż pozbawiona znanego logo, była z dobrej skóry. Olena była kusząca, nie okradziono jej tylko z tego względu, że trzymała torebkę kurczowo w rękach i budziła się dosłownie co kilka minut, więc nie stworzyła okazji dla złodzieja. W Kijowie nie udało jej się znaleźć taksówki, ruszyła więc piechotą do hotelu oddalonego od dworca raptem o kilkaset metrów. Dwóch chłopaków szło za nią, jej walizka była bardzo intrygująca. Nie zdążyli jednak. Najpierw przeszkodził im przejeżdżający patrol policji, potem Olena weszła do jakiegoś kiosku, cały czas trzymając kurczowo torebkę jedną ręką, drugą ciągnąc walizkę. Oglądała się za siebie, jakby wyczuwała złe zamiary chłopaków. A potem okazało się, że stała już przed hotelem. Chłopcy z żalem odeszli, nie wiedzieli, że wcale nie obłowiliby się szczególnie. Olena miała ze sobą sto dolarów, książeczkę czekową i same ciuchy w walizce. Żadnych cennych przedmiotów. Chociaż w sumie sto

dolarów dla owych chłopców było majątkiem. Na szczęście dla Oleny wcale się o tym nie przekonali.

Cała wyprawa okazała się kompletną porażką. Olena nie znalazła nikogo ze swojej rodziny. Pod jedynym znanym jej adresem, odszukanym niechętnie przez matkę na starych zapiskach babci, nie było już żadnego budynku mieszkalnego. Nikt nie wiedział nic o mieszkańcach kamienicy, która stała tu przed pięćdziesięcioma laty. W urzędzie patrzono na nią jak na manekina. Cały czas miała wrażenie, że kobiety oglądały jej ciuchy, cmokając i komentując, czego oczywiście Olena nie mogła rozumieć. Muszę stąd zniknąć – pomyślała w pewnym momencie. – Bo za chwilę mnie rozbiorą, najpierw z ciuchów, a potem z ciała. I zjedzą w potrawce z Hiszpanki, na kolację.

Jakkolwiek wizję kanibalizmu uznała za abstrakcję, to jednak nie znalazła nikogo, kto potrafiłby jej pomóc. Co gorsza, nikogo, kto chciałby jej pomóc. Była przekonana, że rodzinę da się odszukać, nawet jeśli była to bardzo daleka rodzina. Nie umiała jednak mówić ani po ukraińsku, ani po rosyjsku, ani w żadnym innym słowiańskim języku, i tu dopatrywała się sedna swojej porażki. Wróce tu kiedyś – pomyślała, wymeldowując się z hotelu. Nie kupiła właściwie żadnych pamiątek. Na ulicach Kijowa kwitł handel na łózkach polowych, dokładnie taki, jaki widziała w Warszawie. Nie było tam nic, co chciałyby ze sobą zabrać.

A jednak zabierała ze sobą pamiątkę. O niej jednak nie powiedziała prawie nikomu.

Manolo wrócił na chwilę do wspomnień i nawet zastanowił się, czy o nich nie porozmawiać. Nie miał jednak odwagi. Kupował, gotował, a one ćwiczyły, z przerwami na przygotowane przez niego posiłki. Popołudniami wspólnie spacerowali, nie za długo – propozycje wycieczek po parkach narodowych nie spotkały się ze zrozumieniem instrumentalistek. Pragnęły muzyki.

– Jesteście trochę jak wariatki – powiedział przy obiedzie dwa dni po wycieczce do Parku Beelu.

- Trochę? – Olena się zdziwiła.
 - Jesteśmy całkowicie jak wariatki. – Isabel ją poparła.
 - Nic nie robicie całymi dniami. – Manolo się upierał.
 - Tylko całymi dniami pracujemy – poważnie uzupełniła Olena.
 - Jak wariatki – dodała Isa.
 - I ciągle gracie coś nowego.
 - Yhm. Dzisiejsze popołudnie na „b” – powiedziała Isa.
 - Wariacje na fortepian i wiolonczelę Beethovena i Sonata F-dur Brahmsa – uzupełniła Olena.
 - I Boccherini.
 - Przerobicie cały alfabet? – zainteresował się Manolo sarkastycznie.
 - A wiesz, że to jest pomysł? – parsknęła Isa. – Na razie mamy za mało repertuaru.
 - Coś by się zebrało – wtrąciła wiolonczelistka.
 - Od razu z „a” mam problem.
- Zastanowiły się chwilę.
- Dajcie spokój.
 - Tylko będziemy musiały coś polskiego zagrać – powiedziała Isa, już się nie uśmiechając.
 - Wyjeżdżam za trzy dni, zdamy.
 - Miałaś zostać dłużej! Podobno masz open bilet?
 - Nie mam, ale mogę go zmienić.
 - Oszukałaś mnie! – udała obrażoną Isabel.
 - Tylko trochę. Nie chciałam, żebyś się spieszyła.
 - To teraz będziemy się spieszyć. Do roboty. Chopin, Lutosławski i Karłowicz – zarządziła Isa.

– A Chopina co? – zainteresowała się wiolonczelistka.

– Wszystko! Grand duo concertant, polonez i sonata, nie ma lekko.

Olena jęknęła.

– To czas do pracy – powiedziała ze zboloną miną. Odchodząc od stołu, mrugnęła do Manolo. Wcale nie był zachwycony obrotem spraw.

Rozdział 11

ON

Telefon zadzwonił, gdy Igor z Natalią siedzieli razem w salonie. Zaczynało zmierzchać i Igor zamierzał właśnie wstać i zapalić matce lampę.

– Igor, musisz coś dla mnie zrobić – powiedziała Zosia.

– Eeee... – odpowiedział inteligentnie.

– W przyszłym tygodniu są chrzciny u nas w rodzinie. Nie są zasobni, a wszyscy fotografowie się tu cenią. Zrobiłbyś zdjęcia? Za choć trochę mniej?

– Nie robię zdjęć imprezowych. Nigdy nie robiłem.

– To teraz zrobisz. Tylko czy kwota ci odpowiada.

– Pieniądze nie są problemem. Po prostu nie chcę robić tych zdjęć.

– Bardzo byś pomógł.

– Nie nalegaj.

– A jednak. Zastanów się. I tak wstępnie powiem, że się zgadzasz. Trzymaj się.

– Ale ja się nie zgadzam – powiedział chłopak, jednak Zosia już się rozłączyła.

Matka patrzyła zaciekawiona.

– Zosia z Brudnic – rzucił lekkim tonem.

– A co ty masz z dziedziczką?

– Nic właśnie nie mam. Chce, żebym zdjęcia na chrzcinach robił.

– To zrób.

– Mamo, jestem amatorem. Fotografuję wyłącznie dla siebie. Nie ma mowy.

– Ty się na pracę i pieniądze nie obrażaj, tylko bierz robotę, jak dają i płacą.

– Mamy finansowy problem? Mamo? Pójdę do pracy.

– Synu, radzimy sobie, ale grosz zawsze się przyda, a ty będziesz miał zajęcie. Zadzwoń do Zosi i powiedz, że się zgadzasz.

– Ale ja się nie zgadzam!

– A właśnie, że się zgadzasz – ucięła Natalia.

Następnego dnia znów zadzwoniła Zosia.

– Cieszę się, że się zgodziłeś. Możesz przyjechać? Pokażę ci miejsce i omówimy jakieś szczegóły.

– Ale ja...

– Chrzcziny będą w Lubowidzu, a impreza u nas w dworku. Dawno tu nie byłeś, pozmieniało się. Pewnie musisz zobaczyć. Chciałabym, żebyś był na początku imprezy i zrobił trochę rodzinnych zdjęć. Może w ogrodzie.

– Ja...

– Dasz radę jutro? Może być około pierwszej? Tylko przywieź trochę swoich zdjęć, babcia chce obejrzeć.

– W porządku – powiedział, myśląc: pojedę i powiem, że nie zrobię żadnych zdjęć. Mogę pójść nad rzekę, o świcie, zdjęć tam trochę ptaków, mogę pójść do ogrodu, ale imprezy rodzinnej robić nie chcę.

A jednak pojechał i tego nie powiedział. Była babcia, Zosia i jej mama, która dawno temu wyjechała za pracą i rzadko przyjeżdżała do Brudnic. Zosia przedstawiła chłopaka i zostawiła go w rękach babci, której nie dało się absolutnie niczego odmówić. Starsza pani miała charyzmę i osobowość o sile lokomotywy parowej, załatwiała wszystko, co chciała. Zdjęcia na chrzciny w wykonaniu Igora też.

Ciekawe było to, że babcia wcale nie chciała tego załatwić. Kilka dni wcześniej Zosia, będąc w bibliotece, spotkała panią Joannę, która wciąż była pod wrażeniem zdjęć.

Babcia Zosi zaś zaczęła chcieć tego fotografa na chrzcinach wnuczki od momentu, gdy zobaczyła zdjęcia Igora.

– Niech będą takie, o. – Pokazała palcem.

– Wszystkie czarno-białe? – upewniał się Igor.

– Wszystkie to nie. Ale z kościoła niech będzie dużo. I takich kolorowych też.

No to się dowiedziałem – pomyślał chłopak.

– I niech będzie widać, jak ksiądz święci – zażądała.

W co ja się pakuję! – pomyślał chłopak.

– A potem stół i gości, najpierw w grupie, a potem tak wiesz, luźno, swobodnie. Ale skończysz, jak powiem. Nie wszystko powinno być na zdjęciach.

W ten sposób Igor wrócił do domu z pierwszym, zupełnie niechcianym, zleceniem.

– Kiedy te chrzciny? – zapytała Natalia.

– Za tydzień – odburknął.

– To dobrze.

– Co w tym dobrego? Mam zrobić coś, czego robić nie chcę. Zmusiłaś mnie!

– Ja? Sam pojechałeś i dogadałeś sprawę ze starszą panią.

Chłopak westchnął i poszedł na górę, do swojego pokoju.

Myślisz, że sobie poradzę? Ze zdjęciami z imprezy? To co innego niż fotografowanie ptaszka. Albo roślinki, ta przynajmniej się nie rusza – zapytał Kamilę. – Myślę, że się wpakowałem w kłopoty. Nie wiem, czy sobie poradzę. – Tak, wiem, nie mam wyjścia.

I nie miał.

Ksiądz Andrzej ucieszył się, widząc chłopaka skaczącego z aparatem. Zazwyczaj nie ułatwiał fotografom pracy, nawet fukając, gdy za bardzo ingerowali w, jego zdaniem, święty moment naznaczenia dziecka olejem, polewania wodą. Kiedyś nawet zwrócił jednemu uwagę, by się odsunął, czym wywołał mocny pąs na twarzy matki niemowlęcia, gdyż to ona nalegała tak bardzo na „piękne i dokładne zdjęcia”. Fotograf się wzbraniał, a ona twierdziła, że ich ksiądz nie robi żadnych problemów. Fotograf więc pozwolił sobie na nadmierne, zdaniem księdza Andrzeja, nieskrępowanie.

Igor nie czuł się swobodnie. Poruszał się ostrożnie, bardzo cicho, starał się nie przeszkadzać wiernym w skupieniu. Ksiądz spojrzał na niego, trzymając w ręku dzbanuszek z olejem, odsunął się nawet lekko, tak by Igor mógł wycelować prosto w twarz niemowlęcia.

Robił potem zdjęcia rodzinie wychodzącej z kościoła i chwilę później, gdy na placu rozmawiali, swobodni, nieupozowani. W dworku zdążył najpierw uchwycić sam stół, bogato ukwiecony i wystawnie zastawiony. Zrobił kilka ujęć rodziców z dzieckiem, chrzestnych, dziadków, a potem zaprosił ich na

chwile do ogrodu, który w 1920 roku poruszył okolicznych mieszkańców. Ówczesna właścicielka, Stefania Wilhelm-Budzich, zdecydowała się osuszyć duży teren przy dworku, przeprowadzić nowoczesne i kosztowne melioracje – a wszystko po to, by założyć tam francuski w charakterze ogród. Jej mąż kochał ją do szaleństwa, pozwolił żonie na fanaberie.

W wielu miejscach zachowały się oryginalne nasadzenia, ogród nie był już jednak w idealnym stanie, więc zdaniem Igora znakomicie nadawał się jako tło do plenerowych zdjęć. Babcia Zosi wprawdzie ciągnęła w stronę tych najbardziej zadbanych rabat, gdzie funkcie sprawiały wrażenie dywanu, ale Igor nikogo nie słuchał. Po tej stronie aparatu rządził on.

Zdjęcia przy stole zrobił szybko i bez specjalnego przekonania. Po prostu. Szybko też się zorientował, że panowie nie próżnowali i uznał, że to jest właśnie ten moment, o którym mówiła starsza pani. Który nie musi być uwieczniony na zdjęciach. Wsiadł więc w wiekową syrenkę i ruszył do domu. Właściwie chciał ruszyć, bo ponaddwudziestoletnie auto odmówiło posłuszeństwa. Igor zaklął pod nosem, dwóch wesołych panów zainteresowało się zmaganiem chłopaka.

– Nie działa? – życzliwie zapytał jeden.

– Nie działa – ponuro odpowiedział Igor.

– Popchniemy! – oznajmili radośnie, a jeden z nich zawołał: – Edek, chono! Pomóc trzeba w potrzebie!

Podwinęli rękawy koszul, postękali, ale pchanie nic nie pomogło.

Pomysły padały różne. Dzwonić po pomoc drogową, wezwać mechanika, znajomego, nieznanego, w końcu jeden z panów otworzył maskę, pogmerał, zafrasował się, ruszył w stronę swojego auta. Pobiegła za nim jakaś kobieta, prawdopodobnie żona, krzycząc: „Genek, ty nie możesz prowadzić!”. Z dumą jednak ją odtrącił, otworzył bagażnik, niezadowolony szukał czegoś, gmerał, aż w końcu triumfalnie uniósł w powietrze

jakieś narzędzie, z którym ruszył zwałowo w stronę syrenki. Po dwóch godzinach zmagania Igor był tak zmęczony, że z trudem wyjechał za niezbyt szeroką bramę. Ale ruszył. Samochód był naprawiony. Zapadła jednak Igorowi w pamięć wypowiedź cudotwórcy mechanika: „długo już ten grat nie pociągnie”.

Igor obruszył się na nieeleganckie określenie jego środka transportu, jedyne, jaki pamiętał. Ten samochód pojawił się w rodzinie niemal równocześnie z jego urodzeniem. Był z nimi zawsze. Dla Igora pojazd stał się oczywistym towarzyszem, przetrwał kolejki po benzynę, załatwiane na lewo części w Polmozbycie, grzebanie ojca pod maską, a nawet jedyne wspólne rodzinne wczasy w Karpaczu. Nigdy więcej na takie nie pojechali – gospodarstwo latem wymagało ręki gospodarza, sąsiedzi, chociaż życzliwi, mieli do pilnowania swoje.

Igor nie tęsknił za wczasami, chociaż jego siostra, Janina, owszem. Chciała się ubierać, wychodzić, bawić. Praca w polu jej nie interesowała i od kiedy podrosła, w ogóle się w nią nie angażowała. Jako dzieci bawili się czasem w stogu, ku niezadowoleniu rodziców wydeptywali korytarze w zbożu, biegali niedaleko pracujących maszyn, co każdorazowo wzbudzało furję w matce i nerwowość u ojca. Na szczęście nic się nigdy nie stało, ani w ich gospodarstwie, ani w całej wsi. Pan Bóg czuwa – mawiała matka. Z biegiem lat bracia zaczęli wyręczać ojca w coraz większej ilości prac, Janinka zaś coraz rzadziej wychodziła w pole, zajęta swoimi sprawami, troskliwie malując paznokcie, rozważając wyższość strojów, umawiając się z koleżankami. Nikt nie oczekiwał od niej zaangażowania w polu. W kuchni jednak już tak, ale matka nie mogła doczekać się jej pomocy.

Igor rozmyślał o syrence jak o przyjacielu. Gdy dojechał na podwórze, stanął koło niego i poklepał po dachu, jak kumpla po ramieniu.

– Co, teraz z samochodem rozmawiasz? – zakpiła siostra, która rzadko bywała w domu. Pojawiła się teraz w domu

dosłownie na kilka dni, ciesząc swoją obecnością ojca, irytując Igora i matkę. Z bratowymi się nie spotykała, z pozostałymi braćmi też.

Wzruszył ramionami.

– Mało ci już z duchami rozmawiać, jeszcze samochody będziesz ożywiał? – kpiła dalej, a Igor zacisnął pięści. Nic jednak nie powiedział, poszedł dalej.

– Mamo, mamy jakieś oszczędności? – zapytał.

– Synu, teraz to krucho raczej – odparła Natalia. – Czemu pytasz? Potrzebujesz coś?

– Samochód trzeba wymienić.

– Oj, synu. – Zamachała rękami. – Na tyle to nie mamy.

– Zepsuł się dzisiaj. Późno wróciłem, bo dwie godziny go trzeba było naprawiać. I on już nie pojeździ długo.

– A bój się Boga, synu, co ty wygadujesz? Dwadzieścia lat jeździ, to co ma teraz przestać?

– Ano przestanie, mamo – powiedział Igor i zerknął do garów.

– Głodnyś? Po chrzcinach?

– W sumie... tak się zająłem tym samochodem, że zapomniałem zjeść. Tam już zresztą bardziej płynne spożywali – odpowiedział, cały czas zastanawiając się nad czymś.

– Siadaj, synu, siadaj...

Jadł nieobecny.

Zdjęcia dał do wywołania od razu następnego dnia.

– Na jutro zrobię – powiedział pan Zenon, a Igor się ucieszył. Szybko będzie mógł pokazać je Zosi i od razu wybrać, ile jakich odbitek porobić. W myślach już chwycił pieniądze za zlecenie.

Dokładnie tak się stało. Odebrał zdjęcia, od razu u pana Kozłowskiego wstępnie posegregował, tylko kilka odrzucił. Resztę włożył w kopertę i korzystając z uprzejmości starego

fotografa, zadzwonił do Zosi.

– A nawet i od razu – odpowiedziała po przywitaniu. – Jesteśmy w domu.

Ruszył więc do Brudnic, po drodze wstępując do biblioteki. Pani Joanna wiedziała o chrzcinach, zapytała o zdjęcia.

– Pokazać?

– Pokaż – zachęciła.

Igor przyniósł więc z samochodu szarą kopertę, a pani Joanna, jak zawsze niemal w milczeniu, oglądała zdjęcia.

– Igor, powinieneś się uczyć – powiedziała, oddając odbitki.

– Nie ma szkoły dla fotografów – odpowiedział.

– Ale kursy są. Albo u pana Kozłowskiego możesz. Powinieneś się uczyć – powtórzyła.

Igor podziękował, ale wzruszył ramionami.

W Brudnicach Zosia rozłożyła zdjęcia na wielkim kuchennym stole, babcia Teresa dołączyła do oglądania.

Cmokała z zadowolenia.

– I to, takie dobre – powiedziała. – Nawet widać, jak ksiądz namaszcza.

Zanotowały na każdej odbitce, ile sztuk zamawiają. Było znacznie więcej, niż się Igor spodziewał, a umówili się, że za każdą odbitkę mu płacą, niewiele, ale jednak.

– Czy mogłybyście mnie polecić? Komuś?

– A komu byś chciał? – zapytała pani Teresa.

– Każdemu, kto będzie pytał.

– A juści – odpowiedziała starsza pani.

Bardzo zadowolony wrócił do domu.

– Mamo, będzie na nowy samochód. Uzbieram – powiedział.

– A co ty tam, synku – zachnęła się Natalia. – Ty się uczyć powinieneś.

Igor spojrział na matkę, nic jednak nie powiedział. Wydawało mu się, że słyszy panią Joannę. Poszedł do swojego pokoju.

I słusznie mu się wydawało. Pani Joanna zaraz po wyjściu Igora zadzwoniła do Natalii.

– Pani Masek, pani ma bardzo zdolnego syna, niech pani go zmotywuje jakoś. Chłopak się powinien uczyć, a nie nieszczęście do końca życia rozpamiętywać.

– Pani Joasiu, co ja mogę?

– Matka wszystko może. Niech pani mu o tym mówi, ciągle i ciągle, i ja będę mówić, może w końcu jakoś go przekonamy.

– Ale czego on ma się uczyć? Nawet mi o tym wczoraj mówił. Że studiów na fotografa nie ma.

– A co on zaczął studiować? Architekturę, prawda?

– Prawda – odpowiedziała Natalia.

– To niech na nią wróci. Studia potrzebne, a kursy fotograficzne sobie zrobi, jak już będzie w Warszawie. Pani Masek, niech on jedzie, nie marnuje się tutaj. Żuromin piękny, ale jego zdolności nie wykorzysta.

Może i piękny – powtarzała w myślach Natalia. – Może on i piękny... Po zastanowieniu nie poszła jednak do syna na górę. – Poczekam aż tu zejdzie, i Dominik niech będzie. Razem porozmawiamy.

Na kolacji nie było okazji. Był wprawdzie Dominik i Igor, ale dołączył też starszy syn ze swoim synkiem. Wpadli na chwilę, coś z ojcem uzgodnić, a zostali dwie godziny. Mały dobrze się bawił z Igorem, nie było jak porozmawiać. Przy śniadaniu okazji nie było tym bardziej – Dominik, umówiony z sąsiadem, spieszył się. Ale Natalia rozmawiała z nim w nocy, tuż przed zaśnięciem. Ze spokojem przyjął rewelacje o zdolnościach najmłodszego

syna.

– Dla niego i tak tu przyszłości nie ma – powiedział. – Ojcowizna podzielona, on ma się uczyć. Niech jedzie, studiuje. Pomożemy, ile będzie można.

Natalia wiedziała więc, że wsparcie w mężu będzie miała. I następnego wieczoru przy kolacji nie odpuściła.

– Igor, musisz na studia wrócić.

– Mamo, egzamin jeszcze raz musiałbym zdać.

– To zdaj – wtrącił się ojciec. – Raz zdałeś, to i drugi raz podołasz.

– Ale wszystko już prawie zapomniałem.

– To sobie przypomnij. Książki weź, z biblioteki pożycz, jak w domu nie ma, i ucz się, synu. Nie po tom świniaka na komisję lekarską woził, nie po tom pił, gdzie trzeba, żebyś mi się zmarnował.

Igor niespokojnie spał tej nocy. Śnił mu się egzamin, do którego nie był przygotowany. Nie znał odpowiedzi na żadne pytanie. Obudził się zlany potem, niewyspany. Rano pomógł Natalii w kuchni, w kolejnych godzinach nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wczesnym popołudniem ruszył do biblioteki.

– Potrzebowałbym trochę książek – powiedział. Wyciągnął listę, którą zrobił jeszcze w Warszawie – książek, których nie znał, a które znać powinien. Wynikało to już z tych kilku pierwszych wykładów, na których był.

Pani Joanna się zafrasowała.

– Niewiele z tego mam. Tylko dwie pozycje. – Od razu weszła pomiędzy półki. – Proszę – powiedziała i położyła przed nim dwa dość grube tomy. – Zostawisz mi tę listę? Poszukam, może gdzieś znajde...

– Dziękuję – odpowiedział Igor. – Dwie książki to dla mnie i tak dużo.

Bibliotekarka nie zwlekała. Gdy tylko chłopak wyszedł, od razu zerknęła w katalog książek i zadzwoniła do dwóch zaprzyjaźnionych dyrektorek. Udało jej się pożyczyć dla Igora w sumie pięć książek. Dwie prawdopodobnie kupię – cieszyła się. – Będzie chłopak mógł studiować.

Igor od tego popołudnia zaczął czytać. Robił przy tym sporo notatek. Uświadomił sobie jednak, że to nie wszystko. Architektura wymaga rysunku – pomyślał. – Na wyższym poziomie niż mój. Nikt teraz nie będzie patrzył na moje świadectwo, tylko na to, że jestem stary i powinienem umieć więcej.

Pojechał na cmentarz. Uznał, że rozmowa z Kamilą pomoże mu uporządkować myśli. Siedział na ławce skulony, tego dnia było zimno.

– Bez ciebie mi się nie chce – mówił do żony. – Wszystko robię jak we mgle. Matce wydaje się, że jest zwyczajnie i normalnie, nie chce widzieć mojej ciemnej strony. A ja wieczorami nie daję rady. Obgryzam paznokcie, czasem do krwi. Chciałbym walić głową w ścianę, ale zaraz matka i ojciec by przyszli. Mam dość, tej tęsknoty, samotności, bylejakości bez ciebie. Kamila, dlaczego mi to zrobiłaś?

Igor miał wrażenie, że przed jego oczami nagrobek faluje. Mówił do Kamili w takich emocjach, że niemal słyszał jej odpowiedź. Dokładnie taką, jakiej się spodziewał.

– Kochany, nam jest tu dobrze, nie czekaj już. Na mnie ani na małą. Tęsknimy, ale kiedyś się spotkamy. Nie rezygnuj z niczego. Dla mnie wszystko to rób, wszystko, co dobre, dla mnie rób.

Igor wstał z ławki skostniały, z postanowieniem, że musi stąd wyjechać. Robić to, co chciałyby Kamila. Z cmentarza ruszył do Żuromina. Dawno nie zatrzymywał się w tej okolicy.

– Dzień dobry – powiedział do cienia, który przed nim stał.

Kobieta tylko kiwnęła i wpuściła go do środka. Igor słyszał plotki o jej samobójczej próbie, nigdy niepotwierdzone. Nie utrzymywali kontaktu, czasem zastanawiał się, dlaczego. Matka jego żony. Teściowa. Słabo ją znał i uciekał od myśli, że w swoim cierpieniu nie jest sam. Że nie tylko on kochał Kamilę. Myślał wiele razy, jednak nie miał siły tu przyjeżdżać. Nie wyobrażał sobie, że może z kimś rozmawiać o Kamili. Musiało minąć wiele miesięcy, aby odważył się tu zapukać.

– Chciałem się dowiedzieć, co u pani słyhać – powiedział przy herbacie. Milczenie było niezręczne i się przeciągało. Rozmowa toczyła się wolnymi słowami, jakby w jakimś gęstym kisielu, niechętnie i ostrożnie.

– Nic nowego – odpowiedziała matka Kamili. – Pracuję i nie mam żadnych innych zajęć.

– Nie potrzebuje pani jakiejś... pomocy? – wydukał.

– Pomocy? Nikt mi na mój ból nie pomoże.

– Ja też...

– Ty znałeś ją tylko kilka miesięcy.

Lat – poprawił w myślach Igor, ale nie powiedział tego.

– Dla mnie była całym światem. Nie mogłam mieć więcej dzieci, Kamila była... – Powstrzymywała łzy. – Kamila była najlepszym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. Ukochaną córeczką. A teraz nie mam ani Kamili, ani ciebie, ani wnuka, ani męża. Nie tak to sobie wyobrażałam.

– Może... ja jutro przyjdę do pani i pomogę. Posprzątać trochę. Trzeba poukładać rzeczy Kamili, trochę tu ogarnąć.

– Posprzątać? – Kobieta się zdziwiła. – A, posprzątać... tak, właściwie można by. Nie mam siły. Wracam z pracy i jestem taka zmęczona, tak zmęczona... na nic nie mam siły. Kładę się i śpię. A potem w nocy spać nie mogę. – Zaśmiała się gorzko. – Przyjdź, jeśli chcesz. Jeśli masz siłę. I odwagę. Przyjdź.

Przyszedł, chociaż Natalia kręciła nosem.

– Kamili ci to nie wróci – powiedziała, a Igor wzruszył ramionami.

Trochę ogarnął kuchnię, tak samo, jak robił to w domu. Matka Kamili stała oparta o framugę, pomarszczona, szara i bardzo chuda.

– Może coś do jedzenia zrobię?

Wzruszyła ramionami.

– Zobacz, co jest w lodówce.

Było głównie światło.

– Może kanapki chociaż... – powiedział, sprawdzając datę na opakowaniu serka. Wyrzucił go. Znalazł w końcu salami, przeterminowaną tylko o tydzień, dobrze pachniała.

– Mało pani je ostatnio.

– Chciałam, żebyś mówił do mnie „mamo”... Tak, niewiele. Nie mam ochoty. Tak samo jak sprzątać. I jeszcze do Kamili mam daleko. – Spojrzała z wyrzutem.

– Ja jeżdżę do niej co tydzień. Możemy razem...

– Nie chcę. Jeżdżę do niej po to, żeby pobyć z córką sam na sam. Będziemy sobie przeszkadzać.

Igor kiwnął i zabrał się do jedzenia suchych kanapek, popijając niezłą herbata.

– Będę przychodził czasami – powiedział.

– Przychodź – odpowiedziała bez emocji.

Igor dorzucił wizyty u matki Kamili do swojego tygodniowego planu. Frapowało go też jednak coś innego.

Muszę podszkolić się z rysunku – pomyślał. Przypomniał sobie o tym, bo na półkach w mieszkaniu matki Kamili stało sporo książek o architekturze. Chociaż pracowała w biurze księgowym, to przecież architektura była jej marzeniem.

Niespełnionym, ale coś na ten temat wiedziała.

Wrócił do domu i zagłębił się w książce z biblioteki. Nie pomógł Natalii przy kolacji, ale ona nawet tego nie oczekiwała. Nie przeszkadzała mu. Zawołała do stołu, zjedli szybko, Dominik włączył cicho telewizor, a matka z synem usiedli przy stole ze stojącą lampą i czytali.

– Zdasz, synu? – zapytała pod koniec maja.

– Z czym?

– Przygotować się do egzaminów – powiedziała matka, jakby to było oczywiste.

– W tym roku nie ma mowy. Może na przyszły.

– Rok kolejny ci ucieknie.

– Nie ucieknie, mamó. Będę się uczył, wyjeżdżając, zostawię tobie i tacie nowy samochód. Potem, jak wyjadę, to już będę w innym świecie.

Natalia westchnęła. Obawiała się tego „innego świata”. Przeczynała, że jej syn, gdy ponownie wyjedzie, to już nigdy nie wróci taki sam. Tak jak w dniu wyjazdu do technikum i do internatu spodziewała się, że każdy jego przyjazd będzie oznaczał spotkanie z innym Igorem, coraz dalszym – a jednak pragnęła, by wyjechał. Nie chciała patrzeć na najmłodsze dziecko gasnące w gospodarstwie, które nie będzie jego. Jak co tydzień wraca pognieciony z cmentarza, nie odzywa się przez parę godzin. Dodatkowo zmartwiły ją odwiedziny u matki Kamili – spodziewała się, że wspólne z nią przebywanie zakończy się wspomnianiem i rozdrapywaniem. Powrotem do przeszłości, a Natalia chciała dla swojego dziecka przyszłości – i to lepszej niż jej własna.

Dlatego nie przeszkadzała synowi w czytaniu książek, robieniu wykresów i rysunków. Zbliżało się lato, pracy w polu było coraz więcej, Igor pomagał, ale mniej. Choć dni były coraz dłuższe, spędzali razem czas przy zapalonych lampach, Igor

ucząc się, Natalia czytając. Pani Teresa, babcia Zosi, była tak zadowolona ze zdjęć, że polecała Igora przy każdej okazji. Wkrótce Igor miał dwa lub trzy weekendy w miesiącu zajęte, a zdarzało się, że w sobotę fotografował dwie imprezy. Chłopak każdy grosz odkładał, szybko uzbierała się spora kwota, którą z przyjemnością przeliczał. Dodawał, odejmował. Poloneza kupię ojcu – myślał.

Gdy przyszły żniwa, zarzucił trochę naukę. Natalia była niezadowolona.

– Masz się uczyć – powtarzała. Dominik chętnie jednak korzystał z pomocy najmłodszego. Dzięki niemu miał poczucie, że wciąż nie jest na utrzymaniu dwóch starszych synów, którzy wprawdzie wstrętów nie robili żadnych, ale coraz częściej dawali do zrozumienia, że są na swoim. A Dominikowi już sił nie stawało na twarde zarządzanie gospodarką. Chciał zdać się na kogoś młodszego, najchętniej na Igora. Nie miał zapędów do rządzenia, za to był silny i pracowity.

– Ale po żniwach dasz chłopakowi spokój! – denerwowała się Natalia.

– Dam, dam – odpowiedział, chociaż myślał: a co ty tam wiesz, kobieto...

Igor wieczorami przeglądał swoje rysunki. Nie był zadowolony. Regularnie odwiedzał matkę Kamili, robił drobne zakupy, dzięki niemu zjadała coś świeżego, albo zjadała coś w ogóle. Rozmawiali głównie o Kamili. Piękna, mądra, dobra. Jawiła się w ich opowieściach jako odcieleśniony ideał, chociaż za życia matka miała do niej zastrzeżenia, jak to matka. Jedz, dziecko, ostrożniej, trochę ciała musisz zgubić, co to za ocena, opuściłaś się w nauce, tylko czwórka z historii. Nie oglądaj tyle telewizji, oczy zniszczysz. Nie czytaj po ciemku. Teraz to wszystko znikło. Kamila była ideałem.

Igor i jej matka niemal nie rozmawiali o niczym innym. Ani o pracy, ani o wciąż nieobecny mężu.

– Wróci z kontraktu za dwa miesiące – powiedziała kiedyś kobieta. – Coraz dłuższe te jego wyjazdy. Czasem niemal zapominam, że mam męża.

– Ale wróci – odpowiedział Igor, a ona tylko kiwnęła.

– Smaczne to – powiedziała podczas ósmej wizyty Igora, po raz pierwszy zwracając uwagę na zawartość talerza.

Podczas kolejnego spotkania zapytała:

– Co robisz? Tylko ojcu pomagasz?

– Robię zdjęcia – powiedział. – I uczę się.

– To dobrze – odparła bez emocji.

Dopiero gdy wyniósł talerze do kuchni i znów usiadł naprzeciw niej przy stole, kontynuowała:

– Czego się uczysz?

– Chcę ponownie zdawać na architekturę.

Tylko pokiwała głową i włączyła telewizor.

– Pójdę już – powiedział chłopak.

– Przynies zdjęcia następnym razem.

Podczas kolejnej wizyty oglądała zdjęcia w skupieniu.

– To filmy od pani męża – powiedział Igor.

– Dobry robisz z nich użytek. A z tą architekturą, czego się uczysz?

Przytoczył kilka tytułów książek.

Kiwnęła aprobowująco.

– A rysunek? – Chciała wiedzieć.

– Z tym mam kłopot.

Wstała bez słowa i poszła do kuchni. Wróciła stamtąd, trzymając małą kartkę z nabazgranym numerem telefonu.

– Zadzwoń tu – powiedziała. – Ale nie przed południem.

Powołaj się na mnie. Nie obiecuję, ale może ci pomoże. Powiedz koniecznie, że z marzeń nie wolno rezygnować.

Podziękował. Nie miał pojęcia, kto to jest. Chciał się dowiedzieć.

Zadzwonił następnego dnia o dwunastej trzydzieści.

– Halo – powiedział zaspany głos.

– Dzień dobry, mówi Igor Masek. Dzwonię z polecenia pani Jaglańskiej. Podobno mogę się do pana zwrócić o pomoc w nauce rysunku.

– A co ty mi głowę zawracasz! Wiesz, która jest godzina?

– Wpół do pierwszej – odpowiedział odruchowo Igor.

– A fakt. – Głos się zasepił. – To nie będę się czepiać. Zawsze jej mówiłem, żeby przed południem tu nie dzwonić. Architektura, powiadasz?

– Tak, proszę pana. Rysunek.

– To przyjeźdź. Może być dzisiaj. O piątej.

Igor zanotował adres, na skraju Żuromina, gdzieś od strony Franciszkowa.

– Dziękuję – próbował powiedzieć, ale rozmówca już się rozłączył.

Odłożył słuchawkę automatu, nie chciał dzwonić z domu, za dużo pytań.

Wziął nowe książki od pani Joanny, dał je Natalii po powrocie do domu. Potem na górze przygotował szkicownik, ołówki, rysiki i zszedł do matki pomóc w obiedzie.

– Coś taki milczący? – zagadnęła.

– Nie wyspałem się dzisiaj – odpowiedział właściwie zgodnie z prawdą. Nie mógł spać, zastanawiając się, kim będzie rozmówca. Zresztą, rozmyślał o tym cały czas.

– A u pani Jaglańskiej co? – zadała nurtujące ją pytanie

Natalia.

– Nic nowego. Zaczęła jeść trochę, ma czyste szyby. Chodzi do pracy i ogląda telewizję.

– Nie za wiele.

Igor wzruszył ramionami.

– Niewiele ma do roboty.

– Grzeszysz, synu, i ona grzeszy.

Igor zamarł z nożem w ręku. Kroił akurat ogórka na mizerię.

– Nic złego nie robimy! – powiedział osłupiały.

– Oj tam. – Natalia machnęła ręką. – Grzeszycie, bo co to za mówienie, że nie ma co robić... Mało potrzebujących jest? W domu dziecka jak na lekarstwo serca i przytulenia. Chorzy potrzebują opieki. Ludzie spragnieni są innych ludzi, a nie zawsze ich koło siebie mają – zakończyła stukaniem wazową łyżką w garnek. – Dobra pomidorowa. Wołaj ojca.

– Jeszcze śmietanę do mizerii...

– Daj, ja zrobię.

Dokończyli przygotowania w milczeniu.

Po obiedzie Igor pozmywał, ułożył naczynia, zabrał teczkę i skierował się do przedsionka.

– Dokąd to? – Matka się zdziwiła.

– A tak, porysować trochę chcę – odpowiedział, a matka przyjęła tę odpowiedź z zadowoleniem. W sumie nawet niewiele skłamał.

Jechał zdenerwowany. Głos w słuchawce był dziwny, ni to stary, trochę skrzeczący, jakby z bajki o złej czarownicy. Igor przejechał Żuromin, po drodze machając Zosi, która wracała z zakupów.

No to ułudę spokojnego rysowania mam z głowy, matka nie da mi żyć – pomyślał.

Pomylił się jednak. Zosia zaaferowana była wyjazdem na wakacje ze swoim narzeczoną, na który nie chciała zgodzić się jej mama, pracująca w jednym z warszawskich wydawnictw. Dziewczyna szukała w myślach argumentów, którymi mogłaby przekonać babkę, żeby z kolei przekonała swoją córkę, i obecność Igora przemknęła gdzieś na obrzeżach jej uwagi.

Igor podjechał pod dom stojący właściwie poza miastem, na końcu ulicy, niemal w polu. Droga była polna, bita, kurzyło się niemilosierdzie. Zatrzymał samochód przed działką, bajkowo zarośniętą winobluszczem. Płot był drewniany, nowy, stał prosto, równo pilnując posesji, która nie była ani prosta, ani równa, za to nieprzewidywalna. Dom chylił się ku upadkowi, takie przynajmniej wrażenie odniósł Igor. Poprzerastany mchem, chociaż do lasu był kawał drogi. Okna drewniane, z futryn schodziła farba, ale czyste szyby lśniły w popołudniowym słońcu. Dom miał ganek z kratownicą, po której piał się zimozielony bluszcz, a przed domem, po obu stronach, na dwóch symetrycznych rabatach dumnie prezentowały się chwasty. Dorastały pewnie do półtora metra. Jednak trawnik przed domem był skoszony, równy jak angielska trawa.

Igor postąpił chwilę przed posesją, szukając dzwonka, w końcu uchylił furtkę. Zaskrzypiała. Z daleka odezwało się szczeknięcie i zirytowany głos uciszający psa. Chłopak wszedł dalej. Drzwi wejściowe wyglądały na zabite gwoździami. Ruszył więc dookoła domu, zaraz za rogiem zobaczył sad, jabłonie i śliwy ugięły się pod owocami, niektóre już dojrzały. Wpatrzony w drzewa, nie dostrzegł stolika na werandzie i ubranej na brązowo postaci.

– Napatrzyłeś się już? – zapytał głos, ten sam, którego Igor nie potrafił określić przez telefon.

– Dzień dobry. – Chłopak odwrócił się gwałtownie, pies znów zaczął szczekać.

– Cicho! – powiedział mężczyzna siedzący w wiklinowym

fotelu, który kiedyś chyba był biały. Pies posłusznie zamilkł.

– Przyniosłem... ciasteczka. – Igor poczuł zapach przetrawionego alkoholu. Spojrzał na szczecinę pokrywającą twarz mężczyzny i pożałował, że tu przyjechał.

– Pokaż rysunki – powiedział mężczyzna.

Igor położył teczkę na stole. Właściwie dwie, drugą z fotografiami.

Mężczyzna oglądał rysunkowe prace w milczeniu. Igor czuł się tak, jakby siedział na ustawionych na sztorc gwoździach. Mężczyzna za to był rozluźniony, kręcił głową, wzdychał, przekładał kolejne kartki.

W końcu odłożył teczkę, sięgnął po zdjęcia. Te przerzucił szybciej, sprawiał wrażenie, że go nie interesują.

– Czego oczekujesz? – powiedział, zdejmując okulary i wbijając spojrzenie w Igora.

– Poszukuję... chciałabym pouczyć się rysunku. Chciałabym zdawać na architekturę.

– Z takimi rysunkami, fakt, nie miałbyś szans.

– To znaczy ja już raz się dostałem, ale przerwałem studia po kilku tygodniach.

– Dostałeś się. – Mężczyzna zmarszczył czoło. Jego brwi, i tak krzaczaste, zwały się w jeden splątany kłak włosów.

– To czego ode mnie chcesz, jak się dostałeś?

– Chciałabym nauczyć się rysować – powiedział Igor twardo, unosząc brodę i spoglądając mężczyźnie w oczy.

– To już lepiej. Dlaczego u mnie?

– Poleciała pana pani Jagłańska.

– To już mówiłeś. Wiesz, kim jestem?

Chłopak pokręcił głową.

– To dobrze. Przyjdź jutro. Bez teczki, za to z głową.

Igor wstał, związał troki.

– Dziękuję – powiedział. – Będę o trzynastej.

– Mów mi Cezar.

Młody ponownie skinął i wyszedł zdecydowanie za róg. Tam zatrzymał się, wziął głęboki wdech. Zwolnił kroku.

W co ja się pakuję? – zastanawiał się. – Cezar?

Pojechał prosto do domu, ściemniało się. Było znacznie później, niż przypuszczał. Jakby u dziwnego mężczyzny czas płynął szybciej.

Matka przywitała go w progu.

– Bój się Boga, dziecko, gdzie ty się podziewasz? Chciałam na policję dzwonić!

– Mamo, wszystko w porządku. Zaczynam lekcje rysunku.

– Lekcje? Gdzie? – Wciąż była zdenerwowana.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Za Żurominem, w stronę Franciszkowa, mieszka taki facet. Poleciała mi go matka Kamili. Oglądał moje rysunki i polecił przyjść jutro. Znasz, mam, kogoś, kto każe nazywać się Cezar?

Natalia westchnęła.

– Pomysły masz, synu. Myj ręce, kolacja. – Wciąż nie bardzo słuchała Igora.

– Tato, a ty znasz? Kogoś, kto każe nazywać się Cezar?

– Jednego takiego znałem, dawno temu. Mieszkał obok bazaru, ale się gdzieś wyniósł. Czemu pytasz?

– Bo chyba będę się u niego uczył rysunku.

– Rysunku, powiadasz... Cezary kiedyś dużo rysował, sprzedawał swoje bohomy, żył z tego. Słynny podobno był. A teraz to nie wiem – odpowiedział ojciec.

– A ty innego sobie nie możesz znaleźć? Nauczyciela takiego prawdziwego? – Natalia, gdy była zdenerwowana, zmieniała szyk zdania, co nieodmiennie bawiło Igora. Uspokoila się na tyle, żeby dotarło do niej, o czym rozmawiają.

– Nie bardzo mogę, gdyż trudnym to jest – odpowiedział, a Natalia pogroziła mu palcem. – U kogóż bowiem uczyć bym miał się?

– Pójdę po ścierkę – zagroziła matka, uśmiechając się.

– Jagłańska go poleciła.

– To idź, synu, do niego. Co będziesz się w domu kisił.

Następnego dnia niedługo po śniadaniu Igor ruszył do Żuromina. Pojechał do biura, w którym pracowała matka Kamili. Nigdy wcześniej tam nie był.

– Czy zastałem panią Jagłańską? – zapytał któregoś z przechodzących pracowników. Młody mężczyzna obrzucił go taksującym spojrzeniem i wskazał ręką nieokreślony kierunek, gdzieś za siebie.

– Trzecie drzwi – powiedział.

Drzwi były tylko z jednej strony korytarza, Igor pchnął trzecie. Pomieszczenie było niewielkie, zagracone, stały w nim trzy biurka, jedno pod ścianą, zavalone papierami na całej powierzchni, i dwa zestawione frontami do siebie. Też zavalone papierami, jednak było tam miejsce chociażby na postawienie łokci.

– Dzień dobry – powiedział nieśmiało. Nikogo tam nie widział. Wahał się: wejść, czekać na zewnątrz? W takim rozkroku zastały go dwie kobiety, w tym matka Kamili.

– Igor? – powiedziała z bladym uśmiechem. – Co tu robisz?

– Chciałbym podpytać o tego mężczyznę, do którego dała mi pani telefon.

– Byłeś u niego? – Odpowiedziała pytaniem.

Skinał głową.

– I?

– Jadę dziś na pierwszą lekcję.

– Zgodził się. – Wyraźnie się ożywiła. – Ty masz, chłopaku, szczęście. Talent i szczęście, skoro trafiłeś na moment, w którym był w stanie wydusić z siebie kilka zdań, a nawet zaprosić cię na lekcję. Wielki fart. – Zaśmiała się. – Cezar zwykle jest pijany od rana do wieczora. Nie pije niemal nic poza wysokimi procentami.

– Był pijany, ale dał radę mówić – powiedział Igor. – Chociaż właściwie... Bardziej oglądał moje prace.

Jagłańska zaśmiała się.

– Cały Cezar. Przyjął cię, musiały mu się twoje prace spodobać.

– Zna go pani... dobrze?

– Czy dobrze? – Zamyśliła się. Stali ciągle w drzwiach. Gestem zaprosiła go do środka, weszła cała trójka.

– Siadaj tutaj – powiedziała matka Kamili do Igora. – Znałam go kiedyś. Jest bardzo zdolnym i utytułowanym rysownikiem, projektantem, artystą. Właściwie był. Wiele lat temu, kiedy ja dopiero zaczynałam pracę, Cezary był gwiazdą. Miał jakieś kontrakty zagraniczne, znałam temat, bo pomagałam mojemu mężowi, jak wiesz, sporo wyjeżdżał i dalej wyjeżdża. Rozliczałam Cezarego, polubiliśmy się. Trochę projektował, ale przede wszystkim żył z rysunków. Wszystkie czasopisma go drukowały. Był dla mnie przybyszem z innego świata. Kiedyś się wygadałam, że też chciałabym rysować, projektować... wtedy nakrzyczał na mnie. Dosłownie. Powiedział, że z marzeń nie wolno rezygnować. Nigdy nie wracaliśmy do tego, może dlatego dobrze nam się rozmawiało. A potem... wyprowadził się, zaczął pić. Stał się odludkiem.

– Żona go zostawiła – wtrąciła koleżanka, która do tej pory

tylko przysłuchiwała się rozmowie.

– To raczej skutek, nie przyczyna... – odpowiedziała Jaglańska. – Cezary był wziętym rysownikiem, pracy oddał duszę. Żona tego nie zniosła, znalazła sobie innego. Rozwód był prosty, bezkonfliktowy. Nie mieli dzieci, wszystko przebiegło łagodnie. Poniewczasie Cezary zdał sobie sprawę, że kochał żonę tak mocno jak pracę, nad czym nie zastanawiał się, dopóki była przy nim. I z tęsknoty zaczął pić.

– Zmarnował życie, bo rzuciła go żona? – dopytywał Igor.

– To tylko początek. Okazało się, że bardzo łatwo się uzależnia, czego właściwie można się było spodziewać. Pieniądzy ma tyle, że wystarczy mu do końca życia, jego rysunki wciąż sprzedają się doskonale, jeśli tylko zechce coś narysować. A ponieważ robi to rzadko, tym drożej je sprzedaje. Dopiero niedawno przyznał, że jego ojciec był alkoholikiem, dziadek, i brat. Dlatego przez lata nie brał alkoholu do ust. A jak zaczął – nie może przestać.

– Myśli pani, że on mi pomoże? – Igor nie krył powątpiewania.

– Myślę, że jeśli ktokolwiek w tej okolicy, to tylko Cezary.

– Kazał mówić do siebie Cezar...

– Dowcipniś. Może dlatego, że kiedyś uwielbiał starożytny Rzym. Nie widziałam go kilka lat. Życzę powodzenia.

– Dziękuję – powiedział Igor, kiwając jednocześnie na pożegnanie głową drugiej kobiecie. Ruszył do auta, rozmyślając.

Pijak, pracoholik, wielbiciel starożytności. Będzie niezły bajzel – pomyślał.

O trzynastej zaparkował pod obrośniętym winobluszczem domem.

– Napij się lemoniady – powiedział Cezar z głębi domu. Na tarasowym stoliku stał dzbanek pełen mętnej płynu i dwie szklanki.

– I jeszcze mam paczki. Gospodyni przyniosła.

Gospodyni? – Igor się zdziwił. Nie spodziewał się, że taki odludek utrzymuje kontakty z kimkolwiek.

– Nie, dziękuję. Chociaż może...

Cezar postawił talerz pełen obrzmiałych ciastek na stole.

– Jedz, rysowanie później. Na razie wchodzimy do domu.

To była dla Igora wycieczka w kosmos. Prace Cezarego wisiały na wszystkich ścianach, powieszono starannie, jak pod linijkę, chociaż oprawione w różne ramy, niepasujące do siebie. Sporo z nich stało także pod jedną ze ścian. Sprawiały wrażenie nieładu, jednak też ustawiono je precyzyjnie, pedantycznie wręcz. Bałagan powodowały wszystkie inne przedmioty. Porzucony koc na kanapie ze skotłowaną narzutą. Wygnieciona poduszka, chyba brudna. Porozstawiane wszędzie, nawet na podłodze, szklanki. Brudne talerze w zlewie. Książki w nieładzie rozmieszczone na półkach, na stole, na podłodze.

– Nie patrz tu. – Cezary machnął ręką. – To się sprzątnie. Ale tego nie ma nikt. – Wskazał ręką na ścianę, pod którą były ustawione jego prace. – Musisz nauczyć się perspektywy, kulejesz z tym. Masz oko, widać po zdjęciach, ale techniki ci brak. Geometria i perspektywa... – Zamyślił się. – Jak było u ciebie z matką?

– Dobrze – odpowiedział odruchowo Igor. – To znaczy, miałem piątkę, ale byłem drugi w klasie.

– Czemu nie pierwszy?

– Bo pierwsza... – zająknął się Igor.

– Nie przejmuj się, żartowałem. – Cezar zaśmiał się jowialnie.

Jakoś wyjątkowo mało śmiesznie – pomyślał Igor.

– A geometria wykreślna?

Igor wzruszył ramionami.

– Taaaa... Rysowaliście figury? Jakies zagadki przestrzenne robiliście? Przenikanie brył, odbicia?

Igor ponownie wzruszył ramionami.

– Jesteś zielony. Jak ty zdałeś ten egzamin?

– Fuksem – odpowiedział Igor.

– Nie da się ukryć. Idziemy do ogrodu. Weź to. – Cezar wskazał na wielki wazon stojący w kącie. Miał osiemdziesiąt centymetrów wysokości i przekrój kwadratu. Grube dno kazało się domyślać, że był ciężki. I był. Igor stęknął.

– Nie marudź. Architekt nie tylko rysuje, potem musi dopilnować budowy.

– Ale ja...

– Nie marudź. – Cezary mu przerwał. – Postaw wazon na skraju tarasu i rysuj. Z różnych stron. Najpierw tak...

Pracowali prawie do szóstej. Igor w tym czasie zjadł trzy pączki, nie czuł więc głodu, nie czuł także upływu czasu. Cezar był kaśliwy i złośliwy, jednym celnym słowem potrafił skrytykować do żywego, a drugim wskazać drogę poprawy.

– Na dzisiaj koniec. Jutro przyjedź tak samo.

Igor złożył swoje przybory.

– Te prace możesz sobie zostawić na pamiątkę – powiedział Cezary. – Albo wyrzucić. Nic nie są warte, poza tym że zrobiłeś niewielki postęp. Długa droga przed tobą.

– Dziękuję za słowa otuchy – wymsknęło się Igorowi.

– Nie potrzebujesz słów. Tobie potrzeba warsztatu i wskazówek do rozwoju. Otuchy niech ci dodają wszyscy inni, tu nie przedszkole.

Igor przyjeżdżał przez kilka następnych dni. Nawet w niedzielę. Natalia kręciła nosem, ale dyskretnie przejrzała prace syna, których jednak Igor nie wyrzucił, i postanowiła się

nie wtrącać.

Cezary codziennie mówił:

- Jutro o tej samej porze, aż w kolejny piątek Igor powiedział:
- Jutro nie mogę. Mam pracę, robię zdjęcia na ślubie.
- To masz zajęcia na ślubie czy u mnie?
- Nie dam rady... - powiedział chłopak bezradnie.

Cezary wpadł w szał.

- Ja ci poświęcam czas, złotodziobie jeden, marnuję go na takie beztalencie, a ty mi mówisz, że nie przyjdiesz? Wynocha! Wynocha! - krzycząc to, zamachnął się szklanką. Chłopak uchylił się, szklanka rozbiła się na tarasie. Cezary spojrzał na swoje dzieło, odwrócił się i wszedł do domu, nie zamykając drzwi. Igor po dłuższej chwili postanowił wejść za nim. Gdy przekroczył próg, Cezary leżał na kanapie, niechlujnie okryty przybrudzonym kocem, i już chrapał. Dopiero teraz chłopak zdał sobie sprawę, że jego mentor jest nieustannie pijany. Udziela mu tych wszystkich bezcennych wskazówek - zalany w trupa.

W niedzielę przyjechał do Cezara około trzynastej, jak codziennie. Przywitani się, jakby nic nie zaszło. Igor zdał sobie sprawę, że starszy mężczyzna w ogóle nie pamięta scysji. Dobrze, że mnie chociaż kojarzy - pomyślał.

Zdjęcia ze ślubu jak zawsze wyszły dobre, ale Igora nie cieszyły. Szukał lepszego kadru, czegoś nietuzinkowego, ciekawszego. Rozwijanie techniki rysunku spowodowało, że i od zdjęć zaczął oczekiwać czegoś więcej.

- Kompozycję już wstępnie liźnałeś. No, pobieżnie. Przejdźmy do kreślenia cienia.

Cień, to jest to! Tego nie umiem zaplanować na zdjęciach, cienie mi się nie zgadzają - pomyślał Igor. - Tylko jak to zrobić w plenerze? Jak miałbym zaplanować cień? Zmienić ustawienie,

przyjechać o innej godzinie? – zastanawiał się chłopak gorączkowo.

Pracowali tak kolejny tydzień, w piątek sytuacja się powtórzyła. Prawie. Tym razem Cezar niczym nie rzucił, po prostu odwrócił się i zamknął szklane tarasowe drzwi.

Igor nie pojechał do niego w niedzielę. Miał chrypkę, katar, Natalia leczyła go czosnkiem i miodem. Nie mogę taki śmierdzący się nikomu na oczy pokazać – myślał. Próbował dzwonić do Cezarego, bezskutecznie, nikt nie odbierał. W poniedziałek po południu, gdy – tak mu się wydawało – czosnek trochę wywietrzał, Igor pojechał do matki Kamili.

– Ostatni miesiąc byłem prawie dzień w dzień u Cezarego. Pomaga mi bardzo, jednym zdaniem potrafi odwrócić spojrzenie na temat. To tylko nauczyciel, a jednak... martwię się. Dwa razy u niego nie byłem. Właściwie trzy. Miałem zdjęcia przy dwóch ślubach, wczoraj się pochorowałem. I zdałem sobie sprawę, że Cezar jest wciąż pijany.

Opowiedział o nietypowych zachowaniach, czknięciach, niekontrolowanym śmiechu.

– Cały czas. – Jagłańska westchnęła. – Miałam nadzieję, że praca z tobą pomoże mu wyjść z tego świństwa.

– Miałem być odtrutką?

– Poniekąd. I nie unoś się, korzyści wyciągnąłeś raczej duże, prawda?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie spodziewałem się...

– Czego? Tego, że pomogę tobie, czy też że będę chciała przy okazji pomóc przyjacielowi? Zawieź mnie do niego.

– Nie jesteśmy na dziś umówieni.

– Nie ma znaczenia. Zawieź mnie.

Igor niechętnie zaprosił matkę Kamili do zapuszczonej

syrenki. Gdy postanowił oszczędzać na nowy samochód, kompletnie odpuścił dbanie o stare auto. Nawet nie było umyte. Jagłańska taktownie nie skomentowała.

Gdy dojechali na miejsce, Cezar siedział na tarasie, popijał z butelki.

– To ty? Wynoś się! Czekałem wczoraj! – wykrzyknął, gdy usłyszał kroki.

– To ja – powiedziała Jagłańska, wychodząc zza rogu domu.

– Ty? – Wstał i patrzył przerażony na jej drobną postać. – Jak ty zmizerniałaś. Skąd ty...

– Może usiadzimy? Poczęstujesz mnie? – Wskazała na jego rękę.

Schował butelkę za plecy.

– Nie bardzo mam...

– Nie przejmuj się. – Przerwała mu. – Kupiliśmy ciastka. A Igor już się u ciebie zadomowił, więc pewnie herbatę przyniesie.

Igor nie dowiedział się, o czym rozmawiali, chociaż mógł się tego później domyślać. Gdy wrócił, w zgodzie komentowali urodę sadu, w którym większość owoców leżała już na ziemi.

– Zrobiłbyś z tym coś – powiedziała.

– Gospościa niech weźmie. – Machnął ręką.

– To jej o tym powiedz, bo kobieta chyba o tym nie wie. Igor, od dziś będziesz przychodził dwa razy w tygodniu. W pozostałe dni musisz postudiować jeszcze inne podręczniki. I tak z rysunku do egzaminu będziesz potrafił, co należy. A teraz może się przejdziemy?

Ruszyli powoli przez sad. Igor oddalił się od nich, wyraźnie własne towarzystwo sprawiało im przyjemność. Wrócił szybko na taras, z daleka obserwując parę starych znajomych. Powiedziała: przyjaciela. Coś mi to wygląda na niezły romansik – pomyślał z przekąsem. Mylił się jednak bardzo, chociaż

uważał się w tamtej chwili za niezwykle przenikliwego. Romansu między tą parą nie było nigdy, nigdy też nie miał nastąpić. Lubili się, Cezary kiedyś podkochiwał się w koleżance, wspierał ją, ale wtedy on był żonaty, a ona mężatką była ciągle. Zresztą, była to miłość jednostronna, matka Kamili darzyła Cezarego przyjaźnią i serdecznością, nigdy jednak nie pozwoliła mu wyobrazić sobie nic więcej.

Co tam jednak pozwolenie. Cezary sobie wyobrażał i już. Tego popołudnia, gdy zobaczył ją, taką drobną, walczącą jak lew o jakiegoś młokosa, zrobiło mu się wstyd. Zastała go w rozchełstanej, przybrudzonej koszuli, nieogolonego i pewnie śmierdzącego – wodą, brudem, potem. Tego popołudnia powziął twarde postanowienie poprawy. U alkoholików jednak takie postanowienia są stałe – powtarzają się ciągle od nowa. Wytrzymał tydzień, potem wpadał w kilkudniowy cug. Wtedy Igor nie mógł do niego przychodzić, Cezar robił się agresywny. Później znów było mu głupio, nie pił przez półtora tygodnia. Takie okresy przeplatały się nieustannie, trzeba jednak przyznać, że Cezary walczył dzielnie, okresy trzeźwości miewał coraz dłuższe, nie potrafił jednak wygrać ostatecznie. Nie sam. Obarczony jakimś perfidnym genem, a przynajmniej przekonaniem o jego istnieniu, Cezary potrzebował pomocy, wsparcia osób z kręgu AA, do których przecież nigdy by się nie zwrócił i nigdy nie pozwolił sobie pomóc.

Lekcje rysunku starał się prowadzić z Igorem regularnie, do niektórych nawet się przygotowywał.

– Perspektywa! – Denerwował się czasami. – Kiedy malujesz farbami, nie możesz pominąć faktury! I w ołówku też musisz o to zadbać. Nie rysujesz płaskiej powierzchni, ona musi żyć! A co to za cień? Chyba cały cień, ty masz narysować półcień!

Igor się nie buntował. Z każdą lekcją, z każdym kolejnym rysunkiem czuł, że coraz bardziej rozumie, jak wiele mu jeszcze brakuje. Cieszył się z tego. Kiedyś wziął teczkę i pokazał pani Joannie w bibliotece. Zawołała kilka bibliotekarek, razem

oglądały, cmokając i popiskując z zachwytu.

– Będiesz naszą dumą – powiedziała pani Joanna, poklepując chłopaka po plecach. – Idź i twórz.

Będzie dumą – pomyślała jedna z bibliotekarek. – Żeby jeszcze tylko był pociechą – westchnęła, myśląc o swoim synu, który wprawdzie szkoły pokończył, wykształciła go jak mogła, a potem z domu wyfrunął i teraz pojawiał się w okolicy sporadycznie, właściwie wcale. Po skończonym technikum wyjechał na wakacje, tam poznał dziewczynę spod Wrocławia, ożenił się, i tyle go widziała. Wnuki znała ze zdjęć.

Pomiędzy wizytami na cmentarzu, odwiedzinami u matki Kamili, lekcjami u Cezarego, obsługiwaniem fotograficznym imprez i uczeniem się – minęła Igorowi zima.

Całe szczęście, że jeszcze coś czyta, uczy się – pomyślała pewnego wieczoru Natalia. Dzięki temu siedzi tu ze mną, tyle go mam, co w te wieczory.

Egzamin na politechnikę zdał z drugim wynikiem. Dumny ojciec postawił na stole butelkę Sowietskoje Igristoje.

– Musimy uczcić szampanem – powiedział.

– Po pierwszym egzaminie tak nie czciłeś – powiedziała Natalia.

– Po pierwszym egzaminie Igor był za młody. A teraz – poklepał chłopaka – mój syn! Uparty i zdolny. Na zdrowie!

Igor chwycił kieliszek, wypił trochę. Wolał bardziej wytrawne trunki, ale nie marudził. Miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

– Tato – powiedział ostrożnie – ostatnio zmodyfikowali poloneza...

– Słyszałem, drogi się zrobił okropnie.

– Wszystko drożeje – wtrąciła Natalia. – Sto trzydzieści sześć złotych ostatnio za masło płaciłam!

– No właśnie... Dlatego chciałbym, tato, dużego fiata...

– Też bym chciał, synku. – Dominik aż klepnął się w kolana. – Oj, chciałyby dusza, chciała...

– Tato, nowy kosztuje półtora miliona. Ja tutaj mam siedemset. Nie udało mi się więcej... Może tato kupi jakiego używanego?

– To na malucha wystarczy!

– Sto tysięcy zabraknie... ale ja bym nie chciał malucha. Kupi tata coś lepszego, większego. Maluch dla małych... – Uśmiechnął się.

– Synu, a skąd tyś taką górę pieniędzy wziął! Nie ukradłeś chyba, co? – podejrzliwie zapytała Natalia.

– Mamo! Ze wszystkich fotograficznych sesji. Trochę musiałem na lekcje zostawić, dla Cezarego. Nie chciałem, ale chociaż trochę musiałem.

– Będzie miał za co pić – powiedział ojciec.

– Tato, nie moja to rzecz. Za lekcje musiałem zapłacić, chociaż odrobinę.

– I tyle aż uzbierałeś? – Natalia wciąż była pełna podejrzeń.

Igor zaśmiał się cicho.

– Jak ja cię mamo znam! Masz tu listę wszystkich imprez, na których robiłem zdjęcia. I kwoty. Policz sobie.

– A dobrze już, dobrze, synu. – Zamachała rękami. – Niech będzie.

– Jak sprzedasz syrenkę, to jeszcze jakiś grosz wpadnie. Może i wy jakieś oszczędności macie, może nie półtora miliona, ale zawsze coś.

Ojciec pokiwał głową.

– Pomyślę – odpowiedział i sięgnął po kopertę.

Nie chciał się rozczulać, dlatego wyszedł. Pomyślał jednak:

dobry ten chłopak. Dobrze go wychowaliśmy. Dobre dziecko.

W wakacje Igor mniej się uczył, więcej pomagał w żniwach. Syrenkę udało się sprzedać, we wrześniu kupili lekko używanego fiata 125 p. Cała wieś się za nimi oglądała.

– A skąd to tyle pieniędzy mają – szeptali.

– Patrzcie, jak się noszą teraz – dodawali inni.

A Maskowie fiatem jeździli wszędzie, przede wszystkim do kościoła. Igor na cmentarz i do Żuromina. Szybko przywykli do wygody, jaką dawał większy samochód.

– Teraz już, tato, będziesz znowu jeździł. Nogi ci się wygodnie zmieszczą i nie zepsuje się, jak tamten.

– Nie zapieszaj, synku, bo złe usłyszysz – powiedziała Natalia, a Dominik parsknął.

– Baby to wymyślają. Dobry samochód, prawie nowy, to się nie zepsuje.

– A co wy tam wiecie – mruknęła Natalia.

Samochód jednak się nie psuł. Przez kilka lat pracował bez zarzutu, woził rodzinę bezpiecznie i wszędzie, jeśli tylko zdobyli paliwo.

Tym razem Igor został odwieziony na dworzec samochodem.

– Jak panisko – powiedziała Natalia, a stojące obok bratowe Igora pokiwały głowami.

Na początku patrzyły na niego wilkiem, przekonane, że jednak będzie chciał coś uszczknąć z ojcowskiej schedy. Kiedy jednak upewniły się, że chłopak nie zgłasza żadnych roszczeń, a jest pracowity i uczynny, to korzystały z jego pomocy przy każdej okazji. Przed zbliżającym się wyjazdem chłopaka żałowały coraz bardziej, przede wszystkim darmowej pomocy. Szczególnie przy zwierzętach, znowu wszystko będą musiały robić same, bo ich mężowie rzadko kiedy pomagali. Zajmowali się żniwami, maszynami, traktorami. Ale nakarmić łaciate i wieprze? Babska

sprawa – uważali.

– Synu, tylko teraz nie wróć – powiedziała Natalia na ucho Igorowi.

– Nie wrócę, mamu, już teraz nie – odpowiedział.

Trzeba czasem uważać na swoje życzenia. Mogą się spełnić.

W autobusie Igor rozmyślał nad innymi pożegnaniem. Cezar na ich ostatnim spotkaniu był kompletnie pijany. Cuchnął i zachowywał się jak prosiak. O żadnej lekcji nie było mowy, Igor wszedł do domu, sprzątnął naczynia ze zlewu, zrobił herbaty, ogarnął trochę. Kolejna osoba, której to robię – pomyślał wtedy. – Ogarniam. Jak matce Kamili.

– Siadaj, Cezar – powiedział chłopak po prostu. Po egzaminie przeszli w końcu na „ty”, choć Igor ciągle nie czuł się z tym komfortowo.

Cezary usiadł, kiwał się przy stole.

– I co? – powiedział zaczepnie.

– I nic – odpowiedział Igor. – Jadę.

– No to jedź. – Cezary wzruszył ramionami.

– Pojadę. Ale zanim ruszę, to ci powiem.

– A mów.

Co za dialog! – pomyślał Igor.

– Powiem ci, że bez ciebie nie dałbym rady. Starasz się być obleśny i straszny, bo się boisz ludzi. Na wszelki wypadek ich odpychasz, żeby przypadkiem nie polubić. Nie przywiązać się. A ja czuję do ciebie respekt i jestem wdzięczny. Teraz, jak już to wiemy, możesz pić do pojutrze.

– Tak zrobię.

Igor kiwnął głową.

– I tak dziękuję.

Nie doczekawszy odpowiedzi, wyszedł.

– Proszę – powiedział Cezar w pustkę. Nie podniósł się jeszcze długo, siedział na twardym i niewygodnym krześle, którego nie lubił i które postawił przy stole z nadzieją, że każdy gość będzie chciał z niego szybko wstać. Siedział tak do zmroku, ale tego dnia już nie pił.

Następnego dnia czekał na Igora, i kolejnego również. Dopiero trzeciego przypomniał sobie, że chłopak już nie przyjdzie. Cezar pił więc przez kolejne dwa dni.

Odwiedziny u matki Kamili przebiegały mniej histerycznie.

– Jedź, ucz się. Niech ci się wiedzie – powiedziała. – Pomogłeś mi bardzo.

– Nie. Tylko byłem. Pomagałem sobie, myślałem o Kamili, o tym wszystkim, co nas nie spotkało. Wylewałem tu swój smutek i żal.

– Przy okazji zbierając mój. Wszystko zebrałeś i wyniosłeś gdzieś daleko. Pomogłeś mi.

– Byłem u Cezarego.

– Jak on?

– W sztok pijany.

– Jak to on.

– Może... może pani z nim porozmawia?

– A co ja mogę? Powiem mu, żeby nie pił? Wyśmieje mnie, jak każdego.

A jednak nie wyśmiał, co okazało się tydzień później. Sam przyjechał do Jagłańskiej, własnym samochodem, który cudem odpalił. Cezar był trzeźwy i przyzwoicie wyglądał. Tylko czerwone policzki i popękane naczynka krzyczały o jego słabości.

Rozmawiali krótko, ale zaczęli spotykać się często. Było miło,

jednak Cezary nie potrafił całkiem przestać pić. Po jakimś czasie dołączyła matka Kamili i piła z nim aż do czasu, gdy zaczęła chorować. Wtedy nie miała już ani sił, ani pieniędzy, ani czasu.

To miało nastąpić jednak dopiero za kilka lat, a na razie patrzyła na Igora, wysokiego, przystojnego. Przechodził przez parking do prawie nowego fiata 125 p.

– Zięc jak marzenie – pomyślała.

Tylko reszty rodziny brak. Odwróciła się od okna i włączyła telewizor.

Ostatnie pożegnanie zajęło Igorowi najwięcej czasu. Pojechał na cmentarz, rozmawiał z Kamilą do wieczora. Aż zdrętwiał i zmarł. Miał jednak wrażenie, że w końcu powiedział wszystko.

Rozdział 12

ONA

Po wyjeździe Oleny Isabel była milcząca. Wciąż dużo ćwiczyła, znacznie więcej niż zazwyczaj. Manolo trzy razy w tygodniu pracował jako lektor hiszpańskiego, zostawała wtedy sama. Czasami spacerowała, czasami zastygała, stojąc oparta o barierkę, plecami do oceanu. Wpatrywała się w niebieskie azulejos, rozmyślała.

Na Manolo zawsze czekał ciepły posiłek. Odgrzewała zapasy z zamrażarki, zjadali w milczeniu pełnym zrozumienia. Manolo był zmęczony, Isa sprawiała wrażenie załęcznionej. Jedli na tarasie, na białym stole, siedząc na metalowych krzesłach z białymi poduszkami.

- Chcę kupić już bilety – powiedziała.
- Olena to załatwi – odpowiedział odruchowo Manolo. Jej prawie menadżer.
- Tak, ale dopiero jak się zgodzę.
- Jeszcze ponad rok...

– Zaledwie rok – uzupełniła. – Muszę się zastanowić nad garderobą.

Tylko kiwnął głową. Isabel sięgnęła po książkę, on usiadł obok niej. Wpatrywał się w ocean, siedząc obok ukochanej kobiety na tarasie ich wymarzonego domu.

Stworzyli tu azyl. Australia dla wielu ludzi była na końcu świata. Perth było na końcu Australii, oddalone od wszystkich innych dużych miast o tysiące kilometrów. Klimat im odpowiadał, przypominał odrobinę Hiszpanię, chociaż z odwróconymi porami roku. Mieli widok na ocean, który prywatnie nazywali morzem, tak im było wygodniej. Mieli swoje okiennice, moskitiery i niewielkie okna. Swoje zioła pod oknem i suchą piaszczystą drogę, którą raz w tygodniu dojeżdżał listonosz. Nikt inny tu nie zaglądał, nie odwiedzał ich, jeśli go nie zaprosili. A nie zapraszali.

Isa wszystkie sprawy załatwiała telefonicznie i przez internet. Na wszystkie koncerty wylatywała wcześniej, także i po to, aby ochłonać po przelocie. Nie cierpiała samolotów. Zwykle podczas lotu patrzyła w podłogę, tłumacząc sobie, że przecież to jest ład. Dokładnie tak się przekonywała: „ład”. Pod żadnym pozorem nie siadała przy oknie i prosiła Manu, aby zasłonił roletę. Starła się zasnąć, słuchała muzyki przez słuchawki, zakładała ochraniacze na oczy – robiła wszystko, aby nie uświadamiać sobie, że podłoga to nie jest „ład”. Latała jednak, bo muzyka była jej miłością, ba! – jej życiem. Którego przez uległość kiedyś omal nie straciła.

Wszystkim tłumaczyła, że przylatuje wcześniej, aby poćwiczyć z solistami. Zawsze perfekcyjnie przygotowana, swoje partie grała wprawdzie z nut, ale umiała na pamięć. Utwory miała przeanalizowane niemal takt po takcie od strony formalnej, struktury, budowy, harmonii, i jeszcze do tego znała większość dostępnych wykonania. Była tak biegła, że odruchowo reagowała na każde najmniejsze wahanie drugiego muzyka. Mimowolnie zwalniała, ściszała, przyspieszała i zgłaszała. Każde

diminuendo brzmiało, jakby tygodniami było ćwiczone – bo było. W czasie prób Isabel „wyjmowała” ze swojej głowy akurat te elementy, które były potrzebne. Skupiona, czujna, uważna – to chyba były jej podstawowe atuty, chociaż pianistyczna sprawność nie pozostawała bez znaczenia. I oczywiście muzykalność – takie pierwotne, zupełnie naturalne rozumienie muzyki, poparte latami ćwiczeń i różnorodnych doświadczeń, ale jednak na poziomie podstawowym wprost atawistyczne.

Uwielbiali ją skrzypkowie i „dęści”. Najbardziej lubiła występować z Oleną, ale grywała ze wszystkimi. Nie przepadała za kwartetami i kwintetami, najczęściej wtedy odmawiała. Raz zgodziła się na nagranie tria, i to doświadczenie sobie chwaliła. Mało znana, młoda i zdolna flecistka podpasowała jej muzyczną wrażliwością – co z tego, skoro była to ostatnia płyta dziewczyny. Po jej nagraniu zamknęła się w rodzinnym domu bogatych austriackich arystokratów i postanowiła skończyć z karierą.

– Występowanie publiczne jest dla plebsu – wbijała dziewczynie w głowę matka.

– Nie, mamó, nie o to chodzi – sprostowała ją pewnego dnia flecistka. – Po prostu mi się nie chce. Jak słuchałam Isabel Montañó, jej łatwości operowania prawie niesłyszalnym piano, swobody w przeskakiwaniu ze stylu do stylu, niezmierzonej palety barwowej, to uznałam, że nie mam do kogo startować. Bycie średnim mi się nie uśmiecha.

– Ty też potrafisz! – Matka się oburzyła. – Jesteś najsprawniejszą flecistką, jaką słyszałam!

– Potrafię zagrać szybko, bardzo szybko, chyba najszybciej ze wszystkich obecnie żyjących flecistów. I co z tego, mamó? Życia w tej muzyce tyle, co u Isabel przypadku.

Matka prychnęła, myśląc o kapryсах córki.

Jest najlepsza, a jeszcze jej mało – myślała. – I dobrze. Teraz czas na życie, nie na ciągle ćwiczenie.

Gdy córka postanowiła wyjść za mąż, a potem pojawiały się kolejne wnuki, nikt w rodzinie nie myślał już o koncertowaniu i nagrywaniu płyt. Dziewczyna, po trzech latach matka dwójki bliźniaczek i jednego chłopca, sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej u boku męża, mieszkając w osiemnastowiecznej kamienicy z sufitowymi stiukami i złoceniami na drzwiach.

– Pojedziesz i co? – zapytał Manolo, odrywając ją od wspomnień o flecistce.

– Pojedziemy razem – odpowiedziała. Nawet przez chwilę nie myślała, że praca Manolo mogłaby przeszkodzić we wspólnym tournée.

– Pojedziemy i co? – poprawił się.

– I będę się nieustannie przebierać. W Wiedniu założę tę suknię z kremowego jedwabiu. Tę stylizowaną na krynolinę.

Manolo kiwnął głową. Isabel uwielbiała tę suknię tak bardzo, że czasami wkładała ją, parując po domu. Chwytała wtedy koronkową parasolkę i zakładała siateczkowe rękawiczki. I mówiła do niego z francuskim akcentem.

– A w Paryżu? – zapytał odruchowo.

– To trudność. Coś muszę zamówić.

– Obstałować u krawca. – Zaśmiał się. – Nie trzeba, masz dość koncertowych sukien. Chyba że będzie to krwistoczerwona kreacja bez ramion, dopasowana do twojej perfekcyjnej figury.

– Oczywiście, jeśli tylko w gamie krwistych czerwieni znajduje się cokolwiek z odcieni bieli lub écru. – Uśmiechnęła się.

– Może chociaż beż? – Zrobił proszącą minę. – Szarość?

Wzruszyła ramionami.

– Sukni mam dość. Muszę je uporządkować.

– Ja też sądzę, że suknie to problem.

– Nie będzie żadnego problemu – powiedziała twardo.

– Nie będzie – odpowiedział.

Isabel miała zaplanowane jeszcze trzy inne tournée koncertowe. Najbliższe, w przyszłym miesiącu, w Stanach Zjednoczonych z niezbyt sympatycznym, ale świetnym skrzypkiem. Klócili się na próbach, czasami trzaskając drzwiami. Raz po jego wyjściu Isa walnęła klapą od fortepianu, a potem usiadła na stołku i głaskała instrument.

– Mam nadzieję, że cię nie rozstroiłam – mówiła do fortepianu, a może do siebie. – Nie będę się więcej na ciebie złościć. To przez tego kretyna! – Uderzyła pięścią tym razem w kolano. Nigdy wcześniej – ani też później – nie zrzuciła klapy instrumentu, szczególnie gdy okazało się, że podczas uderzenia pięć strun puściło strój, a jedna pękła. Stroiciel nie uważał, żeby spuszczenie klapy miało z tym coś wspólnego – siła naciągu wszystkich strun w koncertowym fortepianie wynosi ponad dwadzieścia ton, struny po prostu czasem pękają. Isabel jednak czuła niesmak i obwiniała o to siebie. Obawiała się, że nowa struna, która zawsze potrzebuje czasu do złapania stroju, popuści, opadnie, a wtedy instrument na koncercie zabrzmiał fałszywie. Uznała to za niedopuszczalne.

Teraz też czuła narastające napięcie. Szykowała się do trasy, rozmyślając o tym, co też ów „kretyn” znów wymyśli.

Manolo wspomagał ją i wspierał, oczywiście na czas tournée zawiesił lekcje. Wiadomo było, że w podróż wyruszą razem, jak zawsze.

Właściwie kilkakrotnie Isa proponowała mu, żeby oficjalnie został jej menadżerem. Miała kogoś takiego, załatwiał jej kontakty z najwybitniejszymi muzykami, dbał o nagrania, przede wszystkim jednak Isa płaciła mu za to, żeby nie dopuszczał do niej prasy i kontrolował zdjęcia ukazujące się w magazynach, przynajmniej tych znaczących. Impresario nie miał z nią wiele pracy – chętni muzycy zgłaszali się sami, najczęściej bezpośrednio do Isabel. To ona każdorazowo podejmowała decyzję o tym, czy zagra z konkretnym solistą. Na

ogół nie miała obiekcji, kochała granie całym sercem i zarabiała w ten sposób na życie. Raz jeden odmówiła pewnemu Niemcowi. Powiedział do niej po angielsku, z twardym germańskim akcentem:

– Całe szczęście, że pani jest Hiszpanką. My Niemcy i Hiszpanie świetnie się dogadujemy. Nie można nigdy polegać na tych Słowianach, co to wiecznie w chmurach, pracować nie lubią. My się dogadamy – dodał z zadowoleniem.

Isa zamarła nad instrumentem. Przez chwilę przetrawiała słowa skrzyпка, po czym zapytała:

– Pan tak poważnie? O tych Słowianach?

– Nie tylko o Słowianach! – odparł radośnie. – Także innych, tych wszystkich. Cyganach i gorszych jeszcze.

– Pan jest faszystą – powiedziała, wstając od instrumentu. – Obawiam się, że współpraca nam się nie ułoży.

To był jedyny raz, gdy nie zagrała z solistą nawet próby. Poza tym kilkakrotnie miała wrażenie, że nic z grania nie będzie. Czasami na próbie z jakimś muzykiem kompletnie nie potrafili się zgrać. Zdarzyło się, że jeden z flecistów grał po prostu w poprzek, przynajmniej w jej rozumieniu. Nie pojmowała jego frazy, dynamika wydawała się nielogiczna, accelerando zbyt wyraziste, za mało piano. Przed drugą próbą zamierzała powiedzieć, że rezygnuje, ale zagrali jeszcze raz. I okazało się, że oboje byli doskonałymi muzykami. Pomimo pozornego chaosu wzajemnie słuchali się na pierwszej próbie. Każde z nich wyciągnęło własne muzyczne wnioski. Każde z nich trochę poddało swój temperament i pozostało tylko kilka miejsc, które wymagały dyskusji. Która zresztą przebiegała w przyjaznej i otwartej atmosferze.

– Tak miałbym to zagrać? – pytał flecista.

Isa kiwała głową. Albo mówiła:

– Sama nie wiem, zagraj jeszcze raz tak, jak grałeś.

Słuchała, przekrzywiając głowę. Czarne włosy opadały jej wtedy na jeden policzek, czuła ich łaskotanie, nie otwierała oczu.

– A gdyby to połączyć? – zapytała. – Otak.

Zagrała swoją partię.

– Ja tu poczekam na twój ozdobnik, a ty pójdz za mną w tym fragmencie – zanuciła.

W ten sposób znaleźli rozwiązanie dla wszystkich spornych fragmentów. Pod koniec drugiej próby zagrali całość zdumieni efektem.

– Zostały nam trzy utwory – powiedziała Isa na koniec. – Może jutro, dziś jestem już zmęczona.

– Myślę, że więcej – odparł flecista. – Z pięć. Albo osiem.

– Słucham? Nie miałam tylu w repertuarze. – Od razu zaczęła się złościć.

Uśmiechnął się.

– Musimy pomyśleć o bisach.

Innym razem zdarzyło się z pewną wiolonczelistką, że nie potrafiły odnaleźć wspólnego głosu w Chanson triste Czajkowskiego. Solistka miała bardzo romantyczną naturę, robiła rubato dosłownie w każdym takcie, zakłócając w ten sposób – zdaniem Isy – przebieg muzycznej myśli. Wtedy też chciała już zrezygnować, ale ponownie – na drugiej próbie dopasowały się do siebie. Podobnie było z pewnym znanym klarncistą.

Isabel miała bowiem czarodziejską wprost umiejętność słuchania drugiego muzyka. Analizowała niemal każdy fragment, porównywała ze znanymi sobie wykonaniami, a знаła wszystkie istotne nagrania ukazujące się na rynku. Manolo skompletował jej sprzęt odsłuchowy, o jakim wielu audiofilów mogło jedynie pomarzyć. Isabel jednak nie traktowała go jak

relikwii. Manuel wyobrażał sobie, że sprzęt stanie w salonie, przed nim wygodny fotel, sanktuarium słuchania. Isa poprosiła o ustawienie go w pracowni, na półkach pomiędzy nutami i książkami. Oprotestowała też duże podłogowe kolumny, w eleganckim fornirze wenge. Ostatecznie zawarli kompromis – głośniki pozostały duże, Manolo jednak wymienił je na model lakierowany na biało. Cała Isa – stać ją było na wiele, nie ceniła tego jednak nadmiernie. Używała pieniędzy i rzeczy dla własnej wygody, nie dla zewnętrznego efektu.

Od czasu wspomnianych doświadczeń Isabel doceniała magię drugiej próby. Jeśli po drugiej próbie nie wyjdzie, to już nie wyjdzie w ogóle – mawiała czasami. Jak do tej pory na drugiej próbie zawsze wychodziło.

Dlatego też jej impresario nie miał dużo pracy. Muzycy zgłaszali się sami, pozostawało tylko zgrać terminy koncertów, co przy jego kontaktach okazywało się zajęciem relatywnie łatwym. Każdy z tych znanych muzyków miał kalendarze związane na trzy lata do przodu, mówili więc o odległych terminach. A tam zwykle udawało się bez trudu uzgodnić odpowiedni czas.

Tournée z Oleną także udało się przygotować po ich myśli. Ich impresariowie się znali, na prośbę Oleny czas został dokładnie sprawdzony. Pierwotnie nie było szans na tak krótki termin. Planowano raczej trasę za dwa i pół roku. Okazało się jednak, że któryś z dyrygentów odwołał jeden z koncertów, co spowodowało zmianę kilku różnych rezerwacji, przede wszystkim w dostępności sal. Na hasło „Isabel Montañó” w Europie otwierały się każde drzwi. I udało się zgrać wszystkie terminy. Nie dokładnie za rok, bo za ponad półtora roku, ale jednak. To i tak było szybko, jak na kalendarze Isy i Oleny.

Impresario Isy więcej pracy miał z prasą – fakt, że nie lubiła zdjęć, że tak pilnowano, aby jej zdjęcia nie ukazywały się drukiem, a jeśli już, by twarz nie była widoczna – wzbudzał zaniepokojenie. Jak również to, że wszystkie wywiady były albo

radiowe, albo wyłącznie z offu, Isabel nigdy nie zgodziła się zasiąść przed kamerami.

Na początku sporym wyzwaniem były wytwórnie płytowe – Isabel była atrakcyjna, każdy marketingowiec uważał, że jej twarz jest na okładce potrzebna. A także wewnątrz płyty, w książeczce. Dwa razy prawie doszło do zerwania kontraktu – wspinając się na szczyty dyplomacji, zdołała wytłumaczyć, że najważniejsza jest osoba solisty, akompaniator nie powinien być eksponowany. Ego solistów zawsze było terenem podatnym na tego typu manipulacje, więc wspierali ją z całych sił w tych dążeniach. Dzisiaj nie sprawiało to już problemu. Marketingowcy nawet nie próbowali publikować zdjęć Isy, uważając, że tajemnica przyciąga.

No i Europa – teren zakazany, a przecież Isabel była Hiszpanką, Europejką. Nigdy jednak nie pojawiała się na koncertach w Europie, chociaż spekulowano, że bywa tu często, ale prywatnie.

– Musi przecież odwiedzać bliskich, Hiszpanie są rodinni – mówiono.

Od czasu do czasu nawet ktoś twierdził, że widział Isę na ulicach Barcelony. Potem, że pojawiła się w Maladze. Obchodziło to jednak ściśle grono muzycznych menadżerów, publiczność po prostu czekała na koncerty.

Isabel jednak nie pojawiała się w Europie. Ze względów znanych sobie i Manuelowi. I Olenie. A teraz codziennie śniła o tym, że ma to ulec zmianie.

Na razie szykowała się do trasy koncertowej po Stanach. Osiem występów w ciągu dwóch i pół tygodnia. Kolejne tournée miała zaplanowane w Japonii. Tam grała z Oleną i jeszcze jednym skrzypkiem, którego lubiła i z którym doskonale jej się pracowało. Zostawała w Japonii na dłużej, zdecydowali się na nagranie płyty, Japończycy stwarzali doskonałe warunki. Dawno nie grałam zespołowo – myślała Isabel. – Pora sobie

przypomnieć. Mieli studio dostępne na cztery dni nagraniowe, wcześniej możliwość wspólnych prób przez pięć dni. Japońska wytwórnia uznała, że zebranie trójki muzyków tej klasy w jednym miejscu i w jednym czasie jest nie lada osiągnięciem, i planowali zapewnić im wszystko, czego będą potrzebować.

Dziesięć koncertów, nagranie, prawie półtora miesiąca pobytu. Za osiem miesięcy znów leciała do Stanów. W następnym roku w planach były Chiny. Tylko trzy koncerty, za to przez dwa tygodnie. A potem znowu Stany, z innym solistą.

I tak upływało jej życie. Kilka tygodni w trasie, potem dwa, trzy miesiące w domu na zachodnim wybrzeżu Australii. W tym czasie ćwiczenie, słuchanie i czytanie. Próby z różnymi artystami, na które najczęściej musiała lecieć gdzieś daleko, bo do swojego domu nie lubiła nikogo zapraszać – poza Oleną. Tych prób było coraz mniej, bo z większością muzyków już grała i wiadomo było, że poradzą sobie ze wspólnym występem. Każdorazowo Isa przed samym koncertem planowała cztery próby, najczęściej były potrzebne dwie.

To i tak było dużo. Mogła sobie planować komfortowo próby, bo miała status gwiazdy. Bo to o nią zabiegano. Codziennosc przeciętnego akompaniatora wyglądała zupełnie inaczej. Czasami zdarzało się, że pianiści musieli na koncercie grać z nieznanym wykonawcą a vista. To dopiero była sztuka! Isabel myślała o takich ludziach z podziwem.

– Umarłabym z przerażenia – powiedziała kiedyś do swojego impresario.

Akurat – pomyślał wtedy. – Nie miałabyś wyjścia, a za setnym razem nawet byś tego nie zauważyła. Chwycił ją jednak pocieszająco za rękę, co pozwoliło mu nie odpowiadać.

Z każdej trasy wracała zmęczona. Oczywiście, pełna wrażeń, Manolo dbał o zwiedzanie, atrakcje dla ciała i ducha. Jednak obydwoje z przyjemnością otulali się białymi kocami i siadali na tarasie tyłem do azulejos.

Rozdział 13

ON

Pierwszy semestr Igor znosił ciężko. Dzwonił czasami do domu, matka pochlipywała, ojcu opowiadał, że wszystko dobrze. Dwa razy zdarzyło się, że rodzice zadzwonili do niego.

Na Boże Narodzenie przyjechał do domu jak ktoś obcy. Odzywał się tylko pytany. Pomagał we wszystkim, ale jak gość, z każdorazowym ukłonem w stronę rodziców, jakby chciał zasłużyć na ich przychylność. Świąteczny stół był wielki i gwarny, jednak wokół Igora panowała cisza. Nie uczestniczył w ogólnej wesołości, podziękował za prezent, szary sweter w czerwoną kratę i grube wełniane skarpety. Sam przywiózł dzieciarni po breloczku z wizerunkiem warszawskiej syrenki, stracił jednak rachubę w przychówku rodzinnym i jednego breloczka zabrakło, co spowodowało straszliwą rozpacz wśród dzieci. Sytuację uratowała Natalia, oddała poszkodowanemu dziecku własny prezent, szkatułkę, także z syrenką na wieczku. Wszyscy dostali coś syrenkowego i drobnego, jednak nikt się z tego nie śmiał, Igor nie miałby za co przywieźć dużych

prezentów, póki co w Warszawie nie zarabiał i nie w tym tkwił problem. Problemem było to, że Igor, tak siedzący za stołem, jak i uwijający się wśród kuchennego rozgardiaszu, wypełniający polecenia matki, a nawet goniący w berka za chmarą dzieciaków – był nieobecny.

Przed sylwestrem wrócił do Warszawy, twierdząc, że jest zaproszony na noworoczną imprezę. Wrócił jednak po to, by pobyć w pokoju sam. W akademiku panowała cisza jak makiem zasiał. Odpoczywał, wyglądając przez niewielkie okno, patrząc na nielicznych przechodniów, na całujące się w bramach pary. Chciał zebrać siły przed sesją.

Wszystkie przedmioty zaliczał, uczył się tak samo skrupulatnie jak w technikum, ale nie lubił studiów. Po lekcjach z Cezarym, czasami trudnych, pełnych krzyków, a nawet wyzwisk, ale nietypowych i oszalamiających, akademicki rysunek nie sprawiał mu przyjemności, był tylko architektonicznym rysunkiem warsztatowym. Pozostałe zaś przedmioty przychodziły Igorowi bez większego trudu i jeszcze bardziej bez przyjemności. Geometria wykreślna, nazywana popularnie kreską, rozwój myśli architektonicznej, czyli po studencku RAMA, mechanika budowli – wszystko to, i znacznie jeszcze więcej, studiował na własną rękę przez ostatni rok. Zdawał sobie sprawę, że wciąż umie mało, zbyt mało, ale stracił przyjemność w poznawaniu tych zagadnień.

To, co Igor lubił najbardziej – to fotografowanie. Chodził po mieście, spędzał na ulicach cały swój wolny czas. Nie fotografował ludzi, po doświadczeniach ze zdjęciami z imprez rodzinnych wszyscy wydawali mu się nieciekawi. Nawet nie patrzył na przemykające sylwetki. Oglądał za to budynki, w słońcu i deszczu. Zwrócił raz uwagę na dziewczynę, pstryknął jej fotkę, na której nie widać twarzy. Zaintrygowała go jej jaskrawożółta parasolka. Po raz pierwszy robił tyle zdjęć kolorowych, nie podobały mu się. Dotychczas większość jego zdjęć była czarno-biała, chociaż kolorowe klisze nie były już

czymś niezwykłym. Chciał jednak nauczyć się tak robić kolorowe zdjęcia, żeby przynajmniej odczuwać z nich satysfakcję.

Większość studenckiego stypendium wydawał na wywoływanie zdjęć. Po sesji, zamiast na ferie do domu, wybrał się do pracy. W barze niedaleko dworca centralnego podawał zapiekanki.

Igor był samotny i zupełnie nie cierpiał z tego powodu.

Któregoś dnia, segregując zdjęcia, uświadomił sobie, że nie ma ani jednego zdjęcia Kamili. Wszystkie zostawił w domu. Miał za to mnóstwo zdjęć, które robili razem. „Zobacz jaki kadr” – podpowiadała czasami dziewczyna. „Ale światło” – zachwycała się innym razem. Igor, pamiętając zachwyt Kamili światłem brzasku, pojechał nawet kilka razy za miasto, wczesną wiosną przed szóstą rano było jeszcze ciemno, ale gdy wstawał świt, podwarszawskie lasy wyglądały magicznie.

Gdy przeglądał te zdjęcia – tęsknił. Już nawet nie za żoną, ale za cmentarzem. Za miejscem, w którym mógłby po prostu posiedzieć i porozmawiać z nią. Ależ jestem głupi – pomyślał pewnego dnia. – Nie z nią rozmawiam, tylko ze sobą. A to mogę robić wszędzie.

„Wszędzie” jednak nie działało. Pewnego dnia wybrał się więc na cmentarz Powązkowski. Spacerując po alejach, oglądając zabytkowe monumenty, odczuł spokój. Tym ludziom też się kiedyś spieszyło – pomyślał. Chwycił aparat. Wśród drzew już panował zmierzch, chociaż pora nie była jeszcze późna. Uznał, że w kiepskim świetle zdjęcia nie wyjdą, i obiecał sobie, że tu wróci. Kilka ujęć jednak zrobił. Potem siedział na ławce przed jednym z grobowców i rozmawiał, aż zapadł zupełny zmrok.

Gdy zobaczył wywołane zdjęcia z Powązek – zaczął się zastanawiać. Czarno-białe obrazy, na nich wyłącznie kamienne płyty. Pionowe i leżące. Głównie popękane, poprzerastane bluszczem. Zachwaszczone wokół. Kiepskie światło ubrało

monumenty w tajemnicze półcienie, gdzieś kładła się na nie smuga popołudniowego słońca. Zostawił zdjęcia na wierzchu, zafrapowały go bardziej, niż się tego spodziewał.

Sesję zdał śpiewająco i bez większego wysiłku. Zadzwoił do rodziców, by ich o tym powiadomić, matka się uradowała, po czym zasypała go gradem dobrych rad i pouczeń: Ubieraj się ciepło. Jedz obiad codziennie. Mokre buty susz pod kaloryferem, ale wypełnione gazetami. Igor słuchał i uśmiechał się. „Dobrze, mamó” – odpowiadał kilkakrotnie.

Na Wielkanoc nie pojechał do domu. „Pracuję” – tłumaczył matce. „Warszawa jest droga, muszę się utrzymać”. Matka rozumiała i płakała.

Wiosna była deszczowa, marzec nie rozpieszczał, a jednak Igor codziennie wychodził na miasto. Miał tylko jedną parę butów, zaczął więc kichać, bo nie miał kiedy ich dosuszyć. Chodził jednak. Właśnie wiosną miał wyraźny pociąg do Nowego Świata. Chodził nim od ronda de Gaulle’a aż po Świętokrzyską, i z powrotem. Po dwóch dniach zaczął zaglądać w boczne uliczki. Rutkowskiego, Foksał. Ordynacka, Warecka. Kopernika. Okólnik. Tam przykuł jego uwagę plakat, miał interesujący rozkład, Igor spojrzął na niego przez obiektyw. Kadr nie był ciekawy, nie zrobił zdjęcia, ale podszedł bliżej. Koncert w Akademii Muzycznej miał się rozpocząć za dwadzieścia minut, wstęp był wolny. Był przemarznięty, a sala koncertowa obiecywała ciepło.

Wszedł po schodach, szklane drzwi skrzypnęły. Wielki długi hall i kręcone schody naprzeciw.

Poczuł się zagubiony i już miał wrócić, gdy usłyszał:

- Gramy dopiero pod koniec, mamy czas. Chodź, posłuchamy.
- Może z tyłu, co? Nie będziemy się potem przez salę przepychać.

I poszedł za dwiema dziewczynami, z których jedna miała na

sobie długą czarną spódnicę i plecy przykryte płaszczem ciemnoblond włosów. Drugiej nie zapamiętał w ogóle.

Poszedł za nimi w prawo, w lewo i stanął przed wielkimi podwójnymi drzwiami, za którymi było tylko trochę światła i dużo foteli.

Igor nigdy wcześniej nie był w sali koncertowej. Dziewczyny zniknęły mu z oczu. Ostrożnie przestąpił próg i zdecydował się zostać. Usiadł na skraju rzędu najbliższego wyjściu. Krzesło zaskrzypiało, gdy na nim siadał.

Sala była pustawa, schodziło się powoli kilka osób, coś między sobą komentując, raczej beznamietnie. Igor czuł, że serce mu wali. Czuł się... odświętnie. Inaczej. Bardziej niż w kościele, w którym nie był od świąt Bożego Narodzenia. Scena przed nim była wyłożona drobnym parkietem, mocno oświetlona. Na niej dwa fortepiany, trochę krzeseł i pulpitów. Wciąż był przemoknięty, ale przestawało mu być zimno.

Rozdział 14

ONA

Olena wcale nie lubiła soku jabłkowego. Piła go jednak często, szczególnie w trudnych życiowych momentach – uważała bowiem, że ma właściwości magiczne. W stosunku do soku jabłkowego zachowywała się jak dziewczynka i tylko Manolo wiedział, dlaczego.

Olena wróciła z Ukrainy bardzo nieszczęśliwa. Była tam tylko tydzień, a jednak Manolo, gdy zobaczył ją na dworcu, ledwo rozpoznał krewną. I wcale nie chodziło o to, że jej płaszcz był brudny, a szalik wyciągnięty. Olena sprawiała wrażenie żebraczki, tylko nie mógł zrozumieć dlaczego. Przynajmniej w pierwszej chwili.

Wysiadła na warszawskim dworcu przygarbiona, przywitała się, całując Manolo w policzek, nie patrząc mu w oczy. Potem szła obok ze spuszczoną głową. Gdy w końcu zobaczył jej twarz, przede wszystkim dostrzegł wielkie jak spodki od filiżanek cienie pod oczami. Kolejne koncerty miała zaplanowane dopiero za trzy miesiące i musiała do nich tylko trochę poćwiczyć. To

było pierwsze, co pomyślał, gdy zobaczył jej zmęczoną twarz – że ma wolne, będzie mogła odpocząć.

– Mogę u ciebie trochę zostać? – zapytała bez uśmiechu.

– Oczywiście – odpowiedział odruchowo. Miał niewielką kawalerkę przy rondzie ONZ, nie zapraszał tam gości, z Oleną jednak się wychował i miał do niej szczególny stosunek. Spędziła u niego ponad półtora miesiąca, z każdym dniem zapadając się w siebie coraz bardziej.

Manolo zabierał ją wieczorami do miasta. Centrum Warszawy oferowało różnorodne rozrywki. Chodzili po knajpach, spotykali znajomych i nieznajomych. Manolo pracował w szkole językowej, miał sporo kursantów, z którymi widywał się w mieście. Oni lubili czarnowłosego Hiszpana i traktowali jak encyklopedię o Hiszpanii, on czerpał z nich energię w chłodne zimowe dni, do jakich nie przywykł w rodzinnym kraju.

Olena zwyczajowo nie piła alkoholu, nie smakował jej. Gdy któregoś dnia postanowiła się upić, Manolo się ucieszył. Może wreszcie zapije robaka – pomyślał. Zwrotu nauczył się, jakżeby, od swoich polskich uczniów. Olena jednak po pierwszym łyku skrzywiła się i chwyciła szklanke, która stała obok. To był sok jabłkowy. W życiu sama by go nie zamówiła. Wtedy jednak wypiła do dna i powiedziała: jeszcze. Kelner przynosił więc sok jabłkowy kilkakrotnie, a Olena biegała do toalety wiele razy. W pewnym momencie powiedziała do Manolo:

– Zawieź mnie do szpitala.

Niedawno minęła północ. Chwilę wcześniej Olena siedziała przy stole wraz ze wszystkimi, nie okazując najmniejszych dolegliwości. Nie jęczała, nie narzekała. Siedziała milcząca, trochę ze względu na nastrój, trochę dlatego, że po polsku znała zaledwie kilka słów. Szpital pojawił się niepodziewanie i tak zaskoczył Manolo, że po prostu wziął Olenę pod rękę, pożegnał towarzystwo i wyszedł na ulicę. Bawili niedaleko placu Konstytucji, jedyny szpital, jaki przyszedł mu do głowy, był na

Komarowa.

Taksówką dojechali pod izbę przyjęć, gdzie godzina nie miała znaczenia. Wnętrze było rozświetlone białym jarzeniowym światłem, ludzie w kitlach biegali, pozostali siedzieli, stali, opierali się o ściany i siadali na podłodze. W poczekalni było za mało krzeseł, panował rozgardiasz. Manolo poczuł, że znajduje się w chaosie. Dopiero przy rejestracji uświadomił sobie, że nie wie, dlaczego tu się znaleźli. Po którymś drinku przyjął żądanie Oleny jako oczywiste, nie zastanawiając się nad przyczyną. Powtórzył więc pytanie pielęgniarki – co się dzieje.

– Jestem w ciąży, krwawię – odpowiedziała.

Pielęgniarka skinęła głową, zapisując coś.

– Proszę pojechać na drugie piętro. Tam jest winda. – Wskazała ręką.

– Jesteś w ciąży? Gratulacje! – Ucieszył się. Po czym stanął, wykrzywiając twarz. – Z kim?

– To naprawdę dobry moment? – odpowiedziała, nie odwracając się. Szła powoli, przelękając często ślinę. – Krwawię, więc raczej nie będziesz wujkiem.

Wczesna ciąża już właściwie była poroniona. Olena była w szpitalu tylko jeden dzień, Manolo został z nią, odwołując wszystkie zajęcia.

– Nie mówisz po polsku – tłumaczył.

– Ale tutaj sporo ludzi mówi po angielsku – odpowiedziała. – Zresztą nie mam potrzeby z nikim rozmawiać.

Jednak Manolo był przy niej przez całą noc i następny dzień. Z samego rana miała zabieg, wczesnym popołudniem wyszła ze szpitala.

– Olena, nie wiedziałem, że kogoś masz.

– Nie mam – odpowiedziała chłodno.

– To skąd...

– Bo tak.

Olena nie chciała wracać myślą do policyjnego ukraińskiego komisariatu, gdzie nikt jej nie rozumiał i nie chciał przyjąć do wiadomości, że podarta spódnica i brudna bluzka nie są wynikiem żebraczego stylu życia. Nie opowiedziała tego nikomu, chociaż Manolo domyślił się sam. Szczegółów nie znał i nie były mu potrzebne.

Smak soku jabłkowego stał się dla Oleny od tego dnia symbolem rozwiązania problemu. Pochodziła z ultrakatolickiej rodziny, w której wszystkie święta były obchodzone w kościele, w Wielkanoc mężczyźni zakładali wysokie czapy i maszerowali w procesji, a i bez okazji, nawet w środku tygodnia, częstokroć cała rodzina zjawiała się w kościele. Matka Oleny mawiała, że Bóg jest dobry na wszystko i we wszystkim pomoże.

Olena nigdy nie zastanawiała się nad słusnością matczynych tez, po prostu chodziła do kościoła. Odkąd jednak wyfrunęła spod czujnej rodzicielskiej kurateli, kościół odwiedzała rzadziej. Właściwie wszędzie, gdzie jeździła, miała taką możliwość, kościoły były na całym świecie, najczęściej katolickie – jednak nie czuła takiej potrzeby. W tamtym okresie, gdy waletowała na dwudziestu siedmiu metrach kawalerki Manolo przy ruchliwej warszawskiej ulicy, bardzo często modliła się do Boga. Chodziła do pobliskiego kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych, odpoczywając w chłodzie białych smukłych ścian i podziwiając ażurową ambonę. To zapamiętała najbardziej. Kontrast bieli i czerni. I modlitwy, w których nie mogła znaleźć ukojenia.

Światopogląd nie pozwalał jej nawet rozważyć usunięcia ciąży. Jednak pomijając wszystkie plany koncertowe, ewentualną konieczność odwołania części występów, zapominając o reakcjach rodziny na nieślubne dziecko – po prostu nie wierzyła, że potrafiłaby pokochać dziecko poczęte w takim poniżeniu. Były dni, że myślała o swoim dziecku z miłością, a były i takie, w których nienawidziła istoty, która dopiero kształtowała się w jej ciele. Nie potrafiła odpowiedzieć na

pytanie, czego chce. Nie ćwiczyła. Nie chodziła nigdzie, poza wizytami w kościele i „wychodnymi” z Manuelem. Włączała czasem telewizor, z którego rozumiała tylko obrazki. Kilka razy przeszła się po okolicy nawet nie konotując, że znajduje się na terenie getta, chociaż kiedyś twierdziła, że interesuje ją okres drugiej wojny światowej.

Teraz nie interesowało jej nic. Aż do dnia, gdy wypila sok jabłkowy. W tym dniu Bóg zdecydował o jej losie, tak to traktowała. Bóg i sok jabłkowy. Bóg mieszkał w kościele i nie odpowiadał na jej codzienne prośby, przestała się do niego modlić żarliwie, chociaż nigdy głośno nie przyznała się do tej zmiany. Wypełniała wszystkie obowiązki religijne jak dotychczas, a może i bardziej skrupulatnie. Jednak żar zgasł. To sok jabłkowy – jej zdaniem – ochronił ją przed złymi decyzjami.

Dlatego Manolo dbał o to, żeby zawsze był dla niej sok jabłkowy. Dlatego piła go, chociaż wcale nie lubiła. Dlatego nie opowiadała nikomu o tym, z jakiej przyczyny pije stale coś, czego nie lubi.

Rozdział 15

ON

Miał ochotę wyciągnąć aparat. Rozglądał się niepewnie, w sali siedziało niewiele osób. Większość na środku rzędów. Nie bardzo rozumiał, dlaczego po niektórych utworach klaskali, po innych nie. Jemu podobały się wszystkie, składał nieśmiało dłonie w każdej przerwie, w każdej ciszy, ale nie miał odwagi zaklaskać. Czekał, aż zaczną inni, a jeśli zaczęli, dołączał z całym zapamiętaniem. To było niesamowite. Fortepian, skrzypce z fortepianem. Dwa fortepiany, flet. Pięcioro skrzypiec w różnych rozmiarach.

Dopiero po czwartym utworze zorientował się, że każdy ze słuchających miał program, leżały na skraju sceny. Każdy mógł wziąć, ale Igor wstydził się wstać i przejść te osiem metrów, wystawiony na spojrzenia bywalców.

Bał się, że trzask migawki zniszczy magię, której doświadczał. A gdy na scenę weszła dziewczyna z rozpuszczonymi blond włosami, w czarnej spódnicy kończącej się tuż nad drobnymi kostkami, zapomniał o wszystkim. O aparacie, deszczu, całym

świecie.

Dziewczyna najpierw grała sama. Coś, czego oczywiście nie znał. Dźwięki płynęły mimo, wchodziły w jego ciało, głowę, dawał się im unieść. Palce szybko fruwały nad klawiaturą, jakby wbrew fizyce. Przecież są z ciała, mają kości i ścięgna – myślał z niedowierzaniem. A palce dziewczyny wirowały nad klawiszami, zlewały się w jedno, nie dostrzegał konturów, a jednak wydawały brzmienie, zawsze na czas i w odpowiednim miejscu. Dziewczyna kołysała się nad instrumentem, wyginała głowę, włosy opadały czasem aż do czarnego tapicerowanego stołka. Unosiła stopę, wysoko zadzierała palce, opierając się na wysokim obcasie. Potem stopa opadała, naciskając złoty pedał. Wydawało się, że nacisk rąk na klawiaturę i stopy na pedał są niezależne, występują w innym rytmie, bez ładu i składu. Po co zatem go naciskała? – nie mógł zrozumieć.

Gdy wstała, klaskał jak opętany – nawet gdy inni już przestali. Dziewczyna spojrzała w jego stronę, ledwo dostrzegał oczy spod prostej grzywki. Uśmiechnęła się i wyszła. Jęknął. Nie chciał, żeby wychodziła. Chciał słuchać dalej, a najlepiej fotografować. Te palce, stopę, lekko zagiętą spódnicę, białą bluzkę z okrągłym dekoltem. Nie wstał jednak, nie był w stanie. Siedział otumaniony.

A gdy dziewczyna weszła na scenę ponownie, przeszył go dreszcz. Nie była tym razem sama. Była z nią ta, której nie zapamiętał. Trzymała w rękach wielkie skrzypce, tak wysokie jak ona sama. Usiadły, pianistka podała dźwięk, druga go przejęła, kręcąc coś przy swoim instrumencie. A potem zaczęły, niemal równocześnie. Igorowi stanęły w oczach łzy, odczuł wolność, poczuł, że oddycha. Od śmierci Kamili wciąż brakowało mu powietrza. Wciąż czuł, że się dusi, że jest wokół za mało tlenu. Teraz zakręciło mu się w głowie. Tlen. Muzyka była jak tlen. Dziewczyny grały wolno, palce pianistki nie śmigwały po klawiaturze, podnosiły się i opadały wolno, wyważonym, ostrożnym ruchem. Dziewczyna co chwila

spoglądała na koleżankę, kiwały głowami, uśmiechały się.

Gdy skończyły, Igor nie klaskał. Wciąż czuł, że płynie, że jest pod wodą, choć może w niej oddychać pełną piersią, świat zwolnił i wypełnił się miękkimi, aksamitnymi dźwiękami. Pianistka spojrzała w jego stronę, uniosła lekko brwi. Obydwie ukłoniły się i zeszły ze sceny. Po nich wyszedł jeszcze ktoś, coś grał. Igor nie ruszał się, chociaż nic już nie słyszał.

Gdy koncert dobiegł końca, nieliczni słuchacze przechodzili spokojnie do wyjścia. Kilka osób musiało przejeść koło Igora. Zreflektował się, wstał, przepuścił przechodzących, po czym sięgnął po torbę i też ruszył do wyjścia. W drzwiach przystanął z wahaniem. Poszedł w stronę śmiechów. W niewielkiej sali, dokładnie vis-à-vis wejścia na scenę, stała pianistka i inni wykonawcy. Zobaczyła go w drzwiach, uśmiechnęła się. Stał jak gamoń. Oddał uśmiech i stał dalej. Dziewczyna wyszła do niego.

– Podobało ci się? – zagadnęła.

Tylko pokiwał, onieśmielony.

– To może przyjdiesz za tydzień do Morskiego Oka? – zapytała.

– Tak – odpowiedział, a ona kiwnęła głową i odwróciła się do kolegów.

– Tylko – zatrzymał ją z wahaniem w głosie – nie wiem, gdzie to jest. Jestem tu pierwszy raz. Nigdy nie byłem na koncercie.

– Nigdy...? – Spojrzała z niedowierzaniem. – Jasne. Poczekaj na mnie.

Stał oparty o ścianę, czekając na nią. Wyszła po dziesięciu minutach, z torbą w rękach, którą próbował od niej wziąć. Nie miała kurtki ani żadnego swetra.

– Zmarzniesz – powiedział odruchowo, a ona spojrzała na niego zdziwiona i wystawiła lewą rękę w stronę uczelnianej kawiarni.

– Tu jest ciepło.

Usiedli na samym końcu, on z butelką wody mineralnej, ona otulając rękami szklankę z herbatą. Wokół nich palili, całe pomieszczenie było zadymione, Igor tego nie cierpiał, ale tutaj nic nie czuł.

– Nigdy nie byłeś na koncercie? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nigdy. – Patrzył na nią jak na nadprzyrodzone zjawisko.

– Ja jestem na koncertach od dziecka, ciągle, co tydzień, czasem częściej. Nie wyobrażam sobie innego życia.

– I od dawna tak grasz? – spytał wciąż nieśmiało.

– Odkąd pamiętam. Ledwo od ziemi odrosłam. Ale to nic niezwykłego. Tutaj wszyscy tak mają.

– Skrzypaczka też?

– Wszyscy. Skrzypkowie, pianiści, waltorniści... wszyscy. Dlaczego skrzypaczka? Która? – zreflektowała się.

– Ta, która z tobą grała.

– Ze mną? Wiolonczelistka? – upewniła się. Igor poczuł się jak szczeniak. Wiolonczela! Słyszał kiedyś tę nazwę, ale nie kojarzył z wielkim instrumentem z seksownym wcięciem w środku. – Tak, ona też. – Dziewczyna się uśmiechnęła.

– A Morskie Oko?

– Pałacyk Szustra. W parku Morskie Oko, tam jest teraz Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, sporo tam gramy. W przyszłym tygodniu we czwartek. Przyjdiesz?

– Przyjdę – odpowiedział, jakby składał przysięgę.

– Muszę lecieć. Mam zajęcia.

– Zobaczymy się jutro? – zapytał z nadzieją, ale ona pokręciła głową.

– Mam sporo pracy. Nie dam rady.

– Jak masz na imię? – zapytał w ostatniej chwili.

Uśmiechnęła się znów, unosząc same kąciki ust, uosobienie delikatności.

– Elżbieta.

I odeszła wolnym krokiem, a długa spódnica zawijała się miękko wokół jej kostek. Patrzył jeszcze długo po jej wyjściu.

Było ciemno, gdy wyszedł z Akademii. Ukradkiem zdjął plakat z szyby przy wejściu i zwinął w rulon. Zanim doszedł do akademika, plakat był zmoczony i pomięty, a jednak rozwiesił go nad swoim łóżkiem.

Przez kolejne dni uczęszczał na wykłady, uczył się, trochę chodził po mieście, ale na Okólnik było za daleko. Musiałby nie pójść na zajęcia, a tego nie potrafił. Sprawdził na mapie, gdzie jest Morskie Oko, przygotował wcześniej garnitur. W ostatniej chwili stwierdził, że na poprzednim koncercie słuchacze mieli na sobie codzienne ubrania, tylko grający byli elegancy. Został więc w dżinsach, założył tylko koszulę i sweter zamiast bluzy. Wyczyścił buty, czego nie było widać, już zanim dotarł do przystanku. Kupił kwiaty, niewielki bukiet z trzech frezji.

Gdy wszedł, sporo ludzi odwieszało płaszcze w szatni. Nie miał śmiałości wejść od tyłu, spotkać się z Elżbietą. Obiecał sobie jednak, że tym razem porobi zdjęcia. Chociaż kilka. Trudno, może będzie komuś przeszkadzał, ale chciał mieć fotografie.

Gdy koncert się zaczął, kilkakrotnie przykładał obiektyw do oka. Nie naciskał jednak migawki. Przymierzał się, oglądał niewielką salę przez soczewkę, ustawiał, delikatnie przesunął się do tyłu, by mieć lepszy kadr. Gdy w końcu Elżbieta weszła na salę, pierwsze zdjęcie zrobił już podczas ukłonu. Blond włosy opadały właśnie z ramion, tworząc wokół jej sylwetki złotą mgłę, podświetloną reflektorem z tyłu. Klisza była kolorowa i chociaż Igor generalnie nie lubił wielobarwnych zdjęć, to jedno stało się jego ulubionym. Podczas koncertu zrobił ponad dwadzieścia fotek. Czekał potem na Elżbietę z plakatem złożonym na cztery.

– Poproszę o autograf – powiedział, a ona się rozśmiała.

– Tylko gwiazdy składają autografy.

– Jesteś gwiazdą.

Skrzywiła się.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytał, gdy wyszli już prawie na Puławską. – A może... Może dałabyś się gdzieś zaprosić? Jedyne miejsce warte randki to trzydzieste piętro Pałacu Kultury – powiedział. – Tylko to znam. Pojedziemy?

Dziewczyna wzdrygnęła się.

– Pod żadnym pozorem. Absolutnie nic, co jest wysoko nie wchodzi w grę.

– Masz lęk wysokości?

– Okropny – odpowiedziała. – Ale tu jest Mozaika. – Wskazała ręką kierunek. – Kiedyś to była podobno speluna, ale niejestem z Warszawy, nie mam uprzedzeń.

– A skąd jesteś? – zapytał od razu.

– Z Koszalina. – Uśmiechnęła się znowu. – Kawał drogi.

– Kawał – potwierdził. – Ja z Żuromina, ale nie wiem, czy to nie dalej, chociaż to jeszcze mazowieckie.

– Nie bądź taki pewny. Koszalin to małe miasto.

Rozmawiali półtorej godziny. Potem Igor odprowadził Elżbietę na Krakowskie Przedmieście, gdzie wraz z dwiema koleżankami mieszkała w akademiku zwanym Dziekanką, słynącym z hucznych imprez artystycznej młodzieży, przyszłych muzyków, plastyków i aktorów.

– Zrobiłem ci trochę zdjęć – powiedział.

– Chętnie zobaczę.

– Wywołam w ciągu dwóch dni. Jak mogę ci je pokazać?

Zawahała się. Wyciągnęła z torby notes, wyrwała kartkę

i zapisała numer i nazwisko. – Wieczorami jestem zazwyczaj w akademiku – powiedziała, wręczając stronę chłopakowi. – W ciągu dnia na uczelni.

– Spokojnego wieczoru – wyszeptał, gdy zniknęła w bramie. Wracał na piechotę. Zmarzł, przemókł, był szczęśliwy.

Do końca marca pozostało tylko kilkanaście dni – i kilkanaście razy się w tym czasie widzieli. Codziennie Igor przychodził pod Dziekankę. Ela po tygodniu zaczęła go stopować.

– Muszę ćwiczyć. Nie mogę codziennie spędzać z tobą czasu. Ćwiczenie jest magiczne.

Igor prychnął. Magiczny to był on, nie żadne ćwiczenie.

– Jeśli chcesz grać, musisz ćwiczyć codziennie – kontynuowała. – Dzień bez instrumentu to katastrofa. Jeden dzień bez ćwiczenia nie oznacza braku postępu. To cofanie się!

Igor nie bardzo jej słuchał, wpatrzony w wydatne usta i równe zęby. Nie potrafiłby powiedzieć, jaki kolor oczu ma Ela, jednak jej głos wyławiał nawet z tłumy.

– Nie czekaj na mnie jutro – powiedziała Ela. – Spotkamy się w weekend. Mam jutro ćwiczeniówkę do późna.

Igor nie słuchał. Pojawił się pod akademikiem o dziewiętnastej, jak codziennie. Nie wcześniej, bo chodził na wszystkie wykłady i przygotowywał się do następnych. Ale robił to szybko, jak najszybciej, czasem powtarzając materiał w drodze na Krakowskie Przedmieście. Szedł z książką w rękach, przewracał kartki i potrącał przechodniów.

Elżbiety nie było. Usiadł pod akademikiem i czekał, od czasu do czasu wchodząc na piętro, sprawdzając, czy może nie weszła przez niego niezauważona.

Było już ciemno, wyszedł na ulicę, latarnie wydały mu się tajemnicze. Chwycił aparat i przewędrował z nim do placu Zamkowego i z powrotem, a potem znów do Dziekanki, na jej

dziedzińcu też długo kręcił się z aparatem.

– Hej – powiedziała w pewnym momencie jakaś dziewczyna.

– Hej – odpowiedział ostrożnie.

– Jestem Danka.

– Igor – przedstawił się mało uprzejmym tonem.

– Ciągłe cię widzę z aparatem. Studiujesz coś?

– Architekturę.

– Jasne. – Dziewczyna wyraźnie straciła zainteresowanie i odwróciła się, by odejść.

– Poczekaj! Czemu pytasz?

– Prowadzasz się z Ela, prawda? – odpowiedziała nie na temat.

– Tak. Czemu pytasz o zdjęcia?

– Bo ciągle je robisz. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie to lubisz albo coś.

– Lubię. I chciałbym studiować. Ale mi nie pozwolili, właściwie to nie było kasy na takie dodatkowe kursy. Więc architektura.

– A czemu posłuchałeś? Kasa to nie problem. Prędzej czy później można zarobić.

Igora zatkało. Jak to – czemu? To można nie posłuchać rodziców?

– Przyniesiesz kiedyś zdjęcia? – wyrwała go ze stuporu.

– Pewnie. Tak. Jasne – jąkał się trochę.

– To cześć – powiedziała i zdecydowanym krokiem odeszła. A Igor stał tak, wpatrzony, aż poczuł szturchnięcie.

– Mówiłam ci, że dzisiaj nie. – Ela wcale nie była zła.

– Nie pamiętałem. Nie mogłem się bez ciebie obejść – powiedział, przytulając ją.

Wysunęła się z jego ramion.

– Kim jest Danka? – zapytał, łapiąc Elę za rękę i kierując się na Krakowskie Przedmieście. Zamierzał pokazać jej latarnie, ich światło, cienie w mroku, tak to nazywał. Ela była zmęczona. Przeszła z chłopakiem drogę do zamku i z powrotem, milcząc, słuchała go zaledwie jednym uchem.

– Czemu pytasz o Danke?

– Zaczepiła mnie.

– Danka? Niemożliwe. – Ela się uśmiechnęła. – Jest niebywale nieśmiała.

– A jednak.

– Mieszka dwa pokoje dalej. Studiuje na ASP, podobno bardzo zdolna, ale kto to tam wie. Nie rozumiem tych bohomazów.

– Zapytała mnie o zdjęcia.

– Fakt, ona to lubi. Eksperymentuje. Podobno jej ojciec ma nawet ciemnię. Kiedyś nawet ponoć za to siedział w jakimś więzieniu, bo wywoływał niewłaściwie odbitki. Nie wiem.

Zamilkli.

– To pokaż jej zdjęcia. Ona się na tym chyba zna, w przeciwieństwie do mnie.

– Nie widzisz tego, prawda? – powiedział w pewnym momencie, wykonując szeroki gest ręką.

Ela zrozumiała w lot.

– A ty nie słyszysz mojego, prawda? – odpowiedziała czupurnie.

Przytulił ją. Nie zamierzał się kłócić.

– Nie musimy wszystkiego rozumieć. Ważne, byśmy siebie rozumieli – powiedział.

Dobry z niego chłopak – pomyślała Elżbieta.

Rozdział 16

ONA

Isabel kręciła się po domu bezproduktywnie. Manolo patrzył na to z niepokojem równie wielkim, jaki prezentowała ona.

Poczyła duże zakupy, chociaż robiła je z rozwagą. Chciała mieć z nich przyjemność, także taką racjonalną – że wszystkie stroje jeszcze kiedyś wykorzysta. Zaplanowano osiem koncertów. Zaczynały od Madrytu, potem Barcelona, Paryż, Londyn, Wiedeń, Berlin, Rzym i Warszawa. Z punktu widzenia krytyki muzycznej najważniejszy był Paryż, Wiedeń i Londyn. Dla Oleny najważniejszy był Madryt. Na ich wyraźne życzenie Warszawa była na końcu. Uparł się przy tym ostatnim mieście impresario, taka była wersja oficjalna. Bardziej prawdziwa była ta, że Olena chciała do Warszawy wrócić – co przecież mogła zrobić sama, ale też że koniecznie chciała odczarować to miasto dla Isabel.

Suknia z kremowego jedwabiu była przeznaczona na koncert w Paryżu. Isa grała w niej tylko raz, na wielkiej imprezie charytatywnej w Sydney. Polubiła tę quasi-krynolinę bardzo,

czuła się w niej jak osiemnastowieczna dama, albo i królowa. Uszyta z dwudziestu ośmiu metrów materiału, z ogromną ilością marszczeń, falban, zdobień, guziczków i koronek, oparta na fiszbinowej konstrukcji, sprawiała, że Isabel płynęła nad podłogą. Do tego zamówiła atłasowe buty na kieliszkowym obcasie. Repertuar na Paryż zaplanowały głównie barokowy – sześć Sonat na wiolonczelę i fortepian Vivaldiego, na bis Menuet Luigiego Boccheriniego.

W Wiedniu postanowiły zagrać Sonatę Ryszarda Straussa i Sonatę Brahmsa, a w drugiej części dwie Sonaty Beethovena. Tutaj Isa zdecydowała się na śnieżnobiałą suknię z rypsu, długą, prostą, zupełnie bez zdobień. Na koncert w Londynie zaplanowała muślinową kreację odcinaną pod biustem, z kwadratowym dekoltem, bo i repertuar przygotowały z okresu Napoleona. Późny klasycyzm, głównie Beethoven.

Na pozostałych koncertach repertuar miał się powtarzać, w różnych ujęciach, dodały tylko jeszcze Sonaty Edwarda Griega i Sergiusza Prokofiewa. Stroje na pozostałe koncerty Isa przygotowała skromniejsze. Białą długą suknię z żorzęty, do której obmyśliła różne dodatki. W Hiszpanii czerwone, w Berlinie niebieskie. Dopasowała się w ten sposób do Oleny, która poszalała z kolorami. Na Hiszpanię wymyśliła czarną suknię z ogromną ilością falban, wykończoną czerwonymi lamówkami i gorsetem w kolorze burgunda. Na Niemcy przygotowała błękitny kombinezon, trochę stylizowany na Marlenę Dietrich, tak przynajmniej jej się wydawało.

Generalnie stanowiły dla siebie na scenie znaczący kontrast. Większość strojów Oleny była czarna, Isabel – biała. Jak noc i dzień, uzupełniały się wzajemnie w stroju i muzyce, co sprytnie marketingowo wykorzystywał impresario.

Manolo nie komentował zakupów. Uważał, że to szaleństwo – garderoba Isy nigdy nie była specjalnie obszerna. Lubiała stroje proste, jednobarwne. W chwilach szaleństwa dodawała jakiś elektryzujący drobiazg, czasem amarantowy cienki szalik,

czasem granatowe korale. Najczęściej jednak były to kolorowe buty, w których jej wyobraźnia nie znała granic. Pierwszy raz jednak widział, aby jej stroje wychodziły poza zakres zwykłych koncertowych kreacji. Zawsze były długie i eleganckie, nigdy jednak nie przywiązywała do nich aż takiej wagi. Niepokoilo go także to, że wśród feerii fasonów i luksusowych materiałów nie było mowy o Warszawie. Wszystkie stolice europejskie odmieniane były przez przypadki, gatunki materiałów, marszczenia i kolory – z wyjątkiem Warszawy.

– Tam będzie tylko jeden koncert. – Machnęła ręką, gdy o to zapytał.

Tak jakby gdzie indziej było ich więcej – pomyślał. A gdy zobaczył suknię, oniemiał.

Pozornie skromna. Biała jedwabna góra, bardzo dopasowana. Isabel miała w pierwszej chwili obiekcje do tego kroju.

– Nie będzie mnie uwierać? – zastanawiała się głośno.

Krawiec uspokoił ją.

– Proszę spojrzeć, ten materiał jest rozciągliwy – zademonstrował.

– Elastyczny jedwab? – Zdziwiła się. – Pierwszy raz widzę.

Stało na tym, że śnieżna materia opinała jej szczupłą sylwetkę jak guma. W pasie suknia była odcięta, dół został delikatnie zmarszczony. Miał krwistoczerwony kolor, jakiego Manolo nie widział w otoczeniu Isabel od wielu lat.

– Podobne kolory będzie miała Olena – powiedziała, widząc zdumione spojrzenie mężczyzny.

Manolo milczał.

– Tak jak polska flaga – dodała. – Powiesz coś? – odezwała się po dłuższej chwili, siadając obok niego.

– Nie siadaj. Pogniecie się – odpowiedział.

Rozdział 17

ON

Siedziała przy niewielkim marmurowym stoliku w Telimenie, Igor wpatrywał się w każdy jej grymas. Pomyślał, że może nawet uda mu się zapamiętać jej twarz. Oglądała zdjęcie po zdjęciu, na niektórych zatrzymując się dłużej, bardzo długo. Odłożyła w końcu wszystkie na kupkę, starannie wyrównując brzegi, potem włożyła odbitki do dużej szarej koperty.

– Są świetne – powiedziała. – Brakuje ci trochę warsztatu, ale masz rękę.

– Gdzie mógłbym zdobyć warsztat? – Igor się skrzywił. – Nie stać mnie.

– Musiałabym zapytać ojca. Nie ma takich studiów. Możesz ewentualnie być grafikiem...

– Nie. Chciałbym być fotografikiem – powiedział stanowczo Igor. Wreszcie wyraził to, co od dawna wiedział.

– Właśnie. Masz talent.

Chłopak rozłożył bezradnie ręce.

– Zapytam ojca – powtórzyła dziewczyna. – On coś wymyśli. Zna się na tym – stwierdziła, wstając od okrągłego stolika i sięgając do portfela.

– Zostaw, Danusiu, ja zapłacę – powiedział Igor.

– Już pójdę – odpowiedziała. – Nie odprowadzaj mnie, muszę się pośpieszyć. – Spojrzała na zegarek.

– Jasne. – Igor był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Był umówiony z Ela, chciał jej opowiedzieć o opinii Danki i jej obietnicy. Chciał wreszcie wyrazić głośno, co myśli, czego chce. Do tej pory nie miał śmiałości. Był zadowolony, dopóki nie zobaczył rachunku za dwie herbaty.

Gdybym wiedział – pomyślał – piłbym tę herbatę jak szampana z truskawkami i podgryzał kostką cukru jak kawiozem.

Elżbieta była trochę zdziwiona.

– Naprawdę? Danka zaoferowała ci pomoc?

– Zazdrosna jesteś? – Przekomarzał się.

– Tak, jasne. Tylko ona... nie, nic to.

Igor czekał.

– Chodzi o to, że ona nigdy do nikogo nie odezwała się pierwsza. Musisz się jej naprawdę podobać.

– Moje zdjęcia jej się podobają. Komuś muszą.

– Nie muszą – odcięła się. – Ale mogą, bo są świetne.

Szli Krakowskim Przedmieściem, było piękne, piątkowe popołudnie. Świeciło słońce, trzymali się za ręce i oboje uważali, że nic więcej do szczęścia im nie potrzeba.

– Chciałabym, żebyśmy jutro spotkali się z Kingą.

– A po co? – zapytał ostrożnie. Nie lubił Kingi. Studiowała z Ela na jednym wydziale, dziewczyny trochę konkurowały ze

sobą. Kinga grała, bo była niezwykle pracowita i dość utalentowana. Elżbieta grała, bo była wybitnie utalentowana i dość pracowita. Każda z nich miała swoje mocne strony, każda dostawała piątki na egzaminach.

– Kinga jest tutaj sama, jej rodzice się rozwiedli, nie ma po co wracać do domu. Jest czasami tak smutna, że nie chcę jej zostawiać samej w akademiku – powiedziała Elżbieta.

– I ten smutek ma przekazać nam?

– Pójdziemy do kina. Na film! – zastrzegła od razu, widząc minę chłopaka.

– Eee... Jak na film, to nie. – Uśmiechnął się. Nie chciał robić Elżbiecie przykrości. Niech już będzie ta Kinga.

Tak jak przewidywał, wieczór był nieudany. Elżbieta twierdziła coś zupełnie innego.

*

– Dobrze, że cię widzę. – Danuta podeszła do niego od tyłu. Zaskoczyła go i przestraszyła, gdy czekając na Elę, oglądał pierwszą warszawską klasycystyczną fasadę kościoła seminaryjnego. Rozmyślał właśnie nad karmelicką bania.

– Miło – odpowiedział, odwracając się.

– Rozmawiałam z ojcem. Pojedziemy do niego, obejrzy zdjęcia.

– Super. – Igor wystawił w uśmiechu zęby.

– Wkrótce. – Danka obojętnie patrzyła nad głową chłopaka. Lustrowała wieżyczkę wieńczącą lewą stronę kościoła, zastanawiając się, co takiego widział Igor w tym budynku? Obserwował go dłużej, niż ona obserwowała Igora. A to było długo. Zmarzła trochę, bo chociaż wiosna była już w pełni, to

jednak ten wieczór był chłodny, a ona wyszła z akademika, jak jej się wydawało, tylko na chwilę – więc w końcu podeszła i zaczęła chłopaka.

- Kiedy? – postanowił doprecyzować.
- Chociażby pojutrze – odparła dziewczyna.
- Super. – Zaśmiał się. – Tylko pewnie to trochę daleko.
- Do Piaseczna – powiedziała.
- Do Piaseczna? Pod Warszawą?

Skinęła głową.

- Dokładnie pod Piaseczno.
- To dlaczego mieszkasz w akademiku?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam warunków lokalowych do ćwiczenia.
- Przecież ty malujesz?

Nic nie odpowiedziała. Ruszyli wolno w stronę Dziekanki.

– Moja macocha mnie nie znosi – powiedziała Danka. – Wolałam mieszkać tutaj. Dzwonię często do ojca, on do mnie. Regularnie się widzimy – albo tutaj, albo gdzieś w mieście. Pojutrze będzie tutaj.

Chłopaka zelektryzowało.

- Tutaj?
- O siedemnastej umówiłam się z nim w Telimenie. Przynies zdjęcia. To cześć – powiedziała i odwróciła się, odchodząc szybkim krokiem.

Z ojcem umówiona była na szesnastą. Nic nie wiedział o oglądaniu żadnych zdjęć początkującego fotografa. Przyjeżdżał do córki, jak robił to co tydzień. Nigdy nie rozmawiali o jego pracy, czasem pytał ją o studia, ale właściwie nie musiał. Doskonale wiedział, co słyhać na uczelni. Gdyby Danka miała

cień akademickiego grzeszku na sumieniu, w ciągu kilku godzin wieść dotarłaby do niego akademicką plotką. Dance było to obojętne – lubiła studia, nie miała ochoty na burdy. Nigdy nie sprawiała ojcu żadnych problemów i teraz też nie widziała takiej potrzeby.

Igor patrzył w plecy Danki aż do jej wejścia w bramę. Potem szybkim krokiem ruszył w stronę Nowego Świata. Vis-à-vis Wizytek spotkał Elę wracającą z Akademii. Na ramieniu miała czarną torbę z nutami, z długimi uchwytyami, poła rozpiętego szarego płaszcza unosiła się, zaczepiając o szorstki materiał. Na szyi dziewczyny powiewała niezawiązana apaszka.

– Przeziębisz się! – powiedział zamiast powitania.

– Co tu robisz? – Odwdzięczyła się.

– Czekam na ciebie.

– Umówiliśmy się za – spojrzała na zegarek – kwadrans pod Dziekanką.

– Przejeżdżałem. – Uśmiechnął się.

Czekał na nią, bo zapomniał, o której się umówili. Chciał się usprawiedliwić, że musi szybko wracać, a nie wyobrażał sobie, że tak po prostu – nie przyjdzie. Przy okazji zamierzał pospacerować, obejrzeć trochę architektonicznych detali, o których czytał, przygotowując się do egzaminów na studia, ale nigdy ich nie widział. Utknął przed kościołem seminaryjnym, studiując fasadę i radziwiłowski kartusz nad wejściem. Rozmyślał między innymi o tym, że od dawna, od bardzo dawna nie był w świątyni. Ostatnio w domu.

– Danka umówiła mnie ze swoim ojcem.

– Idziesz się oświadczać?

– Przestań szaleć, nie masz powodu być zazdrosna. Zdjęcia. Mam mu pokazać zdjęcia!

– Super – powiedziała ostrożnie Ela. Znała opowieści o ojcu

Danki. Był surowym, bardzo srogim nauczycielem. Czasami prowadził fotograficzne warsztaty, wyśmiewając bezlitośnie każde potknięcie niedoświadczonego adepta. Był okrutny, z tego głównie słynał. Poza tym był świetnym fotografikiem, ale Eli czasem wydawało się, że uczy tylko po to, żeby podcinać skrzydła młodzieży, może po to, żeby jego geniusz błyszczał jak najdłużej niczym niezagrożony? Taką słyszała plotkę. Nie powiedziała tego jednak.

– Chciałbym jak najszybciej wybrać zdjęcia – powiedział chłopak.

– Rozumiem. To mogłam poćwiczyć dłużej – stwierdziła, odwracając twarz w jego stronę.

– Ty i twoje ćwiczenie – mruknął, patrząc w jej oczy. Jaka ona piękna – pomyślał.

Skrzywiła się lekko.

– Moje ćwiczenie to dla mnie sedno istnienia – powiedziała.

– Tak lubisz gamy?

– Niezupełnie – odpowiedziała poważnie, ignorując kpinę. – Lubię ten stan, gdy palce zaczynają mnie słuchać. Gdy grają dokładnie tak, jak chcę. Gdy żaden pasaż, albo żadna gama, skoro o tym wspomniawsz, nie zależą od dobrego dnia, lekkiego instrumentu albo przypadku. Gdy wiem, że nawet jak będę zmęczona i niewyspana, to każda figuracja wyjdzie mi precyzyjnie. Będzie selektywna w każdym tempie. A w piano odezwie się każdy dźwięk. Rozumiesz?

Kiwnął głową, chociaż nie wszystko rozumiał. Poza tym się spieszył.

– Wpadnę jutro – powiedział.

– Poczekaj. – Zatrzymała go. – Może umówmy się w Akademii? Nie będziesz marzył. – Rzuciły jej się w oczy zaczerwienione końcówki uszu chłopaka i lekko zgrabiałe dłonie.

- Jasne - odpowiedział. Pomachał jej jeszcze, już w biegu, goniąc autobus. Odeszła wolno w stronę akademika. Zatrzymała się przed Pałacem Namiestnikowskim. Lubiała to miejsce. Harmonijny rytm półkolumn w środkowej części fasady, kamienne lwy, które czasami głaskała po zadach, i księcia Poniatowskiego na wielkim koniu. Akurat trwał remont, czasem próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał odnowiony budynek. Widziała wtedy żołnierzy o poważnych twarzach, stojących tutaj na straży i goździki w dwóch kolorach, białym i czerwonym, ułożone pod pomnikiem.

Rozmyślała też o przewadze zwierząt kamiennych nad żywymi. Lwa można było pogłaskać, a równie zimnego, brązowego konia pod Poniatowskim nie trzeba było szczotkować. Ela uwielbiała zwierzęta, konie były wyjątkiem. Przerazały ją. Odstępował ją zapach i świadomość, że jazda konna oznacza konieczność szorowania sierści zwierzęcia co najmniej kilka razy w tygodniu. Kiedyś jej kuzyn jeździł konno. W rodzinie ciotki były jeździeckie tradycje, kilka razy wybrała się z nim do stadniny. Zachowane z tych wizyt zdjęcia są piękne - Ela w toczku, wyprostowana, na koniu, w błyszczących butach. Od razu załapała rytm, współpracowała z koniem już po kilku minutach, wzbudzając tym zachwyty instruktora i matki kuzyna, co spowodowało konieczność jeszcze kilku wizyt w stadninie. Ona sama zapamiętała jednak mdłości, które miała, siedząc na zwierzęciu. Końska sierść była gładka i jedwabista, ale jej zapach Ela czuła na dłoniach jeszcze po kilku dniach. Dla niej był odorem, nie mogła go z siebie zmyć, a trudno jeździć konno bez dotykania zwierzęcia. Kilka tygodni błagała matkę, żeby dała jej spokój. Jazda konna wydawała się czymś tak eleganckim i właściwym dla dobrze wyedukowanej panny, że musiała posunąć się do argumentu ostatecznego. Powiedziała do mamy: wyrzygam się, jeśli jeszcze raz tam pojedę, i było to naruszenie wszelkich norm obyczajowych w domu Czajków. Po tym wydarzeniu matka uznała, że znacznie bezpieczniej będzie zapisać Elę na jakiś język. Jakikolwiek. W pobliżu mieszkał rodowity Hiszpan,

starszy już pan, który udzielał lekcji także w domu.

Koń pod Poniatowskim nie wydzielał żadnego zapachu. Kamiennego lwa dawało się pociągnąć za ogon. Poza tym Ela lubiła zwierzęta. Wszystkie koty, nawet dzikie, podchodziły do niej, ocierając się o nogi. Łasiły się bezinteresownie. Nawet te najbardziej nieufne wskakiwały jej na kolana. Najczęściej rozkładały się brzuchem do góry i mruczały jak maszynka do mięsa sąsiadów.

Podobnie było z psami. Matka uczyła Elżbietę, żeby nie wyciągać rąk do obcych zwierząt. Córka jednak nie była temu zakazowi posłuszna. Podbiegała do każdego zauważonego psa, tylko raz zdarzyło się, że na nią warknął i wystawił zęby. Elżbieta nigdy się nie przyznała, że pies złapał ją za rękę, w jednym miejscu delikatnie przecinając skórę. Wstydziła się powiedzieć o tym matce. W domu sięgnęła po perfumy matki i psiknęła ugryzione miejsce. Piekło tak okropnie, że dziewczynce bezwiednie popłynęły łzy, nie zmieniło to jednak jej stosunku do psów. Zachowywała tylko ciut większą ostrożność, nie podbiegała z wyciągniętą ręką, czekała na ewentualne przyzwolenie właściciela, starała się wyczuć, czy pies chce być pogłaskany. Czasem odchodziła bez dotykania zwierzęcia, czasem zostawała, głaszcząc sierść. Bywało, że skołtunioną i brudną. Kochała czworonogi i nie zastanawiała się nad plamami na bluzce i spódnicy, chociaż mama się tym denerwowała.

Tutaj, na studiach, brakowało jej zwierzęcia. Zresztą, przez całe dzieciństwo odczuwała jego brak.

– Kto to będzie sprzątał? – pytała teatralnie matka Eli. Dom Czajków był sterylnie czysty. Mama nie zatrudniała żadnej pomocy, chociaż byłoby ich na to stać. Jeszcze zanim zaczęły się jakiegokolwiek przemiany ustrojowe, ojciec Elżbiety pracował w spółce z zagranicznym kapitałem. Mama jednak uważała, że sama sprzątnie najlepiej, ugotuje najlepiej, wyprasuje najlepiej. Dlatego była ciągle zmęczona i nie pozwalała Elżbiecie na

odrobinę brudnego szczęścia.

Eli to jednak nie przeszkadzało. Lubiła ćwiczyć, lubiła muzykę. Spędzała przy instrumencie czasem po kilka godzin dziennie, w tak zwanym czasie wolnym odrabiając lekcje i ucząc się hiszpańskiego.

Następnego dnia w porze obiadowej Igor czekał na nią przed Akademią.

– Czemu nie wszedłeś do środka? – zapytała zdziwiona. – Miałeś nie marznąć.

– Tutaj jest pięknie – odpowiedział, wskazując na gmach archiwum, zdecydowanie wymagający remontu. – I tam. – Pokazał w stronę pałacu Ostrogskich. – I tam. – Wyciągnął rękę w kierunku Ordynackiej i kilku świateł Nowego Świata.

– Robiłeś zdjęcia? – Domyśliła się.

– Trochę. Ale przede wszystkim chciałbym ci pokazać te, które wybrałem na odwiedziny u ojca Danki.

Weszli na uczelnię, zaszyli się w Gamie, tej samej, w której pili herbatę na pierwszym spotkaniu. Wtedy Igor nie był świadom tej nazwy, teraz nawet wiedział, co oznacza. Uporządkowana skala, w systemie tonalnym dur-moll. Tonacja (gama dla niej właściwa) reguluje wszystkie zależności między dźwiękami utworu – recytował. Nawet próbował to rozumieć, choć z tym nie było najlepiej.

Zamówili po herbacie, on ogrzewał dłonie, obejmując gorącą szklanke, ona czekała, aż przestygnie, oglądając w tym czasie odbitki.

– Tych nigdy nie widziałam – zauważyła.

– Bo nigdy nie byłeś u mnie w akademiku – powiedział. – Może czas to zmienić? Zrobiłem te zdjęcia zaraz na początku roku. Na Powązkach. Był dzień, ale tam panował taki dziwny cień.

- Pólcień – dopowiedziała.
 - Właśnie. I te zdjęcia wyszły takie...
 - Magiczne – znów uzupełniła.
 - Tak.
 - A te? – Wskazała kilka innych.
 - Te... są stare. – Zawahał się. Elżbieta spojrzała na niego uważniej. Zabrzmiało w jego głosie coś, czego jeszcze nie słyszała.
 - To znaczy?
 - Jeszcze z Żuromina. – Wzruszył ramionami. Elżbieta bezbłędnie wyłowiła zdjęcia, które robił razem z Kamilą. A nigdy jeszcze nie opowiadał jej o zmarłej żonie i dziecku. – To długa historia.
 - Mam dzisiaj czas.
 - Ale ja nie bardzo. Pod koniec tygodnia kolokwium. – Zaczął się spieszyć. Elżbieta nie uwierzyła, zrozumiała za to, że chłopak nie chce o czymś mówić.
 - Cześć! – Rozległo się nad ich głowami.
 - Cześć – odpowiedział Igor Kindze, wstając.
- Elżbieta kiwnęła.
- Siadaj.
 - Na chwilę tylko – powiedziała dziewczyna. – Lecę ćwiczyć.
 - To i ja lecę – odezwał się Igor. Szybko zgarnął zdjęcia, zadowolony, że nie musiał tłumaczyć... sam nie wiedział czego. Po prostu nie chciał opowiadać.
 - Przepłoszyłam ci chłopaka – powiedziała Kinga. Elżbieta pierwsza na roku miała chłopaka. Niby każdy ze studentów kogoś tam miał. Zostawili w swoich domach wielkie miłości, o których po pół roku wciąż pamiętali, ale trochę za sentymentalną mgłą. A Ela nie dość, że przyjechała z jakiejś

dalekiej pipidówki, co to nie każdy o niej słyszał, to od razu miała chłopaka. I to z innej uczelni, wcale nie od nich, a co najgorsze dla koleżanek – przystojnego! Było to dla Kingi dosyć wkurzające. Dlatego przy każdej okazji opowiadała o tym, ile ćwiczy, jak świetnie jej idzie, jak profesor ją chwali. I że wybiera się na konkurs.

– Fantastycznie – odpowiadała Elżbieta. – Podziwiam cię. Mnie tam konkursy nie interesują. Mam się ścigać, kto szybciej, kto bardziej bezbłędnie?

– Konkursy otwierają drogę do kariery! – upierała się Kinga. Miała oczywiście rację. Dlatego Elżbieta, nie chwając się, przygotowywała się do tego samego konkursu, o czym nie wiedział nawet jej profesor. Po prostu poprosiła go w drugim semestrze o zadanie repertuaru, który pasował do wytycznych konkursowych. Nie miał nic przeciwko, chociaż zauważył zbieżność i sam zasugerował, żeby wzięła pod uwagę wyjazd na konkurs.

– Ja już dzisiaj po ćwiczeniu – zagaiła Elżbieta, gdy Igor zniknął za drzwiami Gamy.

– Ja nigdy nie mam dość – odparowała Kinga.

– Nie jesteś czasem zmęczona? – zapytała cicho Elżbieta.

– Często. Ale przechodzi mi podczas ćwiczenia. Lecę już, ćwiczeniówka czeka.

– Trzymaj się – odpowiedziała Ela.

Dziewczyny różniło bardzo wiele, łączyła muzyka. W podobny sposób ją rozumiały, podobnie odczuwały – chociaż Elżbieta nie silila się na bycie lepszą, a Kinga koniecznie chciała być najlepszą. Spędzały jednak ze sobą sporo czasu i chociaż Kinga potrafiła być wredna i złośliwa, to jednak uchodziły za najbliższe przyjaciółki. I za takie się uważały. Może nawet nimi były.

Elżbieta towarzysko było bardzo pożądana, i na swoim roku,

i w starszych rocznikach. Miała bardzo przystojnego chłopaka spoza uczelni, miała przyjaciółkę – nierozłączkę i dobrze, naprawdę dobrze grała, chociaż przyjechała znikąd. Nikomu nie opowiadała, że czasami budziła się w nocy, zlana potem. Śniła jej się wtedy, że ma grać koncert, najczęściej z orkiestrą. Gdy we śnie uświadamiała sobie datę występu, docierało do niej, że jest do niego kompletnie nieprzygotowana. Najczęściej nie wiedziała nawet, co ma grać. A gdy się tego dowiadywała, dostawała nuty – okazywało się, że ich nie zna. Nigdy we śnie nie знаła utworu, który miała wykonywać. Ostatnio coraz częściej powtarzał się sen, w którym jechała na próbę z orkiestrą i po raz pierwszy widziała przed sobą tekst nutowy. Dyrygent rozkładał partyturę, muzycy poprawiali kartki na pulpity, a ona z paniką oglądała skomplikowane pianistyczne układy, z których nie rozumiała nic. W tym momencie zazwyczaj się budziła.

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby się nie przygotować do występu. Sama myśl o niedoćwiczeniu jakiegokolwiek fragmentu ją przerażała. Czasem słuchała ze zgrozą, jak któryś ze studentów opowiadał, że przygotowywał się do egzaminu trzy tygodnie. Umarłabym z nerwów – myślała wtedy.

Przed koncertem, egzaminem na zewnątrz zawsze była opanowana. Skoncentrowana, panująca nad sytuacją. W środku była jak w swoim śnie – gotowała się z emocji, ze strachu. Tylko że w rzeczywistości nikt jej nie budził, musiała wyjść na scenę. Może dlatego zawsze przed graniem mam takie lodowate i mokre ręce?

Ela podniosła się, ruszyła w stronę wyjścia, odnosząc jednocześnie szklanki. Z szatni odebrała kurtkę i poszła w stronę Nowego Świata. Było zbyt zimno na spacer, postanowiła pojechać autobusem.

Igor uznał, że następnego dnia nie pojedzie na uczelnię. Nie potrafił się skupić. Wciąż oglądał wybrane zdjęcia, dokładał, odkładał. Dwie godziny przed czasem wyjechał z akademika.

Spacerował po Krakowskim Przedmieściu, czekając na Dankę.

Danka widziała go z okna. Siedziała w Telimenie razem z ojcem, któremu właśnie zakomunikowała, że chce pomóc chłopakowi.

– Wiesz, że ze mnie żaden nauczyciel. – Próbował ją zbyć.

– Wiem. Dlatego tym razem się postarasz.

– Planujesz mi zajęcia? – Ojciec nie krył irytacji.

– Nie. Po prostu proszę.

Mężczyzna westchnął.

– A ja nie mogę ci odmówić, prawda?

– Właśnie, tato. On tam chodzi. W kółko. – Uśmiechnęła się. – Cały czas z aparatem.

– Zawołaj go, miejmy to już z głowy. Ale jak mi się nie będzie podobało, to go nie przyjmę! Na żadne lekcje!

– Pewnie, tato. Wierz mi, będzie ci się podobało.

Narzuciła kurtkę i wyszła z kawiarni. Chwilę obserwowała Igora, robił dalekie ujęcie placu Zamkowego. Był słoneczny dzień, chłopak spacerował po chodniku, w tę i z powrotem. Posuwał się trochę w przód, trochę w tył. Podeszła od tyłu, przesuwając się, wpadł na nią.

– Przep...! – wykrzyknął, a szeroki uśmiech przerwał wykrzyknik.

– Danka! Przepraszam, nie widziałem cię.

– Wiem, nie mogłeś. Mój ojciec czeka w Telimenie.

– Twój... jasne. Tak. – Był spłoszony.

– Przecież na to się umawialiśmy, prawda?

– Tak. Oczywiście. Myślałem... że pojedziemy gdzieś. Że jeszcze mam czas. – Uśmiechnął się niepewnie. – Chodźmy.

Igor schował aparat, poprawił pasek na ramieniu. Szedł za

dziewczyną spięty, zwarty, jakby na bitwę.

– Nie denerwuj się. To, co usłyszysz od ojca, będzie absolutną prawdą. On nigdy nie owija w bawełnę. Jeśli mu się twoje zdjęcia spodoba, będziesz miał w nim nauczyciela. Nie pochwali cię, tylko powie, kiedy masz do niego przyjechać. Jeśli mu się coś nie spodoba, usłyszysz to dobitnie. Może i wtedy pojawi się propozycja wizyty u niego, mniej entuzjastyczna, ale jednak – to będzie znaczyło, że widzi szansę poprawy. Jeśli zaś tego nie zaproponuje... cóż, nic więcej nie mogę zrobić.

Igor kiwnął głową.

– Nie ma się czego bać, prawda? – Uśmiechnął się trochę ironicznie.

– Nie ma. Raczej trzeba korzystać z szansy. Oczywiście pod warunkiem, że nie boisz się wystawić na ukąszenia złośliwego rekina, jakim bywa mój ojciec.

– Nie, spokojnie, rekiny zjadam na śniadanie. Bardziej boję się piranii.

– No to możesz wyobrazić sobie piranie. Dużo drobnych rybek, które zaraz będą cię kąsać w całe ciało. Ale co to dla ciebie, prawda?

Wywrócił oczami i otworzył drzwi do kawiarni.

Ojciec Danki patrzył na nich od niedługiej chwili. Widział gesty, mimikę, uśmiech dziewczyny, gdy Igor przepuścił ją przez drzwi. Cholera! – pomyślał. – Niech chłopak okaże się dobry. Jej na nim zależy! Będzie mi jęczeć, jeśli nie będę chciał go uczyć.

– Dzień dobry – powiedział Igor, podchodząc za Danką do stolika.

W odpowiedzi doczekał się tylko skinięcia i ręki wyciągniętej w stronę teczki.

Mężczyzna oglądał zdjęcia w milczeniu. Igor miał wrażenie, że krzesło parzy.

– Zamówmy coś – powiedziała dziewczyna, a Igor, mając w pamięci ostatni rachunek, jęknął w duchu.

– Ja... dziękuję.

– Nie wygłupiaj się. Zaraz ci oczy wyskoczą uszami, tak się napinasz. Napij się czegoś.

– Ja stawiam – powiedział mężczyzna, nie podnosząc wzroku znad prac.

– Widzisz. Ciastko jakieś zjemy – kontynuowała dziewczyna.

– To ja może... wodę – wydukał Igor.

Ojciec dziewczyny skinął na kelnerkę.

– Dwie wuzetki i trzy kawy poproszę – powiedział, uśmiechając się do niej.

Kobiety uwielbiały jego uśmiech. Był czarującym panem w średnim wieku. Wysoki, szczupły, szpakowaty. Włosy wciąż miał gęste, czarne, białe nitki na skroniach działały na płeć przeciwną jak zaproszenie do tańca. Nie nosił obrączki, zresztą jego druga żona okazała się nie do końca tą jedyną. Matka Danki zmarła kilka lat temu, córka sama namawiała go, żeby się z kimś związał. Obserwowała, jak ojciec gaśnie. Przygarbił się, przytył. Wtedy też pojawiła się siwizna. Nie chciała widzieć ojca starego, dla niej na zawsze miał pozostać energicznym panem, który każdą sprawę potrafi załatwić.

Gdy ożenił się po raz drugi – rzeczywiście o siebie zadbał. Zeszczuplał, regularnie ćwiczył. Znów miał prężny krok i wyprostowane plecy. Przez chwilę uważał, że jest szczęśliwy. Ta chwila szybko minęła. Druga żona okazała się nie aż taka idealna, jak pierwotnie mu się wydawało. Ich wyobrażenie o wspólnym życiu było niezupełnie zbieżne. Nie było w nim miejsca dla córki z pierwszego małżeństwa, którą Jan bardzo kochał. Nie chciał jednak kłócić się z żoną, która do ich domu w Zalesiu wprowadziła się z dwójką swoich dzieci, młodszych znacznie od Danki. Chłopiec miał lat jedenaście, dziewczynka

osiem, i tak jak starszy był grzeczny i poukładany, tak młodsza była zgryzotą i utrapieniem. Jeśli ona już teraz się tak buntuje, to nie wiem, jak wytrzymam później z nastolatką – myślał czasami Jan.

Danka ze spokojem przyjęła zmiany w życiu ojca i swoim. I tak uważała, że na studiach musi się usamodzielnic, macocha była niezłym argumentem. Dziewczyna żałowała wprawdzie bliskiej codziennej relacji z ojcem, ale i tak oboje dbali o to, żeby spotykać się przynajmniej raz tygodniu. Jan uważał także, że jego obowiązkiem jest utrzymywać córkę do skończenia studiów, więc troski materialne nie zaprzętały jej głowy.

Już drugi rok spotykali się co tydzień w Telimenie. Danka nie wyobrażała sobie, żeby takie spotkanie odwołać, Jan był gotów przełożyć sprawy zawodowe, byle tylko zobaczyć się z córką. Teraz jednak nie myślał o niej. W skupieniu oglądał prace Igora.

– W przyszłą środę przyjeżdż do mnie – powiedział. – Z samego rana. Danusia poda ci adres. O trzynastej muszę wyjechać, mogę cię podwieźć do Warszawy. A teraz, jeśli coś jeszcze chcecie, to zamawiajcie, bo płacę i wychodzę.

Igor siedział wpatrzony w Jana jak w bóstwo. Danka uśmiechała się szeroko.

– Co jest, zatkało was? Chcecie coś jeszcze?

– Dziękuję – odpowiedział Igor.

– A ja poproszę sok pomarańczowy – powiedziała Danka.

– I nie myśl, że jesteś taki świetny. Nie komentuję, bo siedzi tu moja córka, nie chcę, żeby dama słuchała, co mam do powiedzenia. Długa droga przed tobą, ale masz potencjał. Jak się postarasz, to może wytrwasz u mnie przez kilka miesięcy. Do widzenia.

Danka podniosła kciuk za plecami ojca.

– Masz potencjał. – Zaśmiała się.

Igor zbierał fotografie.

Już raz miałem nauczyciela gbura. Jakieś fatum czy co? – pomyślał.

– We środę mam zajęcia na uczelni – powiedział.

Danka spojrzała ironicznie.

– I dlatego nie pojedziesz?

Żachnął się.

– Pojadę, pewnie, że pojadę.

– No głupi byś był, jakby nie.

– Uważasz swojego ojca za geniusza?

– Masz wątpliwości? – Dziewczyna zaczynała być zła. – Nie musisz jechać.

– Jestem tylko... oszołomiony. Szybko się to stało. I tak... bezpardonowo.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek.

– Ja też już lecę – powiedział Igor, chociaż Danka chciała zaproponować spacer, miała dzisiaj czas.

– Też jestem zajęta – odpowiedziała. – Trzymaj się.

Igor chwycił teczkę i szybkim krokiem ruszył w stronę przystanku. Odruchowo wsiadł w autobus, w zajęciach na uczelni uczestniczył bezwiednie. Nie notował, nawet nie bardzo wiedział, jaki temat był poruszany. Potem zastanawiał się, od kogo się tego dowiedzieć. Nie rozważał na sesji oceny innej niż piątka, musiał uzupełnić materiał.

Wieczorem pojechał do Elżbiety, czekał w Gamie. Podeszła do niego z jakąś koleżanką, zdaje się tą wiolonczelistką, z którą pierwszy raz ją słyszał. Przysłuchiwał się rozmowie, z której nic nie rozumiał.

– Za szybko. To jest tylko andantino.

– Ale con moto – spierały się dziewczyny.

– To jednak nie znaczy, że ma być szybko! Byłoby allegro. To bardziej poczucie wewnętrznego pulsu – tłumaczyła Ela.

– Ale ja mam tam za mało smyczka – poskarżyła się wiolonczelistka.

– No to mów, że nie dajesz rady! – zirytowała się Elka. – Może osmyczkuj inaczej, podziel jakoś, ale dla jednego miejsca nie zmieniamy tempa całej części!

– No a trzecia część? – Dziewczyna popatrzyła na Elę wilkiem.

– Dobra, nie złość się. Nauczę się, będzie prawdziwe vivace. Presto się nawet nauczę. Będziesz mogła błysnąć.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Herbaty chcesz? – zapytała Elę. Na Igora nawet nie zwróciła uwagi, pochłonięta dyskusją.

– Może ja zaproponuję – wtrącił się chłopak.

Kiwnęły głowami, wiolonczelistka postawiła instrument obok stolika i w końcu usiadła.

Gdy Igor wrócił z tacą, siadł obok i zapytał:

– Mogę przyjść kiedyś na waszą próbę?

– A po co? – odruchowo zapytała Ela, a druga dziewczyna dopiero teraz skupiła na nim wzrok.

Fajny, tylko strasznie poczochrany – pomyślała. – I z taką dziwną białą plamą na skroni. Intrygujący.

– Czemu nie – odpowiedziała na głos.

– Pod warunkiem, że nie będziesz się odzywał – dopowiedziała Ela. – Za dwa dni.

– A zdążysz się do tego czasu nauczyć? – Wiolonczelistka spojrzała ironicznie na Elę.

– Anka, przestań.

– Dobra.

Igor zapamiętał con moto, skojarzyło mu się z motorem.

W dwa następne dni nie poszedł na zajęcia, co nie zdarzało mu się nigdy przed spotkaniem z ojcem Danki. Siedział w pokoju i studiował podręczniki do fotografii. Wszystkie kiedyś już czytał, a jednak czuł się niedokształcony. Światło. Kadr. Zmiana obiektywu. Czas. Przysłona. Znał, wiedział, i cały czas czytał.

Wyszedł z akademika dopiero przed próbą dziewczyn. Nie zwracały na niego uwagi.

– Za długa ta fermata – powiedziała wiolonczelistka.

– Złapię cię. Tylko nie wiem, jak to ritenuto.

– Słuchaj. – Anka zagrała.

Chwilę później zagrały razem i zadowolone kiwnęły głowami.

– Ale na koniec dawaj accelerando! – Tym razem Ela się denerwowała.

Przećwiczyły także i ten fragment.

– Drugą część też gramy? – zapytała Ela z odrobinę złośliwym uśmiechem.

– Gramy. Smyczki poprawione.

Zagrały całą część, dla Igora idealnie. One jednak krzywiły się kilkakrotnie.

– Kompletnie nie zgrały się te sekstole.

– Może ja zaznaczę ósemkę, zobacz. – Ela pokazała coś w nutach, będzie ci łatwiej wejść.

Anka kiwnęła głową.

– I jeszcze te dwie szesnastki, proszę, niech będą mocniejsze. Wiem wtedy, gdzie jestem.

Miejsce zagrały kilka razy. I jeszcze wiele takich miejsc.

– To co, trzecia część? – Tym razem Anka była złośliwie uśmiechnięta.

– Pewnie. Presto?

– Vivace wystarczy.

Zagrały, dla Igora znów idealnie. Zdawało mu się, że palce Elżbiety śmigają po klawiaturze, nie dotykając powierzchni. Frunęły, po drodze tylko muskając klawisze, nie wiedzieć w jaki sposób wydobywały brzmienie.

– Teraz to, kochana, za szybko! – Anka się zaśmiała.

– Też tak myślę. Musiałam ci tylko coś udowodnić.

– Zagraj swoją frazę, tę tematyczną.

– Czyli to będzie tak? – Ela zagrała.

Wiolonczelistka włączyła się po kilku taktach. Znów zagrały do końca.

– O to chyba chodzi mniej więcej. Tylko to attacca mi się nie podoba, byłam chyba za późno – głośno myślała Ela.

Igor przez całą próbę nie odezwał się ani razu. Ale też ani razu nie pomyślał o czymkolwiek innym. Nie rozumiał wszystkich pojęć, ale starał się nadażyć za muzyką.

Po próbie odprowadził Elę do Dziekanki.

– Wynudziłeś się pewnie? – zapytała.

– Właśnie nie. Było... fascynująco. – Uśmiechnął się.

– To dopiero druga próba. Jeszcze nie wszystko umiemy, ale trochę już ze sobą grałyśmy, zgramy się. Jak już się nauczę swojej partii – skrzywiła się. – Okropnie wrednie napisana.

– To po co to grasz?

Zaśmiała się.

– A po co ty uczysz się rozwoju myśli architektonicznej?
I historii urbanistyki?

– Mogę jeszcze kiedyś przyjść na waszą próbę? – zapytał już prawie pod bramą akademika.

– Jeśli Anka się zgodzi, pewnie.

Wracał do siebie zamyślony. Następnego dnia była niedziela. Elżbieta wyjeżdżała gdzieś z Kingą, postanowił uzupełnić politechniczną wiedzę i jeszcze poczytać o fotografii.

Poniedziałek i wtorek minęły jak w malignie. Nie opuścił już zajęć, ale nie poszedł do Eli. Oglądał swoje zdjęcia, krytycznie oceniał z podręcznikiem w rękę. W nocy z wtorku na środę prawie nie spał. Wstał o piątej, wzbudzając irytację współlokatora. Zabrał aparat, jeszcze trochę zdjęć, notatnik. Musiał dotrzeć do Dworca Południowego, skąd ruszała otwarta cztery lata temu linia trolejbusowa 51. Poszedł piechotą, choć był to spory kawałek. Drogę do Piaseczna przejechał w dwadzieścia pięć minut. Przed ósmą był w Piasecznie, do Zalesia miał jeszcze dość daleko. Piechotą ruszył na dworzec wąskotorówki, stamtąd dojechał kolejką na przystanek w Zalesiu.

Podróż zajęła mu ponad dwie godziny. Po drodze przyglądał się ludziom. Wiosna kwitła już w pełni, a poranne światło było fantastyczne. Pstryknął kilka zdjęć. Nadjeżdżającemu trolejbusowi, samochodom na Puławskiej, nawet robotom drogowym w Piasecznie. Zanim ruszył z dworca w Zalesiu, też chwycił aparat.

U Jana Błędowskiego był około dziewiątej.

– Skoro świt – mruknął fotograf, otwierając chłopakowi drzwi.

– Przepraszam, wstałem o piątej. – Igor nie wiedział, przyjechał za późno czy zbyt wcześnie?

– Wchodź. – Wskazał mu ręką drogę do salonu. – Przywiozłeś więcej zdjęć?

Igor kiwnął, mężczyzna wyciągnął rękę. Oglądał zdjęcia na stojąco, Igorowi gestem kazał usiąść przy dużym okrągłym stole

nakrytym koronkowym obrusem. Potem chodził przez chwilę w milczeniu, aż w końcu zapytał:

- Robisz wyłącznie miejsca?
- Tak.
- Kiedykolwiek robiłeś ludzi?
- Na chrzcinach i weselach.
- A gdzie masz te zdjęcia?

Igor sięgnął do torby.

Zanim Jan je obejrzał, zapytał jeszcze:

- Portrety?
- Nigdy.

Fotograf wyciągnął zdjęcia z szarej koperty.

- Dosyć typowe – powiedział. – To, co robisz miejscom, ma swój styl. Jakby osobisty znak, na który większość fotografików pracuje latami. Ty to masz. Brak ci jednak techniki. Czytałeś coś o fotografii?

Igor wymienił kilka tytułów.

- To dobrze. Tu masz jeszcze dwie książki. Jest u ciebie światło, ale nie panujesz nad cieniem. Wyjdźmy na taras.

Igor postawił na ogrodowym stole torbę, w której widać było kilka nowych rolek filmów.

- Jesteś przygotowany – powiedział Jan. Uśmiechnął się po raz pierwszy. – Jakby zabrakło, to filmy ci dostarczę. Poeksperymentujemy dzisiaj.

Chodzili po różnych częściach ogrodu. Dyskutowali. W niektórych miejscach robili po kilka zdjęć, Jan kazał zapisywać Igorowi, czym się różniły, żeby potem móc ocenić efekt już na odbitce.

- Czas coś zjeść – powiedział Jan około południa.

Zaprowadził Igora do kuchni, czekał na nich talerz kanapek.

– Dziękuję – krzyknął w głąb domu. – To nasza pani Zenia. Robi najlepsze kanapki na świecie i zawsze wie, kiedy będą potrzebne. Za godzinę muszę wyjść, podrzucę cię do centrum.

W samochodzie niewiele rozmawiali, podróż trwała czterdzieści minut.

– Jutro pójdziemy do ciemni – powiedział Jan, a Igor wytrzeszczył oczy. – Każdy fotograf powinien mieć własną ciemnię, skąd ty jesteś, chłopaku?

– Ciągłe ze średniowiecza – odpowiedział Igor, po raz drugi tego dnia prowokując Jana do uśmiechu.

Jutro? – spanikował po chwili, stojąc jeszcze przy krawężniku. Jan wycofał, stanął przed chłopakiem, pochylił się na siedzenie pasażera i odkręcił szybę.

– Jutro o siódmej trzydzieści bądź na przystanku przy Szkolnej. Przyjadę po ciebie.

Jan już odjechał, ale przyhamował i lekko cofnął. – W Piasecznie, oczywiście.

Ale ja mam jutro kolokwium! – pomyślał Igor i od razu zaczął się zastanawiać, jak je przełożyć. Ruszył prosto na uczelnię, znalazł odpowiedniego profesora i zapytał, czy mógłby pisać wcześniej. Że jutro ma bardzo ważne rodzinne sprawy i nie da rady.

Profesor nie chciał się zgodzić.

– Opowiesz wszystkim, jakie będą tematy.

– Przecież nie narysuję za nich. Proszę...

Profesor machnął ręką. I tak musiał jeszcze prawie przez godzinę czekać na rozmowę z dziekanem. Równie dobrze mógł ją spędzić, czytając przy otwartym oknie książkę w sali, w której jeden ze studentów pisał kolokwium.

Igor odłożył torbę, z której wystawała szara koperta. Teczkę

zostawił u Jana, mieli jeszcze o tamtych zdjęciach rozmawiać. Odwracając się po krzesło, trącił torbę. Spadła, koperta wypadła, zdjęcia się wysypały.

Déjà vu – pomyślał Igor. – Prawie jak w bibliotece u pani Joanny.

– Czyje to zdjęcia? – zainteresował się profesor.

– Moje...

– Pokaż – zażądał. Zamiast czytać książkę, przeglądał zdjęcia, potem rozmyślał.

– Dlaczego je robisz? – zapytał, gdy Igor skończył pisać kolokwium. Chłopak chwilę się zastanawiał, zanim udzielił odpowiedzi.

– Nie potrafię nie robić. I muszę się panu przyznać. Dostałem się na lekcje do pana Jana Błędowskiego. Wyznaczył mi na jutro spotkanie, nie śmiem się przeciwstawić... nie mam jutro spraw rodzinnych, mam lekcję fotografii.

Profesor się skrzywił.

– Kłamstwo nie popłaca. Musisz się wykupić.

Igor spuścił głowę.

– Zrobisz zdjęcia na ślubie mojej córki, za półtora miesiąca.

– Ale ja...

– Zaliczyć to kolokwium? – Zobaczył minę chłopaka i dodał szybko: – Żartowałem. Zaliczysz tak, jak napisałeś. A zdjęcia zrób, proszę. Oczywiście zapłacimy. Jaka jest twoja stawka?

Igor podał kwotę, którą zwykle brał w Żurominie.

Grosze! – pomyślał profesor.

– Umówione – powiedział głośno. – Tu jest mój telefon. Zadzwoń za dwa, trzy tygodnie, podam ci więcej szczegółów.

O szesnastej zaczynały się następne zajęcia, Igor ledwo zdążył. Ale był już na nich uważny. Po raz pierwszy od przyjazdu do

Warszawy poczuł, że jest na swoim miejscu, że robi to, co powinien. Studiuje i fotografuje. Jeszcze tylko jedna rzecz – pomyślał. – Jeszcze muszę odwrócić te proporcje.

Wieczorem na chwilę tylko pojechał do Eli, opowiedział o lekcji w Zalesiu, o pierwszym warszawskim zleceniu i wrócił do siebie. Ela zaś wróciła do ćwiczeniówki.

Rozdział 18

ONA

Koncerty były pasmem sukcesów. Po pierwszym, wiedeńskim, zeszły ze sceny bardzo zmęczone. Oklaski trwały długo, a Isabel pomyślała, że już kolejny raz nie wyjdzie. Nie zagra... Nie da rady. A jednak wychodziły i wychodziły, zagrały dwa bisy. Isa czuła, że jej suknia jest przepocona, obawiała się plam od potu, jednak suknia była uszyta tak, że w ogóle nie było na niej widać śladów użycia. Uśmiechały się przed wejściem na scenę, pianistka miała wrażenie, że przykleja do twarzy zużyty już grymas. Nie uśmiechała się samymi kącikami, układała całe usta w efektowną minę, ukazując białe zęby. Olena wychodziła do przodu, Isa zostawała trochę z tyłu, rozpuszczone czarne włosy opuszczając na twarz. Widać było jej suknię, płaszcz czarnych włosów i czerwone, rozciągnięte w uśmiechu usta. Za każdym wejściem poprawiała na nich kolor.

– Nic brzydszego niż w połowie zjedzona szminka na ustach kobiety – powiedziała do Manolo.

– Jeszcze może być szminka na zębach – odpowiedział

odruchowo, a ona się skrzywiła.

Recenzje był znakomite. Właściwie trudno było po takiej owacji spodziewać się czegoś innego. Impresario kilkakrotnie odbierał telefony od dziennikarzy.

– Nie, proszę pana. Nie udostępniamy zdjęć pani Montaña. Tak, rozumiem, że jej twarz jest niewidoczna na zdjęciach. Taka jest decyzja pani Montaña.

Cieszył się z tych telefonów. Świadczyły o zainteresowaniu, a odpowiedzi, których udzielał, miały to zainteresowanie utrzymać przez dłuższy czas. Nawet w pewnym plotkarskim tygodniku przemknęła notka: kim naprawdę jest Isabel Montaña?

Nie mówił o tym Isabel ani Olenie. Obydwie byłyby niezadowolone, chociaż ze skrajnie różnych przyczyn. Jedna – że ktoś w ogóle interesuje się jej wizerunkiem, druga – że marketingowa szansa po raz kolejny nie została wykorzystana.

Koncerty były zaplanowane co kilka dni. Gdyby chciały, znalazłyby czas na zwiedzanie i Olenie chodziło to po głowie. Jednak Isa skupiona była na ćwiczeniu.

– Tak wiele utworów, a tobie chce się odpoczywać? – mówiła do wiolonczelistki.

– Samym graniem człowiek nie żyje, nawet jeśli jest artystą. Ruszaj tyłek, idziemy.

Wyciągnęła Isabel na dwie godziny spaceru po Wiedniu, towarzyszył im Manolo, zjedli tort Sachera, przeszli Kartnerstrasse.

Powtarzało się to i w innych miastach. Ćwiczenie, koncert, ćwiczenie, krótkie zwiedzanie. Isabel wyraźnie się denerwowała.

– Nie ma powodu do nerwów! – uspokajała ją Olena.

– Ty nie masz powodów do nerwów. Twój kontrakt płytowy na Bacha masz praktycznie w kieszeni.

– Jeszcze nie mam – odparła spokojnie, chociaż zwykle to ona mówiła podniesionym głosem, a Isabel ją tonowała. – Ale jak ja będę miała Bacha, to ty będziesz miała kolejne.

Spierały się, ale też coraz lepiej rozumiały. Grając, oddychały w tym samym rytmie. W tych samych momentach spoglądały na siebie i zamykały oczy. Unosiły ręce podobnym gestem, chociaż ich instrumenty wymagały innej gestykulacji. Czuły takie same dreszcze, tak samo przeżywały emocje. Po prostu – grając razem, stawały się jednym muzycznym organizmem. Spory i wspólnie spędzane godziny, nie tylko na próbach, pogłębiały jeszcze tę wyjątkową więź.

W Madrycie Manolo zaprosił obydwie kobiety do znanej restauracji.

– Jędę do przyjaciół – odparła Olena. – Dawno się z nimi nie widziałam. Ty nikogo nie odwiedzasz? – zwróciła się do Manolo.

Wzruszył ramionami.

Wieczorem w restauracji po złożeniu zamówienia Isabel wpatrywała się w kryształowy kieliszek wypełniony białym winem.

– Nie powinieneś ograniczać swojego życia ze względu na mnie – powiedziała.

Znów wzruszył ramionami.

– Przecież masz tu rodzinę, przyjaciół.

– Znajomych już raczej. Przyjaźnie wymagają utrzymywania relacji – odpowiedział. – A rodzina mieszka ponad trzysta kilometrów stąd.

– Ale powiedziałeś im, że tu będziesz?

Znów uniesienie ramion.

– Manolo. Chciałbyś do nich pojechać?

– Nie, po co. Nie sędę, żeby to miało sens.

– Ale dla ciebie ma.

– Bez ciebie nie chcę.

– Nie oszukamy ich. Mówię płynnie po hiszpańsku, ale nie oszukam rodowitego Hiszpana. Nie da się tutaj udawać, że jestem Hiszpanką. Żony ze mnie też nie zrobisz, pewnie raczej nigdy. Ale tobie taka wizyta jest potrzebna.

Pokręcił głową. Nie rozmawiali o tym przez resztę wieczoru. Kolacja była wyśmienita. Schłodzone białe wino, owoce morza, znakomita salsa brava, za którą Manolo tęsknił bardziej, niż mu się wydawało.

– Pojedź do León – powiedziała, gdy wracali spacerem do hotelu. – Wytrzymam dwa dni.

Nic nie odpowiedział. Gdy weszli do hotelowego pokoju, Isabel ściągnęła buty i podała Manolo komórkę. Wyciągnął rękę i wyszukał rozkład jazdy.

– Jutro o siódmej – powiedział bezintonacji.

Kiwnęła głową i przytuliła się do niego.

W nocy kochali się delikatnie, powoli, Manolo wstał rano niewyspany i podekscytowany. Nie dopuszczał do siebie tęsknoty, w ogóle nie rozważał, jak bardzo potrzebował rodziny. Jaki czuł niedosyt bycia z tą hałaśliwą, ciągle kłócaącą się zbieraniną ludzi o skrajnie różnych poglądach, którzy jednak regularnie zasiadali do wspólnych posiłków i chociaż czasem krzyczeli na siebie, to jednak nie wyobrażali sobie bez siebie życia.

Manolo pojechał sam. Przez większą część roku kontakt z rodziną miał sporadyczny, głównie telefoniczny. Nawet jego matka, przepiękna wysoka kobieta o krzykliwym głosie, zaprzyjaźniła się z komputerem. Kazała sobie zainstalować skype'a i nauczyła się z niego korzystać. Manolo rozmawiał z rodziną głównie wtedy, gdy Isabel nie było w pobliżu. Czasami zastanawiał się, dlaczego. Może uważał, że Isabel będzie

przeszkadzał hałas, jaki zawsze wtedy powstawał. Matka mówiła, z tyłu dopowiadał coś ojciec, czasem pojawił się jeden z braci lub siostra, częściej ich dzieci. Nie zawsze rozumiał, co matka do niego mówi, tak bywało głośno. Śmiał się wtedy, śmiali się wszyscy i – uświadomił to sobie dopiero niedawno – uważał, że sprawi to przykrość Isabel.

W pociągu pomyślał, że jej też rodzina byłaby potrzebna. Jak każdemu.

Wizyta przebiegała dokładnie tak, jak się spodziewał. Jimena, jego matka, najpierw załamała ręce, potem krzyczała ze złością, że nie uprzedził o wizycie, a na koniec zamknęła w szczelnym uścisku. Ze szczęścia się popłakała. Nie było w tym nic dziwnego, zawsze reagowała impulsywnie na wszystkie niespodzianki.

Jak już go obejrzała, kilkakrotnie obróciła przed sobą, dotknęła ramion, głowy – rzuciła się do kuchni.

– Nie jestem głodny – chciał powiedzieć Manolo, ale zrezygnował. Przypomniawszy sobie, że w ich domu przygotowywanie jedzenia było sposobem okazywania miłości. I to nie tylko w ich domu, było to właściwe każdej hiszpańskiej rodzinie. Nie czuł apetytu, ale wiedział, że usiadzie do stołu i będzie jadł ze wszystkimi, wśród harmidru i przekrzykiwania. Nie miał też wątpliwości, że w ciągu najdalej godziny zjawi się cała rodzina, nawet pracujący szwagier wpadnie choć na chwilę. Nie widzieli się tak dawno, że po prostu zwolni się z pracy, a jego szef nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Gdzie twój bagaż? – zapytała Jimena podejrzliwie, jednocześnie szykując jedzenie.

– Został w hotelu w Ma...

Nie dokończył. Jimena uniosła ręce i rozpoczęła głośny lament. – W hotelu! Do rodzinnego domu przyjechałeś, a zatrzymałeś się w hotelu! Że też musiałam doczekać takiego upokorzenia!

– Mamo, w Madrycie. – Przerwał jej, rozbawiony. – Przyjechałam dziś na jeden dzień z Madrytu. Za dwa dni Isabel gra koncert z Oleną.

– Z Oleną? – zapytała całkiem spokojnie matka. – Wiem przecież, wybieram się.

– Będziecie?

– Oczywiście! Jak myślisz! Żona mojego brata powiedziała nam już wiele tygodni temu. Pojedziemy i będziemy słuchać Oleny! Ale co ty mówisz? – Zreflektowała się. – Z Isą? Z tą twoją dziewczyną? To wreszcie ją poznamy?

– Z Isą – potwierdził i ciarki mu przeszły po plecach.

– To cudownie. Idziemy potem na kolację. Nie znam żadnego lokalu w Madrycie, coś musisz znaleźć.

– A macie nocleg?

– Żadnego noclegu, synu! W hotelu to ja spać nie będę. Wracamy do domu, bez dwóch zdań!

– Pociągi jeżdżą...

Przerwała mu znów.

– Żadnych pociągów. Jedziemy samochodem, niech twój ojciec się do czegoś przyda.

Ojciec Manolo, Sebastian, znacznie niższy i drobniejszy od swojej żony, mówił niewiele. Wydawało się, że kobiety górami, że Jimena rządzi – zarówno posturą, głosem, jak i ilością wypowiedzianych słów. Jednak Manolo doskonale wiedział, że ojciec mówi mało, ale jego zdanie jest zawsze ostateczne. Jeśli więc zgodził się na podróż swoim ukochanym czternastoletnim seatem, to znaczy, że wycieczka na koncert była zatwierdzona i nieodwołalna. Jak to dobrze, że przyjechałem – pomyślał w tamtym momencie Manuel. – Zaskoczenie na koncercie mogłoby mnie zabić.

– Cudownie, że będziecie. – Uśmiechnął się do matki.

– Idziemy na kolację po koncercie. – Pogroziła mu palcem. – Razem. Wszyscy!

– Nie wiem, czy dziewczyny nie będą zbyt zmęczone.

Przerwało mu prychnięcie rozzłoszczonej kotki.

– Zmęczone na spotkanie z matką?

– Ale nie jest...

– Nic nie szkodzi! Jestem twoją matką, a ta kobieta żyje z tobą, czyli musi mnie słuchać. A w ogóle to czytałam, że ona jest Hiszpanką, tak? Z którego regionu? Bo ty mi nigdy nic nie mówisz! Ja się dowiaduję przez przypadek. Isabel to skąd jest?

– Mamo, ona...

– No skąd?

– Ona nie jest Hiszpanką. I nie ma rodziny.

– Sierota. – Jimena załamała ręce. – To pewnie potrzebuje rodzinnego ciepła! I ty nic nie mówisz! Taki nierozgarnięty. Koniecznie musimy ją poznać! Siadaj teraz do jedzenia. A tak w ogóle to czemu wy ślubu nie bierzecie?

– Bo...

– No... – Spojrzała na syna groźnie.

– Bo ona nie może.

– Co nie może? Czy ona? – Jimena zakryła ręką usta z przerażeniem. Czy ona... ma męża? – Ściszyła znacząco głos.

– Mamo, to trudne sprawy, nie chcemy ślubu, bo... – Zamilkł. Nie miał pojęcia, jak wybrnąć. Właściwie mogłem się tego spodziewać. Na całym świecie uchodzę za dorosłego faceta, twardego czasem nawet, a przed matką muszę się tłumaczyć – pomyślał. – Co gorsza, nie umiem się wytłumaczyć. – Tak, mamo. Ona ma męża i nie może z nim być. Tylko proszę, nie pytaj jej o to. Bo po prostu wyjdzie z kolacji i nigdy więcej się nie spotkacie. To straszna dla niej sytuacja.

- Matce wszystko możesz powiedzieć.
- Sam nie wszystko wiem. Możemy już siadać do stołu?

Jimena była trochę obrażona na syna, ale radość z jego wizyty przebiła inne sprawy. Przynajmniej na razie. Do wieczora biesiadowali. Przyszła siostra, zgodnie z oczekiwaniami Manuela na chwilę pojawił się szwagier. Szwagierka przyszła po południu i została do wieczora. Brat przyjechał późnym popołudniem. Dzieciaki bez przerwy pojawiały się i znikwały. Stałe punkty to była Jimena, materializująca się zwyczajowo w dwóch miejscach, przy stole i w kuchni, Sebastian i Manolo. Rozmawiali o wszystkim. O ostatniej ciąży Sofii, o zapaleniu płuc najstarszego wnuka. O szkole i całkiem niepotrzebnej porcji wiedzy, którą tam dzieciom wtlaczali do głów.

- Głupoty! – pomstowała Jimena.

O służbie zdrowia, trochę o polityce, ale na to zbyt denerwował się Sebastian, więc szybko zmienili temat. O wszystkim. Manolo czuł się jak w domu. Przecież jestem w domu – pomyślał. – Ale tak dawno tu nie byłem.

Wieczorem Jimena koniecznie chciała zatrzymać syna.

- Wracam, mamó. Za dwie godziny będę w Madrycie. Może za trzy.

- To będzie środek nocy!

- Nie szkodzi, mamó. Tęsknię.

- A za nami to nie tęsknisz, co? – powiedziała Jimena już ciszej.

- Tęsknię, mamó, bardzo. Dlatego przyjechałem.

Droga w pociągu zeszła mu szybko. Przez cały dzień nie rozmawiał z Isabel, nawet przez chwilę.

A ona radziła sobie świetnie. Sądziła, że będzie jej smutno i samotnie w mało znanym mieście. Wybrała się do Prado, koniecznie chciała na żywo zobaczyć *Ogród rozkoszy ziemskich*

Hieronima Boscha, tryptyk fascynował ją od lat. Manolo uważał, że Prado jest dla turystów, i nie planował wizyty w tym muzeum. Pewnie miał rację, sądząc po tłumach przed wejściem, jednak nie żałowała. Wewnątrz odwiedziła także *Panny dworskie* Diego Velasqueza. Nie przepadała za tym obrazem. Wydawał jej się smutnym uwiecznieniem ludzkiej małości. Artysta długo starał się o tytuł szlachecki, a gdy go dostał, domalował szkarłatny krzyż na piersiach malarza, alter ego samego Velasqueza. Legenda głosi, że ten wyrazisty detal domalował sam król, nie miało to jednak dla Isabel żadnego znaczenia.

Wyszukała jeszcze dwa obrazy – wizerunki Elżbiety Farnese, królowej Hiszpanii z pierwszej połowy osiemnastego wieku. Formalnie żona Filipa V, praktycznie przejęła rządy.

Musiała być twardą kobietą – myślała o niej czasami Isabel. Zapamiętała ją z lekcji historii, chociaż była tam przedstawiana jako postać poboczna. Zwróciła na nią uwagę właśnie dlatego, że wyobrażała sobie babiszona, tymczasem na portretach z epoki spełniała wszystkie wymogi ówczesnej piękności. – Ciekawe, czy tylko malarze się przypochebiali, czy naprawdę tak się prezentowała.

Na płótnie Jeana Ranca wyglądała jak uśmiechnięta, pogodna dobra wróżka. Gorset ozdobiony wielkimi szlachetnymi kamieniami, mięsista, odbijająca światło suknia, delikatna cera, subtelny uśmiech. Na obrazie pędzla Miguela Jacinto Melendeza wyglądała na znacznie starszą i jak się wydawało Isabel, nawet do siebie niepodobną. Chociaż kto wie, czy w ogóle jest na tych obrazach jakkolwiek do siebie podobna – pomyślała. – Ale najważniejsze, że nosi moje imię. – Ja też jestem taka silna.

Spędziła z obrazami dwie godziny i wyszła z przekonaniem, że obejrzała zaledwie przedsiónek. Nie miała jednak ochoty na więcej. Właściwie przyszła do muzeum bez potrzeby obejrzenia czegoś konkretnego, poza może Boschem, chodziła więc po

salach tak po prostu, chłonąc kurz z parkietów i kilkusetletnie wyobrażenia mistrzów zawarte na płótnach.

Potem ruszyła spacerem do Mercado de San Anton. Wprawdzie jadała mało, ale lubiła smakowitości. A to było jedno z miejsc, które zapewniało najpyszniejsze jedzenie. Rodzaj targu, na którym można było kupić praktycznie wszystko, zamówić prawie wszystko i spędzić czas wśród smaków i zapachów trudno dostępnych gdzie indziej. Można było pokazać palcem kawałek mięsa, a potem dostać go na talerzu. Isabel wprawdzie mięsa nie jadała, ale café cortado i świeża escalivada na dachu targowiska sprawiły jej ogromną przyjemność.

W centrum Madrytu takich miejsc było kilka. Mercado de San Ildefonso, Mercado de San Miguel ze swoją przepiękną stalową konstrukcją, Mercado de Anton Martín, Mercado de San Fernando. Wszystkie unikatowe, wyjątkowe. Była w każdym z nich podczas poprzednich wizyt, właściwie nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się usiąść właśnie tutaj. Wypiła kieliszek cavy, bąbelki przyjemnie łaskotały jej podniebienie.

Spacerowała potem, doszła aż pod pałac królewski, ale nie miała zamiaru go zwiedzać. Po prostu niespiesznie chodziła po mieście, syciła oczy pięknymi widokami, późnym popołudniem usiadła jeszcze w czekoladziarni. Wróciła do hotelu około dwudziestej, trochę zmęczona, ale w bardzo dobrym nastroju. A gdy powrócił Manolo, ich wspólny nastrój stał się jeszcze lepszy.

Już następnego dnia wraz z Oleną rozpoczynały próby. Znów pracowały po wiele godzin – chociaż postronnym mogłoby się wydawać, że doszły do perfekcji. Ciągłe jednak znajdowały jeszcze coś, drobiazg, głębsze piano, mocniejszy akcent lub wyrazistsze tenuto. Najważniejsze jednak było to, że zarówno próby, jak i koncerty wciąż sprawiały im ogromną radość.

Isabel jednak z dnia na dzień robiła się coraz bardziej spięta.

– Przestań! – powiedziała na którejś próbie Olena. To było już niemal pod koniec trasy koncertowej. – Robisz się nieznośna!

– Ale co? – Isabel nie rozumiała. – Nie przyspieszyłam przecież, słucham cię i...

– Jesteś zdenerwowana!

Isabel zdjęła ręce z klawiatury i spojrzała na przyjaciółkę, zaciskając wargi.

– Też byś była!

– Nie byłabym. Ja bym załatwiła swoje sprawy.

– Nic ci do tego.

– A i owszem. Mi do tego, bo teraz się z tobą męczę.

– To sobie mogłaś wziąć innego pianistę! Albo nie ciągnąć mnie do Warszawy!

– A Varsovia jedziemy z premedytacją, moja kochana. Czas przestać uciekać.

– Olena. – Isa wstała i wzięła się pod boki. – Nie twój zasrany interes.

– Cóż za język! Mój interes. Załatwisz swoje sprawy.

– Niczego nie będę załatwiać.

– Może i nie, ale przynajmniej ze sobą się dogadasz.

– Po co to ruszasz? Źle było?

Olena odłożyła delikatnie wiolonczelę na ziemię.

– Źle – powiedziała. – Bardzo źle. Z wesołej, cudownie kolorowej dziewczyny o włosach jak łan pszenicy zmieniłaś się w czarnowłosą czarownicę. Smutną, bladą, pozbawioną koloru. Te twoje białe szatki doprowadzają mnie do szału! Nie ma ciebie. Schodzisz na ziemię tylko w muzyce, poza tym cię nie ma!

Isabel mrugała, stojąc przed przyjaciółką.

– Skończmy już dziś.

– Skończmy – odpowiedziała wiolonczelistka. – Wiele więcej nie wyćwiczymy. Widzimy się jutro godzinę przed koncertem.

– Będę pół godziny przed – odpowiedziała Isa. – Nie chcę na ciebie patrzeć dłużej, niż to konieczne.

Pomimo tej sprzeczki, berliński koncert był sukcesem. Jak każdy. Isabel nie przeszła złości i muzyka wprost iskrzyła. Jakby ktoś rozpałił beethovenowski płomień – napisał potem jeden z krytyków.

Manolo nie wiedział o kłótni, ale widział zdenerwowanie Isabel.

– Możemy odwołać warszawski koncert.

Pokręciła tylko głową.

– Jestem profesjonalistką.

– Nie musisz tam grać.

– Muszę. Olena zrobiła to z premedytacją. Rzuciła mi wyzwanie, wiesz? Ona uważa, że muszę w Warszawie coś załatwić.

– Nic nie musisz – powiedział ostrożnie, a nawet z przestradaniem.

– Nie, nie muszę. Ale już teraz chcę tam pojechać, zagrać i jak najszybciej stamtąd wyjechać. Udowodnić Olenie, że nie ma prawa wtrącać się w moje sprawy.

Musisz udowodnić sobie, nie Olenie – pomyślał Emanuel.

– Kocham cię – powiedział głośno, a ona spojrzała mu w oczy, ale nic nie odpowiedziała.

Rozdział 19

ON

Przed letnią sesją Igor dostarczył profesorowi zdjęcia ze ślubu córki. Ten przyjął kopertę i powiedział: – Pozwól, że pokażę głównym zainteresowanym, nowożeńcom. Ustalimy, ile których odbitek i się rozliczymy. Za tydzień, może być?

Igor kiwnął głową.

Zdjęcia wywoływał w pracowni u Jana. Gdy ten dowiedział się, że chłopak dostał ślubne zlecenie, skupił się na fotografii okolicznościowej.

– Masz strasznie banalne ustawienia. Wszystkie na jedno kopyto. Pomyśl, co oryginalnego możesz wyciągnąć z ludzi, których fotografujesz, i z miejsca, w którym jesteście.

Banalne? – zastanawiał się Igor. Wszyscy w Żurominie zachwycali się jego ustawieniami. Wyjściem w plener z gośćmi przyjęcia, oryginalnym ujęciami. A tu usłyszał – banalne. W pierwszej chwili poczuł się dotknięty, ale już po chwili nie miał czasu, by skupiać się na swoich urazach. Jan wyciągnął

albumy i coś pokazywał, Igor żył już tylko tym.

Tydzień później profesor przyniósł kartkę z numerami odbitek. Przy każdej była spora ilość sztuk, każda przecież płatna. Igor się ucieszył.

– I to jeszcze dla ciebie – powiedział profesor. – Od mojej żony. Powiedziała, że takich zdjęć to nie ma nikt w Warszawie.

– Dziękuję – odpowiedział chłopak, w duchu jednak pomyślał: To jeszcze nic. Ja dopiero będę umiał robić takie zdjęcia.

Jan okazał się mniej gburowaty, niż początkowo Igor sądził. Lekcje w Zalesiu odbywały się raz lub dwa razy w tygodniu, Jan przyjeżdżał na ostatni przystanek trolejbusu i przywoził Igora do swojego domu. Pani Zenia zawsze szykowała dla nich posiłek, czasem kanapki, czasem pożywną zupę. Igor nigdy nie spotkał żony Jana, przebywała w innej części domu. Spędzali czas w ciemni, nad książkami, albumami lub w plenerze. Jan pokazał mu także swoje niewielkie studio, w którym uczyli się fotografii reklamowej i portretowej. Za model zgodziła się służyć, ale tylko raz, pani Zenia.

– A co ty mi tu! – Machnęła na chłopaka, gdy przyszedł prosić ją ponownie o pozowanie. – Ja nie żadna aktressa ani inna taka, daj mnie spokój.

Zdjęcia zrobione pani Zeni zupełnie nie podobały się Janowi, chociaż Igor odkrył, że portret też może być ciekawy. Nie tak fascynujący jak przedmioty, ale jednak intrygujący. Ludzie się wprawdzie ruszali, co znacznie utrudniało rozplanowanie kadru, czasem nawet zdjęcie wychodziło nieostre, co irytowało Igora ponad miarę. Jednak portret z jednym modelem nawet mu się spodobał.

W studiu robili także trochę fotografii reklamowej. Jan miał jakieś zlecenia z zachodu, nie zdradzał zbyt wiele, jednak w Polsce takich fotografii się nie robiło. Któregoś dnia pokazał nawet Igorowi aparat cyfrowy i powiedział: – To jest przyszłość.

Igor popatrzył na niego zdumiony.

– Nie potrzeba kliszy?

– Nie – odparł Jan. – Chyba nikt w Polsce jeszcze takiego nie ma. Ale to śpiew przyszłości.

Pokazał Igorowi kilka zdjęć.

Słabe – ocenił chłopak w myślach.

– Podobają ci się? – zapytał Jan.

Igor pokręcił głową.

– I słusznie. Słaba rozdzielczość, mała pamięć, techniczna niedoskonałość. Ale za kilkanaście lat...

Igor pomyślał: Jan się chyba starzeje. Fotografia to jest klisza. W trzasku migawki jest magia.

Pracowali także na coraz popularniejszych aparatach automatycznych, które same ustawiały „wszystko”. Kilka takich klisz wywołali, Igor miał opowiedzieć, co i dlaczego mu się nie podoba. Opowiadał znacznie dłużej, niż Jan się spodziewał.

– W czerwcu i lipcu jestem w domu – powiedział Jan pewnego majowego poranka. – Zapraszam cię na lekcje. Sierpień i wrzesień odpadają, nie wiem jeszcze, jak będzie w październiku.

– Oczywiście, zostanę – odpowiedział chłopak bez namysłu.

Gdy wrócił do Warszawy, spotkał się z Elą.

– Ja jadę do domu – powiedziała. – Może też byś przyjechał?

– Do Koszalina? – Upewnił się.

Skinęła głową.

– Strasznie daleko. – Roześmiał się. – Pewnie, że przyjadę. Wprawdzie mama nie będzie zadowolona, od Bożego Narodzenia nie byłem w Żurominie, a czerwiec i lipiec zostają tutaj.

– Tutaj? A gdzie będziesz mieszkał?

– Jak to gdzie? W aka... – I dopiero w tym momencie Igor uświadomił sobie, że w wakacje nie ma dla niego akademika. – Coś wymyślę.

Ela uniosła brwi.

– Coś?

– Nie mam pojęcia. Jan zaproponował mi lekcje, nie odmówię przecież. Uczy mnie za darmo, czasem daje klisze, odczytniki... Nie mogę zrezygnować.

– To przyjedź do mnie w sierpniu.

– Są żniwa. Choć trochę ojcu pomogę. Przyjadę we wrześniu.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się do niego. Ich znajomość, chociaż wydawała się bardzo intensywna, nigdy nie wyszła poza fazę przytulenia. Ela nie cierpiała z tego powodu. Igor czasami myślał o tym, jak bardzo chciałby się z nią kochać, ale wtedy stawała mu przed oczami Kamila. Wydawało mu się, że jest smutna, chociaż w jego głowie mówiła: „Ułóż sobie życie”.

Igor czuł się winny. Przestał jeździć na cmentarz, jakikolwiek. Poza kilkoma wizytami na Powązkach, z których zdjęcia bardzo podobały się Janowi, nie odwiedził żadnej nekropolii, nie myślał o rozmowie z żoną. Pocieszał się, że jak wróci do Żuromina, to wszystko nadrobi. Pojedzie na cmentarz do Lubowidza i będzie rozmawiał z Kamilą długo, jak najdłużej. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że może to nie być tak oczywiste. Wiele wskazywało na to, że nie będzie miał na to czasu.

Sesję obydwójce, Ela i Igor, zdali śpiewająco. Właściwie grająco i rysująco, na piątkach.

Igor rzadko bywał w Dziekance, nie miał więc okazji spotykać się z Danką. Ona wiedziała od ojca, że chłopak robi postępy, raz nawet przywiózł – na jej wyraźną prośbę – kilka zdjęć Igora.

– Fajne – pochwaliła, a ojciec pokiwał głową.

– I oko, i entuzjazm masz po mnie.

Odbył z Danką kilka ważnych dla niego rozmów.

– Tak będzie lepiej – mówił.

– Dla kogo? Może dla was! A ja? – Dziewczyna wyraźnie się denerwowała.

Wtedy Jan wzruszał ramionami.

– Zawsze będziesz moją córką. Zawsze będę cię kochał i zawsze będę ci pomagał.

– A lekcje z Igorem?

– Przez wakacje będziemy kontynuować.

– Przez wakacje?

Jan potaknął.

– A gdzie on będzie mieszkał?

– A gdzie mieszka teraz? – odpowiedział Jan pytaniem.

– W akademiku. One nie działają latem.

Jan spojrzał na córkę uważnie.

– Wynika z tego, że oboje, i ty, i Igor, będziecie w tym czasie mieszkać u nas.

Danka opuściła głowę. Nie chciała, aby ojciec zobaczył jej zachwyty. On jednak nie musiał go widzieć, aby wiedzieć.

*

– Nie wiem, czy mogę zostać w lipcu w Warszawie – zaczął Igor delikatnie.

– Możesz – odpowiedział Jan surowo. – Będziesz mieszkał u nas, popracujemy intensywniej.

I w ogóle nie poświęcając tematowi więcej uwagi, przeszedł do lekcji.

– Chciałbym, abyś wysłał pracę na ten konkurs. – Pokazał mu anglojęzyczne czasopismo.

– Ale ja...

– Nie ma „ale”. Szukaj tematu, termin jest do połowy sierpnia, ale ty musisz zrobić pracę w lipcu.

Igor uniósł wysoko brwi i otworzył usta.

– Cisza! – Jan nie dał mu nic powiedzieć. – Nic nie mów, tylko bierz się do roboty! – krzyknął na chłopaka. Rzadko mu się to zdarzało, więc zrobiło odpowiednie wrażenie. Aż pani Zenia przybiegła.

– Coś się stało?

– Nic, stawiam chłopaka do pionu.

– Co, nie chce się chłopakowi pracować? – Przekrzywiła głowę.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział Igor. – Jestem tylko sparaliżowany wiarą w moje możliwości.

Pani Zenia na to popukała się w głowę i wyszła. Jan się zaśmiał.

– I wszystko na ten temat. Co proponujesz? – Wskazał na konkursowe ogłoszenie.

Igor miał już pierwszy pomysł.

Elżbieta zaliczyła wszystko w zerowych terminach, by sesję mieć jak najszybciej za sobą. Tęskniła do domu, rodziców i miejsc, które ciągle jeszcze pozostawały jej, choć studenckie życie powoli przykrywało ich urok kurzem.

– Przyjadę. – Igor przytulał ją na peronie.

– I zadzwoń.

– Zadzwonię – obiecywał i rzeczywiście dotrzymał słowa. Dzwonił z budki w Piasecznie raz w tygodniu, ukrywając ten

fakt przed domownikami z Zalesia, w szczególności przed Danką.

Był skonfundowany jej obecnością. Nie ukrywała emocji. Przybliżyła się do Igora, na co Jan patrzył przychylnie, bo zupełnie nie zdawał sobie sprawy z istnienia Elżbiety. Igor tymczasem patrzył na Dankę, na jej kasztanowe włosy, lekko zaokrągloną sylwetkę i cały czas myślał – ech, dlaczego ty nie jesteś Ela. Nie lubił dotyku jej dłoni, cieplej i miękkiej, w odróżnieniu od zawsze chłodnej i bardzo szczupłej dłoni Elżbiety. Lubił za to z nią rozmawiać. Była inteligentna i błyskotliwa, może nawet bardziej niż Ela, ale nie była Ela. Dlaczego ja je w ogóle porównuję? – pytał sam siebie. – Bo wylądowałaś w domu jej ojca, z nią samą jako główną lokatorką.

Pani Zenia patrzyła na to bez zadowolenia. Widziała jednostronność zainteresowania, raz nawet podeszła do Jana, podając mu zupe, i powiedziała:

- A pannie Danusi to by się zajęcie jakieś przydało.
- Wakacje ma – odpowiedział nieuważnie Jan.
- Ale przeszkadza panu w pracy z panem Igorem – powiedziała jak na siebie niezwykle odważnie.

Jan nie zrozumiał, myślami był gdzie indziej.

Przygotowali pracę na konkurs. Igor podał adres w Żurominie, Danka wysłała z poczty wielką kopertę, usztywnioną grubym kartonem. Sama ją pakowała, wyszukując w pracowni ojca odpowiednio twardą obwolotę.

– Nawet moje prace nigdy nie były tak pakowane – powiedział Jan, a córka wzruszyła tylko ramionami.

Dopiero w czasie wakacji Igor poznał pasierbów Jana i jego żonę. Stworzył sobie wyobrażenie – że jest wyniosła, nieprzyjemna, wysoka i chuda. Tymczasem poznał owszem, wysoką i chudą, ale miłą i sympatyczną kobietę, która – jak się

okazało – po odprowadzeniu dzieci do szkoły i przedszkola zamykała się w swojej pracowni i malowała. Jak mogłem spodziewać się czegoś innego – pomyślał Igor. – Przecież Jan nie poślubiłby urzędniczki.

Niechęć macochy i pasierbicy była obustronna. Dziewczyna nie pozostawała dłużna, a może i sama prowokowała wiele scysji. Malarstwo kobiety było belką w oku Danuty, która uważała je za miałkie i nijakie, z czym Igor się nie zgadzał. Jan także cenił malarstwo żony, bardziej jednak cenił własne zdjęcia. Dlatego też nie liczył się z jej zdaniem, twierdząc, że pracować może wszędzie.

Igor pewnego dnia usłyszał to zdanie. W sumie może wszędzie – pomyślał. – Ale lepiej chyba we własnej pracowni. To tak, jakby fotografowi zabrano jego ciemnię.

Zatrzymał się. Niby nie chciał podsłuchiwać, jednak...

– I tak wszystko zostawisz? – dziwiła się kobieta. – Ja nie chcę!

– Wszystkie kontakty zabierzesz ze sobą. Niczego więcej tu nie osiągniesz, ponad to, co już masz.

– Ale dlaczego mam chcieć więcej? Maluję. Mam zlecenia. Sprzedaję wszystko na pniu. Czego mam chcieć więcej?

– Wystaw. Sławy. Albumów. Nic nie rozumiesz. – Jan był zirytowany.

– Widocznie nie – odpowiedziała.

Igor poszedł dalej. Nie chciał rozumieć tego, co usłyszał.

Okolo połowy lipca nie mógł już utrzymać, że nie rozumie. Dom był konsekwentnie pakowany. Zenia zaczęła od tej strony, w której nie bywał, ale jednak kartony i pudła pojawiły się w takiej ilości, że nie sposób było ich nie dostrzec.

– Jak to? To pan nie wie? – Zenia się zdziwiła. Często mieszała formy. Raz rugała go jak sztubaka, innym razem panowała.

Tłumaczyła to tak: a bo pan Igor taki młody jeszcze, jeszcze tyle przed nim, ja stara, to mogę go i po kątach ustawiać. Ale on kiedyś będzie sławny, to już mu na zaś „panuje”.

– Nie wiem – odpowiedział ostrożnie Igor.

– Państwo wyjeżdżają.

– No tak, ale przecież wróca.

Zenia zacisnęła wargi.

– Na dłużej. Pan Jan kontrakt ma, pewnie nieprędko się u nas pojawi.

Igor podszedł do Jana.

– To prawda? Dlatego nie możemy się widzieć w sierpniu, wrześniu i październiku?

– Którego roku? – odparł Jan.

– To aż tak?

– Przekażę ci, co mogę, nauczę prawie wszystkiego, resztę musisz zdobyć sam. Doświadczenie przede wszystkim.

– Danka też jedzie?

– Nie chce. Dom na razie zostaje – skłamał Jan. Miał już kupca na wilę z międzywojnia. Kluczowym argumentem dla nabywcy był duży i zadbane ogród, z którego zamierzał cieszyć się jeszcze tego lata. Dlatego transakcja miała odbyć się dziesiątego sierpnia, na kilka dni przed wylotem rodziny Błędowskich do Stanów. Dance ojciec kupił niewielkie mieszkanie w centrum Warszawy, założył konto i zapewnił o swoim ciągłym o niej myśleniu.

Igor nigdy więcej miał nie zobaczyć Jana, chociaż przez całe lata pozostawali w bliskim kontakcie. To właśnie Jan dokładnie za osiem lat przyśle Igorowi jego pierwszy cyfrowy aparat. Sony Digital Mavica MVC-FD73. Na dyskietce trzyipółcalowej pomieści się dziesięć zdjęć. Napisze wtedy Igorowi: „Mówiłem ci, że to przyszłość? A to dopiero początek!”. Igor nie mógł się

przyzwyczać do tego formatu, pewnie trochę z przekory wobec Jana... Ale i to miało się wkrótce zmienić.

Danka chodziła jak struta. Odpowiadała domownikom półgębkiem, czasem znikwała z domu. Często siadywała w pobliżu Igora, gdy Jan prowadził z nim lekcję. Wodziła za chłopakiem wzrokiem, śledziła każdy ruch.

– Możesz zamieszkać ze mną – powiedziała pewnego dnia, jak na siebie bardzo odważnie. Siedzieli z Igorem w ogrodzie, na wiklinowych fotelach, które także miał otrzymać nowy właściciel.

– Danka. – Chłopak odstawił szklanekę z wodą i popatrzył na nią wprost, chociaż ostatnio tego unikał. – Danusiu... – Zawiesił się.

– Wszystko rozumiem. – Przygryzła wargę.

– Nie wiem, czy wszystko. Ale...

– Rozumiem. – Przerwała mu. – Tylko błagam, bez słodkich obietnic o dozgonnej przyjaźni.

Danka miała wrażenie, że się rozsypuje. Wiele dni tłumaczyła sobie, że Igor nie ma jej nic do zaoferowania. To chłopak Elki – perswadowała. A jednak nadzieja umiera ostatnia. Gdy usłyszała brzmienie głosu Igora, nie potrzebowała już słów. Była tam konsternacja, zagubienie, przerażenie, chęć ucieczki. Wyobrażała sobie wszystkie najgorsze uczucia i mówiła sobie w myślach, że właśnie takie Igor żywi wobec niej. Wstała i weszła do domu. Nigdy więcej nie wrócili do tej rozmowy.

Igor wyjechał z domu Błędowskich w ostatnich dniach lipca. W domu matka przywitała go jak syna marnotrawnego.

– Jesteś, jesteś – mówiła, głaszcząc go po sterczących włosach. – Jesteś.

– Mamo, przecież sama mnie tam wysłałaś. – Śmiał się już nie chłopak. Młody mężczyzna.

– Ale nie spodziewałam się, że raz na rok cię zobaczę – odcięła się Natalia.

Tak myślałam, że syna już swojego tamtego nie zobaczę – w nocy nie mogła spać, rozmyślała. – Przyjechał już ktoś zupełnie inny.

Następnego dnia Igor pojechał na cmentarz. Wcale jednak nie rozmawiał z Kamilą tak długo, jak się tego spodziewał. Posiedział dwadzieścia minut i poczuł, że już nie widzi żony, jej napiętego brzucha, nie wyobraża sobie jej zapachu. Opowiedział w myślach cały rok, zamknął go w kilkunastu zdaniach, zapalił dwa znicze i wyszedł z cmentarza. Pojechał prosto do jej matki, która przyjęła go uśmiechnięta i zadbana.

– Nie spodziewałam się... – powiedziała. – Taka jestem nieprzygotowana.

– Przyniosłem ciasto – powiedział i rozejrzał się. Mieszkanie było czyste. Zadbane jak właścicielka, w niczym nie przypominało nory, do której trafił blisko dwa lata temu.

– Cieszę się, że u pani wszystko dobrze – powiedział, już wychodząc.

– Dzięki tobie – odpowiedziała. – Pomogłeś mi wyjść ze stuporu, dziękuję.

Już mnie nie potrzebuje – pomyślał, idąc przez parking.

Jagłańska obserwowała go przez okno.

Mogłabym chować teraz prawie trzyletniego wnuka – myślała. – A tak robię porządek w swoim życiu, żeby spokojnie pójść do szpitala i pozamykać swoje sprawy.

Za dwa dni spodziewała się wizyty dawnej przyjaciółki. Kiedyś były niemal nierozłączne, teraz przyjaciółka mieszkała sto kilometrów od Żuromina i widywały się rzadko. Jednak kontakt ciągle ze sobą miały i matce Kamili zależało na dobrym wizerunku. Przyjaciółka była plotkarą, niezłośliwą, raczej naiwną, która opowiadała wszystko i wszystkim. Dlatego od

prawie dwóch tygodni Jagłańska szykowała mieszkanie i siebie. Zatrudniła pomoc, która umyła okna, wyszorowała podłogi, uprała narzuty, wyniosła sterty zalegających gazet i innych śmieci. Poszła do fryzjera, a nawet do kosmetyczki, co nie zdarzyło się od czasu przygotowań do ślubu córki. Igor trafił akurat na moment, w którym wypucowała swoje życie na przyjęcie gości.

Pięć dni później, po wyjeździe niegdysiejszej przyjaciółki, ponownie było jej wszystko jedno.

Wizytę u pani Joanny Igor odbył następnego dnia. Przyjęła go sernikiem i zaparzaną kawą, a wszystkie bibliotekarki zbiegły się, oglądając go jak kosmitę.

– Pokaż indeks – ni to zażartowała, ni zażądała pani Joanna, a potem uściskała go jak syna.

– Warto było, widzicie, drogie panie? Warto było.

Igor nie zdawał sobie sprawy, ile trudu i pieniędzy pochłonęło zdobywanie dla niego książek. I nigdy nie miał sobie tego uświadomić.

– Ale do Zosi pojedziesz? Zagląda do nas, czasem mówimy o tobie.

– Wracając do domu, umówiłem się na popołudnie.

– To dobrze. Bo pani Teresa ciągle jeszcze rządzi, ale coraz słabsza, Zosia wciąż zajęta, bo jej matka nie ma czasu tu przyjechać i dziewczyna potrzebuje towarzystwa.

– A Karol?

– Karol to narzeczony. Wierny, ale świeże powietrze też się przyda – odpowiedziała pani Joanna.

– Narzeczony – prychnęła jedna z pań. – Prawie mąż! Data ślubu wyznaczona.

– To bardzo dobrze. Karol w Zosię wpatrzony jak w obrazek – odpowiedział układnie Igor. A u pana Cezara jak? – zapytał.

Zapadła niezręczna cisza. Pani Joanna zrobiła parę grymasów, kilka razy już otwierała usta, po czym jednak nic nie mówiła.

– Pan Cezary pije – odpowiedziała w końcu jedna z bibliotekarek, której Igor nie kojarzył. – I nikogo nie chce widzieć.

Igor poczuł się w bibliotece jak w domu. Wziął książki dla siebie i dla mamy, potem przez cały pobyt w Żurominie odwiedzał bibliotekę co kilka dni.

Postanowił też, że koniecznie musi odwiedzić Cezara. Jeśli nikogo nie chce widzieć, to pewno spotka się ze mną. Może nawet mnie potrzebuje – pomyślał.

Po powrocie do domu jednak ojciec od razu zagonił go do roboty.

– Czas żniwa zacząć – powiedział. – W przyszłym tygodniu ma padać, żyto nam się wyłoży – dodał, a Igor był od tego popołudnia tak zajęty i zmęczony, że nawet myśl o Cezarym już mu w głowie nie powstała.

*

– Igor! Ty dziewczynę masz! – krzyknęła Natalia oskarżycielsko, tak jakby nie namawiała syna do ułożenia sobie życia. Z tego powodu zresztą kręciła nosem na jego odwiedziny u Jaglańskiej. Niech ona da chłopakowi spokój, on życie ma przed sobą, niech o przeszłym zapomni – sarknęła czasem do siebie.

A teraz miała pretensje.

– To coś złego? – Chłopak się zdziwił, widząc w rękach matki kopertę zaadresowaną drobnym pismem Elżbiety. Koperta była otwarta.

– Nie złego, tylko nie mówisz nic.

– Co mam mówić, i tak wszystko wyczytasz – powiedział, wyjmując list z rąk matki.

– Muszę poczytać, sam nic nie powiesz – odpowiedziała.

Igor usiadł w fotelu, przy stoliku, gdzie zazwyczaj zimą siadali z matką, czytając książki.

Elżbieta starała się być powściągliwa. Pisała jednak, że tęskni i że na Igora czeka.

Odłożył list i zamyślił się, patrząc w ścianę ozdobioną reprodukcją Chełmońskiego.

– Pojedziesz, synuś? – Natalia podeszła do niego, wycierając ręce w kuchenną ścierkę. Dobrze, że kogoś znalazł – myślała. – Tylko powiedziałby coś, pochwalił się, przywiózł dziewczynę do domu.

– Pojadę, mamuś. Tylko ojcu pomogę żniwa skończyć.

Pomoc Igora nie była niezbędna. Dwóch braci gospodarzyło przecież na miejscu, ale Igor lubił pracować z ojcem, a i Dominik najlepiej dogadywał się z najmłodszym synem.

– Może poczekaj jeszcze, aż Janinka do domu przyjedzie.

– A kiedy ona przyjedzie, mamu? Jak jej się pieniądze skończą. Pojadę zaraz po żniwach.

Natalia wzdychała. Chciała, żeby syn ułożył sobie życie, co dla niej oznaczało żonę, dzieci i domowy obiad, a jednocześnie chciała także, żeby nic się nie zmieniło. Żeby Igor był jej, tylko jej.

*

– Jaka jest? – zapytała dwa dni później.

Igor w pierwszej chwili nie zrozumiał.

Był wieczór, siedzieli zmęczeni upalnym dniem, prace w polu dobiegały końca. Natalia nie powtórzyła pytania, zawisło nad nimi, a Igor zastanawiał się, co powiedzieć matce.

– Jest śliczna.

Natalia nie drgnęła.

– Ma długie blond włosy i jest studentką. Gra na fortepianie.

– Na czym? – Na Natalii nie robiły wrażenia informacje tak typowe jak uroda dziewczyny. Jednak kierunek studiów Elżbiety wydał jej się nadmiernie abstrakcyjny.

– Jest pianistką. Koncertuje.

– I z tego się żyć da? – Zdziwiła się ponownie.

– Nie wiem, mamo. – Igor się zaśmiał. – Ona kocha to, co robi.

– Z miłowania dobre życie, ale mało zasobne. – Natalia się skrzywiła.

– Ja będę zarabiał.

– Aha – odpowiedziała kwaśno. – A ona będzie jeździć? Koncerty dawać?

Fakt, nie pomyślałem o tym. Nie może jeździć z koncertami, bo jej w domu nie będzie, kto się nim zajmie? Trzeba będzie to inaczej rozwiązać.

– Mamo, zobaczymy jeszcze. To dopiero kilka miesięcy.

– Rozmawiałam dzisiaj z synem sąsiada, Bogumiłem. Jedzie za trzy dni do Słupska.

Igor spojrzał uważniej na matkę. Krzywi się, a jednak pomaga – pomyślał.

– Znakomicie. Stamtąd do Koszalina już blisko. Bo ciężko tam od nas dojechać.

– Powiedzieć, że jedziesz z nim?

– Powiedzieć.

Następnego dnia Igor znów był w bibliotece, oddawał książki, wstąpił też na pocztę, zadzwonił. Odebrała Elżbieta, poczuł kamień w żołądku, gdy usłyszał jej głos. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak tęsknię – pomyślał.

– Za trzy dni? Wspaniale – cieszyła się dziewczyna. – Dostałam twój list. Też tęsknię, nie mogę się doczekać. – Nic nie szkodzi, możesz być późno. Będę czekać – dopowiedziała, gdy zdała sobie sprawę, że może to być długie oczekiwanie. Jazda z sąsiadem do Słupska, potem „jakieś połączenie” nie dawały żadnej gwarancji godziny przyjazdu. – W razie czego dzwoń. Adres pamiętasz?

Po wyjściu z poczty wstąpił do sklepu z pamiątkami, zastanawiał się nad stosownym dla Eli prezentem. W końcu wybrał porcelanową figurkę, baletnicę delikatną jak sama Ela. Dla rodziców dziewczyny matka obiecała odpowiednią szynkę i inne dobra wciąż trudno dostępne w sklepach.

– A na pewno nie takie smaczne – powiedziała Natalia, szykując sporą torbę z wiktuałami.

Torbę Igor spakował jeszcze tego samego dnia. Była niewielka, miał wzniosłe poczucie, że najważniejsze zabiera w sercu.

Dwa kolejne dni minęły mu jak w malignie.

– Idź już – powiedział do syna Dominik. – Palce sobie obetniesz albo co.

Bo Igor nie uważał, myślał o czymś innym, a wszyscy wiedzieli, o czym. A może w ogóle nie myślał.

Gdy wsiadał do samochodu sąsiada, czuł się jak przed wyprawą w kosmos. Rozmawiali o czymś, jechali gdzieś, ileś czasu. Coś, o czymś, w czymś. Dla Igora świat zlał się w jedno – w koszaliński adres, enigmatyczny wciąż ciąg liter, który miał się stać namacalnym, dobrym miejscem.

W Słupsku sąsiad wysadził go pod dworcem. Jechali prawie pięć godzin, z ranka zrobiło się popołudnie. Igor był głodny, w dworcowym barze zamówił herbatę, wyciągnął kanapkę i zjadł ją, nie dotykając klejącego się stołu. Najbliższy pociąg do Koszalina odjeżdżał za czterdzieści minut. Zadzwoił jeszcze do Elżbiety, głosy obydwójga były nabrzmiąle radością. W pociągu minęła mu prawie godzina, której praktycznie nie poczuł. Spędził ten czas przy uchylonym oknie, przyciągając wzrokiem każdy dom, każde drzewo. Byle minąć je szybciej, być bliżej. Byle szybciej, będzie bliżej – myślał, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy.

Gdy zobaczył Elżbietę na dworcu, poczuł się jak w amerykańskim filmie. Rzucił torbę na brudne płyty peronu, rozłożył ręce i podbiegł do niej, łapiąc ją w objęcia.

– Udusisz mnie – powiedziała ostrożnie, uśmiechając się mimo woli.

– Zacałuję cię – powiedział.

– Weź torbę, bo tamten facet uważnie sprawdza, czy nie patrzymy w jej stronę.

Igor tylko kiwnął, odwrócił się i zdecydowanym ruchem sięgnął po torbę. Nieznajomy z zawodem na twarzy odwrócił się.

Facet był głodny. Właściwie osiemnastoletni chłopak, który nie skończył jeszcze zawodówki, powtarzał drugą i trzecią klasę. Uciekł z domu, w którym i tak nie bardzo było co jeść, co matka zarobiła, ojczym wydawał na wino i piwo. Młodsze dzieciaki, a było ich w domu w sumie sześcioro, spędzały czas na półkoloniach. Tam dostawały śniadanie, obiad i podwieczorek. Wracały do domu nie tylko nakarmione, ale też zadowolone, a często z jakąś drobną zabawką. Najczęściej własnoręcznie zrobioną. Ojczym pozwalał im się uśmiechać, dopóki nie musiał na nie patrzeć. Chłopak uciekł, gdy młodsze z dzieci weszło ojczymowi pod nogi. Akurat maluch niósł matce miseczkę, którą na półkoloniach robili z gliny. Ojczym chwycił gliniany

drobiazg i rozbił na ścianie, przy okazji strącając też święty obraz. Potem wrócił do kolegów. Matka nie powiedziała nic, dziecko przytuliła automatycznie, pozbierała szkło i odwiesiła obrazek, a najstarszy chłopak uciekł. Od czasu do czasu mógł liczyć na starszą siostrę, wyszła już za męża. Też nie było jej lekko, przed ołtarz poszła z brzuchem, ale przynajmniej miała ciepło i było co jeść, choć nie starczało na chowanie całej gromady. Nikt go nie szukał, chociaż nie było go w domu już prawie dwa tygodnie. W międzyczasie wciągał więcej niż w szkole, trochę dawał w żyłę, ale rzadko, bo nie miał czym płacić. Mógł tylko sobą, a na trzeźwo nie przychodziło mu to łatwo.

Igor i Elżbieta byli czysti, porządnie ubrani, a przede wszystkim wyglądali na dobrze odżywionych, czego chłopak im bardzo zazdrościł. Miał więc nadzieję, że w porzuconej torbie znajdzie coś do jedzenia. Miał wielką nadzieję, rozwianą chwyceniem torby przez Igora. Był zawiedziony, coraz bardziej głodny i zdesperowany.

Tego wieczora po raz kolejny zdecydował się oddać ciało za pełną strzykawkę. Może tylko tym razem bolało trochę bardziej, bo był tego bardzo świadomy. Bardziej niż zwykle. Niepijany, na niewielkim głodzie, który – gdy był większy – potrafił całkowicie przejąć kontrolę. To był początek z ciągu wielu razy, ale nie aż tak wielu, jak sądził. Liczba jego wieczorów była skrupulatnie policzona, los przecież odlicza beznamiętnie dla wszystkich. Chłopakowi zostało tych wieczorów już niewiele, ale czy torba Igora, nawet z wiktuałami od matki, coś by zmieniła?

Igor przerzucił torbę przez ramię, objął Elżbietę i zeszli po schodach. Na dworcu podszedł do bufetu, kupił kanapkę, nie wyglądała bardzo zachęcająco, ale datę miała aktualną, i przeprosił na chwilę Elę. Wrócił na peron, podał kanapkę chłopakowi, który nie podziękował, nie poruszył się w ogóle. Igor tego nie oczekiwał. Po prostu wrócił do Eli i zapomniał.

Chłopak nie zapomniał. Wprawdzie kanapka niewiele w jego

życiu zmieniła, jemu jednak wydawało się przez chwilę, że zmieniła wszystko. Za kilka miesięcy, leżąc w kącie innego dworca na południu Polski, w gorączce, będzie widział anioła o twarzy Igora, do którego będzie mówił – przecież do mnie przyjdiesz, już tak kiedyś przyszedłeś.

Matka Elżbiety tyle słyszała o Igorze, że na dzień jego przyjazdu wzięła dzień urlopu. Pracowała w administracji ratusza, do pracy chodziła piechotą spod placu Gwiazdzistego. Dom utrzymywał ojciec, częściowo z pensji wykładowcy na koszalińskiej politechnice, częściowo z dodatkowych wykładów, z którymi jeździł nie tylko po Polsce. Jeździł groszkowym polonezem, czego w pewnym momencie zazdrościli mu wszyscy sąsiedzi.

Elżbieta z Igorem przeszli podziemnym przejściem, w którym pachniało tostami z serem, i ruszyli spacerem przez miasto, chociaż Ela chciała wsiąść w autobus.

- Przecież to nie jest duże miasto, prawda? – zapytał Igor.
- Ale masz ciężką torbę – odpowiedziała.
- Lekką. – Wzruszył ramionami.
- Miasto jest małe, ale ze dwadzieścia minut będziemy iść.

Była przepiękna pogoda, jeszcze lato, ale już w powietrzu wisiała jesień. Popołudniowe słońce delikatnie grzało, pozostawiając jednak wrażenie świeżości.

– Wiesz, że nigdy nie byłem nad morzem? – powiedział Igor, gdy mijali katedrę.

- Mówiłeś kiedyś. Naprawimy to jutro.

Igor oglądał miasto, zazdroszcząc Elżbiecie, że mogła się tu wychowywać. Było spokojnie, w słońcu rynek staromiejski wyglądał jak z obrazka, wokół księgarnia, kilka sklepów, światła.

- Nie zachwycaj się tak. – Elżbieta się uśmiechnęła. – Wcałym

mieście światła są na pięciu skrzyżowaniach, tutaj samochody są latem, głównie na niemieckich numerach. Właściwie to w Wielkanoc i latem. Poza tym to wojewódzka wioska, tylko duża.

– Niech będzie, ale za to jaka przyjemna do mieszkania.

Gdy doszli do domu Elżbiety i wspięli się na pierwsze piętro, Igora powitała matka Eli. Wysoka i szczupła, z włosami w kolorze rudego blond. Chłopak jej się od razu nie spodobał. Zapałała do niego niechęcią, zanim jeszcze go poznała. Wystarczyło, że Ela opowiedziała o jego rodzinnym mieście, już wiadomo było, że to nie jest partia odpowiednia dla niej. Nie takiego zięcia sobie wymarzyłam – myślała Karolina, mama Eli. Jej marzenia były nie bardzo konkretne, nie dotyczyły wyglądu czy tembru głosu, chłopak miał być z dobrej rodziny, zasobny i miał zapewnić Eli wygodne życie – takie, w którym nie musiałaby chodzić do pracy, a granie byłoby dla niej wyłącznie przyjemnością. Kształciła córkę nie po to, by była pianistką, ale po to, by błyszczała na salonach. Igor i jego pochodzenie nie dawali gwarancji wejścia na owe salony, a raczej taką możliwość wykluczali, więc Karolina nie miała powodu go lubić.

Był to jednak pierwszy chłopak, którego jej córka oficjalnie wprowadziła do domu, więc Karolina chciała przetestować zachowanie całej swojej rodziny. Ot, taka próba generalna przed przybyciem tego kogoś, kogo ona łaskawie zaakceptuje.

Na pewno nie mogło to dotyczyć tego wysokiego chłopaka o czarnych oczach, którego włosy nie widziały fryzjera od... trudno było odgadnąć. Sterczały na wszystkie strony jak wielkie gniazdo, i jeszcze ta dziwna biała plama nad prawą skronią. Musi go zaprowadzić do fryzjera.

Tymi myślami Karolina jednak nie dzieliła się z otoczeniem, a już na pewno nie z córką. Z mężem zresztą też nie. On przyjmował do wiadomości, co żona obwieściła, i zajmował się swoją kolejną publikacją.

Matka Eli przywitała się z Igorem oficjalnie, podając mu rękę, i wskazała od razu na lewo od wejścia.

– Tu będzie twój pokój – powiedziała, otwierając drzwi z cienkiej płyty z dużą taflą matowej szyby.

W pokoju były tapczan i biurko, po drugiej stronie długa meblościanka zastawiona książkami. W oknie firanka z dużym koronkowym wzorem i krótkie, lniane zasłony. Pokój był kompletnie bezosobowy – gdyby nie kolorowe grzbiety książek, mógłby właściwie być częścią robotniczego hotelu. W niczym to jednak nie przeszkadzało Igorowi, tak samo jak nie przeszkadzało mężowi Karoliny. Pracował tutaj, pisał swoje referaty, sprawdzał studenckie prace. Na czas pobytu Igora oddał swoje królestwo, uprzątając jednocześnie wszelkie osobiste akcenty, czyli pióro ze skuwką z czarnej laki i notes z prywatnymi zapiskami. Ten notes był dla niego bardzo istotny – w Polsce praktycznie nieznana marka Moleskine napawała dumą serce ojca Elżbiety. Nie przyznawał się do ceny notesu – w polskich realiach trudno byłoby zrozumieć taki wydatek.

Igor rozpakował torbę, od razu wręczając upominek Elżbiecie – rzuciła mu się na szyję, Karolina chrząknęła. Muszę ich pilnować – pomyślała. – Chociaż co ja tam mogę – zdała sobie sprawę. – Tu ich przypilnuję, a w tej Warszawie – westchnęła.

– Przepraszam – zreflektował się Igor. – Mama coś dla państwa przekazała. – Wyciągnął dwie ciasno związane, duże foliowe torby. Matka Eli wciągnęła zapach. – Czy to to tak pachnie? – błysnęły jej oczy. Dobrej wiejskiej kiełbasy nie jedli od dawna, chociaż pod Koszalinem gdzieśgdzie można było ją kupić. Odkąd jednak Ela wyjechała, nie chciało jej się pokonywać sporej odległości. Często bywała w domu sama, mąż dużo wyjeżdżał, a na wsi nie kupi się dwudziestu deka.

– Mama sama doprawiała – powiedział z dumą chłopak. – Z własnej hodowli, ojciec wędził – dodał.

Karolina chwyciła obydwie torby i rozłożyła na kuchennym

stole. Zapachniało w całym mieszkaniu, Igor zdążył zgłodnieć, więc zaproponował pomoc przy szykowaniu kolacji.

Dopiero gdy siedzieli przy stole, dołączył ojciec Elżbiety, przesympatyczny niewysoki człowiek o eleganckiej, wysportowanej sylwetce. Miał bardzo jasne blond włosy, modnie ostrzyżone, coś jednak w jego twarzy nie dawało Igorowi spokoju.

Nie miał zwyczaju patrzeć ludziom w twarz. Odruchowo uważał, że jeśli się przyjrzy, powinien zapamiętać. A wciąż nie zapamiętywał. Oblicze ojca Eli nie dawało mu spokoju. Zerknął kilka razy, właściwie przelotnie, nie zatrzymując dłużej wzroku.

Jakaś asymetria? – zastanawiał się chłopak. W końcu dostrzegł. Ojciec Elżbiety jedno oko miał szare, a drugie zielone.
– W każdym razie wiem, po kim ona ma takie jasne włosy.

– Niestety, jesteście zdani tylko na siebie. Ja mam mnóstwo przygotowań na uczelni. Poza rokiem akademickim dużo się dzieje, szykuję sympozjum i takie tam. – Machnął ręką. – A ty chyba do pracy? – zwrócił się do żony.

Kiwnęła.

– Ale przecież dacie sobie radę. Jedzenie zostawię, wszystko jest...

– Mamo, przez cały akademicki rok dawaliśmy radę. – Ela jej przerwała. – Jutro po południu jedziemy na plażę.

– Tylko nie jedźcie do Mielna, tam jeszcze pełno – powiedział ojciec.

– Pod koniec sierpnia pełno? Co ty opowiadasz. – Matka wzruszyła ramionami.

– Pojedźcie do Unieścia. – Mąż jej nie słuchał.

– Zobaczymy. – Ela przerwała spór.

– A rano? Pójdziemy na spacer? – wtrącił Igor.

– Rano muszę poćwiczyć – odpowiedziała Ela zdumiona

pytaniem.

– W wakacje? Poćwiczyć? – Igor nie krył rozczarowania.

Ela nie zwróciła na to uwagi:

– W listopadzie jadę na konkurs, opowiadałam ci. Żeby nie katować sąsiadów, chodzę do mojej byłej szkoły, pokażę ci jutro.

Już nie było okazji tego wieczoru porozmawiać. Sprzątanie po kolacji, układanie wałówki od matki Igora, szykowanie spania i kolejka do łazienki. Igor czuł się bardzo zmęczony, a matka Eli dopilnowała, żeby wieczorem młodzi nie kontaktowali się już „za blisko”, przy czym sama nie potrafiła zdefiniować, co to miałyby dokładnie oznaczać.

Igor położył się na wąskim tapczanie, wydawało mu się, że uśnie, zanim na dobre się przykryje. Nie mógł jednak zasnąć. Dopiero po północy uświadomił sobie, że wśród masy emocji, które dzisiaj były jego udziałem, jedna stała się dojmująca. Zawód, że Ela z okazji jego wizyty nie planuje rezygnacji z ćwiczenia. Igor doskonale wiedział, że ćwiczenie nie oznaczało dwudziestu minut ani nawet godziny. Zwykle Elżbieta ćwiczyła dwie – trzy godziny, a często zdarzało się znacznie dłużej.

Obudził się niewyspany. Śniły mu się koszmary, z fortepianem i bezdomnym z dworca w roli głównej. Rano jednak nie przyznał się do tego, po śniadaniu wziął aparat i pojechał z Elą do szkoły.

– W trakcie matury codziennie po egzaminie lądowałam z ojcem w tej kawiarni. – Wskazała na duże, niezbyt czyste witryny po prawej stronie. Nad nimi widniał duży szyld: Kawiarnia Ewa. – Mają tutaj fantastyczne desery lodowe, poza sezonem to jedyne miejsce w okolicy, gdzie można zjeść coś słodkiego.

– Codziennie? – Chłopak się zdziwił.

– Wiem, że to trudne do uwierzenia, ale naprawdę codziennie.

– Dotknęła swojego brzucha – Już zrzuciłam i nie planuję więcej tak sobie dogadzać.

Igor przypomniał sobie swoją maturę. Po egzaminach wychodzili z Kamilą ze szkoły, Igor zabierał z internatu aparat i szli robić zdjęcia. Kamila zawsze pokazywała mu coś ciekawego, Igor uczył się patrzeć jej oczami. Widział coraz więcej, a teraz, po lekcjach z Cezarym i Janem, czasami miał wrażenie, że zamiast oczu ma obiektyw.

Wtedy nie było żadnych lodów, po prostu spacer, jednak byli szczęśliwi. Tak bardzo, że Igor teraz zaniemówił, tęskniąc za tamtymi dniami, za Kamilą.

Ela uznała, że Igor przygląda się okolicy.

– Nienawidziłam tego autobusu – powiedziała Ela, wskazując żółto-czerwonego Ikarusa. – Jeździł co pół godziny, jak się spóźniłam, to tylko piechtą. A to spory kawałek. Dobrze, że na wiolonczeli nie gram.

– Naprawdę musisz ćwiczyć nawet w wakacje? – Igor wrócił do frapującego go tematu.

– Tłumaczyłam ci. Dzień bez ćwiczenia to cofanie się. A od października muszę zacząć nowy repertuar, konkurs konkursem, ale profesor mi nie odpuści, muszę się przygotować do styczniowego egzaminu.

– Jak jedziesz na konkurs, to chyba nie?

– To nie ma nic do rzeczy. W akademii nikt mi nie podaruje egzaminu, nie ma mowy. Mogłabym grać później, teoretycznie, ale wtedy zostałoby mniej czasu do następnego egzaminu, nie opłaca się.

– A co ja mam robić w tym czasie?

– Wzięłeś przecież aparat? Masz do mnie żal o ćwiczenie?

– Niiieee.

Ela nie odpowiedziała. Spojrzała na Igora z powątpiewaniem.

– Muszę się do tego przyzwyczaić – dodał po chwili.

– To brzmi lepiej. A tu nasza lokalna śmierdziączka. – Ela pokazała ręką w bok.

– Że jak?

– Dzierżęcinka, ale że to raczej ściek niż rzeka, tak ją ochrzciliśmy.

W głębi był park, w którym rosły zabytkowe, unikatowe drzewa. Za kilkanaście lat będą obok nich tablice i drzewa zostaną opisane w przewodnikach, rzeka przestanie śmierdzieć, a jej okolica stanie się terenem wypoczynkowym dla mieszkańców. Na razie jednak nikt o tym nie myślał.

– A tu jest filia gdańskiej Akademii Muzycznej. Czasami miałam tu zajęcia, jak się któremuś nauczycielowi nie chciało do szkoły przychodzić.

– To tak można? Poza szkołą?

– Teoretycznie nie. – Uśmiechnęła się. – W praktyce tak było. – Wzruszyła ramionami.

– Daleko jeszcze? – zapytał chłopak po kilkunastu kolejnych minutach marszu. Mijali właśnie następny park. – Bardzo tu u was zielono.

– Yhm – potwierdziła Ela zamyślona. – Tam jest już szkoła. – Pokazała biały budynek za dużą łąką. – Tu możesz przyjść na zdjęcia. W głębi jest biblioteka wojewódzka. Mają fajną salę projekcyjną, pamiętam, że oglądałam tu po raz pierwszy w życiu długometrażową kreskówkę. Bolka i Lolka. To było dla mnie magiczne. – Uśmiechnęła się. – Nie dość, że na dużym ekranie, to jeszcze taki długi film. Ten park to był kiedyś stary niemiecki cmentarz, jeszcze z ubiegłego wieku. Nie znam szczegółów, ale plotka głosi, że jak budowano bibliotekę, to kilka grobów zostało rozkopanych. Nikogo jednak nie powiadomiono, kości budowlańcy pochowali gdziekolwiek, podobno w okolicy tego wzgórzka.

– Smutna historia.

– Raczej legenda.

Przeszli przez światła, weszli na brzydką, wydeptaną łąkę.

– Uważaj, pełno tutaj psich pozostałości, nie wdepnij.

Za lekko zardzewiałym ogrodzeniem w nijakim kolorze Igor dostrzegł jednopiętrowy budynek z dziwnie wystającym środkiem.

– Cóż to za konstrukcja?

– To sala koncertowa – odpowiedziała Elka odruchowo. – Dookoła są sale muzyczne, a tam – pokazała przed siebie na niewidoczną część – reszta szkoły. Normalnie tędy wchodzę, tu jest wjazd do internatu i stołówki, w wakacje tylko zamknęli.

Ruszyli wzdłuż ogrodzenia, ku zdumieniu Igora zamknięta brama była na wysokości parteru. Kilkadziesiąt metrów dalej, aby wejść do szkoły, która wydawała się na tym samym poziomie, trzeba było zejść dziewięć schodków. Igor trochę zgłupiał, nie zgadzały mu się poziomy, ale Ela nie dała czasu na zastanowienie. Już byli na dziedzińcu, już otwierała przeszkłone metalowe drzwi. Zaskrzypiały. Nikogo nie było w portierni. Czekali chwilę, Igor ciekawie zerkał wokół.

Tam przy wejściu to na pewno szatnie – pomyślał. Z bocznego pomieszczenia pachniało charakterystycznie gumą i brudem. W końcu pojawiła się woźna w kolorowym fartuchu, nadeszła zza rogu długiego korytarza.

– To ty – odpowiedziała na grzeczne dzień dobry Eli. – A pan?

– To mój kolega – odparła dziewczyna.

– A na kolegę to zgody nie ma.

– Ja go zaprowadzę, chwilę tylko będzie, potem pójdzie na spacer i wróci po mnie. Możemy? Czternastkę może?

Woźna nie wyglądała na przekonaną, ale sięgnęła po klucz.

– Tylko grzecznie tam!

Uśmiechnęli się.

– We wrześniu już nie będę mogła tu ćwiczyć, chyba że o szóstej rano.

– Masz w domu przecież pianino?

– I mam sąsiadów. Moja sąsiadka, jak ma dobry humor, potrafi walić kijem w kaloryfer w takt mojego grania. Nie bardzo się lubimy.

– Też nie wiem, jak bym znosił codzienne granie po kilka godzin – odpowiedział chłopak, po czym zdał sobie sprawę, że wbrew jego intencjom wcale nie było to śmieszne.

Dotarli do końca długiego korytarza, skręcili w prawo.

– To pierwsza sala z tej strony w muzycznej części. – Ela podeszła do drzwi. Ku zdumieniu Igora za nimi były następne.

– Podwójne? – Chłopak się zdziwił.

– Wszystkie muzyczne sale mają podwójne drzwi – odpowiedziała dziewczyna. – I dywany. Inaczej byśmy zagłuszali się wzajemnie.

Uchyliła okno, kładąc torbę na niewielkim kwadratowym stoliku. Przesunęła stołek i uniosła klapę instrumentu. Położyła ręce na klawiaturze i przymknęła oczy, z uśmiechem wydobyla kilka dźwięków.

Igor już kilka razy pomyślał, że Ela zmienia się przy instrumencie. Zawsze się uśmiechała, przynajmniej w czasie ćwiczenia. Tylko na koncertach miewała poważną, czasem ściągniętą twarz. Szczególnie jak grała sama. Gdy towarzyszyła komuś, zwłaszcza tej wiolonczelistce, z którą słyszał ją pierwszy raz, miała rozluźnione mięśnie, uśmiechała się, a nawet czasem mrugała do koleżanki. Zawsze też bacznie ją obserwowała, czuła na każdy gest, na każdą zmianę tempa i nastroju.

– Tak jakby bała się solowych występów – pomyślał chłopak.

Posłuchał trochę i powiedział:

– Pójdę robić zdjęcia. Wrócę za dwie godziny, będzie dobrze?

– Za trzy? – powiedziała Ela, unosząc twarz.

– Zobaczę, jak wyjdzie – odpowiedział, a ona kiwnęła głową, nie przerywając gry.

Uklonił się głęboko woźnej, przychylnie ją do siebie w ten sposób nastrajając. Kobieta była drobnej postury, miała kręcone siwe włosy i szare oczy. Nie było w niej nic, ale to kompletnie nic charakterystycznego. Gdyby godzinę później Igor spotkał ją na ulicy bez fartucha, nawet by jej nie zauważył.

Pani Krysia samą siebie też uważała za nieistotną. Była jednak w jej otoczeniu osoba, dla której była całym światem. Jej wnuk, którego zapracowana matka nie miała czasu nakarmić, a nawet i odebrać ze szkoły, ojciec zaś dawno już znikł w siennej dali. Pani Krysia czasami zabierała małego na drugą zmianę do szkoły. Siedział wtedy w kącie drewnianej portierni, pomiędzy tablicą na klucze a niewielkim stolikiem, zasłonięty uchylonymi drzwiami. Wszyscy wiedzieli, że chłopiec tam siedzi, nikt nic nie mówił, nawet dyrekcja. Był greczny, odrabiał lekcje, czasem coś rysował, nie hałasował i nie zwracał niczyjej uwagi.

Dopiero zmiana dyrektora spowodowała, że pojawił się zakaz przebywania w portierni osób postronnych, który dotyczył głównie wnuka pani Krysi. Z tym że chłopiec przestał już wtedy być malutki, kończył piątą klasę, i babcia nie była już dla niego całym światem. Ważni stali się koledzy, którym nie bardzo miał czym zaimponować, więc robił wszystko, żeby w końcu zwrócili na niego uwagę. Nie było to trudne – odkąd więcej czasu spędzał na podwórku niż z babcią, potrafił kwieciście przeklinać i okazał się nad wyraz uzdolniony w podwórkowych bijatykach. Powtarzał siódmą klasę, a wtedy córka pani Krysi zaczęła chorować. Chłopak schudł i zapadł się w sobie, ale przestał tłuc kolegów w szkole, nie używał wyrazów powszechnie uważanych za wulgarne, a najslabsze oceny, jakie przynosił, to były

czwórki. Matka wyzdrowiała, a on już nigdy nie starał się uchodzić za łobuza.

Igor wyszedł ze szkoły, ruszył w stronę parku. Przyglądał się łące, poza psimi odchodami niewiele tam było. Wydeptana trawa, więcej klepiska, pod płotem trochę chaszczy, głównie nawłóć kanadyjska. Kilka razy ustawiał aparat, za każdym razem rezygnował. Łąka była brzydka, mająca szkoła bezbarwna. Ruszył chodnikiem wzdłuż parkingu.

– Nic tu nie ma czy nic nie widzę? – zastanawiał się, po czym w pewnym momencie chwycił aparat i wyzwolił migawkę. Powstało jedno ze zdjęć, które w niedługim czasie miało zawisnąć w koszalińskim magistracie jako nagrodzone w konkursie: *Koszalin – miasto kontrastów*.

Na zdjęciu był fragment samochodu stojącego na parkingu. To było audi, model luksusowy, chociaż przybrudzony. Stało na parkingu już kilka tygodni, miało rozbity lewy bok i nie zanosilo się na to, żeby właściciel chciał je prędko odebrać. Z prawej strony samochód prezentował się elegancko. Na nim siedział motyl, Igorowi udało się złapać blask jego skrzydeł, akurat słońce wyszło zza chmur, odbiło się od szyby. To odbicie też wyszło na zdjęciu, do tego Igor złapał kadr zza wysokich chaszczy okalających płot parkingu. W oddali widać było bloki mieszkalne i akurat w tym momencie ruchliwą ulicę Fałata.

Gdy dotarł do parku, długo chodził bez celu. Okrażył dwa razy budynek biblioteki, ruszył w głąb parku, dochodząc aż do amfiteatru. Zorientował się, że jeszcze kilkaset metrów i dojdzie dokładnie w to miejsce, w którym rozmawiał z Elą o Dzierżęcince. Wrócił obok salonu Polmozbytu, który lata świetności wyraźnie miał już za sobą. Usiadł na ławce tuż obok wzgórza wskazanego przez Elę jako miejsce pochówku nieznanymi Niemców, o których nikt się nie upomina i pewnie już upominać nie będzie.

Oczywiście oglądał miejsce przez obiektyw. Zrobił jednak tylko jedno zdjęcie, gdy słońce zaświeciło zza drzew. Patrząc przez

obiektyw, dostrzegł coś dziwnego. W jednym miejscu trawa, wyraźnie poruszona przez jakieś dziecko lub zwierzę, była pofałdowana. Gdy odstawił aparat od oka, było to prawie niewidoczne. W obiektywie jednak wyróżniało się jakieś zakłócenie, brak harmonii. Podszedł, pogrzebał w tym miejscu butem. Natknął się na kamień. Już odchodził, gdy jeszcze raz trafił kamień nogą, potem pochylił się i z trudem odsunął trochę darni. To nie był polny kamień. Odsłonił róg kamiennej płyty z zarysem gotyckich liter, których nie umiał przeczytać. Postanowił nie robić nic więcej, nie zakłócać spokoju miejsca, jednak nie oparł się zdjęciom. Zawsze robił je oszczędnie, ceniąc każdą klatkę, licząc wydatki na filmy i odbitki. Ta płyta doczekała się aż szesnastu ujęć, z których jedno Igor włączył do swojego wszędzie rozsyłanego portfolio.

W szkole woźna przywitała go skinieniem. Jego sportowe buty trochę skrzypiały na gumowym linoleum – dźwięk zmienił się, gdy wszedł w przeszklony łącznik pomiędzy szkołami. Ela powitała go uśmiechem.

– Kończę już – powiedziała, dogrywając ostatnie akordy.

– Za chłodno dziś na opalanie się. Chyba – powiedziała Ela, gdy wyszli ze szkoły.

– Ale nad morze pojedźmy.

– Wracamy po kostiumy? – Ela się wahała, Igor pokręcił głową, zdjął plecak i wyciągnął z niego plastikową torebkę.

– Zabrałem – powiedział, przeciągając zabawnie drugie „a”.

– Pan zapobiegliwy. – Roześmiała się. – Ale o kanapkach nie pamiętałeś?

Chłopak posmutniał.

– To zależy od ciebie. Jeśli jesteś głodny, jedziemy do domu. Jeśli nie tak bardzo, kupimy jakieś bułki.

Poszli spacerem w stronę przystanku.

– Nad morze jeździ jedyńka – tłumaczyła Ela. – A ona wyjeżdża z drugiej strony miasta. Przejeżdża niedaleko naszego mieszkania, a potem koło dworca.

– A do dworca daleko?

– Tutaj wszędzie blisko. To Koszalin! – Zaśmiała się. – Dwadzieścia minut.

– Idziemy – zdecydował.

Poszli szeroką ulicą, z ładnym pasem zieleni pomiędzy jezdniami, kupili kilka bułek w osiedlowym sklepie, nad wiaduktem Ela znów pokazała rzeczkę.

– Taki wiadukt? Wisła by się pod nim zmieściła! – Chłopak się zdziwił.

– Prawie. – Uśmiechnęła się.

Teren pod wiaduktem porastały gęste zarośla. Nikt tam nie chodził, może poza tak zwanym „elementem”. W klasie Elżbiety był przez dwa lata chłopak, który mieszkał niedaleko wiaduktu. Przemek uczył się słabo, a pewnego dnia Ela została oddelegowana przez klasę do odwiedzenia kolegi w domu. Taki mieli zwyczaj – jak kogoś długo nie było, jeden z uczniów musiał odwiedzić chorującego. Najczęściej nie było z tym problemu. Klasa była zgrana, bywali u siebie w domach, odwiedzali z powodu i bez, szczególnie ci, którzy mieszkali niedaleko siebie. Podrzucali sobie zeszyty do przepisania i pomagali w lekcjach, jeśli była taka potrzeba. Tylko Przemek był wyjątkiem. Dołączył do nich późno, dopiero w siódmej klasie.

– Dla nas to była pierwsza liceum – tłumaczyła Ela Igorowi.

– Co ty mówisz! – Chłopak się zachnął.

– No właśnie tak. – Dziewczyna się upierała. W szkole muzycznej szkoła podstawowa trwa sześć lat, a potem liceum kolejne sześć. Nieważne. W każdym razie Przemka nie było dwa tygodnie, nie bardzo było wiadomo, co u niego. Niby matka dzwoniła, że złamana ręka, ale wiesz... z ręką w gipsie można

przychodzić do szkoły, tylko na garach nie można zasuwać.

– Słucham? – Igor był zszokowany językiem Eli.

– Ojej, na perkusji grać. No i wylosowałam wizytę u niego. Właściwie miałyśmy iść z koleżanką we dwie, ale Kamila się wykpiła.

Igor zadrżał na dźwięk tego imienia. Wciąż jeszcze zwlekał, nie opowiedział Elżbiecie o ślubie, dziecku... i śmierci.

– Poszłam sama. Przemek mieszkał tam – wskazała prawą ręką w niekreślonym kierunku – a ja musiałam przejść tędy. I kiedy wracałam, zaczepiło mnie dwóch meneli. Coś w rodzaju: śliczna panienczko, nie wiem co dalej, uciekłam. I chociaż obiecałam Przemkowi przynosić regularnie zeszyty i w ogóle, nigdy już się nie pojawiłam. Ktoś chyba jeszcze do niego przychodził, nie wiem. Rzeczywiście miał złamaną rękę, a do szkoły nie chciało mu się chodzić. Zrezygnował po roku.

Szli chwilę w milczeniu.

– Dlatego nie bardzo lubię tędy chodzić.

– To więcej nie będziemy. Daleko jeszcze?

Pokręciła głową.

– Jakbyś dobrze głowę wystawił, to za tym zakrętem zobaczysz dworzec.

Autobus przyjechał w ciągu kilku minut, miejsc siedzących nie było, ale dało się swobodnie wejść do pojazdu.

– O tej porze roku panuje luksus – powiedziała Elżbieta. – W sezonie już na pierwszym przystanku nie można wejść do środka.

Stali przytuleni do siebie, włosy Elżbiety pachniały wanilią. Nigdy wcześniej Igor tego nie czuł.

– Jesteś piękna – wyszeptał jej do ucha.

Odsunęła się lekko, zerkając mu woczy.

– Miło, że to widzisz.

Reszta podróży minęła im na czułych słówkach. Gdy wysiedli, wcale nie w Unieściu, jak życzył sobie ojciec Elżbiety, tylko na czwartym przystanku w Mielnie, Elżbieta poprowadziła Igora wąską uliczką pomiędzy niewielkimi domami. Doszli do rozległego budynku sanatorium, za nim już szumiało morze. Weszli na plażę, piasek był wilgotny, usiedli objęci na ręcznikach.

To jest ten moment – pomyślał Igor. – Powiniennem opowiedzieć. Zamiast jednak to zrobić, objął Elżbietę, ona oddała uścisk. Chwycił jej twarz w obie dłonie, spojrzał w oczy, po czym zaczął całować. Dla niego pocałunek był namiętny, Elżbiety nie całował tak jeszcze nikt. Chwycił ją za dłoń, wstała zdziwiona, zgarnął drugą ręką ręcznik, plecak zarzucił na ramię i poszli w stronę wydm.

Na plaży nie było nikogo, było już zbyt chłodno, spacerowicze woleli promenadę w centrum Mielna. Elżbieta i Igor kochali się na wydmach, piasek wchodził w każdy zakamarek chętnych ciał, nawet nie udawali, że leżą na zbyt małym ręczniku.

– Te kostiumy to wcale nam niepotrzebne – mruzczał Igor.

– Potrzebne, potrzebne – odpowiedziała Ela. – Jeszcze dzisiaj będziemy się kąpać w morzu.

I tak zrobili. Woda była zimna, ale dla nich idealna. Igor dotykał Elżbietę w każdej możliwej chwili, ciesząc się gładką skórą, chętnymi ustami, chłonąc bliskość.

Innym razem – pomyślał, gdy szli przytuleni w stronę autobusu. – Opowiem jej innym razem.

Rozdział 20

ONA

Obydwie miały takie same suknie. Olena zmieniła swój wizerunek.

– Tym razem nie będziesz tylko moim tłem – zapowiedziała i zamówiła kopię sukni Isabel. Wyglądały jak siostry. Śnieżne gorsety na obydwu leżały perfekcyjnie. Obydwie czarnowłose, smukłe. Isabel niska, Olena wysoka. Do krwistoczerwonych spódnic zamówiły atłasowe czerwone buty. Isabel widziała takie u pewnej panny młodej, która miała na sobie tradycyjną białą bezę, wymuszoną przez matkę, babkę i ciotki. Nikt nie dopuszczał nawet myśli, że panna młoda nie będzie miała tumanu białego tiulu. Dziewczyna ustąpiła, w tajemnicy jednak kupiła atłasowe, intensywnie czerwone pantofelki. Gdy wchodziła po schodach kościoła, wszyscy widzieli tylko te buty.

Matka trzymała się za serce, ciotki patrzyły z dezaprobatą. A po ślubie wspomniano tylko te buty. Wszystko inne było banalne i tradycyjne, nie do odróżnienia od dziesiątek innych rodzinnych ślubów. Tylko te buty, które zresztą przyniosły

pannie młodej szczęście. Więc Isa i Olena uznały, że im też szczęście przyniosą.

Wyglądały obłędnie i grały obłędnie.

Pierwsza część koncertu to oczywiście Chopin, nie mogło być inaczej w Warszawie, w której obcokrajowiec miał często wrażenie, że to jedyny polski towar eksportowy. Chopin w każdej postaci, także na butelce wódki, spełniał swoje zadanie. Nawet szynka i sucha krakowska przestawały już kojarzyć się z Polską. Nie mogły więc nie zagrać Chopina, chociaż podszytego hiszpańskim temperamentem. Grand duo concertant, Polonez op. 3, Sonata g-moll op. 65. Druga część trochę krótsza, Serenada Karłowicza, Grave Lutosławskiego i Sonata Brahmsa op. 99.

Zapełniły wielką salę Filharmonii Narodowej na Jasnej. Isabel patrzyła na publiczność, skrajnie różną. Trochę studentów w wytartych dżinsach i wyciągniętych swetrach, trochę starszych ludzi, sporo osób ubranych elegancko. Lubiła to w Warszawie. Szacunek dla wydarzenia, nawet jeśli było tylko niewielką uroczystością. Jak ten koncert.

Na tle tak różnorodnej, głównie jednak na czarno odzianej publiczności one dwie jaśniały na scenie. Białe suknie z czerwonymi spódnicami, czerwone atlasowe buty, czerwone szminki. Już samym strojem wzbudziły entuzjazm.

Rozdział 21

ON

Dni upływały w powolnym rytmie. Ćwiczenie Elżbiety coraz bardziej irytowało Igora. Nie pozwalało mu cieszyć się jej obecnością cały czas, a bardzo tego chciał.

– Nie zrezygnuję z ćwiczenia – mówiła dziewczyna ze śmiechem codziennie rano, ale Igorowi wcale śmiać się nie chciało.

Potem jechali na plażę albo szwendali się po mieście. Byłoby idealnie, gdyby nie ćwiczenie. Przyjdzie dzień, że przestaniesz ćwiczyć. Przestaniesz grać, będziesz tylko dla mnie – pomyślał Igor i przeląkł się własnej myśli. – Miałbym jej zabrać to, co kocha? Po chwili sam sobie dopowiedział: Będzie musiała wybrać to, co kocha bardziej.

Gdy się rozstawali, Ela była bardzo smutna.

– Widzimy się dwudziestego ósmego września? – upewniała się.

– Oczywiście – powiedział, wdychając zapach jej włosów. –

A wcześniej słyszemy się – dorzucił.

– Tylko nie dzwoń wieczorami, mam zgodę na ćwiczenie w szkole po dziewiętnastej.

– Jasne – odpowiedział Igor, a Elżbieta nie widziała chłodu, który pojawił się w jego oczach.

Ostatnie tygodnie przed powrotem na uczelnię Igor spędził nad książkami. Trochę szwendał się po okolicy, nawet kiedyś doszedł do Brudnic, spotkał Zosię i zaszedł na herbatę, robił sporo zdjęć, umówił się na zdjęcia brudnickiego parku, ale głównie się uczył, szczególnie szykując się do historii architektury polskiej, która na drugim roku była postrachem studentów. Poza tym czytał ponownie *Podręcznik geometrii wykreślnej* Franciszka Otto, podręcznik powszechnie znieawidzony, a przez Igora lubiany. Zaciekały go rzuty cechowane i aksonometryczne.

W październiku korzystał ze złotej jesieni, włóczył się po Warszawie, schodził Powiśle, odkrył robotniczą i malowniczą Wolę, na którą kiedyś zabłądził przypadkiem, wsiadając w niewłaściwy autobus. Potem wracał tam wiele razy, na zdjęciach były smutne bloki, czynszowe kamienice, opuszczone place zabaw. Za najlepsze zdjęcie, jakie tam zrobił, uznał obraz, na którym rozmazane deszczem ludzkie kontury w szarych płaszczach przesuwają się szarą ulicą na tle elewacji kamienicy z czerwonej cegły. Jedno okno było uchylone, a w nim dziewczynka w czerwonym sweterku jadła loda, otwierając buzię tak szeroko, że było widać brak prawej górnej trójki.

Elżbieta cały miesiąc ćwiczyła jak oszalała. Prześcigały się z Kingą w ilości przećwiczonych godzin, dochodząc do ośmiu dziennie. Igor kilka razy próbował wyciągnąć Elę z Akademii, za każdym razem dostawał buziaka w policzek i mętą obietnicę: „w listopadzie”.

A listopad nastał encyklopedyczny – ani jednego słonecznego dnia, sporo deszczu, w przerwach zastąpionego mżawką.

Elżbieta pojechała na konkurs, była dokładnie połowa miesiąca.

Igor nie znał wyników, dopóki nie pojawił się na dworcu. Przyjechały jednym pociągiem, razem z Kingą.

– Mam drugie miejsce! – powitała go, wieszając się na szyi.

– Super, a czemu nie pierwsze? – zapytał, chociaż wcale nie chciał robić jej przykrości.

– A ja trzecie – wtrąciła się Kinga.

– Gratulacje – odpowiedział Igor, ściskając jej dłoń. – Będziemy mieli co czcić.

– Prawda? – ucieszyła się znów Ela.

– Bo ja też mam nowiny.

Ela wpatrywała się w chłopaka, nie ponaglając go.

– Pamiętasz ten konkurs?

Pokręciła głową.

– Ten od Jana, ojca Danki?

– No... – powiedziała niepewnie.

– Dostałem wyróżnienie.

– Gratulacje!

– Nie mam wprawdzie żadnej kasy, przydałaby się, ale dostałem stypendium. Od stycznia do maja.

– Gdzie to stypendium?

– W Austrii, niedaleko Wiednia.

– Ale... – Dziewczynę zatkało. – A uczelnia?

– Załatwię to jakoś. Sesję zdam w zerowych terminach, resztę jakoś może wytłumaczę. Nie cieszysz się?

– Czy się cieszę? Nie – odpowiedziała, patrząc mu w oczy. – Nie, bo nie będę cię widywać.

– Będę mógł robić zdjęcia bez żadnych ograniczeń. Klisze,

dowolne filmy, dostęp do sprzętu, o jakim tutaj nawet pomarzyć nie mogę. I czas, i wiedza... I Mozart. – Uśmiechnął się. Chciałbym, żebyś do mnie przyjechała.

– A za co niby?

– Do Wiednia jeździ autobus, tam mogłabyś zamieszkać u mnie, już pytałem. Nie na stałe, ale na kilka dni da radę. Mam na horyzoncie kilka zleceń, po tym ślubie córki „hapolu” odzywają się ludzie. Będziemy mieli pieniądze.

Może się uda – zastanowiła się. – Co to jest „hapol”? – zapytała, chociaż Igor już jej to tłumaczył.

– Historia architektury polskiej – odpowiedział ze zrozumieniem. – Nie warto tego zapamiętywać.

Kinga patrzyła na nich z zazdrością.

Przekłeta Elżbieta – pomyślała. – Ma wszystko. Ćwiczy mniej, gra lepiej, ma faceta, i to przystojnego, i pełną rodzinę. I widoki na przyszłość. A ja? Będę grywać w salkach koncertowych w zapyziałych szkołach muzycznych i udawać, że to jest życie, które kocham... Bo kocham – pomyślała jeszcze po chwili. – Kocham. I tak właśnie chcę żyć, bez względu na Elę.

– To może chodźmy wreszcie poświętować? – powiedziała Kinga.

– Drogie panie, stawiam pizzę. – Chłopak skłonił się szarmancko. – Wybierzcie, proszę, lokal.

Idąc wzdłuż Alej Jerozolimskich, przekomarzali się. Igor niósł dwie torby, nie mógł więc pogrozić Eli, gdy połaskotała go w podbródek.

– Ale pamiętaj, sesja w zerówkach?

– Tak moja, jak i twoja – odpowiedział.

Obydwoje zamierzali dotrzymać słowa i go dotrzymali. Rzadko się więc widywali, zajęci przygotowaniami do egzaminów. Igor oczywiście bywał na wszystkich koncertach Elżbiety, widział

także jej bladą twarz i ogrzewał lodowate dłonie przed egzaminem.

– Przez konkurs miałam za mało czasu na przygotowanie programu.

– Tyle razy to grałaś, nie pomylisz się – uspokajał ją.

– Pomyłę? – fuknęła. – Oczywiście, że się nie pomyłę! Ty... Ty nic nie rozumiesz! – oznajmiła i wyrwała dłonie z jego rąk. Ruszyła w drogę dookoła niewielkiego pomieszczenia, w którym przysunięty do ściany fortepian i niewielka kanapa zajmowały niemal całą przestrzeń. Pozostałość po „niemal” wypełniała teraz chodząca Ela. – W ogóle nie chodzi o pomyłkę. Tu chodzi o muzykę. Nie jestem pewna, że ją do końca rozumiem. Gram Mozarta, wiesz, kto to był? No wiesz – odpowiedziała sama sobie. – Jego prostota wymaga kunsztu, który daleko wychodzi poza palcową sprawność. U Mozarta każda szesnastka ma wagę złota. Każda musi być idealna, inaczej cała forma się sypie!

– Ela, jesteś przygotowana najlepiej, jak to możliwe. Nie nakręcaj się.

– Tak. – Oklapła trochę. – Po co ja się denerwuję?

– Bo jesteś perfekcjonistką. – Przytulił ją. Cały czas, na prośbę Igora, używała tego samego waniliowego szamponu, wdychał teraz jego zapach i mówił Eli do ucha:

– Oddychaj, razem ze mną, tak powoli oddychaj...

W tej pozycji zastał ich profesor.

– Następnym razem zamykajcie wewnętrzne drzwi, zdążycie się przygotować na wejście osób trzecich – oznajmił. – Gotowa?

– Skierował wzrok w stronę Eli. – Spokojnie. Pamiętaj, jak zaczniesz Mozarta, to trzymaj tempo. Absolutnie nie wolno ci przyspieszyć, a już szczególnie pilnuj trzeciej części. Pamiętaj, Allegro to nie vivace...

Igor wyszedł za nimi, Ela miała jeszcze pięć minut do wejścia. W tym czasie profesor wszedł na balkon, z którego komisja

słuchała egzaminów.

– Prosimy – powiedziała kierownik katedry. Igor skierował się w stronę wejścia na widownię. Dla niego wszystko brzmiało perfekcyjnie. Od pierwszego koncertu uwielbiał słuchać Eli. Za każdym razem doświadczał poczucia obcowania z czymś, czego określić nie umiał, ale niezwykle lubił ten stan. Jakby uniesienia, niezwykłego poczucia, że jest gdzieś wyżej. Obserwował dłonie Elżbiety z nieustającą fascynacją, każdy ruch wydawał mu się wyczelowany, świadomy, celowy. Ze zdumieniem stwierdzał, że nie ma pojęcia, jak to jest możliwe – poruszać palcami tak szybko i tak programowo, zawsze w punkt, w odpowiedni klawisz, głośno, cicho, nieprzypadkowo. Fascynowało go tempo i precyzja, a emocji już nie był w stanie pojąć. Gdy kiedyś usłyszał na próbie dziewczyn: tu jest napisane dolce!, dopytywał potem, co to znaczy. I parsknął śmiechem, gdy usłyszał: „słodko”. Jak niby można grać „słodko”? – pokpiwał w duchu. A jednak słyszał na własne uszy, że można. A także furioso, impetuoso, arioso, amoroso i funebre. Czyli porywczo, burzliwie, śpiewnie, pieszczotliwie, smutno.

Tym razem, zasłuchany, ledwo zauważył, że Ela już skończyła. Odezwały się jakieś dwa pojedyncze klaśnięcia i już wchodził następny student.

Ela nie była zadowolona. Skrzywiona twarz z daleka świadczyła o furii.

Jak to jest, że moja słodka, kochana, delikatna Elunia potrafi wpadać w taki amok? – zastanawiał się. Pewnego dnia uświadomił sobie, że tak silne emocje wywoływała w niej tylko muzyka. Poza tym była czarująca i uśmiechnięta, łagodna, ugodowa. Poza muzyką. Podczas grania stawała się uparta, kłótliwa, z wiolonczelistką czasem potrafiły się spierać o jedno „p” w ciągu kilku z nich, chociaż dla Igora to wszystko było po prostu piano, cicho. Dla Eli nie. Dla niej ważne było, że fermata była pół taktu wcześniej u niej niż u solistki. Potrafiła kwadrans

o tym dyskutować.

Igor pewnego dnia doszedł do wniosku, że kocha Elę może nawet bardziej niż Kamilę. I może to jest dobry moment, by w końcu jej o tym opowiedzieć – pomyślał. Z tą myślą przyszła zaraz następna. Jednak nie jestem pewny, czy Ela nie kocha muzyki bardziej niż mnie.

Poczuł w tamtym momencie niesamowitą, rozpierającą zazdrość.

– Dostanę ochrzan od profesora – powiedziała Ela, gdy Igor podszedł do niej na korytarzu.

– Przyspieszyłaś jednak?

– Co? Nie, skądże. Mozart był w porządku. W Schumannie nie było muzyki, kompletnie. Dawno mi się tak źle nie grało. – Pokręciła głową.

– Schumann to to drugie, co grałaś? Takie do śpiewania?

– Do śpiewania? – Ela spojrzała na niego zdziwiona. – No tak jakby. Prawie.

Profesor, podchodząc do dziewczyny, miał zaciśnięte usta.

– Masz piątkę, oczywiście – powiedział – ale stać cię na znacznie więcej. Mozarta nawet dałaś radę, ale co zrobiłaś z Schumannem? W ogóle nie miałaś kontaktu z klawiaturą. Co to było? Jakby ktoś szmatką klawisze zamiatał, co to za dźwięk? Musisz bardziej panować nad emocjami, to było niemal chopinowskie rubato, nie ta muzyka. Ma być pięknie, nie ślicznie.

Elżbieta słuchała z opuszczoną głową, Igor po raz pierwszy słyszał jej profesora w takim podsumowaniu. Rozumiał każde słowo z osobna i niewiele mu to dawało.

– Ale dostałaś piątkę? – upewniał się, gdy profesor wręczył jej indeks i pokazał plecy w drodze powrotnej na balkon.

– Dostałam. – Westchnęła. – Ale mówiłam ci, miałam za mało

czasu.

– Przecież grałaś konkurs! – Igor nie rozumiał.

– Konkurs, konkurs. Konkurs był najważniejszy do listopada, a teraz najważniejszy był egzamin. Za mało ćwiczyłam.

– Za mało? Przecież cię praktycznie nie widywałem!

O tym, że sam niemal nie wyściubiał nosa z książek, już nie pamiętał.

– Wyjeżdżam za cztery dni – powiedział, gdy siedzieli w Piotrusiu na Nowym Świecie. Gorąca czekolada tam była najlepsza, jak głosiła uczelniana legenda, nie mieli ochoty tego weryfikować gdzie indziej.

– Będę tęsknić – odpowiedziała, głaszcząc jego dłoń.

– Chcę, żebyś ze mną była – powiedział.

– Jasne, przyjadę. Pewnie w drugiej połowie lutego. Na kilka...

– Nie zrozumiałaś. Naprawdę była.

Zamilkła. Obejmowała teraz ciepły kubek, w niewielkiej kawiarni było parno, zza szyb ledwo prześwitywał zaśnieżony Nowy Świat. Co chwila ktoś wchodził, wychodził, do środka wpadał wtedy kolejny tuman mętnego powietrza, ochładzał wnętrze na kilka sekund, i znowu robiło się parno. Gorąco.

– Jestem – wyszeptała, patrząc w kubek.

– Żebyś została moją żoną – odpowiedział.

– Nie uważasz, że to trochę za wcześnie? – Podniosła głowę i patrzyła Igorowi prosto w oczy. – Spotykamy się, jest dobrze, ale jesteśmy wciąż młodzi, jeszcze nie wiadomo... Któż zresztą wie, czy Austria cię nie odmieni? Może wrócisz, jodłując na myśl o szwarnej wiedence, raczącej cię tortem Sachera?

– Ha ha. Jodłowanie to w Bawarii.

– Niedaleko – odcięła się.

– Myślę, że nie jesteśmy za młodzi. Ja już...

Elżbieta słuchała bez ruchu. Kamila, internat, bliskość, pierwsze zdjęcia, ciąża, matura. Ślub. Ślub. Ślub.

Tak dokładnie to rozumiała. Ślub, który stał się dla niej w tym opowiadaniu synonimem tragedii, który wyświetlał się przed jej oczami jako cztery czarne litery na białym tle, znikające i pojawiające się za każdym razem jako coraz większe.

– To dlatego mam to. – Igor dotknął prawej skroni. – Wprawdzie o to nie pytałaś, ale widziałem, że spoglądasz ciekawie na tę plamę. Po weselu obudziłem się rano i po prostu tak było. Wstałem bardzo wcześnie, nie mogłem spać. Myślę czasem, że gdybym spał dłużej, obudziłbym się cały siwy.

– Nie jestem jeszcze gotowa – powiedziała Elżbieta. – Nie wiem. Ślub.

– Nie kochasz mnie? – Chwycił jej dłonie, przykrywając swoimi rękami cały kubek. Czekolada już wystygła.

Wyjęła dłonie, jakby się oswobadzała.

– Kocham, to oczywiste. Byłeś moim pierwszym, pamiętaj. – Uśmiechnęła się. – Z byle kim bym nie poszła. Muszę pomyśleć – dodała po chwili.

Igorowi zaświeciły się wszystkie możliwe lampki. Ona może mi uciec! Ona! Moja Elżbieta, Ela, Elżunia. – Patrzył spanikowany na dziewczynę siedzącą naprzeciw. W gęsto napakowanym, pachnącym nieświeżymi kurtkami i niepranymi płaszcami barze. – Nie mogę, nie dam rady, nie zniosę! – krzyczał w środku. Na zewnątrz się uśmiechnął.

– Może porozmawiamy w Austrii? – powiedział.

– Albo po twoim powrocie z Austrii? – Uśmiechnęła się.

– Ale przyjedziesz?

– Igor, może lepiej nie?

– Ela, błagam... Umrę bez ciebie...

Igor dokonał cudów, by załatwić jej zaproszenie. Na paszport nie czekała długo, już wkrótce zresztą wiele miało się zmienić pod tym względem: paszport każdy będzie miał w domu, co jeszcze wtedy wydawało się niepodobieństwem.

Przyjechała na Sudbahnhof, autobus spóźnił się blisko trzy godziny, ale Igor czekał, lekko zdenerwowany, tak jak wielu innych oczekujących. Co chwila ktoś podchodził do informacji, co chwila puszczano w obieg nowe – nienowe komunikaty. Zmieniał się tylko szacowany czas oczekiwania, właściwie wiadomo było tylko jedno – są w drodze. Gdzieś. Nie, nie było wypadku. Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Jada. Przyjada. Będa.

Igor czekał pozornie spokojnie, jak większość.

Nie dałbym rady drugi raz. Nie przeżyłbym. Nie mogę jej stracić – myślał, chodząc w kółko. W końcu jeden z oczekujących chwycił go delikatnie za ramię i powiedział po niemiecku:

– Może pan jednak usiądzie. Wszyscy się denerwujemy.

Denerwujemy? – Igor zdziwił się w myślach. – Ja się denerwuję?

Usiadł jednak potulnie, pozornie spokojnie. Machał nogą w rytm wewnętrznego ostinato, a któryś z pasażerów skomentował:

– Młodość jest taka niecierpliwa.

Igor usłyszał, ale nie przyszło mu do głowy, że to o nim.

Co kilkanaście minut poczekalnie zalewało optymistyczne: „Jada!”, po czym czekanie trwało dalej. Nikt przez długie trzy godziny nie potrafił określić, o której dojadą. I gdy w końcu z megafonu padła informacja, że opóźniony autobus z Krakowa właśnie wjeżdża... Igor pobiegł. Był na peronie pierwszy, czekał więc dłużej. Ela wysiadła zmęczona i spocona, w niczym mu to nie przeszkadzało. Ani jej. Zatopiła się w jego ramionach,

blokując przejście, aż pasażerowie syczeili ze złością. Młodzi odsunęli się na bok.

– Nie tak mocno, zgnieciesz mnie! – piszczała Ela, udając niezadowolenie.

Nie chciał jej słuchać, po prostu całował ją. Tak długo, aż zrobiło im się zimno.

– Mam pokój w domu studenckim. Trochę daleko, ale pojedziemy metrem, potem autobusem, tu wszystko sprawnie chodzi. Teoretycznie mam dwójkę, ale jestem sam w pokoju, pytałem, nikogo nie dokwaterują. Tylko musimy zgłosić, że jesteś – opowiadał chaotycznie.

– Zgłosić? – Ela się zdziwiła. – Po co?

– To Austria, oni wszyscy tutaj są do bólu poprawni. – Zaśmiał się.

– A po jakiemu rozmawiasz? – dopytywała się.

– Wszyscy tu mówią po angielsku. I nawet trochę nauczyłem się niemieckiego.

– Yhm – mruknęła. – Schnelle i Hände hoch!

– Weź, to Austria! Nie Niemcy.

– Jasne. Zjadłabym coś.

Igor klepnął się w czoło.

– Nic ze sobą nie wziąłem. Przy stacji metra jest bar, zatrzymamy się tam. A co u ciebie? – Popatrzył dziewczynie w oczy.

– Ćwiczę, ćwiczę, ćwiczę. Z nadmiaru wolnego czasu zapisałam się znów na hiszpański, chociaż teraz żałuję, że nie na niemiecki.

– I na to kiedyś przyjdzie pora.

– Nie sędzę. Nie lubię brzmienia tego języka. Jest taki twardy, zupełnie nieśpiwny. Jak ktoś mówi po niemiecku, wydaje mi

się, że kaleczy moje uszy. Nieważne. Teraz chcę jeść!

Weszli do piekarni, wklejonej w przejście podziemne metra. Na wielkiej, mocno oświetlonej ciepłym światłem ladzie leżały sterty bułek: słodkich, z mięsem, warzywami, parówkami. Ciastka francuskie, drożdżowe, kruche. Desery, soki, kremy. Z boku, wciśnięte w kąt między szklaną witryną a kamienną ścianą, stały trzy małe, okrągłe stoły. Ela stanęła, wdychając aromaty.

– Bosko pachnie. Chcę to, to i to – powiedziała, wskazując palcem.

Igor posłusznie nałożył na tacę bułkę drożdżową z serem, parówkę w cieście francuskim i porcję sałaty z gęstym sosem.

– Tutaj to powinnaś jeść apfelstrudel – powiedział.

– To jeszcze apfelstrudel – odparła ze śmiechem.

– W życiu tyle nie zjesz! – przekomarzał się.

– Zobaczysz!

Igor dołożył dla siebie bułkę z pieczarkami i ze zdumieniem skonstatował, że wcale nie będzie dojadł resztek po Eli, na co liczył. Ponownie ruszył do lady, wybrał jeszcze koktajl mleczny i babkę kajmakową.

– Zjadłam – oznajmiła Ela. – Należy mi się nagroda. Taka babeczka. – Wskazała palcem na kajmakowe ciastko.

– Żartujesz!

Zaśmiała się.

– Warto było zobaczyć twoją minę.

– W życiu nie widziałem, żebyś tyle jadła.

– W życiu nie musiałam siedzieć piętnastu godzin w autokarze o suchej bułce. Właśnie, teraz pić. A ten apfelstrudel wart grzechu.

Najedzeni, trzymając się za ręce, wyszli na ulicę. Uciekł im autobus, ale nie biegli. Spokojnie szli ulicą, trochę zmarznięci,

choć słońce zaczęło właśnie wychodzić zza chmur. Elżbieta zwróciła uwagę, że na wiedeńskich ulicach panował zupełny miszmasz. W Polsce królowały szare płaszcze i ciemne kurtki. Tutaj kurtki bywały kolorowe: czerwone, niebieskie, nawet żółta się trafiła, i miały różną długość. Do tego wiedenki zakładały kolorowe szale, czasem wzorzyste. Zdarzała się puchowa rozpięta kurtka, szal malowniczo przerzucony przez ramię, odkryta głowa i gołe łydki w pantoflach ze złotymi czubkami. Obok przechodziły kobiety w płaszczach trzy czwarte, w stonowanych kolorach, dopasowanych kolorystycznie szalikach i stukających obcasach. Chwilę potem przemykała obok nich dziewczyna z nasuniętą szczelnie czapką, okutana szalikiem i w botkach do kolan wykładanych futerkiem.

– Tu nie ma reguł – powiedziała Ela.

– Słucham? – Igor się zdziwił. Było mu zupełnie obojętne, jak ludzie chodzą ubrani. Sam nosił od kilku lat tę samą kurtkę, mocno już wytartą na rękawach, czego zupełnie nie zauważał.

– Ludzie chodzą ubrani jak chcą – powiedziała.

– To chyba normalne? – ponownie się zdziwił.

– Popatrz na polską ulicę. Nikt się nie wyróżnia. Takie same kurtki, płaszcze, szaliki i buty. Pod spodem takie same dżinsy, spódnice i swetry. Tutaj każdy wygląda inaczej.

Wzruszył ramionami. Nie bardzo go to obchodziło, chociaż zdarzało się, że zatrzymywał się na ulicy, łapiąc kolorowy refleks. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w Polsce tego nie robił. Tam nie zdarzyło mu się zauważyć neonowego zielonego swetra na wystawie, przed którą stała dziewczyna w pomarańczowej kurtce. Zrobił dwa takie ujęcia przed jednym ze sklepów na Kohlmarkt. Rozejrzał się. Faktycznie, ulica była kolorowa. Meksykański szal dziewczyny, która szła przed nimi, chłopak w niezawiazanym szaliku w wielką niebieską kratę, puchata kurtka w kolorze pudrowego różu na tle długiego, czarnego płaszcza, w którym siedł chłopak zapięty od stóp do

głów. Kalosze w kwiatki. Sandały do grubych skarpet. Igor sięgnął po aparat, z którym się nie rozstawał.

– Mogę? – zapytał, wcale nie oczekując odpowiedzi. Ela uśmiechnęła się tylko. Lubiła, gdy Igor robił zdjęcia. Ustawili się z boku, Igor celował tak, by nie uwiecznić twarzy przechodzących osób. Nikt na nich nie zwrócił uwagi. Potem z tych zdjęć Igor zrobi początek wystawy podsumowującej jego stypendium. Zatytułował ją *Miasto koloru*. Robił zdjęcia już po wyjeździe Elżbiety, najpiękniejsze były te zestawienia, gdy na tle szarych ścian wiedeńskich zabytków błyszczało jakieś niepospolite ubranie. Królował kolor, chociaż zdarzyły się i blond loki do połowy uda. Na żadnym zdjęciu jednak nie było twarzy.

Ela czekała na Igora ponad dwadzieścia minut. Gdy skończył, pocałował ją.

– Dziękuję – powiedział.

Zrobiła zdumioną minę.

– Nie zauważyłem tego. – Pokazał ręką wokół siebie.

Doszli do przystanku, ponownie trzymając się za ręce, tak samo w autobusie, aż do wejścia do domu, gdzie okazało się, że zameldowanie Eli wcale nie jest takie oczywiste. Biuro było zamknięte od dwudziestu minut, portier w ogóle nie mówił po angielsku i sarkał pod nosem. „Polen, Polen” – powtarzał w kółko, okraszając rzeczownik niezrozumiałymi dla Eli i Igora przymiotnikami.

– Dobrze, że nie rozumiem po niemiecku – powiedziała Ela głośno i w tym momencie portier się zamknął. Rozłożył ręce i zamierzał zatrzaskać im drzwi przed nosem. Igor przytrzymał je dosłownie w ostatniej chwili.

– Telefon – powiedział. Właśnie wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do organizatora jego pobytu, miłego faceta, z którym miał styczność na samym początku. Karl przywiózł go tutaj,

zameldował, pokazał okoliczne przystanki i wręczył mapę Wiednia wraz ze swoją wizytówką. Do tej pory Igor z niej nie korzystał. Karl miał tę zaletę, że mówił odrobinę po polsku i to on obiecał Igorowi, że nie będzie problemu z noclegiem Elżbiety.

Dopiero za szóstym sygnałem Karl odebrał, wyraźnie zdyszany.

– Was? – wykrzyknął. – A tak, ja.

Poprosił o przekazanie słuchawki portierowi. Rozmowa trwała blisko siedem minut, mężczyźni spierali się o coś, ale ostatecznie portier wziął paszport od Elżbiety, spisał jej dane w jakimś zeszycie i wpuścił ich do akademika.

– Ale ja poproszę jakąś kartę meldunkową – powiedział Igor. – Żebyśmy nie musieli więcej tego przechodzić.

Portier spojrzał na chłopaka tak, że ten chwycił Elę za rękę i czym prędzej ruszył na piętro.

– Ale przygoda! – Uśmiechnął się do dziewczyny, gdy zamknął drzwi pokoju.

– Nie podobała mi się – odpowiedziała Ela.

Igor wzruszył ramionami. – Mnie też nie.

Pokój przypominał ten, w którym Igor spędził pięć lat technikum. Zupełnie jak w internacie. Łazienka na korytarzu, wspólna dla zbieraniny osób z sześciu pokoi. Dwa łóżka, wygodne biurko. W internacie Igor odrabiał lekcje na stoliku, i tą powierzchnią musieli się dzielić dwaj, czasem trzej chłopcy, wspólnie zamieszkujący pokój. Tutaj dużą płaszczyznę Igor miał tylko dla siebie. Leżało na niej teraz kilka rysunków i trochę odbitek, schludnie pozbieranych w równe kupki.

Gdy wszedł tu po raz pierwszy, miał wrażenie déjà vu. Nawet pachniało podobnie. Trochę kurzem, trochę wczorajszym obiadem.

– Zmęczona?

– Bardzo. Ale nie aż tak bardzo, żeby siedzieć w pokoju. –
Uśmiechnęła się.

Przebrała się, odświeżyła i wyszli, przemykając przed portiernią.

– Mamy te dni tylko dla siebie. Zamierzam pokazać ci Wiedeń od najlepszej strony.

– Tak jakbyś go tak dobrze znał.

– Lepiej od ciebie.

Dojechali na plac świętego Michała, Igor opowiadał o Hofburgu. Przygotował się, nie pomylił żadnego z cesarzy, chociaż wymienił tylko dwóch.

– Jutro wejdziemy do pałacu – powiedział. – Dzisiaj zapraszam cię na tort do hotelu Sacher.

Sprawdził wcześniej, ile kosztuje wizyta w tym przybytku. Była absurdalnie droga, jednak postanowił, że Elżbiecie pokaże wszystko to, co najlepsze. Wiedział, że po jej wyjeździe sięgnie do zapasów z Polski. Ciągle miał w torbie jeszcze kilka konserw i reklamówkę zupek w proszku. Teraz był czas luksusu.

Czuł się jak w podróży poślubnej. Był gotów zrobić dla Eli wszystko, byle tylko z nim była. Byle była szczęśliwa. Byle miała dla niego czas.

Utrwalał jej wizerunek wszędzie. W Schönbrunn, przed katedrą świętego Stefana, z wystawami luksusowych butików na Kärtnerstrasse w tle. Odwiedzili Hundertwasserhaus, Ela śmiała się z drzew wyrastających z elewacji.

– Cudowne – zachwyciła się.

Igor był innego zdania. Miętko falująca elewacja w kolorach tęczy nie nadawała się jego zdaniem do mieszkania.

– Mieszkańcom musi się kręcić w głowach – mówił.

Spacerowali wokół opery i odwiedzili dom Mozarta.

– Zawiedziona jestem – powiedziała potem Ela. – To miasto ma Mozarta wszędzie, na czekoladkach, parasolkach, ołówkach. Słysząc go niemal na każdym rogu, w każdej kawiarni, leci z każdego głośnika. Jest na niemal każdym słupie z plakatami. W jego domu ducha Mozarta nie ma. Kilka przykurzonych pamiątek. – Wzruszyła ramionami.

W ramach rekompensaty Igor zabrał Elę na koncert Mozarta, których bez liku było w okolicy. Tylko na niektóre trzeba było kupić bilety. Na pozostałe po prostu wchodziło się i słuchało. Weszli do budynku Secesji, właściwie tylko po to, żeby zobaczyć oryginalnego Klimta. Ruszyli też na Prater, wsiedli na wielkie koło, Ela nie była zachwycona, w przeciwieństwie do Igora. Był wieczór. Miasto mamilo światłami, Igor oczywiście pstryknął z góry kilka zdjęć. Rozmazanych, nie najlepszych technicznie, ale jego profesor był zadowolony. Zrobił mu na tej podstawie wykład o technice robienia zdjęć w ruchu. Pojechali także na Grinzing, w pobliże Lasku Wiedeńskiego. Nie smakowało im lokalne młode wino, kwaśne i ostre, nie podobała się lokalna, ludowa muzyka. Za to z wielkim uznaniem Elżbiety spotkał się zasmażany ser z żurawiną.

– Latem musi tu być ładnie – powiedziała Ela, przyglądając się wejściu popularnej restauracji Zum Martin Sepp. Usiedli w niewielkiej wnęce, na obrusie w czerwoną kratę niemal natychmiast zmaterializowały się karty.

– Sznycel – zdecydował błyskawicznie Igor. Nie bardzo sobie wyobrażał, jak zniesie czas po wyjeździe Elżbiety. Nie dość, że będę tęsknić, to jeszcze będę głodny – myślał.

Przy sąsiednim stole usiadła grupa Hiszpanów. Nie mówili ni w żąb ani po niemiecku, ani po angielsku. Nie potrafili dogadać się z obsługą. Coś tam pozamawiali, co okazało się niezgodne z ich przewidywaniami, dyskusja z kelnerką była bezprzedmiotowa. Głośno wyrażali niezadowolenie.

– Może wam pomogę? – Ela w pewnym momencie wstała i podeszła do ich stolika. Igor ze zdumieniem słuchał, z jaką

swobodą Ela mówi po hiszpańsku. Pomogła im załatwić sprawę z kelnerką, wróciła do stolika z kartką w dłoni.

– Juan – przeczytał Igor przed ciągiem długich liter. – No ładnie – powiedział. – Tylko na chwilę cię z oka spuścić.

– Wcale nie spuszczałeś mnie z oka. Wpatrywałeś się, jakby któryś miał mnie żywcem zjeść.

– Zjeść to może nie. – Igor się skrzywił.

– Zazdrośnik.

– Żaden nie mówi po angielsku? To po co oni za granicę się wybrali?

– Jeden z nich mówi, ale dzisiaj akurat go nie ma. Kelnerce się chyba nie bardzo chciało, to można było załatwić na migi. – Elżbieta wzruszyła ramionami.

Nie przyznała się Igorowi, że swój numer telefonu zostawiła Hiszpanowi, który miał oczy tak czarne jak Igor, ale kręcone włosy opadały mu do ramion. Czasami, do czego wstydziła się przyznać nawet sama przed sobą, wyobrażała sobie, że ma obok siebie, na sobie mężczyznę, którego może pociągnąć za długie, miękko falujące włosy. A nawet, że ciągnie go za te włosy przy akompaniamencie całkiem niedwuznacznych dźwięków.

– Chciałabym tu kiedyś wrócić – powiedziała Ela, gdy dopili już kwaśne wino, dojedli sałatkę ziemniaczaną i kończyli apflestrudla z włoskimi orzechami, specjalność lokalu.

Spodobała jej się trzeszcząca podłoga, płatanina niewielkich sal, rozległy taras, na którym nawet o tej porze roku można było przysiąść przy dużych gazowych grzejnikach. A także ogromny kafłowy piec i ceglane sklepienia w piwnicy.

– Kiedyś przyjedziemy – obiecał Igor.

Uśmiechnęła się.

Obietnice. Kiedyś – pomyślała.

Właściwie poza zwiedzaniem nie mieli czasu prawie na nic.

Kochali się zatem wieczorami, późno, dopiero gdy przewalił się tłum w kolejce do łazienki. Robili to niespiesznie, z namysłem, bo przecież rano nie musieli wstawać. Chociaż wstawali, ruszając na kolejne wycieczki.

Elżbieta była u Igora niecały tydzień. Wróciła do Warszawy znów przez Kraków, to połączenie było najtańsze. Była potwornie zmęczona, ale nie odczuwała dyskomfortu. Elżbieta przyjechała zakochana i przekonana, że spotkała tego jedyne­go i pod żadnym pozorem nie może pozwolić przejść tej miłości obok.

Gdy zatem po feriach wróciła na uczelnię, miała parę do pracy jak rozpędzona lokomotywa. Trzech Sonat Scarlatti­ego nauczyła się na pamięć w tydzień, wzbudzając tym zdumienie profesora.

– Zwolnij – mitygował ją. – Leży ci ta muzyka, ale to nie sztuka zagrać jak najszybciej. Najpierw zbuduj tu precyzję. Zobacz, ten ozdobnik – usiadł przy klawiaturze i zademonstrował – w ogóle nie będzie miał wdzięku, jeśli nie będzie selektywny. Zresztą, cały Scarlatti taki jest. Musi lśnić, jak dobrze oszlifowany diament. Ten błysk to każdy dźwięk, który musi świadomie wyjść z twojej głowy, nie z palca. Inaczej nie będziesz miała tego czegoś. Bierz więc metronom i wykonaj rzetelnie robotę. Od tempa – zastanowił się chwilę – maksymalnie osiemdziesiąt na ćwierćnutę.

– Umrę z nudów – próbowała zaprotestować, umilkła jednak, widząc minę profesora.

– I dopiero jak w tym tempie wyjdzie ci wszystko, ale to absolutnie wszystko, wolno ci przyspieszyć. Masz zagrać co najmniej pięć – osiem razy na kreskę. Może być więcej.

– Godziny na tym strawię.

Kiwnął głową.

– Znasz jakąś inną metodę ćwiczenia?

Siedziała więc przy instrumencie wiele godzin, ale znów

w ciągu tygodnia przyniosła wszystkie trzy sonaty zrobione ponad oczekiwania profesora.

– To teraz reszta – powiedział. – Co powiesz na Mendelssohna?

Jęknęła.

– Nie lubię...

– Wiem, ale zagrać musisz.

I zagrała. I Mendelssohna, i Bacha. I jeszcze dwie etiudy. Szła jak burza, gdy Igor wrócił ze stypendium, do egzaminu była przygotowana całkowicie, ćwiczyła właśnie repertuar na kolejny konkurs.

Jak ona to robi? – zastanawiała się Kinga. – Też ćwiczę dużo, a mam jeszcze tyle pracy przed sobą – myślała z zazdrością. Jeszcze bardziej się zdenerwowała, gdy usłyszała o konkursie. Natychmiast poszła do swojej profesorki z propozycją repertuaru.

– Ale ty nie masz jeszcze egzaminu przeciwicznego – odpowiedziała chłodno profesorka Kindze.

– Będę miała, pani profesor. Chciałabym się jednak upewnić, że zaakceptuje pani wybór tego repertuaru, ewentualnie – zastrzegła, widząc już otwierające się usta belferki – jeśli przygotuję egzamin.

– No dobrze – odpowiedziała tamta, zaciskając lekko wargi. Gdzie tej dziewczynie tak się spieszy? – pomyślała. – Grać gra, ale to nie jest konkursowe granie. Wszystko wymęczone, wypracowane, bez błysku. Skończy te studia i będzie chałturzyć, może będzie korepetytorem w operze. Na solistkę się nie nadaje. Profesorka zapomniała o Kindze niemal natychmiast po jej wyjściu. Właśnie zaczynał lekcje zdolny student, co do którego żywiła wielkie pianistyczne nadzieje. Jemu program na trzy konkursy zaproponowała już dawno.

*

Elżbieta, poza czasem spędzonym przy instrumencie, z wielką przyjemnością chodziła na hiszpański. Zapisła się do grupy, którą prowadził przesympatyczny *native speaker*, niewysoki Hiszpan z miękko układającymi się ciemnymi włosami, które często wiązał w kitkę. Takimi, jak lubię – pomyślała.

Emanuel potrafił sprawić, że zajęcia stawały się towarzyskim spotkaniem. Bawili się świetnie i za każdym razem po lekcji Ela ze zdumieniem odkrywała, ile materiału musi przyswoić. Jej notatki zapisane drobnym pismem na kartkach zeszytu w linie zawsze przekraczały pięć stron. Od razu więc zabierała się za wkuwanie słówek i utrwalanie gramatyki.

Z Igorem rozmawiali rzadko. Rozmowy międzynarodowe były kosztowne, zadowalali się ognistymi listami. Ela tęskniła cały czas, chociaż zdawała sobie z tego sprawę tylko przed zaśnięciem.

Chyba zagłuszam tęsknotę pracą – pomyślała pewnego wieczoru.

Powrót Igora niewiele zmienił. Owszem, widywali się, jednak chłopak miał mnóstwo do nadrobienia na uczelni. Taryfy ulgowej nie było. Nie zmieniła tego nawet fama zdolnego fotografika, która zaczęła krążyć nad Igorem. Niemal „przy okazji” wygrał ogólnopolski konkurs, kwalifikując się jednocześnie do międzynarodowego etapu. Jednego egzaminu nie udało mu się zdać w terminie, chociaż bardzo rzetelnie się do niego przygotowywał.

– Czyli z wakacji nici – skwitowała Ela i postanowiła swój czas wolny wykorzystać tak jak zawsze – na ćwiczenie, ćwiczenie, ćwiczenie i naukę hiszpańskiego.

Siedzieli na murze Starego Miasta, machając nogami i zlizując

cieknące po rękach w upale lody.

– Zawsze się zastanawiałam. Whoduń, co to jest.

Igor spojrział na nią zdziwiony.

– Nazwisko. Hoduń. Właściciel. W. to skrót od imienia.

– A patrz, nie wpadłam na to. Zawsze szukałam jakichś skojarzeń. Że może to jakiś specjalny tajemny składnik lodów, po które ustawiają się takie kolejki.

– Kiedy jedziesz do domu?

– Chciałabym jak najszybciej. Mama się dopomina.

– Przyjedziesz do mnie? – Rozmawiali o tym kilka razy, Elżbieta nie była jeszcze w Żurominie.

– Przyjadę. – Uśmiechnęła się.

Rozdział 22

ONI

– Podoba ci się? – zapytał Igor z niewinną miną. Postawił żonę na środku pomieszczenia i odwiązał jedwabną chustę z oczu.

Elżbieta stanęła jak wryta. Mrugała. Ogromne płaszczyzny szkła pozwalały słońcu penetrować każdy zakamarek.

– Możesz chodzić bosy. Kazałem perfekcyjnie wysprzątać, na twoje przyjęcie.

– Jak tu – zastanowiła się – jasno.

– Specjalnie kazałem powiększyć okna. Zobacz, jaki widok. – Pociągnął ją za rękę. Ruszyła za nim, wcześniej zzuwając czółenka ze stóp.

Przysunęła się do szklanej ściany. Mocniej chwyciła rękę męża.

– Nie bój się. – Uśmiechnął się, przytulając ją.

– A co będzie, jak się zepsuje winda?

– Jest zapasowa. Ta prowadzi tylko do naszego apartamentu,

są jeszcze dwie inne.

- A jak nie będzie prądu?
- Jest dodatkowy agregat.

Wiedział o tym, bo zadawał takie same pytania, gdy pierwszy raz przyprowadził go tu deweloper.

- Ciesz się widokiem.

Elżbieta tylko kiwnęła głową.

- Bylebym nie musiała myć tych okien – powiedziała.

- Wynajmiemy kogoś.

- Nie tylko są za duże. Przede wszystkim są za wysoko.

Dwudzieste siódme piętro... Boję się wysokości.

- Nie będziesz ich myła, nie denerwuj się. Całe życie miałem małe okna, przez które nie było widać świata. Tutaj kazałem je powiększyć. Żeby było dużo światła i świata. Zawsze też miałem białe ściany. Moi rodzice, znajomi, wszyscy. Białe, nijakie. Mieszkania były o niczym, nie miały swojego charakteru, nie opowiadały o właścicielach. A koloru nie trzeba się bać! – oznajmił z zadowoleniem.

Patrzyli chwilę na panoramę miasta. Czyżby zapomniał? – zastanowiła się Ela. – Niemożliwe. Nigdy nie podchodziłam do okien w wysokich budynkach, nigdy nie chciałam jeździć w góry. Nienawidzę wysokości i przecież on o tym wie!

- Przejdźmy dalej – powiedział Igor.

Prezentował jej ze smakiem urządzoną przestrzeń. Ogromny salon z przeszklonymi płaszczyznami stanowił centralne pomieszczenie. Bokiem do panoramy Warszawy stała wielka, kanciasta w kształcie, szara kanapa. Przy niej z dwóch stron niewielkie stoliki. Przy ścianie mebel, który kiedyś w pokoju stołowym pełniłby funkcję kredensu. W apartamencie przy placu Grzybowskim skrywał w swoim wnętrzu ogromny telewizor i sprzęt grający. Ściany były kolorowe, w jedną z nich

wbudowano akwarium. Nie było żadnych obrazów, za to na podłodze leżał puchaty pomarańczowy dywan, a wokół stało mnóstwo kwiatów w dużych donicach.

– Popatrz na to – powiedział Igor z dumą, demonstrując kilka rodzajów świateł, częściowo poukrywanych w ścianach i suficie. Elżbiecie spodobała się tylko podłogowa lampa. Z ruchomym srebrnym ramieniem i dużym, prostym kloszem. Dwie takie stały przy końcach kanapy, Ela pomyślała, że pod jedną z nich chętnie siądzie z książką, opatulona miękkim kocem.

Przeszli w stronę kuchennej wyspy, od strony salonu wykończona była polerowanym szarym granitem, w którym odbijał się teraz blask słońca. Kuchnia też miała przeszkloną jedną ścianę. Wyspa od strony roboczej wydawała się zupełnie płaska, dopiero prezentacja Igora odkrywała poukrywane w egzotycznym drewnie uchwyty, otwierające niezliczoną ilość szuflad.

– A reszta kuchennych przyborów tutaj. – Pokazał ścianę gładkich szafek, polakierowanych na wysoki połysk. Dolne szafki miały drewnianą okleinę, górne stanowiły melanz energetyzujących kolorów. Czerwony, fioletowy, pomarańczowy, trochę zielonego.

– Każde dotknięcie zostawi ślad – powiedziała Ela cicho.

– Dlatego będziesz miała sprzątaczkę – odpowiedział. – Moja żona nie będzie sobie rąk brudzić sprzątaniem – dodał, całując ją w wypielegnowaną dłoń. Elżbieta miała świeży manicure, jak zresztą zawsze. Chodziła do pani Bożenki dwa razy w tygodniu, ale to było na Woli, w ich kilkakrotnie mniejszym mieszkaniu w bloku na Kole.

Będzie musiała znaleźć manicurzystkę gdzieś tutaj, w pobliżu – pomyślała. Co zresztą okazało się nader łatwe. Było tam mnóstwo nail-barów, studio-nails, stylizacji paznokci, wszystko było „beauty”, tylko manicurzystki zmieniały się w takim tempie, że Elżbieta szybko przestała próbować zapamiętywać

ich imiona.

Drugą ręką pogłaskała Igora po białej plamie na sterczących, poza tym wciąż czarnych włosach.

– Podoba ci się? – zapytał, oglądając z dumą przestrzeń. Nie patrzył na żonę.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Tylko gdzie stół?

Chwycił ją w pasie i odwrócił w stronę salonu.

– Tadam!

Stół był idealnie w kolorze bladofioletowej ściany, dlatego nie dostrzegła go wcześniej.

– Właśnie ze względu na ten stół przejście między salonem a kuchnią jest takie szerokie – wyjaśniał.

– W szafkach są już naczynia – zauważyła Elżbieta.

– Pewnie. Kazałem wszystko kupić nowe, markowe. Eleganckie. Nie będziemy staroci przeprowadzać.

– A prezenty ślubne?

Machnął ręką.

– Chodźmy dalej.

Przeszli długim i szerokim korytarzem. Na obu ścianach, na całej długości, wisiały oprawione prace Igora. Każda miała swoje własne oświetlenie i każda była w formacie A1. Z każdą związana była historia – w większości były to zdjęcia nagrodzone, każde z nich popchnęło karierę Igora, pomagając mu dojść do tego miejsca. Do dwustupięćdziesięciometrowego apartamentu w centrum Warszawy. Jedna tylko fotografia była inna. Wisiała przy samym końcu korytarza, tuż przy błękitnych, profilowanych drzwiach.

– Piękni wtedy byliśmy – powiedziała Ela, spoglądając na ich ślubną fotografię, jedyną, którą zaakceptował Igor. Zdjęcia na ich ślubie robił kolega, Igor nie był z nich zadowolony. Zapłacił

koledze, nie skomentował, ale zerwał wszystkie kontakty.

– Cały czas jesteście – odpowiedział Igor. – Szczególnie ty. A teraz... – Otworzył drzwi do sypialni.

Eleganckie pomieszczenie utrzymane było w kolorach ziemi. Szaro-beżowe ściany, kanciaste łóżko z ciemnego drewna. Tutaj ściana nie była szybą. Po bokach łóżka stały podłogowe lampy, takie same jak w salonie, na ścianach wisiało kilka zdjęć, a na podłodze stało mnóstwo kwiatów w dużych donicach.

Ela weszła na puchaty oliwkowy dywan. Stała przy jednej ze ścian, lekkim dotknięciem rozsunała wbudowaną wnękową szafę. Właściwie garderobę, do której weszła, rozglądając się.

Można tu zatańczyć ze dwa obroty walca, oglądając się przy tym w dwóch sporej wielkości lustrach – pomyślała.

– To będziesz musiała zapłacić – powiedział Igor, całując żonę w czubek głowy.

– Trochę jednak przewiozę ze swojej szafy.

– Tylko nie za dużo, proszę. Nowe życie, niech stare rzeczy nam go nie zaśmiejają. I jeszcze jedna rzecz.

Znów pociągnął ją za rękę, ponownie przeszli korytarz z fotografiami Igora, przeszli przez kuchnię, salon. Igor otworzył drzwi, niemal wtopione w ścianę salonu. To twój świat – powiedział.

Elżbieta stanęła w blisko dwudziestometrowym pomieszczeniu, w którym trzy ściany od góry do dołu zabudowane były półkami na książki.

– Tutaj możesz przywieźć wszystko ze starego mieszkania. – Uśmiechnął się ponownie.

Ela dotknęła włącznika. Zapaliły się światła bezcieniowo oświetlające półki. Dotknęła niższego włącznika, zaczęły zasuwac się story na czwartej, przeszklonej ścianie. Weszła do pomieszczenia, pogłaskała biurko z ciemnego drewna, usiadła

na chwilę na kraciastej szarej kanapie.

– Bardzo tu... elegancko – powiedziała.

– Dla ciebie samo najlepsze, najelegantsze. Kazałem zrobić najpiękniej, bez względu na koszty.

– A te kwiaty – wskazała na wielkie donice porozstawiane w pomieszczeniu – nie będą brudzić dywanu?

– Od tego będzie pani sprzątajaca. Nie dopuści do pobrudzenia dywanu, nie martw się.

Wrócili do salonu.

– To jeszcze nie wszystko, oczywiście. Pokażę ci jeszcze łazienki, pozostałe pokoje. Tu będzie nasza. – Igor poprowadził Elę znów korytarzem ze zdjęciami, jedno z nich wisiało na ukrytych niemal drzwiach. Wprowadził żonę do przestronnego salonu kąpielowego, z wbudowaną wanną, sauną i ogromnymi lustrami.

– Mniejsza, dla gości, jest tu. – Znów wrócili do salonu, niedaleko wejścia do apartamentu Igor otworzył kolejne niemal niewidoczne drzwi.

Nigdy nie miałam takiej wielkiej łazienki – pomyślała Elżbieta.
– Dla całej rodziny, nie tylko dla gości.

– A tutaj przechodzi się do pozostałych pomieszczeń. Są jeszcze trzy pokoje. Mogą być gościnne, a mogą być... – spojrzał ciepło na żonę – dla dzieci.

– Jeśli się uda – odpowiedziała, zagryzając wargi.

Kiwnął głową.

– Podoba ci się?

– Oczywiście – odparła bez namysłu.

Usiedli na kanapie w salonie, z kryształowymi kieliszkami w dłoniach. Igor napełnił je schłodzonym szampanem.

– Teraz będziesz tu królową – powiedział. – Moją królową.

I będziesz robić wszystko, co zechcesz.

Wszystko spośród tych rzeczy, które wypada robić królowej – pomyślała Elżbieta.

– Igor, a czy... czy dałoby się tu wstawić fortepian?

Rozejrzył się. Pomieszczenie razem z kuchnią miało osiemdziesiąt metrów, było mnóstwo wolnej przestrzeni, jednak nie było dobrego miejsca na instrument.

– Trzeba by tu trochę poprzestawiać. A bardzo byś chciała? Potrzebny ci?

– Wiesz, chciałabym. Czasem tęsknię za graniem.

– Może jakieś elektryczne, nieduże – myślał na głos. – Jeśli naprawdę musisz.

Elżbieta słuchała z rękami złożonymi na kolanach.

Jak pensjonarka – pomyślała po chwili i wsunęła się głębiej, wygodniej w miękki mebel, jednocześnie swobodniej układając ręce. Zapadła się w kanapę, jakby miała już nie wstać. Ten mebel obejmuje, wciąga. Nie chce wypuścić – pomyślała z niechęcią.

– Zastanowię się. A teraz... czas chyba poświętować – powiedział Igor, uśmiechając się dwuznacznie. Elżbieta odwzajemniła uśmiech. Trzymając się za ręce, poszli do sypialni.

Przeprowadzka była niemal niedostrzegalna.

– Zostaw wszystko, co nie jest ci niezbędne – powiedział Igor. – Weź tylko kilka ciuchów i kosmetyków. Mieszkania przecież nie sprzedajemy, może tu wszystko zostać.

Zamiast pakowania kartonów i pilnowania przeprowadzki Elżbieta chodziła więc po centrach handlowych. Na jej szczupłą sylwetkę pasowało prawie wszystko, sprzedawczynie przynosiły naręcza ubrań, zachwycone klientką, która nie pyta o ceny. Wkrótce Ela zapełniła szafę wielobarwnymi ubraniami

w najmodniejszych fasonach. Zza nich niemal nie było jej widać. Jasne włosy, porcelanowa cera i niemal niewidoczny makijaż. Z wyjątkiem paznokci – te zawsze miała pomalowane na jaskrawy kolor. Elżbieta stała się uosobieniem kobiety modnej, dla której nie istniały metki ani problemy z zabrudzeniami. Rzeczy zmieniała, gdy jej się znudziły lub zaplamyły.

Paragony Ela wyrzucała z odrobiną wstydu. Widniały na nich ciągi cyfr, za które niejedna rodzina przeżyłaby dwa tygodnie.

Pewnego dnia umówiła się w kawiarni z Kingą. W sieciówce w centrum handlowym. Za przeszkloną witryną leżały śliczne, kolorowe ciasta.

– Wyglądają jak plastikowe – mruknęła.

– Bo są plastikowe – odpowiedziała jej zza pleców Kinga.

Weszła do typowo urządzonego wnętrza chwilę po Elżbiecie i z zazdrością obserwowała miękko układającą się na szczupłej figurze koleżanki dzianinę. W życiu nie będzie mnie stać na coś takiego – pomyślała Kinga z żalem, chociaż bez zazdrości. Po prostu ze smutkiem.

– Pewnie są pyszne – odpowiedziała rozbawiona Ela. Poznała koleżankę, zanim się odwróciła, jej odbicie ujrzała w wypucowanej gablocie. – To może zjemy jakiś plastikowy serniczek? Albo zielony torcik ze szpinakiem? Apetycznie wygląda, taki zieloniutki, jakby pleśnią porósł.

– Albo jogurcik z płatkami, które od dwóch godzin nie przesiakły.

– Wybór spory – zafrasowała się Ela i odwróciła do Kingi. Ku własnemu zdziwieniu odruchowo wycalowała dziewczynę w oba policzki.

Kinga też była zdziwiona taką serdecznością. Spotykały się z Ela od czasu do czasu, nie za często, raczej z sentymentu niż z przyjaźni. Każda potrzebowała czegoś, co przynosiła ta druga.

Kinga poczucia wolności, które emanowało z Eli. Jej koleżanka nie musiała w życiu robić nic, mogła wszystko, tak się przynajmniej Kindze wydawało.

Ela nie bardzo wiedziała, czego szukała w obecności Kingi. Bo przecież nie smutnych ciuchów, wiszących bez polotu na korpulentnej koleżance. Nie zaniedbanych skórek u paznokci, chociaż wydawało się, że dłonie pianistki powinny być zadbane koncertowo. I przecież nie mogła zazdrościć samotnych wieczorów, bo Kinga nie miała szczęścia do mężczyzn i ostatnio przestała już szukać kogokolwiek, tak przynajmniej twierdziła. Nie mieszkała jednak sama – opiekowała się zniedołężniałą ciotką, dla której okazała się rodziną dopiero wtedy, gdy dopadła ją choroba. Wcześniej nie interesowała się Kingą, nawet śmierć jej rodziców nie skłoniła krewnej do opieki nad dorastającą pannicą.

A mimo wszystko Kinga poświęca jej niemal cały swój wolny czas – pomyślała Ela, słuchając kiedyś opowieści Kingi o sprzątaniu, myciu, gotowaniu.

W bezosobowej kafejce wybrały dwie smakowe kawy, noszące trochę przerażające nazwy trudne do zapamiętania, jakieś słonie i tygrysy, egzotyczne zwierzęta w kubku z kawą pokrytą spienionym mlekiem, a do tego po grillowanej kanapce. Ela nie dojadła swojej.

– Za duża – powiedziała.

– To dlatego tak wyglądasz – skomentowała Kinga.

Ela uniosła brwi.

– Jesteś chuda jak szczapa – dopowiedziała Kinga. – Za bardzo. Nie dojadasz chyba?

Po raz pierwszy Elżbieta pomyślała, że może bycie szczupłym wcale nie jest marzeniem każdej dziewczyny. I może faktycznie bycie chudym nie jest aż tak apetyczne, jak jej się wydawało. Dostrzegła teraz, że chociaż Kinga miała odrobinę za dużo ciała,

to jednak dołki w jej policzkach sprawiały wrażenie, że ich właścicielka jest promienna. Zachęcały do odwzajemnienia uśmiechu. Spódnica wprawdzie nie leżała idealnie na niepłaskim brzuchu, ale pięknie opinała biodra, podkreślając talię. Biust był bez wątpienia obfity i Kinga umiała wyeksponować go głębokimi dekolcami, których nigdy się nie bała.

– Oj tam. – Westchnęła. – Takie geny. Opowiadaj, co u ciebie.

– Nic nowego... Ciotka ciągle grymasi, chyba już niedługo dam radę ją obsługiwać. Muszę grać, mam coraz więcej koncertów, częściej wyjeżdżam na więcej niż dzień. A ciotka nie znosi zostawać sama w nocy. Opiekunka przychodzi, ale robi tylko to, co niezbędne, nie przemęcza się. A poza tym dobrze. – Kinga się uśmiechnęła, potwierdzając teorię o dołkach i zarażaniu uśmiechem. – No i mam coraz więcej koncertów.

– Mówiłaś.

– Ale wcześniej mówiłam o tym z żalem w kontekście opieki nad ciotką. A teraz mówię z radością, bo granie to moje życie.

– Zazdroszczę ci tego.

– W sumie masz czego. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Ciągle ćwiczę, albo w Akademii, albo w domu na słuchawkach, bo przeszkadzam ciotce. Uczę w dwóch szkołach, cztery popołudnia w tygodniu mam zajęte. W pozostałe dni staram się ustawić jak najwięcej koncertów. Najzabawniej jest, gdy rano mam jakieś trzy audycje, w różnych szkołach, a potem zasuwam do szkoły. Czasami nie zdążam. – Zaśmiała się.

– Ale to lubisz.

– Pewnie. – Kinga wzruszyła ramionami. – Nie mogłabym żyć bez muzyki. A co u ciebie?

Ela wzruszyła ramionami. – Wszystko dobrze. Nie mam ciotki do opieki i nie muszę ćwiczyć. To znaczy ćwiczę, na siłowni. Wiesz, że nawet nie mam w domu instrumentu?

Kinga zrobiła oczy jak pięcioletówki.

W sumie nie mam o czym opowiadać – pomyślała Elżbieta. Igor zabrał ją ostatnio na jakieś przyjęcie. Była tam najmłodsza, najśliczniejsza i kompletnie nie miała o czym rozmawiać z pozostałymi gośćmi. Właściwie gośćmi, bo panie bez dodatkowego zaproszenia w pewnym momencie przeszły do innego pomieszczenia i tam już zostały do końca przyjęcia. Kelner donosił drinki i przekąski, nawet smaczne, rozmowy toczyły się wokół dzieci, nowych technologii kosmetycznych i ostatniego pokazu mody. Ani z tymi kolorowymi, nic w życiu nierobiącymi kobietami, ani z Kingą nie mam o czym rozmawiać – pomyślała z żalem.

– Czytam za to dużo – kontynuowała Ela.

– Tego ja ci zazdroszczę – odpowiedziała Kinga.

Spotkanie nie wniosło niczego specjalnego, Elżbieta miała jednak poczucie, że weszła na jakiś grząski grunt, że spaceruje po piasku w butach na wysokim obcasie i nie daje rady iść do przodu. Odwiedziła w drodze do domu kilka sklepów, z których wyszła z dużymi torbami zakupów.

– Wow, efektownie! – Igor pewnego dnia wszedł do garderoby i dostrzegł, że jest już pełna. W ogóle nie zauważył procesu jej zapełniania. Zdawało mu się, że wisi tam zaledwie kilka ubrań, a tymczasem było ich już bez liku. – Bomba – powiedział, zerkając w stronę szuflady z kolorową bielizną. – Mam dla ciebie niespodziankę. Bądź w domu dzisiaj około szesnastej.

Kiwnęła tylko. Z doświadczenia wiedziała, że Igorowi nie należy zadawać pytań, kiedy nie chce na nie odpowiadać. I tak nie powie, a będzie niezadowolony i mrukliwy.

Zjedli śniadanie, Igor wyszedł, miał spotkanie ze zleceniodawcą, jak coraz częściej zresztą. Często go w domu nie było. Właściwie od dawna już go nie było. Znikał na całe dni. Spotykał się z ludźmi, siedział w swoim studiu lub po prostu łąził po ulicach. Zawsze z aparatem.

Był już nie tylko uznanym fotografikiem. W ślad za uznaniem poszły sute gratyfikacje, był więcej niż zamożny. Właściwie gdyby rzucił pracę i nie szastał pieniędzmi, mógłby do końca życia nie pracować. Nie wyobrażał sobie tego jednak. Kochał swoją pracę. Kochał studio, które wynajął na piętnaście lat i dostosował do swoich potrzeb. Znajdowało się na obrzeżu miasta, budynek stał niedaleko autostrady i miał wygodny parking, co było nie bez znaczenia. Igor często wynajmował scenografie do swoich zdjęć. Bywało, że zjeżdżały na sesję dwie lub trzy ciężarówki, w mieście ciężko byłoby wygodnie wszystko rozpakować, przygotować. Tutaj miał luz. Uwielbiał tę pracownię, wcześniej miał ich już kilka, dopiero ta spełniła jego oczekiwania. Zrobił sobie nawet małą ciemnię, chociaż od dawna już pracował na cyfrówkach, z sentymentu jednak czasami robił zdjęcia analogowe, wtedy sam wywoływał klisze. Czuł się wtedy młodym, pełnym marzeń chłopakiem z czarnymi, sterczącymi włosami. Właściwie nic się nie zmieniło – pomyślał kiedyś. – Włosy sterczą mi jak dawniej i są tak samo czarne. Plama też jest na swoim miejscu. Tylko marzenia się ziściły, a mnie się nie chce wymyślać następnych. To pewnie oznacza, że jestem spełniony.

Na stałe Igor miał dwóch współpracowników, chociaż i tak zawsze wszystkiego osobiście doglądał i sprawdzał każdy detal. Współpracownikom pozostawiał kwestie techniczne i organizacyjne. Tych ostatnich było coraz więcej, właściwie jeden z chłopaków powoli przekształcał się w sekretarza. Dzięki nim Igor mógł wychodzić z aparatem w plener, nie przejmując się niewykonaną pracą.

Nie zastanawiał się, dlaczego chodzi z aparatem po ulicach. Zakładał wtedy czarną długą bluzę z kapturem, bez żadnych napisów. Na nogach zwykle miał szare, mocno zniszczone, a nawet często brudne, niemarkowe sportowe buty. Są bardzo wygodne – tłumaczył sobie fakt, że ich wciąż nie wyrzucił. To były jedyne jego buty, które miały więcej niż dwa lata.

Gdy urządził apartament w luksusowym wieżowcu, wierzył, że będzie to gruba kreska, która oddzieli go od wcześniejszego życia. Budował ją meblami projektowanymi na zamówienie i najmodniejszymi kolorami na ścianach. Dopiero za jakiś czas uświadomił sobie, że w jego ucieczce wcale nie chodzi o puchate dywany i inteligentne wyposażenie domu. Nie wstydzę się biedy – pomyślał kiedyś. Tak naprawdę to był z niej dumny. W wywiadach często opowiadał o pracy w polu, dojeniu krów, internacie. Podkreślał to jako swój atut – człowieka znającego życie, który własną pracą wspiał się tam, gdzie chciał. Uciekam od czegoś, czego zapomnieć się nie da. Nigdy nie zapomnę Kamili – pomyślał. Mieszkanie jednak było już urządzone, lśniło przepychem, który z czasem Igor zaczął uważać za nowobogacki. Nie chciało mu się już jednak nic zmieniać. W końcu, taki luksus pasuje do mojego wizerunku – pomyślał kiedyś i więcej się nad tym nie zastanawiał.

Igor często wolnym krokiem przemierzał ulice Warszawy, czasem Starówki, częściej Woli lub Pragi. Nie interesowali go turyści. Tylko prawdziwi ludzie znajdowali się w kadrze. Zawsze bez twarzy. Dłonie, sylwetka. Czasem grzebiący w śmietniku, czasem karmiący gołębie. Częściej ludzkie sylwetki były tylko dopełnieniem – główną rolę odgrywały budynki. Sypiące się tynki, zaśmiecone podwórza, balkony podparte deskami lub dykta w drzwiach zamiast szyby.

Igor często żałował, że nie można zdjęciem uwiecznić zapachu. Kapusta, groch, bigos. Świeży chleb z piekarni za rogiem. Albo żeby słyhać było dźwięk. Siatka z nadrukiem z marketu, w środku dzwoni butelka z wódką, obok prześwituje kawałek salcesonu, pachnie chleb. To by było zdjęcie! – wzdychał.

Zdjęcia Igora dlatego jednak cieszyły się powodzeniem, że w nich czuć było ten zapach i słyhać było dzwonięcie butelki. Jego aparat widział to, co gołym okiem pozostawało niewidoczne.

Nigdy jednak, przenigdy, nie chodził po Śródmieściu. Okolice

placu Grzybowskiego, bogate w tradycje żydowskie i wciąż żyjące tą kulturą – zupełnie go nie interesowały. Tu Igor mieszkał. Pracował gdzie indziej.

*

Elżbieta miała wolny dzień. Kolejny z ciągu wielu wolnych dni, które mogła wypełniać wedle upodobania. Był czas, gdy ta wolność ją zachwycała. Gdy prawie trzy lata temu wzięli z Igorem ślub, zrezygnowała z grania. Patrzyła na koleżanki, które wyszły za muzyków albo wiodły samotny żywot i myślała o sobie: jestem szczęściarą. Obywała się bez codziennej walki o każde zlecenie. Bez przygotowywania ofert na audycje muzyczne dla szkół, w których większość dzieciarni miała ich muzyczne starania w głębokiej torbie. Na śmieci. Bez przemieszczania się pomiędzy trzema szkołami muzycznymi, łapania chałtur, przygrywania na ślubach i do kotleta. Wszyscy byli wykształconymi akademicko muzykami, a ledwo wiąźali koniec z końcem, wykonując przeróbki popularnych melodii. O ćwiczeniu repertuaru, rozwijaniu się nie było nawet mowy. Spotykała się czasami, rzadko, coraz rzadziej, z kolegami, z rozrzewnieniem wspominali studenckie czasy i ćwiczenie, godziny spędzane przy instrumentach, na które wtedy tak narzekali.

W pierwszych miesiącach czuła się szczęśliwa, naprawdę wolna, jak jej się wydawało. Ćwiczenie zwykle zajmowało jej większą część dnia, teraz miała czas na przyjemności. Dzień zrobił się długi, pełen miejsca na zakupy, czytanie, spotkanie w kawiarni. Elżbieta miała czas na zadbanie o siebie, dopasowanie garderoby. Nie niszczyła sobie rąk sprzątaniami, nie musiała gotować, chociaż czasami chciała. Nie bardzo jednak miała motywację – Igor często jadał na mieście, ona

zjadała posiłek przygotowany przez panią Jadwigę. Początkowo starsza pani, dorabiająca trochę do emerytury, zamierzała przygotowywać jedzenie tylko dla Eli.

– Niech pani zje ze mną, proszę – powiedziała Ela od razu pierwszego dnia, widząc tylko jeden talerz.

– Ja tu jeszcze pracę mam – odpowiedziała pani Jadwiga.

– Nie ucieknie. Proszę, kiepsko tak samemu jeść.

Pani Jadwiga zastanawiała się chwilę.

– Ale... pan Igor nie będzie zły?

Ela zdziwiła się pytaniem. Nie przyszło jej to głowy. Zdała sobie jednak sprawę, że wcale nie jest pewna odpowiedzi.

– Jego tu nie ma, prawda?

W czasie tego pierwszego posiłku obie czuły się niezręcznie. Właściwie dlaczego? – zastanawiała się Elżbieta. – Pani Jadzia mogłaby być moją babcią. A potem zdała sobie sprawę, że swojej babci specjalnie nie znała, a dystans tworzy pani Jadwiga. Ela uświadomiła sobie, że została postawiona w roli „pani”, obsługiwanej przez pomoc domową, która ma skrupuły, żeby jeść przy jednym stole. Jak w dziewiętnastym wieku – pomyślała wtedy.

Zjadły razem i od tego czasu przygotowane były zawsze dwa talerze. Pani Jadwiga mówiła trochę o sobie, o wnukach. Młodszy poszedł już do szkoły, najstarszy był w liceum.

– To i czasu u mnie więcej – opowiadała. – Jak byli mali, na chwilę nie można było ich spuścić z oka, szczególnie tego najmłodszego. Był w kilku miejscach naraz. – Uśmiechała się. – A teraz to już tylko popołudniami mnie potrzebują, ze szkoły odebrać, obiad dać, w lekcjach pomóc.

– Ale pewnie jest pani zmęczona?

– Jestem. – Przytaknęła. – Ale jestem też przyzwyczajona do pracy z dziećmi. Całe życie radziłam sobie z maluchami, to

i teraz dam radę.

– Miała pani dużo dzieci? – zainteresowała się Elżbieta.

– Nie. – Pani Jadwiga zdziwiła się pytaniem. – Pani nie wie, no przecież. Byłam nauczycielką, najpierw uczyłam w klasach najmłodszych, potem przeniosłam się do świetlicy. Nikt tam nie chciał pracować, a ja to uwielbiałam. Dzieci przychodziły po szkole, trochę znudzone, miały potrzebę się wybiegać, wykrzyczeć nawet, a ja lubiałam organizować im czas. Wykorzystywałam tę energię. E tam, dawne czasy. – Machnęła ręką. – Ale i tę pracę lubię – powiedziała po chwili. – Ładnie tu u pani.

Było ładnie. Elżbieta nie wprowadziła żadnych poprawek. Mieszkanie zostało takie, jakie wymyśliła je znana architektka.

– Kolorowo. – Ela westchnęła. Pani Jadwiga tylko kiwnęła. – Trochę jak dla mnie za bardzo – powiedziała jeszcze cicho Ela i zmieniły temat.

Właściwie powinnam częściej zapraszać rodziców – pomyślała Elżbieta. Do ich mieszkania na Kole kilkakrotnie przyjeżdżali Czajkowie, Ela z Igorem nocowali wtedy na materacach albo skrzypiących polowych łóżkach. Igor chodził wtedy zdenerwowany i tłumaczył to niewyspaniem. Rodzice nie czuli się swobodnie, ale tutaj było więcej miejsca, mogli mieć swój pokój. Zadzwonię do nich – pomyślała.

Elżbieta miała dużo czasu, ale rzadko dzwoniła do rodziców. Raczej zdawkowo informowała ich o swoich sprawach. Matka była zachwycona, gdy dowiedziała się, że córka nie musi pracować. Gdy zdała sobie sprawę, że ten potargany czarnowłosy chłopak wyrósł na słynnego fotografa. Kiedyś Ela próbowała się poskarżyć na puste dni, wypełniane nic niewnoszącymi zajęciami – matka nie zrozumiała. Ojciec zwyczajowo się nie wtrącał, ciągle zresztą publikował, miał dużo zajęć i swoich spraw, chociaż nie uczył już na uczelni.

Młodzi sporadycznie także utrzymywali kontakt z rodzicami

Igora. Przyjechali raz i drugi. Matka źle czuła się w Warszawie, było jej za głośno i za szybko.

– Przyjedźcie wy do nas – przekonywała. – Odpoczniecie. Świeże powietrze dobrze wam zrobi i na wszelkie kłopoty, zdrowotne także, pomoże.

Nie mówiła tego głośno, Ela jednak doskonale rozumiała aluzje. Ukradkowe spojrzenia rzucane na jej płaski brzuch, westchnienia podczas telewizyjnych reklam, na których uśmiechnięte bobasy prezentowały szczęśliwe pupy smarowane stosownym kremem. Igor czasami o tym wspominał, warunki mieli idealne, a jednak...

Igor, chociaż go często nie było, okazywał Eli dużo czułości. Często całował ją w czubek głowy, co przy różnicy wzrostu nie było trudne. Z czasem ten rytuał zastąpił wszystkie inne gesty. Kochali się, owszem, sypialnia nie służyła tylko do spania. Co jakiś czas Igor ze smutkiem komentował pojawiające się w łazience podpaski Eli. Zostawiała je tam z premedytacją, mogła przecież włożyć do szafki. Nie przyznała się Igorowi, że założyła u lekarza spiralę. Ona, chociaż o tym nie mówiła, nie planowała dzieci. Z tym że nie potrafiłaby odpowiedzieć, dlaczego.

Co zatem zamierzała? Nie wiedziała.

Teraz Ela siedziała, Igor znacząco górował nad nią. Pochylił się w standardowym geście cmoknięcia żony w czubek głowy, zatrzymał nos w jej włosach, wdychając zapach szamponu.

– Jak zwykle, zniewalająco pachniesz – powiedział.

Odwróciła się do niego całym ciałem. Uśmiechnęła się, wstała i przytuliła do jego torsu.

Ten dzień włókł się Eli przeokropnie. Zastanawiała się nad wykupieniem bardziej intensywnego kursu hiszpańskiego, bardziej dla zabicia czasu niż z potrzeby nauki. Wkrótce miała zdawać na C1, mówiła płynnie, a materiał z zajęć sumiennie

powtarzała przez cały tydzień. Miała wrażenie, że nie byłaby w stanie przyswoić go więcej.

Chodzenie po galeriach nudziło ją. Czytała książki, ale ileż można. Chodziła na siłownię. I miała nieodparte wrażenie, że życie przecieka jej przez palce. Było jej właściwie obojętne, gdzie spędza czas. Została więc w domu, oczekując szesnastej. O której miało wydarzyć się „coś”, nieokreślone bliżej przez Igora.

O szesnastej dziesięć odezwał się cichy dzwonek prywatnej windy. Igor otworzył drzwi i powiedział – gotowa?

– Jak zawsze – odpowiedziała, chociaż nie miała pojęcia, na co.

Za Igorem z windy wyszło dwóch tragarzy. Wieźli dużą paczkę zapakowaną w gruby karton, z napisami w różnych językach. Angielski, francuski, niemiecki, rosyjski i egzotyczne znaki kanji.

Japońskie znaki? – Zdziwiła się. Potem przeczytała angielskie napisy.

A potem nie myślała już nic, patrząc, jak dwóch monterów dokreca nogi i składa niewielki elektroniczny fortepian Yamaha. Biały. Żaden prawdziwy instrument nie mógł być aż tak mały. Najmniejszy, jaki widziała, ze strunami skrzyżowanymi mocno jedno nad drugimi, mocniej niż zazwyczaj, miał metr dwadzieścia. Wydawał się zabawką. Ten, który montowano właśnie w jej bibliotece, właściwie pozbawiony był pudła rezonansowego, składał się z klawiatury i niewielkiego wybrzuszenia. Patrzyła bez słowa, z błyszczącymi oczami.

Dopiero następnego dnia, gdy Igor wyszedł z domu, Ela położyła dłonie na klawiaturze. Poprzedniego dnia otworzyła go, dotykała, ale nie grała. Wyciągnęła z biblioteki karton z nutami, nie rozpakowała go wcześniej, nie wierząc w ich przydatność. Wieczorem siedziała nad zakurzonymi nutami, przeglądając je i zastanawiając się, co mogłaby swobodnie zagrać po kilku

latach przerwy. Doszła do wniosku, że nic. Odłożyła na bok Chopina, odłożyła Beethovena i Bacha. Po zastanowieniu odłożyła też Scarlattiego i pozostałych klawesynistów. Kupka z odłożonymi nutami rosła, po namyśle zostawiła sonaty Mozarta i Sceny dziecięce Schumanna.

Igor miał nadzieję, że sprawił przyjemność żonie. Fortepian był drogi, ale nie to stanowiło zgrzyt. Bardziej chodziło o to, że on wcale nie chciał instrumentu w domu. Bał się. Pamiętał to uczucie, gdy marznąc na Nowym Świecie, czekał na Elę, która zapamiętale ćwiczyła, tracąc poczucie czasu i rzeczywistości. Wtedy był pewien, że przegrywa z muzyką, że on jest na drugim miejscu. Teraz też się tego obawiał.

Długo namawiał żonę, żeby zrezygnowała z niepewnego zawodu pianistki. Nie musiał roztaczać barwnych wizji długich tras nazywanych koncertowymi, które były przemieszczaniem się z chałtury na chałturę, życia na walizkach wśród pokoi trzeciorzędnych hoteli, ciągłego pośpiechu, by zdążyć na kolejną lekcję i jeszcze jedno „granko”. Ela sama doskonale zdawała sobie sprawę, że światła wielkiej sceny są dla nielicznych, a warunkiem wcale nie jest muzyczny geniusz. Lub nie jest jedynym. Poza tym liczył się łut szczęścia i ktoś, kto pomoże na te sceny wejść. Mogłaby to być wytwórnia płytowa albo trafienie pod skrzydła doświadczonego impresario. To był zwyczajny show biznes, te same zasady, tylko kasa i splendor mały. Znaczący wpływ na decyzję Eli miała matka. Karolina cieszyła się z sukcesów córki, jednak żywiła przekonanie, że rolą kobiety jest być, pachnieć i wychowywać dzieci, najlepiej z pomocą nianiek.

– Ja nie miałam takiego życia, ty, dziecko, swojego nie zepsuj
– powiedziała kiedyś do córki. Elżbieta chciała wtedy zapytać, czy naprawdę uważa swoje życie za zmarnowane, czy tata o tym wie i czy ona sama, jej córka, powinna się czuć z tego powodu winna. Zostawiła jednak komentarz dla siebie.

– Córko, zostaw to granie. Wygląda na to, że Igor będzie cię

jednak w stanie utrzymać, korzystaj z tego i nie waż się nawet myśleć o zarabianiu! Jeszcze mu przyjdzie do głowy zarabiać mniej!

Jednak będzie w stanie utrzymać? – przemknęło wtedy przez głowę Eli.

Wiele takich rozmów odbyła Karolina z Ela jeszcze przed ślubem. Igor całkowicie ją popierał. Muzyka zabierze mi Elżbietę – nie miał wątpliwości. – Muszę być pierwszy. Muszę ja zabrać ją muzyce. – Pomyśl jeszcze, kochana – tłumaczył wtedy narzeczonej – przy dzieciach nie dasz rady koncertować. Albo albo, a przecież chcemy mieć rodzinę, prawda?

– Mam nadzieję, że dużą – dodała kilka razy Karolina.

Ela łatwo dała się przekonać. Skuszona beztroskim gospodarzeniem za pieniądze Igora, które od dawna już zapewniały bajecznie dostatnie życie, odpuściła. A teraz znów Igor bał się, że jego żona wróci do grania i bardzo tego nie chciał. Pożałował decyzji o kupnie białego fortepianu w momencie, gdy zobaczył błysk w oczach żony.

Czekał w sypialni, czytając nieuważnie książkę. Odłożył ją, gdy Ela weszła do sypialni, w koronkowej koszulce w kolorze rozbielonej pomarańczy. Dawno nie widział u niej takiego zadowolenia na twarzy.

Pani Jadwiga nie przychodziła we środy, Ela zostawała sama, na ogół bała się śród. Wynajdowała sobie wtedy zajęcia, chodziła na zakupy, planowała wycieczki. W tajemnicy przed mężem oglądała też fora dotyczące zwierząt, marzyła o kocie, o którym Igor nie chciał nawet słyszeć. Nie było rozmowy – nie i kropka. Nie chodziło o to, że kot brudzi. Że trzeba się nim zajmować – i tak robiłaby to Ela. Że weterynarz, żwirek i kocie jedzenie kosztują – pieniądze w ogóle nie były problemem. Po prostu nie. Więc chociaż oglądała sobie zdjęcia, czasem wchodziła do sklepu zoologicznego, nigdy jednak nie przeszło jej przez myśl, by sprzeciwić się mężowi. Chociażby papużką. Na

środy Elżbieta miała zaplanowane indywidualne zajęcia z trenerem i wizytę u kosmetyczki. Tej środy odwołała wszystko.

Ponownie usiadła na podłodze, po turecku, i przeglądała nuty. W końcu wzięła Mozarta i otworzyła klapę. Przy białym fortepianowym stołku ciężko chodziły pokrętła, długo dopasowywała wysokość.

Przecież zrobię to tylko raz – pomyślała, gdy opór materii zaczął ją irytować. Usiadła i po prostu dotykała klawiatury.

Pierwsze dźwięki były nieporadne. Zupełnie jej to nie zezłościło. Włączyła metronom wbudowany w instrument, zwolniła trochę jego miarowy stukot i zaczęła grać. Myląc się, powtarzając fragmenty po wiele razy, w kółko i w kółko. Rozczytała w ten sposób dwie strony, była podekscytowana.

Wstała od instrumentu głodna. Do tej pory rzadko gotowała w ich eleganckiej kuchni. Teraz zrobiła sobie szybko kanapkę, po czym dokładniej obejrzała wnętrze lodówki. Poza światłem był tam kawałek żółtego sera, pół kostki masła i dwie miski z pozostawionym przez panią Jadzię obiadem. Resztkę wędliny zjadła chwilę wcześniej. Zwykle zakupy robiła pani Jadwiga.

Nie zastanawiając się długo, Ela chwyciła torebkę i wyszła. W najbliższym sklepie, którego istnienie wcześniej ledwie zakonotowała, kupiła kawałek schabu, suszone śliwki, ziemniaki i trzy marchewki. Po namyśle dorzuciła jeszcze paczkę makaronu, pleśniowy ser i śmietanę. Wróciła po cebulę. Gorączkowo rozmyślała, co jeszcze włożyć do koszyka. Powinnam zrobić listę zakupów – pomyślała. Tak zawsze robiła jej mama. Obmyślała potrawy, które chciała przygotować. Potem analizowała, co będzie potrzebne do ich przyrządzenia i sprawdzała, czego brakuje. Na bieżąco przeglądała lodówkę i te kilka szafek, które zmieściły się w niewielkiej kuchni.

Elżbieta kuchnię miała dużą, a do niektórych szafek nigdy nawet nie zaglądała. Nie wiedziała więc, że ma w mieszkaniu obficie zaopatrzoną spiżarnię.

Gdy wróciła do mieszkania i rozłożyła zakupy na blacie, od razu uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, gdzie są garnki i rondle. Zamierzała upiec schab. Ze śliwką, jak robiła to jej mama. Do tego pieczone ziemniaki i surówka z marchewki. Naszła ją wielka ochota na ruskie pierogi, ale nie miała pojęcia, jak się do nich zabrać.

Gdy Igor wrócił do domu, przywitał go zapach pieczeni i nieprawdopodobny rozgardiasz w kuchni.

– Tajfun? – zapytał skrzywiony. – Co tak pachnie? – dodał po chwili.

– Tajfun ze śliwkami, zawinięty w schab – odpowiedziała.

– Rewelacja. – Cmoknął żonę w czubek głowy. – A nie mogła tego zrobić pani Jadwiga?

– Mogła, ale dzisiaj jej nie ma.

– Przecież można coś zamówić. – Wzruszył ramionami.

Elżbieta już podawała talerze.

Schab się rozpadał, ziemniaki były niedopieczone, za to surówka – chociaż niedoprawiona – znakomita. Ela trafiła na świeżą, soczystą marchew.

Dopiero następnego dnia pani Jadwiga doczyściła kuchnię. Elżbiecie cały czas wydawało się, że jest już czysto, Igor wciąż znajdował jakieś brudne miejsca. Błat, piekarnik, podłoga. Wskazywał je żonie, uśmiechając się, bez złości, ona jednak odbierała to jako afront. Nie chcąc się kłócić, po prostu położyła się wcześniej, chociaż zwykle siadali razem przed telewizorem.

– Nie dziś. Trochę źle się czuję – powiedziała mężowi, gdy wskazał na miejsce obok siebie. Na kanciastej kanapie, do której Ela już przywykła. Tego wieczora położyła się z zamiarem poczytania książki, szybko jednak zasnęła. I spała jeszcze, gdy Igor, wyjątkowo wcześniej, wychodził. O ósmej rano miał umówione spotkanie w galerii zainteresowanej wystawą jego prac. Nie lubił takich ekspozycji. Na wernisażach tłoczyło się

mnóstwo osób, padały podniosłe słowa i lało się darmowe prosecco zagryzane tartinkami. Było elegancko i pachniało pieniędzmi. W praktyce sprzedawało się kilka prac, dwie, trzy, a i to tylko te, które znalazły nabywców podczas wernisażu. Potem zdjęcia wisiały, w rogu przy białym biurku z metalowymi nogami siedziała pani wypełniająca czasem jakieś druki, częściej grająca w pasjansa lub śledząca aktualności na plotkarskich stronach internetowych, a oglądających widać było raz na tydzień. Nie chciał jednak odmawiać.

Zdecydowanie wolał współpracować z galeriami w Paryżu czy Londynie. Tam wystawcy troszczyli się o sprzedaż wystawianych prac. Podobnie zresztą w Stanach, ale tam do tej pory Igor miał tylko jedną wystawę. Bolał nad tym, bo nie mógł być na wernisażu, i tym tłumaczył sobie brak kolejnych propozycji. Zdjęcia jednak zostały sprzedane wszystkie.

Igor wciąż pracował na swoją renomę, chociaż właściwie już ją miał. To galerie zabiegały o niego, nie tylko polskie. Amerykańskie też miały się o niego upomnieć, ale dopiero za kilka lat. Do tego czasu Igor wystawiał w całej Europie, zrobił wiele projektów reklamowych i artystycznych. Tylko w ciągu ostatniego roku dwie uczelnie zgłosiły się z propozycją poprowadzenia kilkutygodniowych wykładów. Jeszcze do nich nie doszło, ale wszystko było na najlepszej drodze. Igor postawił kilka warunków, nieprostych – uczelnie musiały zapewnić między innymi sprzęt do poprowadzenia warsztatów.

– Wykład na temat fotografii to fikcja – twierdził stanowczo Igor. – Zdjęcia trzeba robić, eksperymentować z nimi. Tylko wtedy ma to sens.

Wszystko jednak wskazywało na to, że współpraca z uczelniami dojdzie do skutku. Coraz częściej jego zdjęcia osiągały imponujące ceny na różnych aukcjach. Nie chwalił się tym, Ela tylko co rusz dostrzegała kolejną statuetkę, figurkę, medal, które lądowały w eleganckiej witrynie. Była zielona i stała na tle czerwonej ściany w salonie pomiędzy drzwiami do

biblioteki a korytarzem do gościnnej części mieszkania. Gromadzone w niej trofea miały często ciemne, wyraziste kolory. Ela lubiła im się przyglądać, ale nie odczuwała potrzeby dotykania, a już tym bardziej ich odkurzania. Robiła to pani Jadwiga i tak naprawdę to ona najlepiej wiedziała, w jakim tempie ich przybywało.

Ela obudziła się późno, było prawie wpół do dziesiątej. Pani Jadwiga już przygotowała śniadanie, gdy Elżbieta wyszła spod prysznicza, jeszcze rozgrzana i nieuczesana.

– Nowy mebel. – Pani Jadzia wskazała fortepian.

Elżbieta tylko kiwnęła. Bez słowa podeszła i zaczęła grać. Jej zdaniem nieudolnie, za wolno i z rytmicznymi błędami, ale pani Jadwiga była zachwycona.

I ten zachwyty udzielił się Elżbiecie. Tego dnia ćwiczyła blisko trzy godziny. Następnego też. A potem codziennie, coraz więcej, z coraz większą przyjemnością.

Aż pewnego dnia uznała, że chciałaby przed kimś zagrać. Był wrzesień, dokładnie dwunastego.

Piękny dzień – pomyślała, ubierając się i malując. Wychodziła na hiszpański. – Piękny dzień na piękne granie.

W szkole językowej było pianino. Zamierzała zagrać na nim zaraz po zajęciach. Nikomu się nie tłumaczyć i o nic nie pytać. Po prostu usiąść i zagrać.

Nie mogła się skupić na lekcji, ale swój plan przeprowadziła. Zatrzymali się wszyscy – lektorzy, kursanci. Dzieci, dorośli i właścicielka szkoły. Bili brawo, domagając się więcej.

– Nie umiem – powiedziała Elżbieta z rozbrajającą szczerością.
– Dzisiaj tylko tyle.

A potem prosili za każdym razem.

– Chociaż coś – mówili.

Kilka razy zagrała Marzenie Schumanna, ćwiczyła coraz

więcej, traktowała każdą czwartkową lekcję w szkole jak minikoncert.

– A może kiedyś zagrałabyś ze mną? – zagadnął ją pewnego dnia Emanuel, jeden z lektorów.

– Ja? Z tobą? – Miała nadzwyczaj głupią minę.

– Gram na klarncie, trochę nieudolnie, czasami grywam w knajpie, wieczorami. Może chociaż ze dwa kawałki... Tylko wiesz, za to nie płacą. – Uśmiechnął się przepaszająco.

– Tylko... wiesz, ja jestem trochę upośledzona. Gram tylko z nut. Nie umiem improwizować, a ty pewnie bardziej jazzujesz albo coś...

Na chwilę uśmiech znikł z twarzy Emanuela.

– Ale... – zawahał się – mam dwa utwory z nut. Dawno ich nie grałem, musiałbym sobie przypomnieć...

– To może przynieś mi nuty, a sam sobie przypomnij.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał zniecierpliwiony.

– W Warszawie – odpowiedziała odruchowo. – To znaczy, przy placu Grzybowski, niedaleko.

– Może jutro ci podrzucę?

Zastanowiła się chwilę.

– Może się gdzieś umówimy?

– Kawa? – Odpowiedział uśmiechem. – Bo to granie musiałoby być w ten weekend.

– Nie da rady. – Pokręciła głową. – Muszę rozczytać, nauczyć się, wyćwiczyć, a ja dawno nie grałam.

– Ostatnio dzisiaj. – Przerwał jej. – To jest proste.

– Daj mi swój numer – powiedziała.

Wieczorem Igor zaprosił ją na kolację. Mieli niedaleko wieżowca knajpkę, nawiązywała do wciąż żywych w tym miejscu

tradycji żydowskich, obecnych w kuchni i w wystroju. Te charakterystyczne smaki jakiś zdolny kucharz wymieszał z kuchnią francuską i dodał trochę nowoczesności. Mieszanka była zaskakująco harmonijna, lubili tam chodzić.

– Pewnie się przestraszyłeś, że znowu zacznę gotować? – zagadnęła, gdy już siedzieli przy swoim ulubionym stoliku, w kącie, na samym końcu, przy wielkiej szybie, która otwierała widok na plac Grzybowski.

– To z wdzięczności, że chciałaś dla mnie wczoraj coś ugotować.

Zamówili, przy okazji Ela poprosiła o przygotowanie jej ulubionego gatunku chleba, wypiekanego tutaj na miejscu.

– Dużo ostatnio grasz – powiedział Igor, gdy już kelnerka odeszła od stolika.

Wzruszyła ramionami.

– Widzę po nutach. Ciągłe się zmieniają.

– Próbuje. Trochę tego, trochę tego. Nic mi nie wychodzi – odpowiedziała odruchowo.

– Nie wychodzi? Dwadzieścia lat grałaś.

– Ale miałam przerwę. A w muzyce to jest tak, że jeśli nie ćwiczysz...

– To się cofasz. – Przerwał jej.

– Właśnie.

Od tego dnia nuty po ćwiczeniu Elżbieta układała zawsze w taki sam stosik. Sama nie wiedziała, dlaczego. Igor spostrzegł to po kilku dniach i odetchnął, że fortepian nie pochłania już jego żony aż tak mocno. Właściwie nie wiedział, dlaczego go to niepokoi. Ot, fanaberia bogatej młodej kobiety, która nie ma dzieci ani zwierząt.

Igor z tęsknotą myślał o dzieciach. Nie bał się pełnych pieluch, chociaż niepokoiła go myśl o odciskach brudnych

paluszków na gładziach apartamentu. Nie martwił się tym jednak, podobnie jak nie trapiło go wyobrażenie porozrzucanych zabawek. Przerażała go myśl, że dziecko może umrzeć, tak jak już jedno umarło.

Nie mógł zapomnieć o Kamili. Elżbieta była cudowna, uwielbiał ją. Był gotów zrobić dla niej wszystko, prawie wszystko, ale bał się. Mieszkanie kazał zapełnić kwiatami o dużych zielonych liściach, które nigdy nie kwitną, nie uczulają więc. Zwierzęta były wykluczone, rozsiewały alergeny w sierści, ślinie i całym swoim jestestwie. Brudziły. Kurz mógł zaszkodzić, więc pani Jadwiga przychodziła do nich trzy razy w tygodniu. Igor nie wierzył, że Ela poradzi sobie ze sprzątaniem. Świat Igora miał pozostać uporządkowany i czysty.

On swoje emocje przeżywał w studiu. Fotografował gwiazdy, przygotowywał najdroższe kampanie reklamowe. Miał coraz więcej indywidualnych wystaw i coraz więcej wpisów w kalendarzu. Do niedawna planował na rok do przodu, teraz już dostawał propozycje z wyprzedzeniem trzyletnim. Najwięcej adrenaliny jednak dostarczało mu wychodzenie z aparatem na ulicę. Tam obserwował życie, jakiego nie można było stworzyć w atelier. Tam podglądał. Rzadko fotografował twarze, jednak w samej sylwetce człowieka dostrzegał całe jego życie. Złapał migawką pomarszczone ręce staruszki sprzedającej na rogu tulipany wiosną. Kiedyś szepnął jej, że idzie straż miejska, zniknęła, zanim się zorientował. Potem kilkakrotnie uśmiechała się do niego, gdy przechodził мимо, pewnego dnia nawet ofiarowała kilka tulipanów. Wzbraniał się, ale uznał, że robi jej przykrość. Zabrał więc kwiaty i zostawił w kawiarni, do której wszedł na chwilę. Zamówił kawę, ale wszedł tam po to, żeby zostawić kwiaty. Nie mógł zabrać ich do domu, kwiaty pachniały.

Potrafił w zgarbieniu pleców bizneswoman na szpilkach pokazać konsekwencje niewykonania miesięcznego planu. Sfotografował kiedyś stojące przed wielką witryną sklepową,

ustawione do niego tyłem dwie dziewczyny. Z całych ich postaci wyczierała chęć posiadania – nowych ubrań, butów, kosmetyków. Ich sylwetki zapowiadały galerianki. Igor widział aparatem ludzi, chociaż jego bohaterowie byli bez twarzy. Bez obiektywu Igor nie był już tak spostrzegawczy.

Cieszył się, że sprawił przyjemność żonie, nie miał jednak zamiaru pozwolić jej grać zawodowo. Ta praca wiązała się z wyjazdami, bałaganem, nieobecnością. Z niebezpieczeństwem. Nie mógł na to pozwolić.

Ela nie zamierzała go drażnić. Grała dla siebie, coraz więcej, ale na spotkanie z Emanuelem poszła. Była ciekawa tych nut, nigdy nie grała nic poza klasyką. Umiała rozczytać skomplikowany zapis nutowy, ale musiał układać się w logiczne z jej punktu widzenia przebiegi. Nigdy nie próbowała sił w dziedzinie, która wymagała uruchomienia wyobraźni inaczej. Wyjścia poza zapisany schemat, stworzenia własnych figuracji, twórczego połączenia fraz. Była ciekawa jazzu i gdy usiedli przy stoliku, od razu sięgnęła po nuty.

– Latte – powiedziała tylko do Emanuela, który uśmiechnął się z zadowoleniem. Ela przeglądała nuty tak zachłannie, że nie miał wątpliwości – będzie miał akompaniatorkę.

– Dawno z nikim nie grałam – powiedziała, odkładając nuty, gdy Emanuel wrócił do stolika.

– Mówiłaś. – Kiwnął głową, jakby potwierdzając tę wiedzę. – To zagrasz.

– Przecież nie wiesz, jak gram.

– Słyszałem.

– Brzdąkanie na rozstrojonym pianinku.

Wzruszył ramionami.

– Mam salę na jutro, na szesnastą.

– A wcześniej? Wolałabym trzynastą. – Elżbieta pomyślała, że

o czwartej Igor może być już w domu. Nie chciała się tłumaczyć.

Emanuel pokręcił głową.

– Dobrze. Do tego czasu rozczytam. Zobaczymy – powiedziała zamyślona.

Ćwiczyć zaczęła od razu po przyjściu do domu. Poszło gładko. Tekst nie był trudny, chociaż czasami zapominała o przykluczowym gis.

Trzy krzyżyki, trzy krzyżyki! – strofowała się. – A-dur! Zapamiętaj!

Szybko jednak i gis wskoczyło na swoje miejsce, jednak kłopot sprawiał jej rytm. Włączyła metronom, po czterdziestu minutach była zadowolona. Potrafiła zagrać dokładnie to, co było w nutach.

Schowała je potem w sam środek sterty pozostałych nut, wyrównując starannie brzeg.

Przywitała Igora uśmiechnięta, w piekarniku odgrzewała przygotowany dzień wcześniej przez panią Jadzię obiad.

– Czy cały dzisiejszy wieczór będzie tak apetyczny? – zapytał Igor, obejmując żonę.

– Cały – odpowiedziała, całując go w usta.

– Ty nic nie masz pod spodem! – powiedział, wkładając ręce pod jej bluzkę.

– Ależ skąd! – Szeroko otworzyła oczy. – Tylko patrz!

Zsunęła spodnie i odwróciła się do niego tyłem. Znad dzinsów widać było pasek czerwonych stringów.

– I ty chcesz, żebym ja teraz zjadł kolację?

– Ty nawet na pewno będziesz teraz jadł kolację. Bo możesz nie mieć siły...

Wieczór i część nocy były gorące, emocjonujące. Poranek też. Elżbieta ucieszyła się, gdy Igor powiedział jej, że będzie dopiero

około dwudziestej.

– Zdjęcia do kampanii robimy – powiedział, dopijając poranną kawę.

– Mam dziś w planach wizytę w centrum handlowym, poszwendam się trochę. Dam radę – odpowiedziała.

Nie szykowała się specjalnie na próbę. Czarnowłosa Emanuel jej się nie podobał, chociaż jego włosy były miękkie i sięgały ramion. Układały się w gęste fale, czasami spinał je w kitkę, a Elżbieta lubiła facetów z długimi włosami. Hiszpan był niewysoki, w przeciwieństwie do Igora, i miał wyrazistą mimikę twarzy. I dużo gestykulował, także w przeciwieństwie do Igora. A Igor był dla Eli punktem odniesienia dla niemal wszystkich mężczyzn, może poza Arturem Rubinsteinem i Krystianem Zimmermanem. Dlatego teraz do codziennych dzinsów założyła wypuszczoną na wierzch koszulę i mokasyny. Tak po prostu, czasami na zakupy stroiła się bardziej.

Sala prób mieściła się w niewielkim klubie w piwnicy, w samym śródmieściu. Ela podjechała dwa przystanki tramwajem, chociaż równie dobrze mogłaby przejść ten kawałek. Pomieszczenie było ciemne i zadymione, pomimo otwartych okien i drzwi.

– Całą noc tutaj kopcą, pewnie już nigdy to nie wywietrzeje.

– Nie macie zakazu palenia?

– Teoretycznie mamy – odpowiedział barman. Przygotowywał szkło na wieczór. – Jak wszystkie knajpy. W praktyce jesteśmy klubem jazzowym, tu się gra, pije i pali. Taki feeling.

– Aha. – Zrobiła niebyt mądrą minę.

– Zaczynamy?

Ela już wcześniej dotknęła klawiszy, instrument był taki sobie. W miarę trzymał strój, ale miał nierówną klawiaturę, ciężko było utrzymać jednolitą dynamikę.

Raz kozie śmierć – pomyślała jednak Elżbieta, siadając na twardym kręconym stołku.

Próba poszła fatalnie. Rozjeżdżali się co kilka taktów, nie potrafili znaleźć wspólnego pulsu. Emanuel dość swobodnie interpretował tekst, Ela za to ściśle trzymała się zapisu.

– W cholere to nie wyjdzie. – Zirytowała się w pewnym momencie. – Nie umiem. – Poparła swoje niezadowolenie wzruszeniem ramion.

– Ile razy grałaś jazz? – zapytał ją Emanuel.

– Nigdy.

– No właśnie. Jutro kolejna próba i wieczorem gramy.

– Jakie wieczorem? Mowy nie ma! Ja muszę...

– Jesteś już na plakacie. – Barman przerwał jej wątpliwości.

– Nie możecie! Nic z tego! Ja się nie zgadzam! – krzyczała, chodząc w kółko po niewielkiej sali.

Przeczekali jej napad. Dawno tak nie krzyczała, może nigdy. Dali jej czas na wyładowanie, po czym Emanuel uściskał jej dłoń i powiedział:

– Jutro o trzynastej.

Elżbieta wiedziała, że jutro wieczorem Igor też będzie w pracy. Kiedy robił zdjęcia do dużych kampanii reklamowych, pojawiał się w domu sporadycznie. Jeśli dziś będzie w domu koło dwudziestej, jak zapowiedział, to jutro pojawi się nad ranem.

Jednak była zaniepokojona. Nigdy nie oszukała Igora. Zawsze musi być pierwszy raz. Nic złego nie robię – pomyślała, przybijając Emanuelowi piątkę.

Następna próba poszła dobrze, a występ – rewelacyjnie. Niewielka publiczność dopominała się o bis, nie było jednak z czego bisować. Mieli zrobione dwa kawałki, a na improwizację Ela nie miała odwagi.

– Słuchajcie – powiedział Emanuel ze swoim wyrazistym hiszpańskim akcentem. – Ela i ja gramy ze sobą pierwszy raz. Nie mamy więcej kawałków. Dajcie jej brawa, duże, ale bisów nie będzie. Ona jest klasyczną pianistką, nigdy nie grała jeszcze jazzu, poklaskujcie bardziej!

Jego przemowa wzbudziła aplauz.

– Jeszcze raz! Grajcie jeszcze raz to samo!

I było jeszcze lepiej. Jakby raptem Elka zrozumiała, że rytm może płynąć poza zapisem, że punktowany nie musi zawierać się w ósemce z kropką i szesnastce, ale po drodze może jeszcze mieć fermatę i accelerando jednocześnie. Potem Emanuel zagrał swoje solowe partie, a Elżbieta poczuła, że wsiąka w ten świat. Było jej tu dobrze, chociaż przeszkadzały fajki.

Ubranie po wczorajszej próbie wrzuciła od razu do pralki, wiedziała już, że będzie musiała to robić po każdym spotkaniu w klubie. Igor nie znosił papierosów. Ona zresztą też.

Od tego dnia spotykali się dwa – trzy razy w tygodniu na próbie, raz w tygodniu grali. Elżbieta wytłumaczyła Igorowi, że pomaga Kindze w opiekowaniu się ciotką, co było częściowo prawdą. Czasami pomagała.

Z każdym zagranieniem czuła się swobodniej. Ze zdumieniem odkryła, że można grać, i to dobrze, nie korzystając z nut. W sposób jej zupełnie nieznanym – dotychczas zawsze uczyła się utworu na pamięć, dokładnie, co do jednej pauzy i kropki. Potrafiła odtworzyć zapis i ściśle się go trzymała. A teraz puszczała wodze fantazji. Gdy po raz pierwszy w czasie koncertu zrobiła psikusa Emanuelowi i dodała jeden akord, z wrażenia omal nie przerwał koncertu. Zatrzymał się na chwilę, ona grała dalej, posyłając mu zawadiacki uśmiech. Włączył się po chwili w jej narrację i też zmienił odrobinę tekst. Zareagowała jak rasowy jazzman, minimalnie zwolniła, nadstawiła ucha – i podążyła za jego melodią.

W ogóle Ela miała wrażenie, że wyrosło jej dodatkowe ucho.

„Jazzmeńskie”, tak je nazwała. Słyszała nim inaczej. Gdy grała klasykę, ucho się wyłączało. Ale klasykę grała teraz rzadko, coraz rzadziej, chociaż Emanuel namawiał ją do tego.

Coraz częściej spotykała się z Kingą.

– Możesz grać dla przyjemności – wzdychała przyjaciółka. – I nie musisz jeździć na drugi koniec miasta albo i Polski. I nie musisz opiekować się ciotką...

– Nie marudź. Ty już teraz też nie musisz codziennie.

– No fakt. Nie wiem, jak ci dziękować.

– W obie strony najlepiej – odpowiedziała Ela. – Wiesz, że Igor...

– Wiem, nie mogłabyś grać. Swoją drogą, nie rozumiem tego. Wziął cię w końcu jako pianistkę, czemu nie chce, żebyś grała?

– A bo ja wiem? – odpowiedziała Elżbieta, wzruszając ramionami. – Pewnie chce mnie mieć dla siebie – powiedziała cicho.

Kinga pomyślała wtedy, że nie jest pewna, czy oddałaby swoje zmarznięte nogi podczas marszu do szkoły oddalonej od przystanku i marudzenie ciotki, i tęskne spojrzenia na witryny eleganckich sklepów – za tę jedną jedyną myśl: mogę robić, co chcę. Nikt mi nie każe, nikt mi nie zabrania. Jestem wolna. Nie powiedziała tego głośno.

Siedziały w centrum handlowym, Elżbieta tuż po próbie z Emanuelem, Kinga w drodze do szkoły. Popijały latte z cynamonem, taką lubiła Kinga. Elżbieta skusiła się na nie, chociaż nie przepadała za korzeniami. Dla towarzystwa – pomyślała. Coraz więcej rzeczy robiła dla towarzystwa. Żeby nie być sama. Żeby być z kimś. Z panią Jadwigą miksowała ciasto na naleśniki i doprawiała nadzienie do pierogów.

Grała też dla towarzystwa, nie tylko Emanuela. Lubiła klimat klubowego grania, które kiedyś kojarzyło się wyłącznie ze speluną, podstarzałymi brzuchaczami ze zbyt dużym stężeniem

we krwi i kłębami tytoniowego dymu. Tylko to ostatnie się zgadzało.

– Zaczęłaś palić? – zapytał pewnego dnia Igor.

– Nie, skądże – odpowiedziała bezwiednie i dopiero po chwili zastanowiła się, skąd to pytanie. – Kinga czasami popała – skłamała.

Od razu następnego dnia z rana napisała do przyjaciółki esemesa.

– Pamiętaj, palisz.

W odpowiedzi dostała kilka znaków zapytania.

– Bo tak. Kiedyś wytłumaczę – odpisała i od razu skasowała korespondencję.

Razem z Emanuelem grali tak przez całą zimę. Muszę w końcu powiedzieć Igorowi – myślała Ela. Nie składało się jednak. Igor pracował coraz więcej. Wracał do domu zmęczony, nie chciała psuć mu nastroju. Podawała kolację, najczęściej szykowaną przez panią Jadwigę, chociaż i jej samej zdarzało się coraz częściej coś przygotować. Igor nigdy nie pytał, po prostu zjadał. Zakładał, że jego piękna żona jest po prostu piękna, chodzi po centrach handlowych, uczy się hiszpańskiego, zawsze to lepiej mieć błyskotliwą piękną żonę niż niemotę, i od czasu do czasu, raz lub dwa razy w tygodniu, pomaga koleżance. Ot, taki odruch dobrego serca. To też dobrze, a nawet lepiej, niż gdyby pomagała w schronisku dla psów. Albo bezdomnym. Tam nie wiadomo, na kogo trafi, pies zawsze może ugryźć albo pchły się jakieś przyplaczą. A tak – i bezpiecznie, i szlachetnie.

Od kiedy zrobiłem się taki wyrachowany? – pomyślał kiedyś. Była wczesna wiosna. Tego dnia wrócił do domu wcześniej, panował tam idealny ład. Elżbieta z panią Jadwigą robiły coś w kuchni, zdziwił się, gdy zobaczył ręce żony, te cudowne dłonie o długich palcach i wypielegnowanych paznokciach, obierające buraki. W gumowych rękawiczkach.

– Coś mnie ominęło? – zapytał, stając w drzwiach.

– Ależ skąd, panie Igorze! Wręcz przeciwnie. Będą buraczki do mielonych – powiedziała pani Jadzia, a Ela tylko kiwnęła głową.

No tak, coś musi robić – pomyślał, kierując się w stronę łazienki. Spędzili uroczy wieczór.

Ela nie jadła mielonych, za to pochłonęła miskę sałaty z buraczkami. Deser popili białym schłodzonym winem, oglądali, wtuleni w siebie, *Bezsenność w Seattle*. Wybór Eli, chociaż Igor wolałby coś bardziej mięsistego. Był jednak na tyle zmęczony, że pozwolił żonie wybrać, po prostu przyjmując jej obecność. Elżbieta widziała w jego oczach zmęczenie, duży projekt przeciągał się, klient miał dziwne wymagania, a inne terminy goniły. Nie chciała zawracać mężowi głowy. Wieczorem w sypialni dobry nastrój nie mijał. Nie było jak porozmawiać.

Ela coraz częściej chwytiała krótkie improwizacje Emanuela. Pozwalała mu się wygrać, wchodziła płynnie w jego frazę, coś dogrywała od siebie, chociaż na solówkę nigdy się nie odważyła. Pewnego dnia na próbie powiedział, że chciałby zagrać coś bardziej klasycznego. Wyciągnął jeden z ich pierwszych wspólnych utworów. Ela wzruszyła ramionami, tę partię знаła doskonale, z pierwszego wspólnego występu nie pamiętała prawie nic, poza tekstem nutowym. Przegrali więc utwór, Manuel zaproponował jedno ritenuto, ona wymyśliła nowe decrescendo.

Spotkali się na koncercie. Wszystko było zgodnie z planem. Potem cola, której nie piła nigdzie indziej. Manuel poprosił o drugie piwo, gdy podeszła do nich kobieta. Wycalowali się. Elżbieta poczuła ukłucie zazdrości, które zdziwiło ją tak bardzo, że ledwie się przywitała.

– To Olena – powiedział Emanuel.

Przywitały się dość bezosobowo.

– Rozmawiałeś? – zapytała Olena, a Ela nie zwróciła na to

uwagi. Emanuel przygryzł wargę.

– Znowu! – Wysoka, czarnowłosa i bardzo szczupła kobieta się uśmiechnęła. – Zagrałabyś coś dla mnie? – Zwróciła się do Eli.

– Ja? – Ela się zdziwiła, chociaż w pobliżu nie było nikogo innego.

Olena kiwnęła, wystawiając rękę z nutami. Ela odruchowo chwyciła partyturę, zerknęła.

– Ale przecież to akompaniament. Do wiolonczeli.

– Ale zagrasz?

Ela wzruszyła ramionami.

Podeszła do pianina, zapaliła lampkę. Chwilę oglądała nuty. Potem położyła ręce na klawiaturze, po czym po prostu zagrała. Jakby grała to od lat, słyszała w tle wiolonczelę, odpłynęła. Prosty utwór, *Salut d'amour* Elgara, popłynął z niej, nadspodziewanie płynnie.

– To niesamowite – powiedziała Olena, zwracając się do Igora.
– A ze mną byś zagrała?

– Z tobą? Ale jak to... czy ty... – Elżbieta popatrzyła na Olenę z niedowierzaniem. – Przecież...

– Tylko zagraj ze mną. – Olena ruszyła w stronę zaplecza. Wyciągnęła stamtąd pokrowiec z wiolonczelą.

– Ty jesteś...

– Ciiii – odpowiedziała wiolonczelistka. – Tylko zagraj. Dokładnie to tempo, co poprzednio.

– To było a vista, musiałabym poćwiczyć...

Olena położyła palce na ustach. Ela spojrzała w nuty. A właściwie czemu nie – pomyślała.

Olena włączyła się w jej akompaniament miękko, jakby nic innego w życiu nie robiła. Zresztą, tak właśnie było. Nic innego w życiu nie robiła, ale nigdy nie grała z pianistką, która

pierwszy raz widzi nuty na oczy, w zadymionym klubie na końcu miasta. I tak gra.

Olena była przyrodnią siostrą Emanuela. Jej matka miała ukraińskie korzenie, imię kobiety było wyrazem sentymentu do kraju przodków, którego jednak nikt z rodziny nie miał ochoty odwiedzać. Być może było w niej jednak coś ze słowiańskiej duszy, bo teraz z tą chudą i niewysoką dziewczyną o bladych włosach grało jej się wyśmienicie, chociaż po raz pierwszy.

– Szukam akompaniarki – zagadnęła Olena, gdy skończyły. Mówiła po hiszpańsku, Ela nie miała problemu z jej zrozumieniem. Miesiące pracy z Emanuelem posunęły jej hiszpański daleko do przodu.

– Ale ja... – zająknęła się Elżbieta.

– Tutaj są nuty. Pierwsza próba byłaby w przyszłym tygodniu.

– Nie dam rady tyle. – Elżbieta spanikowana wzięła do ręki grubego pliku nut.

– Przygotuj, co będziesz mogła. Umówimy się przez Manuela.

I Olena skinęła na barmana, zamówiła sok jabłkowy z lodem.

– Hasta luego – powiedziała potem do wciąż zszokowanej Eli, która nie odezwała się słowem aż do wyjścia Hiszpanki z baru. Chciała porozmawiać z Manuelem, ale kiwnął jej tylko głową i wyszedł z Oleną.

Wróciła do domu taksówką. Rzadko to robiła, lubiła spacerować po Warszawie, nie miała daleko, a wiosenna pogoda akurat tego wieczora rozpieszczała. Było ciepło, dziewczyny zaczęły nosić już krótkie spódnice, na ulicach panował gwar. Był wczesny wieczór, latarnie świeciły, chociaż nie zapadł jeszcze zupełny mrok. Grupy ludzi spacerowały, przemierzały się z klubu do klubu, przez chwilę Ela nie myślała o niczym. Poczuli się tak, jak w Wiedniu podczas stypendium Igora. Tam było znacznie cieplej niż w Polsce, w centrum życie kwitło na ulicach, w knajpach. Wtedy nie było jej na to stać, pamięta

uczucie zazdrości, że można tak po prostu wyjść do miasta i ze znajomymi zjeść coś w barze. Nawet piwo w studenckich czasach kupowało się w spożywczym, było taniej.

Teraz mogłaby sobie pozwolić na prawie wszystko, a przede wszystkim ulotniła się zazdrość, to mętne uczucie ściskające wnętrzności w poczuciu: jestem gorsza. Nie było powodów do zazdrości, a jednak Ela i tak często czuła się gorsza. Była śliczna. Była pięknie ubrana. Była zadbana i poruszała się z gracją. I miała poczucie, że nic nie znaczy dla świata, chociaż opieka nad ciotką Kingi poprawiała jej samopoczucie.

To dlatego do niej chodzę? – pomyślała nagle. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej. Traktowała ciotkę Kingi jako dobry wykręt, wytłumaczenie nieobecności, podczas gdy obecność była jej potrzebna gdzie indziej. – To dlatego zmieniam pieluchy i karmię łyżeczką?

Tak naprawdę Ela robiła tam znacznie więcej. Odkurzała, chociaż nikt jej o to nie prosił. Kilkakrotnie zmieniła starszej pani pościel, wyprała i rozwiesiła. Kinga była ciągle zalatana, umykały jej takie sprawy – tak przynajmniej tłumaczyła to sobie Elżbieta. Nieraz Ela robiła drobne zakupy. Starsza pani wspomniała a to o dżemie morelowym, a to o twarożku. Przy następnej wizycie Elżbieta przynosiła taki ze sobą. Śmieszne były to czasem dialogi.

– A co to za dżem? – pytała ciotka Kingi.

– Morelowy. – Ela się uśmiechała.

– Nie znam takiego. – Słyszała odpowiedź. – Popróbować trzeba.

Ela otwierała więc słoik, smarowała grubo masłem kromkę świeżego chleba i na to kładła łyżeczką wyspy morelowego dżemu.

– Za kwaśne – mówiła po chwili starsza pani, gestem prosząc o drugą kromkę. Ela uśmiechała się wtedy tak samo, jak oczy

starszej pani.

Wróciła myślami do spotkania z wiolonczelistką. Przełożyła torbę z nutami do drugiej ręki, wybrała numer do Manuela.

– Oszuście! – wykrzyknęła, zanim cokolwiek powiedział. Zaśmiał się.

– Nie zagrałabyś, gdybym cię uprzedził.

– Pewnie – potwierdziła już spokojniej. – W życiu bym się nie spodziewała.

– Olena szuka akompaniatora na trasę po Polsce. Będzie miała kilka koncertów w przyszłym miesiącu. Miał przyjechać jej hiszpański akompaniator, ale coś się pokomplikowało.

– W przyszłym miesiącu? Nie ma mowy!

– Terminy są zaklepane. Czekają tylko na nazwisko akompaniatora. Jutro im podam.

– Manolo, nie – jęknęła. – Jeśli podasz moje nazwisko, nie pojedę.

– Czyli pojedziesz, jeśli twojego nazwiska nie będzie na plakacie?

– No... niezupełnie.

– Okej, zaklepane.

– Manuel, nie!

– Już – powiedział, znów się śmiejąc. – Zagrałaś a vista, Olena jest zachwycona. Teraz poćwiczysz i będzie pięknie.

– Ale ja...

– Nie ma ale.

– Gdybym wiedziała, kto to jest, nawet ręki nie miałabym odwagi jej podać!

– Co, brzydzisz się? – Chłopak nie zrozumiał.

– Nie rozumiesz. To najsłynniejsza wiolonczelistka świata.

- No wiem. I dlatego masz jej nie podawać ręki?
- Z respektu! Ona ma wszystkich najlepszych pianistów na skinienie małego palca.
- A chciała ciebie. To chyba nieźle, co?
- Manolo...
- Przestań, nie mam czasu na marudzenie. Dobranoc! - I zwyczajnie się rozłączył.

Ela nie była nawet zła. Stała w Alejach Jerozolimskich niedaleko rotundy. Do placu Grzybowskiego miała jeszcze kawałek. Trzymała telefon w ręku i ruszyła, zamyślona. Nie zauważała ani latarni, ani rozbawionych młodych ludzi, którzy kręcili się po ulicach. Przeszła plac Defilad, Świętokrzyską. Gdy dotarła do domu, Igora jeszcze nie było. Przebrała się, schowała nuty, przygotowała herbatę i kolację. Nie była głodna, czekała raczej na Igora. Gdy wszedł do domu, bardzo późno, kolacja już wystygła. Zastał żonę śpiącą na kanapie w salonie, przykrytą kusym kocem dopasowanym kolorystycznie do odcienia farby na ścianach. Skulona, oddychała spokojnie, niemal w rytm partit Bacha. Zawsze mówiła, że wiolonczela to instrument niejednoznaczny, wielowymiarowy. I zawsze twierdziła, że w grze tej konkretnej wiolonczelistki istnieje idealne połączenie – hiszpański temperament, słowiańska tęsknota. Bo nagrań Oleny słuchała wielokrotnie, chociaż w apartamencie przy placu Grzybowskim mniej. Tutaj w ogóle słuchała mniej, choć stać ją było na niemal wszystko, także na najdroższy odsłuchowy sprzęt.

Igor nie był głodny. Umył się, przebrał w piżamę. Na rękach zaniósł żonę do sypialni. Rozbierał ją powoli, przebudziła się.

- Będę dalej udawać, że śpię – powiedziała.

Bardzo pięknie udawała, razem udawali, aż zaczęło świtać.

- Byłem zmęczony jak primabalerina po premierze.

- Ja chyba też, skoro tak zasnęłam. Ale się przebudziłam.

Lepiej, żeby nie pytał, co mnie tak zmęczyło – pomyślała.

– Ja w ogóle zasnąć nie mogłem, nie wiesz czemu?

– Nie mam pojęcia.

Podawali sobie wzajem croissanty, które Igor z samego rana kupił w sklepie na dole. Jak wróbelki – pomyślała. – Dawno już tak nie spędzaliśmy czasu.

– Mam dzisiaj prawie wolne – powiedział Igor, gdy rozłożyli się na kanapie w salonie. Ela, jak zwykle, dalej od wielkiego okna. – Krótkie spotkanie dopiero o szesnastej. A jakie plany u ciebie?

– Sama nie wiem. Nic szczególnego. Jakies zakupy może.

– Może razem pójdziemy?

Kiwnęła głową. Niewiele mówili, Ela sięgnęła po pilota.

– Nie, daj spokój z telewizją. Raczej jakiś serial.

Uniosła brwi.

– Na DVD.

Igor wstał, wyciągnął nową płytę.

Spędzili tak czas do wczesnego popołudnia. Gdy Igor wyszedł, Elżbieta zadzwoniła do Manuela.

Rozdział 23

ONI

Pierwszych dźwięków słuchał z lekkim uśmiechem. Przypomniało mu się popołudnie, gdy po raz pierwszy słyszał wiolonczelę z fortepianem, tyle lat temu.

Podobnie jak wtedy, nie bardzo wiedział, kiedy klaskać. Podobnie jak wtedy, z podziwem obserwował zgrane ruchy wykonawczyń. Wiolonczelistka sunęła smyczkiem, jakby tańczyła na łyżwach. Mistrzynie skoków, tak pewnie określiliby ją komentator sportowy. Bo nawet i największe interwały nie sprawiały jej kłopotów. Olena kłopotów z tym nie miała nigdy, dzięki słuchowi absolutnemu intonacja od pierwszych miesięcy gry na wiolonczeli była jej mocną stroną. W czasie pierwszego roku gry opanowała wszystkie pozycje, aż do kciukowych, najtrudniejszych.

Więcej kłopotów miała ze smyczkowaniem. Była leworęczna, rzadko kiedy mańkuci grali na wiolonczeli, przynajmniej w Polsce. Ona jednak uczyła się w Hiszpanii i trafiła na kogoś, kto zafascynowany jej słuchem – machnął ręką na

leworęczność. To było rzadkie, ale okazało się, że na dłuższą metę Olenie nie przeszkadzało w grze. Właściwie określenie „nie przeszkadzało” nie było precyzyjne. Olena jako dwunastolatka trafiła na przesłuchanie do Paolo Beschiego, który z niesmakiem słuchał jej bachowskich wykonania.

– To nie może być – powiedział wtedy – żeby smarkuła wykonywała Bacha lepiej ode mnie!

Po tym zdaniu ojciec Oleny uwierzył w talent córki. Wcześniej tylko matka dążyła do jej kształcenia. Sama uwielbiała muzykę, nie dane jej jednak było zagrać na jakimkolwiek instrumencie. Rodzina była biedna i zbyt często się przeprowadzała. Gdy więc wżeniła się w tradycyjną hiszpańską rodzinę, wydawało jej się, że świat wreszcie się uporządkował. A potem zdała sobie sprawę, że bez wykształcenia jest nikim. Jest tylko śliczną potomkinią ukraińskich uchodźców, których nikt nawet głośno nie wspomina. Na jej edukację było za późno. O chłopców dbał ojciec i dziadkowie. Ona więc zadbała o Olenę, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Jeździła z córką do szkoły muzycznej, załatwiała wypożyczenie instrumentu, pilnowała ćwiczeń. Wszystko to zachwycało matkę i córkę, resztę rodziny pozostawiając obojętną. Gdy jednak wybitny muzyk, słynny Włoch, wypowiedział takie zdanie, które na własne uszy usłyszał ojciec Oleny – kształcenie córki stało się równie ważne jak synów. A w pewnym momencie może i ważniejsze – dokładnie wtedy, gdy już w akademii Olena trafiła na kurs prowadzony przez Miszę Majskiego. Jego opinia o temperamentnej leworęcznej dziewczynie przyćmiła wszystkie inne sprawy. Olena miała od tego czasu grać i tylko grać.

Z czasem udało jej się kupić, zapożyczając większość rodziny, instrument ze słynnej kolekcji portugalskiej wiolonczelistki Guilherminy Suggia. Pokochała jego brzmienie jak nic innego na świecie. I tym bardziej chciała grać, grać, i grać.

I nigdy, przenigdy, jej się nie odechciało. Grała zawsze z pasją i miłością, a wiolonczelę traktowała jak najczulszego kochanka.

I dokładnie to było słyhać na warszawskim koncercie.

Słuchał uważnie, cały czas z delikatnym uśmiechem na ustach. Zafascynowany gestykulacją, odchyleniem głowy, wpatrywał się w Hiszpankę z niemal erotyczną przyjemnością. Tak dawno nie miałem kobiety – pomyślał. – Może czas? Patrzył więc coraz łapczywiej, uruchamiając w tym słyszeniu wszystkie zmysły. Rozpalał się. Słyszał, że nie wolno robić zdjęć na tych koncertach. Właściwie dlaczego? – zastanowił się teraz. – Te zdjęcia to byłaby klasa sama dla siebie. Uchwyciłbym ruch, pochylenie ciała, włosy opadające na twarz, tańczące wokół głowy, smyczek w ruchu. Mimika oddająca ekstazę. To byłyby piękne zdjęcia, spróbowałabym zawrzeć w nich muzykę – myślał. Momentami słuchał z zamkniętymi oczami.

Kto mnie zaprosił na ten koncert? – zastanowił się jeszcze przez chwilę. Dostał anonimowe zaproszenie w eleganckiej kremowej kopercie. Bez podpisu. Często dostawał zaproszenia, najczęściej na bankiety, pokazy mody, targowiska próżności. Dawno nie był na prawdziwym koncercie.

Publiczność klaskała z zapamiętaniem, chociaż po pierwszej części bisów nie ma. Wszyscy wyszli do kuluarów, on został na miejscu. Nie mógł się ruszyć.

Przez całą pierwszą część słuchał i oglądał wiolonczelistkę. Dopiero gdy wstała, kątem oka dostrzegł drugą postać, wcześniej właściwie pominiętą. Stała z tyłu, z pochyloną głową, czarnymi włosami zarzuconymi na twarz. Nie można było tej twarzy rozpoznać, jakby pianistka chciała nie być rozpoznana. Jednak ten ruch ręki, miękki krok. Kształt pleców, ułożenie szyi. Niemożliwe – myślał. Nie wstał z krzesła.

Na sali pozostała jeszcze druga osoba. Manolo rozpoznał czarnowłosego, przystojnego mężczyznę z białą plamą nad prawą skronią.

W drugiej części Manolo patrzył tylko na niego.

Igor patrzył tylko na Isabel.

Po końcowych owacjach Manolo dalej patrzył. Publiczność wyszła, Igor został. Wstał, gdy sala była już zupełnie pusta. Ruszył wolnym krokiem, przeszedł przez wielkie drewniane drzwi sali koncertowej, portierka już czekała. Manolo ruszył za nim.

Być może powinienem coś zrobić – pomyślał. – A być może nie.

Igor przeszedł przez kolejne drzwi, w kierunku garderoby.

Tego głosu nie pomyłę z żadnym innym – pomyślał, słysząc śmiech.

Gratulacje już się skończyły. Miały teraz czas na przebranie się. Olena i Isabel rozmawiały po hiszpańsku.

Zapukał.

– Chwileczkę! – odpowiedziała Olena, a Isa stanęła w miejscu, przodem do drzwi, przelękając ślinę. Była już przebrana. Została w czerwonych atlasowych butach, bardzo jej się podobały. Miała na sobie białą tunikę i jasne džinsy, opinające zgrabne nogi.

Igor otworzył powoli drzwi.

– Elżbieta to po hiszpańsku Isabel – powiedział Igor.

– Pan mnie z kimś pomylił – odpowiedziała płynną polszczyzną, patrząc mu prosto w oczy.

PLAYLISTA

Jeśli ktoś zechce podążać śladem bohaterek, śledząc muzykę, którą „wykonują” na kartach tej książki – to będzie mu pewnie łatwiej z takim spisem. Długo dyskutowaliśmy z Isą i Oleną nad doborem repertuaru, ostatecznie wybrałyśmy takie utwory. Niektóre łatwe i wpadające w ucho, niektóre ambitne... Z całą pewnością – różnorodne. Mamy nadzieję, że każdy Czytelnik znajdzie tu coś dla siebie.

Dobrego słuchania!

Jan Sebastian Bach – V Suita na wiolonczelę solo c-moll, BWV 1011, Sarabanda, opracowanie na wiolonczelę i fortepian

Felix Mendelssohn Bartholdy – *Pieśń bez słów* D-dur op. 109

Sergiusz Rachmaninow – II koncert fortepianowy c-moll op. 18

Camille Saint-Saëns – Allegro Appassionato op. 43 na wiolonczelę i fortepian

Camille Saint-Saëns – *Karnawał zwierząt*, część przedostatnia, *Łabędź*

Aleksander Skriabin – Preludia op. 11 na wiolonczelę i fortepian

Dymitr Szostakowicz – Sonata d-moll op. 40 na wiolonczelę i fortepian

Eric Satie – *Gymnopédies* (oryginalnie na fortepian solo)

Ludwig van Beethoven – Dwanaście wariacji na wiolonczelę i fortepian G-dur na temat *Nadchodzi zwycięzca* z oratorium J. Haendla *Juda Machabeusz* WoO 45

Johannes Brahms – Sonata na wiolonczelę i fortepian F-dur op. 99

Luigi Boccherini – Sonata G-dur nr 3 na wiolonczelę i fortepian

Fryderyk Chopin – Grand duo concertant E-dur na temat z opery *Robert Diabeł* Meyerbeera op. 16 A

Fryderyk Chopin – Introdukcja i Polonez C-dur na fortepian i wiolonczelę op. 3

Fryderyk Chopin – Sonata g-moll na fortepian i wiolonczelę op. 65

Piotr Czajkowski – *Chanson triste* op. 40 nr 2 na wiolonczelę i fortepian

Antonio Vivaldi – 6 Sonat na wiolonczelę i fortepian

Luigi Boccherini – Menuet z kwintetu smyczkowego A-dur op. 13 nr 5, opracowanie na wiolonczelę i fortepian

Ryszard Strauss – Sonata wiolonczelowa F-dur op. 6

Ludwig van Beethoven – Sonata wiolonczelowa F-dur op. 5 nr 1

Ludwig van Beethoven – Sonata wiolonczelowa g-moll op. 5 nr 2

Edward Grieg – Sonata a-moll op. 36 na wiolonczelę i fortepian

Sergiusz Prokofiew – Sonata op. 119 na wiolonczelę i fortepian

Mieczysław Karłowicz – Serenada na wiolonczelę i fortepian

Witold Lutosławski – *Grave. Metamorfozy* na wiolonczelę
i fortepian

Edward Elgar – *Salut d'amour* op. 12, aranżacja na wiolonczelę
i fortepian

PODZIĘKOWANIA

Od pewnego już czasu nie mogę zakończyć książki, nie dziękując wielu osobom, które w pracy nad nią były mi pomocne. Coraz więcej tych osób... I myślę, że świadczy to o ogromie życzliwości otoczenia, jaką otrzymuję. Nie mogę nie być za to wdzięczna.

Teresa Kłos-Zakrzewicz podzieliła się ze mną autentyczną historią swojej koleżanki, która jak Kamila, w dniu ślubu zasnęła wśród kwiatów snem wiecznym. Ta historia jest tak okrutna, chociaż bezkrwawa, i tak przejmująca, że nie mogłam jej nie wykorzystać. Dziękuję Eli Klimek za empiryczne liczenie schodów w szkole muzycznej w Koszalinie. Waldkowi Lisowi za fotograficzne podpovedzi. Ewie Jowik za przedczytanie i fachowe uwagi związane z piaseczyńską kolejką wąskotorową. Za twórcze i uważne betowanie (ładne słowo, prawda?) dziękuję Arkowi Wójtowiczowi, Krzyškowi Michniewiczowi, Monice Szydłowskiej, Dorocie Gronkowskiej, Ani Kasprzak i Agacie Legun. Każde z Was wniosło istotny wkład w to, aby ta książka

była możliwie jak najlepsza.

Trzykrotne podziękowania ślę w stronę Hanny A. Greń. Za nieustające wsparcie. Za konstruktywne uwagi „przedczytacza”. I za wszystko. A poza tym Hannie Greń winna jestem jeszcze przeprosiny. W poprzedniej książce, *Huśtawce*, nie ukazały się podziękowania dla Ciebie. Jest to moja i tylko moja wina, za co serdecznie Cię przepraszam, bowiem – oprócz klasycznego „betowania” – byłaś także pomysłodawczynią tytułu. Dziękuję z całego serca!

Felixowi De Vega Vazquez oraz Jolancie Kowalskiej za „hiszpańską inspirację”. Danielowi Del Rosal García za ustrzeżenie przed (głupimi) błędami w topografii Madrytu.

Olenie Zhurovej-Tsolce dziękuję za wsparcie w profesjonalnym podejściu do techniki wiolonczelowej. No wiesz, Olena w końcu to Olena... najsłynniejsza wiolonczelistka świata!

Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Czwarta Strona za nieustające wsparcie i konstruktywną współpracę. W szczególności oczywiście Monice Długiej, Annie Wasik, Karolowi Górskiemu i Oli Wolskiej. A także redaktor Agnieszce Czapczyk, która po raz kolejny zechciała ze mną współpracować przy przygotowywaniu tej książki. Pani Agnieszko, dziękuję za wszystko!

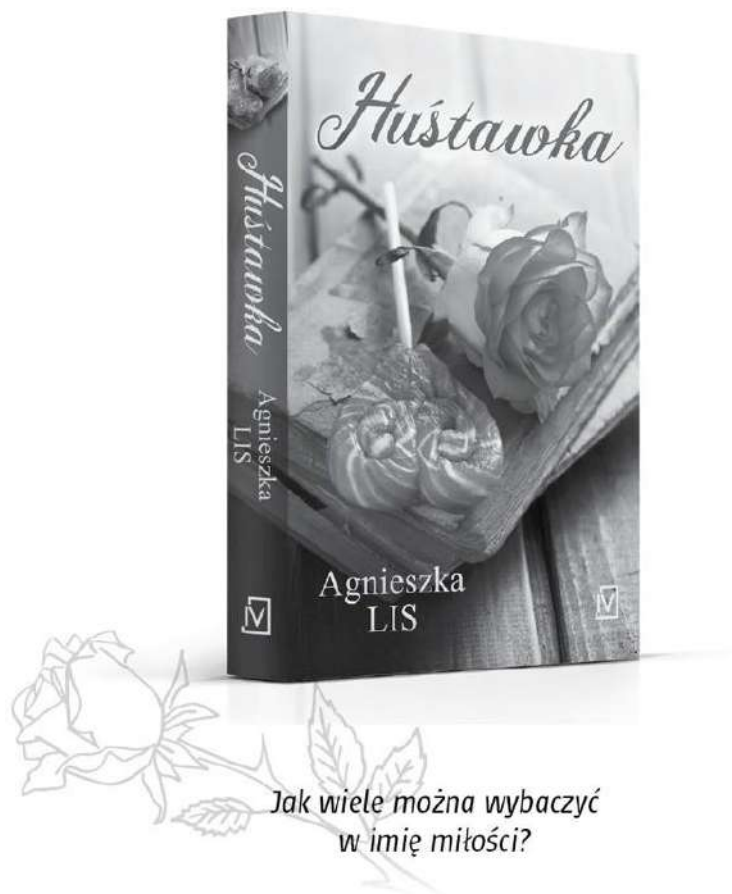
W książce pozwoliłam sobie na pewien drobny żart. To właściwie ukłon, przynajmniej w zamierzeniu, w stronę współczesnego Czytelnika. Oczywiście poczytnego autora kryminałów, Remigiusza Mroza, o którym jest w książce mowa, w czasach młodości Igora nie było jeszcze na świecie.

Poza tym apartamentowiec, do którego wprowadzają się Igor i Elżbieta, jest jedynie zainspirowany rzeczywistym budynkiem, który powstał w okolicy opisywanego miejsca kilka lat później, niż wskazywałby na to czas akcji książki. Opisywany dom jest jedynie wytworem mojej wyobraźni, chociaż ulokowałam go w fizycznie istniejącym miejscu Warszawy.

Oczywiście przesłuchania u Paolo Beschiego i kurs u Miszy Majskiego są fikcją, tak jak i postać Oleny jest fikcją i zresztą – jak cała ta fabuła. Jest fikcją. Co dodaje tak na wszelki wypadek...

Na koniec coś, bez czego żadnej książki zakończyć nie mogę. Dziękuję mojej rodzinie. Bez Was nic nie miałyby sensu.

Agnieszka Lis



*Jak wiele można wybaczyć
w imię miłości?*

Małgorzata ceni sobie w życiu porządek. Całkowicie poświęca się pracy na uczelni, relaks traktując jak stratę czasu. Stara się realizować swój plan kariery, nakreślony lata temu. Nie może jednak wiedzieć, że życie przygotowało dla niej zupełnie inny scenariusz. Nagle, w spokojny i przewidywalny świat Małgorzaty z impetem wkraczają szalone i lekkomyślne decyzje jej córki, a matka wyjawia skrywany latami sekret rodzinny, który wyraca wszystko do góry nogami. Na dodatek siostra wyrusza w podróż do Indii w poszukiwaniu szczęścia. W opanowaniu sytuacji nie pomaga mąż, którego Małgorzata podejrzewa o zdradę. Pojawiają się również poważne problemy zdrowotne... Jak poradzić sobie z tym wszystkim?

To opowieść o trzech pokoleniach kobiet, na pozór tak różnych, a jednak połączonych wspólnymi doświadczeniami i rodzinną miłością. Czy uda im się przetrwać trudne chwile? Czy popełnione błędy da się cofnąć?

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1: ON](#)

[Rozdział 2: ONA](#)

[Rozdział 3: ON](#)

[Rozdział 4: ONA](#)

[Rozdział 5: ON](#)

[Rozdział 6: ONA](#)

[Rozdział 7: ON](#)

[Rozdział 8: ONA](#)

[Rozdział 9: ON](#)

[Rozdział 10: ONA](#)

[Rozdział 11: ON](#)

[Rozdział 12: ONA](#)

[Rozdział 13: ON](#)

[Rozdział 14: ONA](#)

[Rozdział 15: ON](#)

[Rozdział 16: ONA](#)

[Rozdział 17: ON](#)

[Rozdział 18: ONA](#)

[Rozdział 19: ON](#)

[Rozdział 20: ONA](#)

[Rozdział 21: ON](#)

[Rozdział 22: ONI](#)

[Rozdział 23: ONI](#)

[PLAYLISTA](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Polecamy również](#)